

Tess Gerritsen

Infekcja
(Life Support)

Przełożył Jan Kraśko

*Jacobowi, Adamowi i Joshowi –
facetom mojego życia*

Podziękowania

Wielkie dzięki:

Emily Bestler, dzięki której błyszczeć może każda książka;

Dr Rossowi Davisowi, neurochirurgowi i człowiekowi renesansu;

Jackowi Youngowi, który umie wesoło odpowiadać na najdziwniejsze pytania;

Patty Kann, za pomoc w zbieraniu informacji;

Jane Berkey i Donowi Cleary, moim przewodnikom po świecie wydawniczym;

A przede wszystkim Meg Ruleym która zawsze ustawia mnie w odpowiednim kierunku. A potem mnie tam prowadzi.

Rozdział pierwszy

Skalpel to piękna rzecz.

Doktor Stanley Mackie nigdy dotąd nie zwrócił na to uwagi, ale stojąc teraz z pochyloną głową pod lampami sali operacyjnej, nagle stwierdził, że brylantowe refleksy światła na ostrzu wprost go zadziwiają. Ta lunula z nierdzewnej stali była prawdziwym dziełem sztuki. Dziełem tak pięknym, że nie śmiał wziąć go do ręki w obawie, iż dotykiem zbeczcześci jego magiczną nieskazitelność. Na powierzchni migotliwego półksiężyca widział tęczę kolorów, widział światło rozszczepione na najczystsze składniki, widział...

– Panie doktorze? Czy coś się stało?

Uniósł wzrok i zobaczył, że instrumentariuszka marszczy czoło, patrząc na niego znad maski chirurgicznej. Miała niezwykle zielone oczy, nigdy dotąd tego nie zauważył. Nie zauważył ani tego, ani wielu innych rzeczy, które widział, ale tak naprawdę zobaczył dopiero teraz. Ot, choćby jej kremową cerę. Żyłkę wijącą się na skroni. Pieprzyk tuż nad brwią...

Pieprzyk? Przerażony, wyteżył wzrok. Pieprzyk się poruszał, pełznął w stronę oka niczym wielonożny insekt...

Z odretwienia wyrwał go głos doktora Rudmana, anestezjologa.

– Stan? Dobrze się czujesz?

Mackie skinął głową. Insekt zniknął. Znowu był tylko pieprzykiem, maleńką plamką czarnego pigmentu na bladej skórze pielęgniarce. Mackie nabrał powietrza, wziął skalpel z tacy i spojrział na kobietę leżącą na stole.

Światło lampy skupiało się na jej podbrzuszu, na prostokacie nagiej skóry obramowanej niebieskim prześcieradłem. Miała ładny, płaski, opalony brzuch – zaskakujący widok w porze bladych twarzy i śnieżnych zamieci. Jaka szkoda, że musi to dziewicze podbrzusze rozciąć. Blizna po usunięciu wyrostka robaczkowego na pewno zeszpeci przyszłe karaibskie opalenizny.

Przytknął czubek ostrza do skóry w punkcie McBurneya, w połowie linii między pępkiem a prawym kolcem biodrowym. Wyrostek robaczkowy znajdował się mniej więcej w tym miejscu. Mackie już miał zrobić nacięcie, gdy wtem...

Ręka. Drżała mu ręka.

Nie mógł tego zrozumieć. Zdarzyło mu się to pierwszy raz w życiu. Stanley Mackie słynął z pewnej ręki. A teraz z wielkim trudem

utrzymywał skalpel w dłoni. Przełknął ślinę i odsunął ostrze od skóry. Spokojnie. Weź kilka głębokich oddechów. To przejdzie.

– Stan?

Doktor Rudman patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami. Pielęgniarki też. Mackie widział w ich oczach nieme pytanie, to samo pytanie, które zadawano szeptem od wielu tygodni. Czy stary Mackie nadaje się jeszcze do pracy? Ma siedemdziesiąt cztery lata, czy nadal może operować? Czy powinno się mu na to pozwalać? Zignorował ich spojrzenia. Przecież wybronił się przed komisją, wyjaśnił okoliczności śmierci swojego ostatniego pacjenta. W końcu każdy zabieg chirurgiczny łączy się z pewnym ryzykiem. Jeśli w jamie brzusznej zbierze się za dużo krwi, łatwo stracić orientację i zrobić nacięcie w nieodpowiednim miejscu.

Członkowie komisji w swej mądrości oczyścili go z wszelkich zarzutów.

Mimo to od tamtego czasu w umysłach personelu szpitalnego kielkowało ziarenko wątpliwości. Widział to w wyrazie twarzy instrumentariuszek, w zmarszczeniu brwi doktora Rudmana. Patrzyli na niego, nie spuszczała go z oka. I nagle wyczuł, że patrzą na niego nie tylko ich oczy. Zerknął w bok i zobaczył, że w powietrzu unoszą się dziesiątki galek ocznych, że wszystkie uważnie go obserwują.

Szybko zamrugał i straszliwa wizja zniknęła.

Okulary, pomyślał. Muszę pójść do okulisty.

Po policzku spływała mu kropla potu. Zacisnął palce na rękojeści skalpela. Przecież to tylko wycięcie wyrostka robaczkowego, zabieg prosty nawet dla najmłodszego stażysty. On, Stanley Mackie, poradzi sobie na pewno, choćby i z roztrzęsionymi rękami.

Skupił wzrok na łonie pacjentki, na jej płaskim, złotawym brzuchu. Jennifer Halsey, lat trzydzieści sześć. Przyjechała do Bostonu z innego stanu, a tego ranka obudziła się w motelu z bólem w prawej pachwinie. Ponieważ ból się nasilał, wsiadła do samochodu i, nie zważając na szalejącą śnieżycę, przyjechała do izby przyjęć szpitala Wicklin, gdzie zajął się nią dyżurujący pod telefonem Stanley Mackie. Nic nie wiedziała o plotkach na temat jego kondycji, o kłamstwach i pogłoskach z wolna niszczących jego karierę. Była po prostu cierpiącą kobietą, pacjentką z zapaleniem wyrostka robaczkowego.

Mackie przytknął skalpel do skóry. Ręka przestała drżeć. Da sobie radę. Oczywiście, że da radę. Zrobił nacięcie, gładkie i czyste. Instrumentariuszka wytarła gazikiem krew i podała mu kleszczyki hemostatyczne. Mackie zaczął rozcinać warstwę żółtawego tłuszczu

podskórnego, co chwila tamując krwawienie. Nie ma sprawy. Wszystko będzie dobrze. Dostanie się do jamy brzusznej, usunie wyrostek i już. A potem pojedzie do domu. Może potrzebuje odpoczynku, może krótki odpoczynek rozjaśni mu umysł.

Rozciął lśniąca otrzewną. Jama brzuszna była otwarta.

– Haki – rzucił.

Instrumentariuszka wzięła z tacy retraktory i delikatnie rozchyliła brzegi rany.

Mackie wsunął tam dłoń i poczuł, jak owijają się wokół niej śliskie, ciepłe jelita. Utkwić w kokonie ludzkiego ciepła – cóż to za cudowne uczucie. Jakby trafić z powrotem do matczynego łona. Odsłonił wyrostek. Jeden rzut oka na zaogniony, obrzękły organ potwierdził jego diagnozę: trzeba ciąć. Sięgnął po skalpel...

Ale gdy znowu przeniósł wzrok na otwartą ranę, stwierdził, że coś tu nie gra.

W jamie brzusznej kłębiło się za dużo jelit, było ich dwa razy tyle, ile być powinno. Po co jej tyle jelit? Coś z tym trzeba zrobić. Chwycił jeden ze zwojów i pociągnął, czując, jak ciepłe i wilgotne jelito ślizga mu się w dłoni. Wyciął skalpelem jego nadmiar i, ociekający krwią, położył na tacy. No – pomyślał – teraz wygląda to znacznie lepiej.

Instrumentariuszka wybałuszyła oczy.

– Co pan robi?! – krzyknęła.

– Ma za dużo jelit – wyjaśnił spokojnie. – Trzeba je skrócić.

Sięgnął do jamy brzusznej po następny zwój. Po co ten nadmiar tkanki? Tylko przeszkadza.

– Doktorze, nie!

Błysnął skalpel. Z przeciętego jelita trysnęła fontanna gorącej krwi.

Instrumentariuszka chwyciła go za rękę. Mackie szarpnął się, rozwścieczony, że byle pielęgniarzka śmie przeszkadzać mu w operacji.

– Dajcie mi inną instrumentariuszkę – zażądał. – I ssak. Trzeba odessać tę krew.

– Powstrzymajcie go! Pomóżcie mi go...

Wolną ręką Mackie chwycił cewnik ssaka i wepchnął go do jamy brzusznej. W rurce zablokowało, do zbiornika popłynęła krew.

Ktoś szarpnął go za rękę, ktoś odciągnął go od stołu. To Rudman. Mackie próbował się wyrwać, lecz anestezjolog trzymał mocno.

– Odłóż skalpel, Stan.

– Trzeba to usunąć, ona ma za dużo jelit...

– Odłóż skalpel!

Mackie szarpnął się i gwałtownie obrócił, nie pamiętając, że wciąż ściska w rękę skalpel. Ostrze rozplątało Rudmanowi szyję.

Anestezjolog przeraźliwie krzyknął i chwycił się za gardło.

Mackie zrobił krok do tyłu, gapiąc się na krew ciekącą pomiędzy palców kolegi.

– To nie moja wina – wychrypiał. – To nie moja wina!

– Ochrona! – wrzasnęła pielęgniarka do interkomu. – Przyślijcie strażników! Natychmiast! On zwariował!

Mackie zatoczył się do tyłu, wdeptując w śliską kałużę krwi Rudmana. Krwi Jennifer Hasley. W rozlewające się jezioro krwi. Nagle odwrócił się i wypadł z sali.

Ścigali go.

Ogarnięty paniką, uciekał na oślep korytarzem – jednym, drugim. Uciekał zagmatwanym labiryntem korytarzy. Gdzie jest? Dlaczego nie rozpoznaje tych miejsc? I raptem dokładnie przed sobą zobaczył okno, a za nim wirujące płatki śniegu. Śnieg. Zimna, biała koronka śniegu oczyści go, zmyje mu krew z rąk.

Za plecami słyszał coraz głośniejszy tupot nóg.

– Stój!

Trzy długie susy i Mackie skoczył w stronę świetlistego prostokąta.

Szkło roztrzaskało się na miliony brylantów, usłyszał świst zimnego powietrza. Wszędzie było białe. Wszędzie widział piękną, krystaliczną biel.

I spadał, spadał.

Rozdział drugi

Na zewnątrz panował koszmarny upał, ale kierowca podkreślił klimatyzację i Molly Picker, siedzącej na tylnym siedzeniu, zaczął dokuczać chłód. Zimne powietrze z dyszy w pobliżu jej kolan biło wprost pod minispódniczkę. Molly pochyliła się i zastukała w pleksiglasową przegrodę.

– Przepraszam pana – powiedziała. – Hej, proszę pana! Czy mógłby pan przykręcić klimatyzację? Proszę pana! – Zastukała jeszcze raz.

Kierowca jej nie słyszał. A może ją po prostu ignorował. Widziała tylko tył jego głowy.

Drżąc z zimna, skrzyżowała ręce na piersiach i skuliła się w kąciku, aby dalej od tej przeklętej dyszy. Patrzyła w okno, na przesuwające się za szybą ulice Bostonu. Nie знаła tych okolic, ale wiedziała, że jadą na południe. Tak przynajmniej głosiła ostatnia tablica, którą minęli: Washington Street, South. Pudełkowate budynki, zakratowane okna, grupki mężczyzn na werandach, ich lśniące od potu twarze... Dopiero koniec maja, a musiało być co najmniej trzydzieści stopni w cieniu. Molly potrafiła odgadnąć temperaturę z wyglądu przechodniów na ulicy. Z ich ocieźlałe pochyłonych ramion, z tego, że szli, powłócząc nogami jak na zwolnionym filmie. Lubiła obserwować ludzi. Zwłaszcza kobiety, ponieważ kobiety interesowały ją o wiele bardziej niż mężczyźni. Uważnie analizowała ich stroje, zastanawiała się, dlaczego niektóre ubierają się w taki upał na czarno, dlaczego grube babska z wielkimi tyłkami paradują w obcisłych, jaskrawych spodniach, dlaczego już nikt nie nosi kapeluszy. Przyglądała się, jak chodzą te piękne i zgrabne, jak subtelnie kręcą biodrami, jak umiejętnie stawiają nogi, doskonale zachowując równowagę w pantoflach na superwysokich obcasach. Zastanawiała się też, czy znają jakieś sekrety, których ona nie znała. Czy matki udzieliły im jakichś nauk, wskazówek, które Molly przegapiła. Przyglądała się ich twarzom długo i wnikliwie, z nadzieją, że dozna olśnienia i odkryje tajemnicę ich urody. Tajemnicę magicznego czarownika, którego Molly Picker nie miała.

Samochód przystanął na czerwonym świetle. Na rogu stała kobieta w sandałach na platformach, z ręką na kusocielsko wysuniętym biodrze. Była prostytutką, jak Molly, ale starszą od niej. Miała mniej więcej osiemnaście lat i lśniące, czarne włosy, spływające kaskadą na brązowe ramiona. W czarnych włosach byłoby mi dobrze – pomyślała ze smutkiem Molly.

Czarne włosy to konkret. Nie to co włosy Molly – nijakie, rzadkie i słabe, ni to jasne, ni ciemne, pozbawione wszelkiego wyrazu. Szyby auta były mocno przyciemnione i prostytutka nie widziała, że Molly się na nią gapi, ale musiała to wyczuć, gdyż powoli obróciła się w jej stronę.

Nie, wcale nie była taka piękna.

Dziwnie rozczarowana Molly opadła na oparcie fotela.

Samochód skręcił w lewo, kierując się na południowy wschód. Dzielnice, które dobrze знаła, zostały daleko w tyle, jechali teraz przez okolice zupełnie obce i wrogie. Upał wypędził ludzi z domów. Siedzieli w skrawkach cienia, wachlując się gazetami i prowadząc wzrokiem przejeżdżającą limuzynę. Wiedzieli, że wóz nie jest stąd, że tu nie pasuje. Tak samo jak Molly wiedziała, że to nie jej teren. Dokąd ten Romy ją wysłał?

Nie podał żadnego adresu. Zwykle wciskał jej w rękę świstek papieru z nagryzmołą nazwą ulicy i kazał łapać taksówkę. Tym razem przy krawężniku czekał samochód. Ładny samochód, czysty, bez tych wiele mówiących plam na tylnym siedzeniu, bez popielniczek zapchanych lepkiimi chusteczkami higienicznymi. Nie, nie, wóz był nieskalany, jeszcze nigdy nie jechała taką limuzyną.

Kierowca skręcił w lewo, w wąską ulicę. Na chodnikach nie było tu nikogo, lecz Molly wiedziała, że ich obserwują. Po prostu to czuła. Poszperała w torebce, wyjęła papierosa i zapaliła. Zdażyła ledwie sztachnąć się dwa razy, gdy usłyszała bezosobowy głos:

– Proszę zgasić papierosa.

Przestraszona, rozejrzała się na boki.

– Co?

– Powiedziałem, zgaś papierosa. Tu się nie pali.

Z rumieńcem wstydu szybko rozgniotła papierosa w popielniczce i dopiero wtedy zauważyła małeńki głośnik wmontowany w pleksiglasową przegrodę.

– Hej! Słyszysz mnie pan?

Kierowca milczał.

– Jeśli mnie pan słyszysz, to czy mógłby pan przykręcić klimatyzację? Zamarnę tu na śmierć. Halo! Panie kierowco!

Przestało dmuchać zimnym powietrzem.

– Dziękuję – powiedziała Molly, a pod nosem mruknęła: – dupku.

Odszukała odpowiedni przycisk i opuściła szybę. Przez wąską szparę wpadł do środka zapach dyszącego upałem miasta, duszny i siarczany. Duchota jej nie przeszkadzała, od dawna była z nią za pan brat.

Przypominała jej dzieciństwo, lepkie, wilgotne upały w rodzinnym Beaufort. Szlag by to trafił, tak chciało jej się palić! Nie miała jednak ochoty na sprzeczkę z głośnikiem.

Limuzyna zwolniła i zatrzymała się.

– To tutaj – powiedział kierowca. – Wsiadaj.

– Tutaj? To znaczy gdzie?

– W budynku, na który patrzysz.

Molly przyjrzała się trzypiętrowej kamienicy. Okna na parterze były zabite deskami. Na chodniku lśniły kawałki szkła.

– Wolne żarty.

– Drzwi są otwarte. Wejdiesz na drugie piętro, ostatnie drzwi po prawej. Nie musisz pukać, po prostu wejdź do środka.

– Romy nic mi o tym nie mówił.

– Romy powiedział, że się zgodzisz.

– No tak, ale...

– To część fantazji, Molly.

– Jakiej fantazji?

– Fantazji twojego klienta. Wiesz, jacy oni są.

Molly ciężko westchnęła i znów spojrzała na kamienicę. Klienci i ich fantazje! Ten marzył pewnie, by zerznąć babkę wśród szczurów i karaluchów. Trochę niebezpieczeństwa i brudu – to ich podniecało. Dlaczego fantazje seksualne klientów nigdy nie zgadzały się z jej fantazjami? Czysty hotelowy pokój, basen z bąbelkami. Richard Gere i Pretty Woman sączący szampana.

– On czeka, Molly.

– Idę, idę. – Pchnęła drzwi i wysiadła. – Ma pan na mnie czekać, tak?

– Nigdzie się stąd nie ruszę.

Spojrzała na kamienicę, wzięła głęboki oddech, weszła po schodach i otworzyła drzwi.

Wewnątrz było tak samo paskudnie jak i na ulicy. Ściany pokryte nieudolnymi graffiti, korytarz zaśmiecony gazetami i zardzewiałymi sprężynami wyrwanymi z łóżek. Musiała tu grasować banda wandalii.

Weszła na schody. W budynku panowała niesamowita cisza i każdy jej krok rozbrzmiewał głośnym echem. Kiedy dotarła na pierwsze piętro, stwierdziła, że ma spocone dłonie.

Coś było tu nie tak. Czowała, że coś jest nie tak.

Przystanęła na podeście i spojrzała do góry. W coś ty mnie zrobił, Romy? I kogoś mi nagrał?

Wytarła dłonie w bluzkę. Nabrała powietrza i ruszyła dalej. W

korytarzu na drugim piętrze zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie. Dobiegł ją cichy pomruk jakiegoś urządzenia. Klimatyzator? Nacisnęła klamkę.

Uderzyła w nią fala chłodnego powietrza. Weszła do środka i zdumiała się na widok pokoju o idealnie białych ścianach. Jeśli nie liczyć wyłożonego ciemnobrązowym winylem stołu do badań lekarskich i wielkiej, wiszącej nad nim lampy, w pomieszczeniu nie było żadnych mebli, nawet krzesła.

– Witaj, Molly.

Odwróciła się na pięcie, szukając wzrokiem mężczyzny, który wypowiedział jej imię. Ale w pokoju nie było nikogo.

– Gdzie pan jest? – spytała.

– Nie bój się. Jestem trochę wstydlivy, to wszystko. Najpierw chciałbym ci się przyjrzeć.

Na przeciwległej ścianie zobaczyła lustro.

– Jest pan za tym lustrem, prawda? Pan mnie widzi, a ja Pana nie, tak?

– Zgadłaś.

– No to co mam teraz zrobić?

– Porozmawiaj ze mną.

– To wszystko?

– Nie, nie wszystko.

No jasne. Zawsze chcą czegoś więcej. W miarę spokojnie podeszła do lustra. Powiedział, że jest wstydlivy. Świetnie, od razu poczuła się lepiej. Opanowała się, ochłoneła. Stała przed lustrem, wspierając rękę na biodrze.

– Dobra. Jeśli chce pan gadać, pogadajmy, to pańska forsa.

– Ile masz lat, Molly?

– Szesnaście.

– Czy masz regularny okres?

– Co?

– Czy masz regularnie miesiączkę?

Parsknęła śmiechem.

– Nie do wiary.

– Odpowiedz na pytanie.

– Tak. Chyba regularnie.

– Ostatnią miałaś dwa tygodnie temu, prawda?

– Skąd pan wie? – Pokręciła głową i mruknęła: – No tak, Romy panu powiedział.

Romy zawsze wiedział, kiedy jego dziewczyny mają ciotkę.

– Jesteś zdrowa, Molly?

Spojrzała w lustro.

– A co? Wyglądam na chorą?

– Nie masz żółtaczkę? Albo HIV?

– Jestem czysta. Niech pan się nie martwi, niczego pan ode mnie nie złapie.

– A może chorujesz na syfilis albo na rzeżączkę?

– Posłuchaj pan – warknęła. – Chce się pan ze mną pieprzyć czy nie?

Milczał chwilę. A potem cicho powiedział:

– Rozbierz się, Molly.

Nareszcie zaczął gadać do rzeczy. Tego się przynajmniej spodziewała.

Podeszła jeszcze bliżej lustra, podeszła tak blisko, że zaparowała je oddechem. Pewnie zechce obejrzeć najdrobniejsze szczegóły. Zawsze tego chcieli. Zaczęła rozpinać bluzkę. Robiła to powoli, jak na scenie. Kiedy ją rozsunała, odpędziła od siebie wszelkie myśli, kryjąc się w bezpiecznych zakamarkach umysłu, gdzie mężczyźni nie istnieli. Kręciła biodrami w rytm wyimaginowanej muzyki. Bluzka zsunęła się z ramion na podłogę, odsłaniając nagie piersi. Molly poczuła, jak w chłodnym powietrzu twardnieją jej sutki. Zamknęła oczy. Wiedziała, że tak będzie lepiej. Szybciej, pomyślała. Przeleć faceta i zmiataj stąd.

Zdjęła spódnicę i ściągnęła majteczki. Ani na chwilę nie otworzyła oczu. Miała niezłe ciało, przynajmniej tak mówił Romy. Mówił, że jeśli odpowiednio je wykorzystasz, nikt nie zwróci uwagi na jej nijaką twarz. I właśnie teraz je wykorzystywała, kołysząc się w rytm muzyki, której nikt inny nie słyszał.

– Wystarczy – powiedział mężczyzna. – Możesz przestać tańczyć.

Otworzyła oczy, oszołomiona spojrzała w lustro i zobaczyła swoje odbicie. Strąkowate brązowe włosy. Piersi małe, ale sterczące. Biodra wąskie, chłopiące. Kiedy tańczyła z zamkniętymi oczyma, była aktorką, grała rolę. Teraz widziała swoje prawdziwe odbicie. Swoje prawdziwe „ja”. Nie mogła się powstrzymać i zasłoniła rękami piersi.

– Podejdź do stołu.

– Co?

– Połóż się na stole.

– Dobra. Skoro to pana bierze...

– Tak, to mnie bierze.

Są gusta i guściki. Weszła na stół pokryty zimnym winylem, położyła się i czekała, aż coś się zacznie dziać. Otworzyły się drzwi, usłyszała czyjeś kroki. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, gdy stanął przy stole, omal

nie krzyknęła z przestachu. Facet był ubrany na zielono. Widziała tylko jego oczy, zimne, stalowo-błękitne oczy. Patrzyły na nią znad maski chirurgicznej.

Zatrwożona, błyskawicznie usiadła.

– Połóż się – rozkazał.

– Co pan, do diabła, chce zrobić?

– Powiedziałem, połóż się.

– Człowieku, ja stąd spadam...

Chwycił ją za ramię. Dopiero wtedy zauważyła, że jest w rękawiczkach.

– Posłuchaj, nie zrobię ci nic złego. – Powiedział to łagodniej. Uprzejmie. – Nie rozumiesz? To jest właśnie moja fantazja.

– Zabawa... w lekarza?

– Tak.

– A ja mam być pacjentką?

– Tak. Czy to cię przeraża?

Myślała chwilę, wspominając fantazje niektórych klientów. W porównaniu z nimi ta była dość niewinna.

– No dobra. – Położyła się z westchnieniem.

Wysunął spod stołu dwa strzemiona.

– Chyba wiesz, co zrobić z nogami.

– Muszę?

– Jestem lekarzem, zapomniałaś?

Patrzyła na jego twarz, zastanawiając się, co ukrywa pod prostokątną maską. Pewnie nic. Pewnie ma gębę zwyczajnego faceta. Oni wszyscy są tacy zwyczajni, tacy przeciętni. To ich fantazje ją odrzucały. I przerażały.

Niechętnie podniosła nogi i umieściła stopy w strzemionach.

Mężczyzna zwolnił jakąś dźwignię i dolna część stołu opadła na zawiasach. Molly leżała teraz z szeroko rozrzuconymi nogami, z pośladkami na samym brzegu stołu. Pokazywała się nago mężczyźnie nie pierwszy raz, ale w tej pozycji było coś straszliwie bezbronnego. To jaskrawe światło skupione między jej nogami. Całkowita jej nagość na zimnym stole. I ten zboczeniec, którego wzrok koncentrował się z kliniczną obojętnością na najintymniejszych szczegółach jej anatomii. Owinął jej kostkę szerokim pasem z rzepami.

– Chwila – rzuciła. – Nie lubię, jak mnie wiążą.

– Ale ja lubię – mruknął, zapinając drugi pas. – Lubię wiązać moje dziewczyny.

Drgnęła, kiedy wsunął w nią palce. Nachylił się, skupiony zmrużył

oczy, macał coraz głębiej i głębiej. Zaciśnęła powieki, próbowała nie myśleć, co dzieje się między jej nogami, lecz wrażenie było tak intensywne, że nie potrafiła go zignorować. Jakby wgrzyzał się w nią szczur. Mężczyzna jedną ręką przyciskał jej podbrzusze, palcami drugiej gmerał w pochwie. Nie wiedzieć czemu, akt ten wydał się jej czymś brutalniejszym niż zwykły sztos z klientem, dlatego jak najszybciej chciała mieć to za sobą. Bierze cię to, palancie? Już ci stanął? No to kiedy wreszcie zaczniesz?

Zabrał rękę. Molly aż zadrżała z ulgi. Otworzyła oczy i stwierdziła, że mężczyzna wcale na nią nie patrzy. Patrzył na coś, czego ona nie mogła widzieć. Kiwnął głową.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

Na jej usta i nos opadła gumowa maska. Molly próbowała się wyszarpnąć, lecz ktoś przycisnął jej głowę do stołu. Oszalała z przerażenia, chwyciła za brzeg maski, ale natychmiast odciągnięto jej ręce i unieruchomiono pasami. Wciągnęła haust drażniącego gazu, poczuła, że pali ją w gardle. Płuca zaprotestowały spazmatycznym kaszlem. Szarpnęła się jeszcze raz, ze wszystkich sił, lecz maska pozostała na miejscu. Zabrakło jej tchu, musiała, po prostu musiała odetchnąć...

Powoli traciła czucie w rękach i nogach. Światło jakby przygasło. Biel ustąpiła miejsca szarości. Potem czerni. Słyszała, jak ktoś powiedział:

– Dobra, pobierz jej krew.

Lecz słowa te nic dla niej nie znaczyły. Nie znaczyły absolutnie nic.

– O rany, o rany! Aleś tu naświniła...

To był jego głos, domyśliła się tylko tego. Reszta nie miała żadnego sensu. Ani to, gdzie jest teraz, ani to, gdzie była przedtem.

Tylko dlaczego tak bardzo bolała ją głowa, dlaczego tak bardzo zaschło jej w gardle?

– No, Molly Dolly, otwórz oczy.

Jęknęła. Cichy jęk zawibrował jej w głowie niczym odgłos spiżowego dzwonu.

– Otwórz, kurwa, te ślipia, Molly. Zasmrodzisz cały pokój. Przetoczyła się na plecy. Przez powieki sączyło się czerwone światło. Z trudem je rozwarła, skupiła wzrok.

Romy patrzył na nią z wyrazem obrzydzenia w ciemnych oczach. Jego czarne, gładko zaczesane włosy lśniły od brylantyny, odbijając światło niczym hełm z brązu. I Sophie. Ona też tu była. Skrzyżowała ręce na

baloniastych piersiach, jej końską twarz wykrzywił szyderczy grymas. Molly zobaczyła, że stoją blisko siebie, ramię w ramię, i poczuła się jeszcze gorzej. Wyglądali jak para starych kochanków. A może byli kochankami? Sophie ciągle się przy nim kręciła, ciągle próbowała ją wygryźć. A teraz weszła do jej pokoju, naruszyła teren, którego naruszać nie miała prawa.

Rozwścieczona Molly spróbowała usiąść, ale zrobiło się jej ciemno przed oczami i bezwładnie opadła na łóżko.

– Chce mi się rzygać – wychrypiała. – Rzygałaś cały czas – mruknął Romy. – Idź się umyć, Sophie ci pomoże.

– Nie chcę, żeby mnie dotykała. Wyrzuć ją stąd.

– I tak bym wyszła z tej zafajdanej nory – prychnęła Sophie i wymaszerowała z pokoju.

Molly jęknęła.

– Chryste, nie pamiętam, co się stało.

– Nic się nie stało. Wróciłaś, poszłaś lulu i zarzygałaś całą poduszkę.

Z trudem usiadła. Nie pomógł jej, nawet jej nie dotknął. Aż tak bardzo cuchnęła? Już szedł do drzwi, już zostawiał ją samą, by mogła zmienić brudne prześcieradło i poszewkę.

– Romy.

– No?

– Jak tu wróciłam?

Parsknął śmiechem.

– Jezu, ostro się nawaliłaś, co? – I zamknął za sobą drzwi.

Długo siedziała na brzegu łóżka, próbując sobie przypomnieć wydarzenia ostatnich kilku godzin. Cały czas próbowała stłumić lżejsze już mdłości.

Miała klienta, pamiętała tylko tyle. Faceta ubranego na zielono. W pokoju z wielkim lustrem. I był tam jeszcze stół.

Ale nie pamiętała, żeby gość ją przeleciał. Może wymazała to z pamięci. Może doświadczyła czegoś tak obrzydliwego, że upchnęła to w podświadomości. Podobnie zrobiła z większością wydarzeń z dzieciństwa. Fragmenty wspomnień z okresu dorastania wracały do niej tylko od czasu do czasu i jedynie wówczas, gdy tego chciała. Wspominała tylko dobre chwile. Tak, miała kilka dobrych wspomnień z Beaufort i mogła je w każdym momencie przywołać. I w każdym momencie odpędzić.

Ale wydarzeń tego popołudnia nie pamiętała wcale.

Boże, jak ona cuchnęła. Spojrzała na swoją bluzkę. Była zabrudzona wymiocinami, krzywo zapięta, tu i tam wyglądała spod niej naga skóra.

Zaczęła się rozbierać. Zdjęła spódniczkę i bluzkę i cisnęła na podłogę. Z trudem weszła pod prysznic i odkręciła wodę.

Zimną wodę. Chciała, żeby woda była jak najzimniejsza.

Stojąc pod parskającym sitkiem, czuła, że zaczyna jaśniej myśleć. I wtedy przypomniała sobie coś jeszcze. Przypomniała sobie, jak pochylał się nad nią ubrany na zielono mężczyzna. Jak na nią patrzył. Przypomniała sobie pasy, którymi przywiązał jej do stołu ręce i nogi.

Spojrzała na nadgarstki, wokół których, niczym mankiety, widniały siniaki. Skrępował ją, nie takie to znów niezwykle. Faceci i ich zwariowane zabawy.

Jej wzrok spoczął na innym siniaku, na siniaku w zgięciu łokcia lewej ręki. Był tak słabo widoczny, że ledwie go zauważyła. Dokładnie pośrodku niebieskawej planiki – niczym dziesiątka na tarczy – widniał pojedynczy znak po nakłuciu igłą.

Próbowała sobie przypomnieć, skąd go ma, ale na próżno. Pamiętała tylko ubranego na zielono mężczyznę w chirurgicznej masce.

I stół.

Z jej ramion spływała zimna woda. Molly zadrżała i, spoglądając na nikłą plamkę w zgięciu łokcia, zastanawiała się, czego jeszcze może nie pamiętać.

Rozdział trzeci

– Pani doktor – zaskrzeczał ścienny interkom – jest pani potrzebna.

Toby Harper obudziła się gwałtownie, by stwierdzić, że przysnęła za biurkiem na stercie medycznych czasopism. Niechętnie dźwignęła głowę, mrużąc oczy od blasku lampy. Mosiężny zegar wskazywał czwartą czterdzieści dziewięć rano. Czyżby naprawdę spała prawie czterdzieści minut? Pamiętała tylko, że litery zaczęły się rozmywać, więc pomyślała sobie, że pozwoli wzrokowi chwilę odpocząć. Bynajmniej nie zamierzała spać, chciała tylko oderwać się na moment od nudnego tekstu i dojmująco drobnego druku. Czasopismo wciąż było otwarte na artykule, który usiłowała zgłębić; na pomarszczonej kartce widniał odcisk jej policzka. „Losowo kontrolowane studium porównawcze efektywności lamiwudyny i zydowudyny w leczeniu pacjentów z HIV o liczbie komórek typu CD4 + mniejszej niż 500 na centymetr sześcienny”. Zamknęła czasopismo. O Boże, nic dziwnego, że zasnęła.

Usłyszała pukanie do drzwi i do pokoju wsunęła głowę Maudeen. Eksmajor armii amerykańskiej Maudeen Collins ryczała jak megafon, czego trudno by się spodziewać po myszce wzrostu metr pięćdziesiąt pięć.

– Toby? Obudziłam cię, prawda?

– Chyba się zdrzemnęłam. Co tam mamy?

– Obolały paluszek.

– O tej porze?

– Pacjentowi zabrakło kolchicyny. Twierdzi, że odezwała mu się podagra.

Toby jęknęła.

– Chryste! Czy ci idioci nigdy nie potrafią niczego przewidzieć?

– Traktują nas jak całodobową aptekę. Siedzimy jeszcze nad jego papierami, możesz się nie spieszyć.

– Zaraz tam będę.

Kiedy Maudeen zniknęła za drzwiami, Toby poświęciła chwilę na to, żeby się całkowicie obudzić. Nie chciała wyjść na kretynekę podczas rozmowy z pacjentem. Stała przy umywalce. Była na dyżurze od dziesięciu godzin i jak dotąd nie wydarzyło się nic godnego uwagi. To właśnie należało do jasnych stron pracy na cichych przedmieściach, takich jak Newton. W izbie przyjęć Springer Hospital bardzo często przez długi czas nie działo się absolutnie nic i wówczas, gdy tylko miała ochotę,

mogłaby wyciągnąć się na kozetce i uciąć sobie drzemkę. Wiedziała, że inni lekarze tak robią, zwykle jednak opierała się pokusie. Płacono jej za całonocne czuwanie i uważała, że podczas dyżuru nie wypada spać, że to sprzeczne z etyką zawodową.

No i masz tę swoją etykę – pomyślała, spoglądając w lustro. Przysnęła w czasie pracy, to oczywiste, wystarczyło spojrzeć na jej twarz. Oczy miała podpuchnięte. Policzek brudny, bo odcisnął się na nim fragment artykułu z czasopisma, na którym zasnęła. Fryzura – zapłaciła za nią majątek – wyglądała tak, jakby przetrzepano ją trzepaczką do ubijania piany: krótkie blond włosy sterczały na wszystkie strony niczym ostre szpikulce. Oto prawdziwe oblicze nienagannej, zadbanej doktor Harper: do elegancji było jej teraz daleko.

Zdegustowana odkręciła kran i wyszorowała policzek. Potem spryskała wodą włosy i przeczesła je palcami. Kosztowną fryzurę szlag trafił. Ale przynajmniej nie wyglądała już jak przestraszona kolczatka. Na podpuchnięte oczy i zmęczoną twarz nie mogła jednak nic poradzić. Miała trzydzieści osiem lat i po nocnym dyżurze dochodziła do siebie znacznie dłużej niż dwudziestopięcioletnia absolwentka medycyny.

Wyszła z pokoju i ociężale powędrowała do izby przyjęć.

Nie było tam nikogo. Ani przy biurku w recepcji, ani w poczekalni.

– Jest tu kto?! – zawołała.

– Pani doktor? – odpowiedział głos z interkomu.

– Gdzieście się podziali?

– Jesteśmy w pokoju dla personelu. Może tu pani przyjść?

– Przecież miałam obejrzeć jakiegoś pacjenta.

– Mamy pewien problem. Jest pani potrzebna, i to natychmiast.

Problem? Nie lubiła tego słowa. Serce od razu zabiło jej szybciej. Ruszyła spiesznie do drzwi, pchnęła je i...

Błysnął flesz. Zamarła w progu, a chór głosów zaśpiewał:

– *Happy birthday to you! Happy birthday to you...*

Zerknęła w górę na czerwone i zielone serpentyny pod sufitem, spojrzała na tort jarzący się dziesiątkami urodzinowych świeczek. Kiedy pieśń przebrzmiała, Toby zasłoniła rękami twarz i głośno jęknęła.

– Nie do wiary. Zupełnie o tym zapomniałam...

– Ale my nie – odrzekła Maudeen, pstrykając kolejne zdjęcie. – Nie ma to jak siedemnaście lat, co?

– Och, dużo bym za to dała. Co za dowcipniś wetknął w tort sto świeczek?

Morty, technik laboratoryjny, podniósł do góry pulchną rękę.

– To nie moja wina. Nikt mi nie powiedział, kiedy przestać.

– Widzisz, Morty chciał sprawdzić skuteczność czujników systemu przeciwpożarowego...

– Właściwie to chcieliśmy zrobić ci spirometrię – wtrąciła Val, pielęgniarka z izby przyjęć. – Musisz zdmuchnąć wszystkie świece za jednym razem.

– A jak nie dam rady?

– Będziemy musieli intubować!

– No, Toby! Pomyśl sobie jakieś życzenie – ponagliła Maudeen. – Niechaj będzie ciemnowłosa i przystojny.

– W moim wieku zgodziłabym się na niskiego, grubego i bogatego.

– Hej! – wykrzyknął Ario, szpitalny ochroniarz. – To ja! Spełniam dwa z trzech warunków.

– Ale masz żonę, baranie – odpaliła Maudeen.

– Dalej, Toby! Pomyśl sobie jakieś życzenie!

– Właśnie, życzenie!

Toby usiadła przed tortem. Maudeen, Val, Morty i Ario stanęli wokół niej, chichocząc i przepychając się jak niesforne dzieciaki. Byli jej drugą rodziną, rodziną, z którą łączyły ją nie więzy krwi, lecz lata wspólnych przeżyć. Maudeen, Val i pani doktor – stała obsada nocnych dyżurów w izbie przyjęć. Ario nazwał je kiedyś Damską Brygadą. Biada mężczyźnie, który zgłosiłby się do nich z dolegliwościami urologicznymi.

Życzenie – pomyślała Toby. Czego mam sobie życzyć? A raczej od czego zacząć? Nabrała powietrza i dmuchnęła. Wszystkie świece zgasły przy gromkim aplauzie przyjaciół.

– I o to chodzi! – zakrzyknęła Val, wyciągając świece z tortu. Nagle spojrzała w okno. Koledzy poszli za jej wzrokiem.

Na parking zajechał policyjny radiowóz z migającymi światłami na dachu.

– Mamy klienta – mruknęła Maudeen.

– Trudno – westchnęła Val. – Panie do roboty, a panowie zechcą nam zostawić choć kawałek tortu.

Ario nachylił się do Morty'ego i szepnął:

– Dziewczyny są zawsze na diecie, więc...

Szły korytarzem, Toby na czele. W momencie gdy dotarły do recepcji, otworzyły się drzwi frontowe i wychynęła zza nich głowa młodego policjanta.

– Mamy tu jakiegoś staruszka, znaleźliśmy go w parku. Zechcą go panie obejrzeć?

Toby wyszła za policjantem na parking.

– Jest ranny?

– Nie, chyba nie. Ale całkiem zdezorientowany. W jego oddechu nie wyczułem alkoholu, może więc facet ma alzheimera. Albo cukrzycę.

Bomba – pomyślała Toby. Gliniarz, który uważa się za lekarza.

– Jest przytomny?

– Tak. Tu, z tyłu. – Policjant otworzył drzwi radiowozu. Mężczyzna był zupełnie nagi. Zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu, rytmicznie kiwał łysą głową. Mruczał coś do siebie, ale nic nie można było zrozumieć. Chodziło mu chyba o to, że musi iść spać.

– Siedział na ławce – powiedział drugi policjant; wyglądał jeszcze młodziej niż ten, który sprowadził Toby. – Miał na sobie gatki, ale zdjął je w samochodzie. Resztę ubrania znaleźliśmy w parku. Teraz to wszystko leży na przednim siedzeniu.

– Dobra. Trzeba go przewieźć do izby. – Toby dała znak, Val czekała już z fotelem.

– Chodźmy, dziadku – rzekł policjant. – Te miłe panie dobrze się panem zaopiekują.

Starzec objął się rękami jeszcze mocniej i zaczął się kołysać na kościstych pośladkach.

– Nie mogę znaleźć piżamy...

– Damy panu piżamę – zapewniła go Toby. – Proszę z nami, przewieziemy pana.

Mężczyzna powoli odwrócił głowę i z trudem skupił na niej wzrok.

– Ale ja pani nie znam.

– Nazywam się Toby Harper, jestem lekarką. Pomogę panu wysiąść z samochodu, dobrze? – Wyciągnęła do niego rękę.

Przyglądał się jej, jakby pierwszy raz w życiu widział ludzką dłoń. Toby objęła go w pasie i pomogła mu wysiąść, mając wrażenie, że dźwiga pęk suchego chrustu. Gdy stanął na ziemi, ugięły się pod nim kolana, ale w tej samej chwili Val błyskawicznie podstawiała mu fotel. Przypięły go pasami, umieściły bosc stopy na podnóżkach i Val powiozła pacjenta w stronę drzwi. Toby i policjant o dziecinnej twarzy szli kilka kroków za nimi.

– Mówił coś? – spytała Toby.

– Nic. W każdym razie nic konkretnego. Ale krzywdy chyba sobie nie zrobił.

– Ma jakieś dokumenty?

– W kieszeni spodni znaleźliśmy portfel.

– Trzeba skontaktować się z jego rodziną i spytać ich, czy na coś choruje.

– Przyniosę jego rzeczy.

Toby otworzyła drzwi.

Pacjent leżał już na wózku, a Maudeen i Val przywiązywały mu ręce do bocznych poręczy. Staruszek wciąż bełkotał, wciąż narzekał na brak pizamy i niezbornie próbował usiąść. Jeśli nie liczyć prześcieradła, dyskretnie okrywającego podbrzusze, był zupełnie nagi. Na piersi i ramionach miał gęsią skórę.

– Mówi, że ma na imię Harry – powiedziała Maudeen, zakładając mu na rękę opaskę ciśnieniomierza. – Nie ma obrączki. Brak wyraźnych stłuczeń i siniaków. Cuchnie, przydałaby mu się kąpiel.

– Harry – spytała Toby – czy odczuwa pan jakiś ból? Czy coś pana boli?

– Zgaście światło, chcę spać.

– Harry...

– Nie zasnę przy tym przeklętym świetle.

– Ciśnienie sto pięćdziesiąt na osiemdziesiąt – zameldowała Maudeen.

– Tętno sto, regularne. – Sięgnęła po elektroniczny termometr. – No, słodziutki, włóż to do buzi.

– Nie jestem głodny.

– Tego się nie je, to termometr.

Toby obserwowała go chwilę. Swobodnie poruszał wszystkimi kończynami, mięśnie miał żylaste, mocno zarysowane, i chociaż był dość chudy, sprawiał wrażenie dobrze odżywionego. Zastanawiało ją tylko, że jest taki zaniedbany. Na twarzy szary, szczeciniasty zarost, jakby nie golił się co najmniej od tygodnia, paznokcie miał długie i brudne. No i cuchnął. Maudeen miała rację: przydałaby mu się solidna kąpiel.

Zapisał termometr. Maudeen spojrzała na odczyt i zmarszczyła czoło.

– Trzydzieści siedem i dziewięć. Dobrze się czujesz, złotko?

– Gdzie moja pizama?

– Rany boskie, ale się zafiksował.

Toby zaświeciła mu latarką w usta. Błysnęły złote koronki: było ich pięć. Stan uzębienia mówi wiele o stopie życiowej człowieka. Plomby i złote koronki to znak, że ktoś pochodzi z klasy co najmniej średniej. Zepsute zęby, schorowane dziąsła to symbol pustego konta bankowego. Albo śmiertelnego strachu przed dentystą. W jego oddechu nie wyczuła woni alkoholu ani też zapachu jabłek, wskazującego na kwasicę ketonową.

Badanie zaczęła od głowy. Dokładnie sprawdziła czaszkę nie stwierdzając żadnych oczywistych guzów ani pęknięć. Następnie zbadała odruch źreniczny na światło. Był poprawny. Tak samo jak odruchy mięśni ocznych i odruch gardłowy. Wyglądało na to, że nerwy czaszkowe ma nieuszkodzone.

– Idźcie sobie, chcę spać – powiedział.

– Harry, czy doznał pan jakiegoś urazu?

– Nie mogę znaleźć tej cholernej pizamy. Zabraliście mi pizamę?

Toby spojrzała na Maudeen.

– Dobra, pobierz mu krew. Elektrolity, białko, azot, kreatynina. Parę próbek na biochemię i na toksyny. Trzeba jakoś założyć mu cewnik, żeby złapać mocz.

– Już się robi. – Maudeen sięgnęła po opaskę uciskową i strzykawkę. Val przytrzymała Harry’emu ramię; prawie nie zareagował na ukłucie.

– Już po wszystkim, złotko – powiedziała Maudeen, uciskając wacikiem miejsce po igle. – Jest pan bardzo grzecznym pacjentem.

– Wie pani, gdzie jest moja pizama?

– Zaraz przyniosę ci świeżutką, skarbie. – Maudeen zebrała próbki.

– Trzeba je oznakować, chyba napisze „N.N.”

– Nazywa się Slotkin – odezwał się jeden z policjantów Stał w drzwiach ze spodniami Harry’ego w ręku. – Zajrzałem do jego portfela. Ma siedemdziesiąt sześć lat i mieszka przy Titwillow Lane sto dziewiętnaście. To niedaleko stąd, w Brant Hill, w tym nowym osiedlu.

– Ma jakichś krewnych?

– Jest tu napisane, żeby w razie nagłego wypadku dzwonić do niejakiego Daniela Slotkina. To bostoński numer.

– Już dzwonię – powiedziała Val i wyszła, zaciągając kotarę.

Sam na sam z pacjentem, Toby kontynuowała badanie. Osłuchiwała serce i płuca, obmacała brzuch, ostukała ścięgna. Poszturchiwała go, nakłuwiała, uciskała i nie wykryła niczego odbiegającego od normy. Może to rzeczywiście alzheimer – pomyślała, przyglądając się Slotkinowi. Symptomy choroby znała aż za dobrze: charakterystyczne zaniki pamięci, skłonność do nocnych wędrówek, powolny rozpad osobowości. Dla pacjentów z alzheimerem ciemność jest prawdziwym nieszczęściem, bo wraz z końcem dnia zanikają ich wizualne związki z rzeczywistością. Może Harry Slotkin cierpi na psychozę nocną, tak powszechną wśród ludzi dotkniętych chorobą Alzheimera.

Toby zaczęła wypełniać kartę choroby: „Parametry w normie. Źrenice równe, okrągłe, reagują prawidłowo na światło i nastawienie”.

– Toby! – zawołała Val. – Mam na linii jego syna.

– Już idę. – Toby rozsunęła kotarę, nie zdając sobie sprawy, że tuż za nią stoi wózek z instrumentami. Potrąciła tacę i zrzuciła nerkę, która z głośnym brzękiem spadła na podłogę.

Kiedy się po nią schyliła, dobiegł ją inny odgłos, dziwny rytmiczny stukot. Spojrzała przez ramię na Slotkina. Dygotała mu prawa noga. Ma drgawki?

– Panie Slotkin! Niech pan na mnie spojrzysz. Spójrz na mnie, Harry!

Starzec skupił wzrok na jej twarzy. Był wciąż przytomny, wciąż reagował na polecenia, ale choć poruszył ustami, nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Drgawki nagle ustąpiły, noga znieruchomiła.

– Harry?

– Jestem taki zmęczony...

– Co się stało, Harry? Próbował pan poruszyć nogą?

Slotkin zamknął oczy i westchnął.

– Zgaście światło.

Toby zmarszczyła brwi. Miał atak czy próbował tylko uwolnić nogę z więzów? Robił teraz wrażenie całkiem spokojnego, obie nogi leżały nieruchomo.

Toby podeszła do biurka pielęgniarek.

– Jest na trójce – szepnęła Val.

Toby podniosła słuchawkę.

– Pan Slotkin? Mówi doktor Harper ze Springer Hospital. Niedawno do izby przyjęć przywieziono pańskiego ojca. Nie stwierdziliśmy żadnych urazów, ale...

– Co mu jest?

Toby umilkła, zaskoczona ostrością jego reakcji. Czyżby w głosie Daniela Slotkina usłyszała nutę irracjonalnego strachu?

– Policja znalazła go w parku – odrzekła spokojnie. – Jest podenerwowany i zdezorientowany, mimo to nie mogę stwierdzić żadnych dolegliwości neurologicznych. Czy pański ojciec cierpi na chorobę Alzheimera albo na jakieś inne schorzenia?

– Nie. Nigdy w życiu na nic nie chorował.

– Demencji też nie ma?

– Ojciec myśli trzeźwiej niż ja.

– Kiedy widział go pan ostatni raz?

– Nie wiem... Chyba kilka miesięcy temu.

Toby trawiła tę informację w milczeniu. Daniel Slotkin mieszkał w

Bostonie, a do Bostonu było ledwie trzydzieści parę kilometrów. Powodem tak rzadkich kontaktów ojca z synem na pewno nie była odległość. Jakby czytając w jej myślach, Slotkin dodał:

– Ojciec prowadzi bardzo intensywny tryb życia. Golf. Codziennie poker w klubie. Niełatwo się nam zobaczyć.

– Czy kilka miesięcy temu był intelektualnie sprawny?

– Ujmijmy to tak: kiedy widzieliśmy się ostatni raz, zrobił mi wykład na temat najkorzystniejszych strategii inwestycyjnych. Z najdrobniejszymi szczegółami – od cen akcji poczynając, na cenach giełdowych soi kończąc. To było za trudne nawet dla mnie.

– Czy przyjmuje jakieś leki?

– Nic o tym nie wiem.

– Czy zna pan nazwisko jego lekarza?

– Ojciec mieszka w Brant Hill, chodzi tam do specjalisty w prywatnej klinice. O ile pamiętam, lekarz nazywa się Wallenberg. Powiedziała pani, że ojciec jest dezorientowany. Co to znaczy?

– Policja znalazła go na ławce w parku. Rozebrał się do naga.

Slotkin długo milczał.

– Chryste...

– Nie mogę wykryć żadnych obrażeń. Skoro twierdzi pan, że demencja nie wchodzi w rachubę, musimy mieć do czynienia z jakimś nagłym i ostrym przypadkiem. Może z niewielkim udarem. Albo z problemem metabolicznym.

– Z problemem metabolicznym?

– Na przykład z nieprawidłowym poziomem cukru we krwi. Albo z niskim poziomem sodu. Tego rodzaju zakłócenia mogą wywołać dezorientację.

Slotkin głęboko odetchnął, wyraźnie znużony, a może sfrustrowany. Była piąta rano. Wyrwanie ze snu o tej porze i taka wiadomość wyczerpałyby każdego.

– Dobrze by było, gdyby pan do nas przyjechał – powiedziała Toby. – Widok znajomej twarzy może go uspokoić.

Slotkin milczał.

– Halo? – rzuciła Toby. – Słyszysz mnie pan?

Znowu ciężko westchnął.

– Tak, przyjadę. Chyba będę musiał.

– A może przyśle pan kogoś z rodziny, kto...

– Ojciec nie ma nikogo innego. Zresztą pewnie się tego po mnie spodziewa. Żebym przyjechał i dopilnował, byście niczego nie zawalili.

Odłożywszy słuchawkę, Toby uznała, że w ostatnich słowach Daniela Slotkina zabrzmiała ukryta groźba, „... byście niczego nie zawalili”. Niby dlaczego mieliby coś zawalić?

Wystukała numer kliniki w Brant Hill i zostawiła wiadomość, że jeden z ich pacjentów trafił do izby przyjęć w stanie splątania i dezorientacji. Następnie wywołała przez pager dyżurnego rentgenologa.

Po chwili zadzwonił z domu.

– Tu Vince – mruknął zaspanym głosem. – To pani do mnie dzwoniła?

– Tak, Toby Harper z izby przyjęć. Musi pan przyjechać i zrobić pacjentowi tomografię głowy.

– Nazwisko pacjenta?

– Harry Slotkin, lat siedemdziesiąt sześć. Ma objawy splątania i dezorientacji.

– Dobra, będę za dziesięć minut.

Toby odłożyła słuchawkę i spojrzała na swoje notatki. Co przeoczyłam? Czego jeszcze mogłabym poszukać? Szybko przeanalizowała możliwe przyczyny nagłego ataku demencji. Udary. Guzy. Krwotoki domózgowe. Infekcje...

Ponownie zerknęła na wyniki badań. Temperatura ciała mierzona w ustach: trzydzieści siedem i dziewięć. Niby nie gorączka, a jednak... Trzeba mu zrobić punkcję lędźwiową, ale dopiero po badaniu tomograficznym. Jeśli problem kryje się w głowie, nakłucie lędźwiowe mogłoby doprowadzić do katastrofalnej zmiany ciśnienia wewnątrzczaszkowego.

Usłyszała zawodzenie syreny i poderwała wzrok.

– A to co znowu? – mruknęła Maudeen.

Toby zerwała się na równe nogi i kiedy pogotowie zajechało na podjazd, czekała już przed wejściem. Tylne drzwi samochodu otworzyły się z głośnym łomotem.

– Reanimacja w toku! – wrzasnął kierowca.

Wszyscy rzucili się do wyciągania noszy. Przed oczyma Toby mignęła blada twarz otyłej kobiety z rozdziawionymi ustami. Pacjentka była już zaintubowana.

– Po drodze straciła ciśnienie. Uznaliśmy, że lepiej będzie odwieźć ją do was niż do Hahnemann i...

– Co jej jest? – przerwała mu Toby.

– Znaleźliśmy ją na podłodze. Półtora miesiąca temu przeszła zawał. Mąż mówi, że jest na digoksynie...

Drzwi, korytarz, sala reanimacyjna. Kierowca ani na chwilę nie

przerwał uciskania klatki piersiowej, choć było mu niewygodnie i robił to niezręcznie. Val trzasnęła przełącznikiem. Zapłonęło oślepiające światło.

– Dobra, trzymacie ją? Jest duża, uważajcie na tę kroplówkę! Raz, dwa, trzy i razem! – krzyknęła Maudeen.

Cztery pary rąk jednym płynnym ruchem przeniosły pacjentkę na stół zabiegowy. Wszyscy wiedzieli, co robić, o niczym nie trzeba było nikomu przypominać. Mimo pozornego zamieszania w chaosie towarzyszącym reanimacji krył się ustalony porządek. Kierowca podjął masaż serca. Technik pomocy doraźnej obsługiwał ręczny respirator AMBU, pompując tlen.

Maudeen i Val kręciły się wokół stołu, rozplątując rurki kroplówek i podłączając do monitora kable EKG.

– Mamy rytm zatokowy – rzuciła Toby, zerkając na ekran. – Niech pan na chwilę przestanie.

Kierowca znieruchomiał.

– Tętno ledwie wyczuwalne – zameldowała Val.

– Podkręćcie kroplówkę. Ciśnienie?

Val spojrzała na skalę.

– Pięćdziesiąt na zero. Dopamina?

– Natychmiast. I masaż.

Kierowca skrzyżował dłonie na mostku kobiety i znowu zaczął uciskać jej klatkę piersiową. Maudeen podbiegła do wózka reanimacyjnego po ampułki i strzykawki.

Toby chwyciła stetoskop i osłuchiwała najpierw lewe, potem prawe płuco pacjentki. I w jednym, i w drugim słyszała wyraźne szmery oddechowe, czyli zaintubowano ją prawidłowo i płuca wypełniają się powietrzem.

– Przerwać masaż – poleciła, przytykając stetoskop do serca.

Biło ledwo słyszalnie.

Toby popatrzyła na ekran monitora. Rytm zatokowy był szybki i wyraźny, co oznaczało, że układ przewodzący serca, działał prawidłowo. W takim razie dlaczego pacjentka miała tak słabe tętno? Albo była w szoku po utracie krwi, albo...

Toby spojrzała na jej szyję i momentalnie odgadła, w czym rzecz. Kobieta była tak otyła, że nikt nie zwrócił uwagi, jak bardzo ma nabrzmiałe żyły szyjne.

– Powiedział pan, że półtora miesiąca temu miała zawał? – spytała.

– Ta... – stęknął kierowca, podejmując masaż serca. Tak twierdzi jej mąż.

– Brała coś oprócz digoksinu?

– Na stoliku nocnym stała buteleczka z aspiryną. Kobieta ma pewnie artretyzm.

To jest to – pomyślała Toby.

– Maudeen, podaj zestaw osierdziowy.

– Natychmiast.

– I rzuć mi rękawice i wacik z betadyną! – Chwyciła w powietrzu pakiet, rozerwała go i spojrzała na kierowcę.

– Przerwać masaż – rzuciła.

Cofnął się od stołu.

Toby szybkim ruchem przetarła skórę pacjentki wacikiem, nałożyła rękawiczki, sięgnęła po strzykawkę i po raz ostatni spojrzała na monitor. Rytm zatokowy był wciąż równy i wyraźny. Odetchnęła głęboko.

– No, dobra. Zobaczmy, czy to pomoże... – Wymacawszy wyrostek mieczykowaty, wbiła igłę i skierowała ją pod kątem w stronę serca. Czując, że jej własne serce wali jak młotem, zagłębiała ją powoli, jednocześnie wyciągając tłok, co wytwarzało lekkie podciśnienie.

Nagle do strzykawki trysnęła struga krwi.

Ręce Toby momentalnie znieruchomiały. Boże, oby tylko igła utkwiała w odpowiednim miejscu... Wyciągała tłok, stopniowo wsysając krew do strzykawki. Dwadzieścia centymetrów sześciennych. Trzydzieści. Trzydzieści pięć...

– Ciśnienie? – rzuciła i natychmiast dobiegło ją gwałtowne fuk-fuk gruszki wypełniającej powietrzem opaskę na ramieniu chorej.

– Tak! Jest ciśnienie! – odkrzyknęła Val. – Osiemdziesiąt na pięćdziesiąt!

– Chyba już wiemy, co jej jest – sapnęła Toby. – Potrzebny chirurg. Maudeen, dzwoni do Careya. Powiedz, że mamy tu tamponadę serca.

– Od tego zawału? – spytał kierowca.

– Od zawału i od dużej dawki aspiryny. Bardzo krwawi, pewnie ma dziurę w mięśniu sercowym. – Serce otoczone krwią w zamkniętym worku osierdzia nie mogło się rozszerzać, nie mogło skutecznie pompować.

Strzykawka była pełna. Toby wyjęła igłę.

– Ciśnienie podskoczyło do dziewięćdziesięciu pięciu – zameldowała Val.

Maudeen odwiesiła słuchawkę ściennego telefonu.

– Carey już jedzie, zespół również. Carey mówi, żeby nie dać jej umrzeć.

– Łatwo powiedzieć – mruknęła Toby, ujmując rękę chorej, żeby zbadać puls. Był wyczuwalny, lecz nitkowaty. – Krew wciąż się gromadzi.

Będziemy potrzebować nowej strzykawki i igły. Tymczasem zrobmy szybko morfologię, grupę, krzyżówkę i enzymy.

Maudeen wyjęła garść probówek.

– Czy zamówić osiem jednostek krwi?

– Co najmniej. Krew pełna, jeśli taką mają. I niech przyślą trochę świeżo zamrożonej plazmy.

– Ciśnienie spadło do osiemdziesięciu pięciu – meldowała Val.

– Cholera jasna. Musimy to zrobić jeszcze raz.

Toby rozerwała następny pakiet, wyjęła strzykawkę i odrzuciła na bok opakowanie. Na podłodze zaczynały się gromadzić papierowe i plastikowe śmieci, jak przy każdej reanimacji. Ile razy będę musiała to powtarzać? – zastanawiała się, wbijając igłę. Szybciej, Carey, rusz tyłek. Sama tej kobiety nie uratuję...

Nie było pewne, czy nawet Carey ją uratuje. Jeśli miała dziurę w ścianie komory serca, torakochirurg jej nie pomoże, musieliby ściągnąć do szpitala pełny zespół kardiochirurgiczny. Springer Hospital był niewielką, podmiejską placówką i choć bez kłopotów mogli tu wykonywać cesarskie cięcia czy usuwać pęcherzyki żółciowe, nie mieli sprzętu do przeprowadzenia naprawdę skomplikowanej operacji. Karetki pogotowia przewożące pacjentów z ciężkimi urazami zwykle ich omijały, zmierzając wprost do któregoś z większych ośrodków medycznych, takich jak Brigham czy Mass General.

Tego ranka jednak sanitariusze nieświadomie podrzucili jej pacjentkę wymagającą poważnej operacji, tymczasem Toby nie miała ani kwalifikacji, ani odpowiednio przygotowanego zespołu ludzi, by uratować kobiecie życie.

Strzykawka była już pełna. Kolejne pięćdziesiąt centymetrów sześciennych krwi, krwi, która nie krzepła.

– Ciśnienie znowu spada – rzuciła Val. – Osiemdziesiąt...

– Pani doktor, migotanie komór! – krzyknął jeden z sanitariuszy.

Toby rzuciła okiem na ekran. Fakt, pacjentka miała migotanie komór, jej serce kurczyło się szybko i bezładnie, nie mogło skutecznie pompować krwi.

– Defibrylator! – warknęła Toby. – Trzysta!

Maudeen trzasnęła przełącznikiem. Wskazówka skoczyła do góry i zatrzymała się na trzystu watosekundach.

Toby przytknęła elektrody do piersi chorej. Dzięki żelowi lepiej przylegały do skóry, lepiej przewodziły prąd. Umieściła je w odpowiednim miejscu, krzyknęła:

– Cofnąć się! – i wcisnęła przycisk.

Ładunek elektryczności wstrząsnął ciałem otyłej kobiety, powodując jednoczesny skurcz wszystkich mięśni. Toby zerknęła na monitor.

– Dobra, jest rytm zatokowy...

– Tętno niewyczuwalne – przerwała jej Val. – Nie ma tętna!

– Reanimujcie dalej! I dajcie mi jeszcze jedną strzykawkę!

Rozrywając opakowanie i nakładając igłę do nakłuć osierdziowych, wiedziała, że tę walkę przegrywają. Wiedziała, że odsysanie krwi niewiele pomoże, że będzie jej ciągle przybywać, że serce nie wytrzyma takiego ucisku. Nie daj jej umrzeć do przyjazdu chirurga – myślała. Powtarzała to niczym mantrę. Nie daj jej umrzeć. Nie daj jej umrzeć...

– Znowu migotanie! – meldowała Val.

– Trzysta dzuła. I bolus lidokainy...

Zadzwoił telefon. Odebrała Maudeen i za chwilę krzyknęła:

– Ario mówi, że są kłopoty z krzyżówką! Pacjentka ma „B” minus!

– Cholera jasna, co jeszcze pójdzie nie tak? – Przyłożyła elektrody do piersi chorej. – Cofnąć się!

Ciałem pacjentki znów szarpnął spazmatyczny skurcz. Rytm zatokowy wrócił.

– Jest tętno – rzuciła Val.

– Dajcie teraz lidokainę, szybko. Gdzie ta plazma?

– Ario jeszcze się nie wyrobił – odrzekła Maudeen.

Toby spojrzała na zegarek. Reanimowali chorą od dwudziestu minut, a zdawało się, że to trwa już kilka godzin. W sali panował hałas, dzwonił telefon, wszyscy mówili naraz i nagle zalała ją fala dezorientacji. Spotniały jej dłonie w rękawiczkach, guma lepiła się do skóry. Sytuacja wymykała się spod kontroli...

Kontrola i porządek. To było jej hasło. Kontrola i porządek w życiu osobistym, kontrola i porządek w izbie przyjęć. Ale ta reanimacja nie skutkowała i Toby nie była w stanie temu zaradzić. Nie miała przeszkolenia w otwieraniu klatki piersiowej ani zszywaniu pękniętej komory serca.

Spojrzała na pacjentkę. Skóra na jej twarzy była marmurkowa, obwisłe policzki niemal szkarłatne. Toby wiedziała, że komórki mózgu są niedożywione. Że umierają.

Zmęczonego masowaniem kierowcę zastąpił jego kolega. Pracę podjęła świeża para rąk.

Na ekranie ukazała się chaotyczna, postrzępiona linia. Migotanie komór. Śmiertelny rytm.

Zespół zastosował zwykłą w takich przypadkach taktykę. Wstrzykiwano coraz większe dawki leków znoszących arytmie, lidokainy i bretyliny, powtarzano defibrylację. Zdesperowana Toby odessała z osierdzia kolejne pięćdziesiąt centymetrów sześciennych krwi.

Linia wykresu na ekranie monitora spłaszczyła się i wyrównała.

Toby powiodła wzrokiem po twarzach współpracowników.

– No, tak. – Głęboko odetchnęła i z lodowatym spokojem dodała: – To już koniec. Która godzina?

– Szósta jedenaście – powiedziała Maudeen.

Utrzymywaliśmy ją przy życiu przez czterdzieści pięć minut – pomyślała Toby. Nic więcej nie mogliśmy zrobić. Nie pomógłby jej nikt.

Sanitariusz cofnął się od stołu. Pozostali też. To było niemal odruchowe, ten odwrót i te kilka sekund pełnego szacunku milczenia.

Gwałtownie otworzyły się drzwi i do sali reanimacyjnej wkroczył doktor Carey. Wejście miał jak zwykle dramatyczne.

– Gdzie ta tamponada? – warknął.

– Przed chwilą zeszła – odrzekła Toby.

– Co? Nie utrzymaliście jej?

– Próbowaliśmy. Nie daliśmy rady.

– Jak długo reanimowaliście?

– Niech mi pan wierzy, że wystarczająco długo. – Wyminęła go i wyszła.

Usiadła w recepcji przy biurku pielęgniarek, by zebrać myśli przed wypełnieniem karty zabiegowej. Z sali reanimacyjnej dochodził ją podniesiony głos narzekającego Careya. Wyciągnęli go z łóżka o wpół do szóstej, no i po cholere? Nocny odpoczynek szlag trafił, nie mogli przedtem pomyśleć? Nie wiedzieli, że czeka go cały dzień w sali operacyjnej?

Dlaczego chirurdzy to takie dupki? Toby wsparła brodę na dłoni. Boże, czy ta noc nigdy się nie skończy? Jeszcze dwie godziny, jeszcze tylko dwie godziny...

Zza mgły zmęczenia doszło ją fuknięcie otwieranych drzwi.

– Przepraszam, przyszedłem zobaczyć ojca.

Toby poderwała głowę. Przed biurkiem stał mężczyzna o pociągłej twarzy. Patrzył na nią bez uśmiechu, z gorzko wykrzywionymi ustami.

Wstała.

– Pan Slotkin?

– Tak.

– Toby Harper. – Wyciągnęła do niego rękę.

Uściskał ją automatycznie, bez odrobiny ciepła. Nawet skórę miał zimną. Choć co najmniej trzydzieści lat młodszy od ojca, był do niego uderzająco podobny. Miał niemal identyczną twarz, ostrą i wyrazistą, identyczne wąskie brwi. Ale oczy miał inne. Oczy Daniela Slotkina były małe, ciemne i nieszczęśliwe.

– Wciąż diagnozujemy pańskiego ojca – powiedziała. – Nie otrzymaliśmy jeszcze wyników badań laboratoryjnych.

Slotkin rozejrzał się i niecierpliwie mruknął.

– O ósmej muszę być w mieście. Mógłbym się z nim zobaczyć?

– Oczywiście. – Zaprowadziła go do gabinetu. Pchnęła drzwi i stwierdziła, że nie ma tam nikogo. – Musieli go przewieźć na rentgen. Sprawdź, czy już skończyli.

Slotkin wrócił za nią do recepcji. Stał obok i obserwował kiedy podnosiła słuchawkę. Toby poczuła się nieswojo. Odwróciła się i wystukała numer.

– Rentgen – odezwał się Vince.

– Mówi doktor Harper. Czy są już wyniki tomografii?

– Nie. Jeszcze nie przygotowałem sprzętu.

– Jest tu syn pacjenta. Odeślę go do was.

– Pacjenta tu nie ma.

– Jak to?

– Jeszcze go nie przywieźli, jest w izbie przyjęć.

– Przed chwilą sprawdzałam, nie ma go... – Toby urwała. Daniel Slotkin stał tuż obok, musiał usłyszeć zdumienie w jej głosie.

– Coś się stało? – spytał Vince.

– Nie, nie, nic. – Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Slotkina. – Przepraszam pana na chwilę. – Wróciła do gabinetu numer trzy i zajrzała do środka. Nikogo. Jednakże wózek wciąż tam stał, a na podłodze walało się zmięte prześcieradło, którym przykryły pacjenta.

Ktoś musiał przewieźć go do innej sali, do innej sali...

Przebiegła korytarz, weszła do gabinetu numer cztery, rozsunała kotarę.

Harry'ego Slotkina tam nie było.

Kiedy szła do gabinetu numer dwa, serce waliło jej jak młotem. Otworzyła drzwi. Ciemno. Pogaszone światła. Nikt nie zostawiłby pacjenta w ciemnym pokoju. Mimo to nacisnęła kontakt.

Stół. Na stole nikogo.

– Nie wiecie, gdzie położyliście mojego ojca? – warknął Slotkin, który chodził za nią krok w krok.

Ignorując jego pytanie, weszła do sali reanimacyjnej i zaciągnęła za

sobą kotarę.

– Gdzie Slotkin? – szepnęła.

– Ten staruszek? – odrzekła Maudeen. – Vince miał go zabrać.

– Vince mówi, że Slotkin do niego nie dotarł. Nie mogę go znaleźć.

Przyjechał jego syn.

– Zaglądałaś do trójki?

– Wszędzie zaglądałam!

Maudeen i Val wymieniły spojrzenia.

– Trzeba sprawdzić na korytarzach. – Wybiegły z sali.

Toby została, żeby stawić czoło sytuacji.

– No i gdzie on jest? – spytał Slotkin.

– Właśnie próbujemy go znaleźć.

– Przecież miał być w izbie przyjęć.

– Ktoś musiał coś poplątać...

– Jest tu czy nie?

– Panie Slotkin, zechce pan usiąść w poczekalni? Przyniosą panu filiżankę kawy...

– Nie chcę kawy. Mój ojciec miał ponoć jakiś atak, a wy nie możecie go znaleźć?

– Pielęgniarka sprawdza w rentgenie.

– Przecież pani już tam dzwoniła!

– Bardzo pana proszę, zechce pan przejść do poczekalni, a my sprawdzimy, co się właściwie... – Nie dokończyła. Wracaly pielęgniarki.

– Dzwoniłyśmy do Morty’ego – rzuciła Val. – Sprawdzają z Ario parking.

– Nie znalazłyście go?

– Daleko nie zaszedł...

Toby poczuła, że blednie. Daniel Slotkin. Bała się na niego spojrzeć. Bała się jego wzroku. Ale nie mogła zignorować jego gniewu.

– Co się tu dzieje? – warknął.

Pielęgniarki milczały. Obie patrzyły na Toby.

Wiedziały, że w izbie przyjęć dowodzi lekarz. Że to na jego barkach spoczywa całkowita odpowiedzialność za pacjenta. Że winić należy jego. Albo ją.

– Gdzie jest mój ojciec?

Toby odwróciła się powoli i spojrzała mu w oczy.

– Nie wiem – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

Było ciemno, bolały go stopy, ale wiedział, że musi wrócić do domu. Sęk w tym, że za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak tam trafić. Harry Slotkin nie pamiętał nawet, jak to się stało, że kuśtyka teraz tą opustoszałą ulicą. Chciał przystanąć przed którymś z domów po drodze i poprosić o pomoc, ale wszystkie okna były ciemne. Gdyby zapukał do drzwi, zapaliłyby się światła, padłyby pytania, co z pewnością naraziłoby go na poniżenie. A Harry był człowiekiem dumnym. Nie należał do tych, którzy błagają o pomoc. Sam też nikomu pomocy nie udzielał. Nikomu, nawet własnemu synowi. Zawsze uważał, że dobroczynność prowadzi do kalectwa, a on kaleki wychować nie chciał. Siła to niezależność. Niezależność to siła.

Na pewno trafi do domu sam.

Gdyby tylko znowu pojawiła się ta dobra wróżka...

Odwiedziła go w tamtej izbie tortur, gdzie przywiązali go do zimnego stołu, gdzie paliło się oślepiające światło, gdzie kłuli go igłami, szturchali, obmacywali, szczypali. I wtedy przyszła dobra wróżka. Ona mu nie dokuczała. Uśmiechnęła się tylko, rozwiązała mu ręce i nogi, a potem szepnęła:

– Uciekaj, Harry! Uciekaj, zanim po ciebie wrócą.

Teraz był wolny. Uciekł, no i bardzo dobrze!

Szedł ciemną ulicą, mijał uspięne domy, szukając znajomych miejsc. Szukając czegoś, co by mu powiedziało, gdzie jest.

Musiałem zablądzić – pomyślał. Tak, wyszedłem na spacer i zablądziłem.

Nagle poczuł ostry ból w stopie. Spojrzał w dół i zdumiony przystanął.

W świetle latarni zobaczył, że jest na bosaka. Że nie ma nawet skarpetek. Patrzył na swoje stopy. Na swoje gołe nogi. Na swój skurczony, żałośnie zwisający członek.

Jestem nagi!

Spanikowany rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt na niego nie patrzy. Ulica była pusta.

Zakrywając rękami genitalia, uciekł spod latarni i poszukał schronienia w ciemnościach. Kiedy zgubił ubranie? Nie pamiętał. Przykucnął na zimnym, wystrzyżonym trawniku przed jakimś domem i próbował zebrać myśli, lecz panika wypłoszyła wszystkie wspomnienia z ostatnich kilku godzin. Zaskamlał, zaskowyczał i zaszlochał cichutko, kołysząc się rytmicznie na bosych stopach.

Chcę do domu. Proszę, błagam, chcę się obudzić we własnym łóżku...

Objął się kurczowo, zrozpaczony do tego stopnia, że nie słyszał nawet

warkotu silnika ani nie widział świateł samochodu, który wyjechał z za rogu. Zdał sobie sprawę, że go zauważono, dopiero wtedy, gdy wóz przystanął przy krawężniku.

Harry jeszcze mocniej zacisnął ręce, zwinął się w kłębek.

Z ciemności nadpłynął łagodny głos:

– Harry?

Nie podniósł głowy. Bał się wyprostować, bał się pokazać, że jest ponizająco nagi. Skurczył się jeszcze bardziej, jeszcze ciaśniej zwinął się w kłębek.

– Harry, przyjechałam zabrać cię do domu.

Powoli dźwignął głowę. Twarzy kierowcy nie widział, lecz rozpoznał ten głos. A przynajmniej tak mu się zdawało.

– Wsiądź do furgonetki, Harry.

Zakołysał się na piętach, czując, że mokra trawa muska jego nagie pośladki.

– Ale ja nie mam na sobie ubrania! – zapiszczał.

– Ubranie masz w domu. W domu masz całą szafę ubrań, nie pamiętasz? – Rozległ się cichy stukot przesuwanego metalu.

Harry spojrział w tamtą stronę i zobaczył, że drzwi furgonetki są otwarte. Za nimi była ciemność. Obok samochodu dostrzegł sylwetkę mężczyzny, który zapraszająco wyciągał ku niemu rękę.

– Chodź, Harry – szepnął. – Jedziemy do domu.

Rozdział czwarty

Znaleźć nagiego człowieka – czy to aż takie trudne?

Toby siedziała w samochodzie i mrużąc oczy, patrzyła na szpitalny parking. Był już ranek i boleśnie jaskrawe światło dnia raziło jej nawykłe do mroku oczy. Słońce. Kiedy zdażyło wzejść? Nie widziała, jak wschodziło, nie miała ani chwili, żeby wyjrzeć na dwór, dlatego blask dnia był szokiem dla jej siatkówek. Oto skutki pracy na cmentarnej szychcie: przedzierzgnęła się w nocnego stwora.

Westchnęła i uruchomiła silnik mercedesa. Nareszcie do domu. Nareszcie mogła zostawić za sobą nocne koszmary.

Ale nawet teraz nie potrafiła otrząsnąć się z przygnębienia. W ciągu godziny straciła dwoje pacjentów. Nie miała wątpliwości, że śmierć kobiety była nieunikniona, że tej pacjentki uratować nie mogła.

Natomiast Harry Slotkin to zupełnie co innego. Prawie na godzinę zostawiła rozkojarzonego pacjenta bez żadnej opieki. Była ostatnią osobą, która go widziała, i choć próbowała ze wszystkich sił, za nic nie mogła sobie przypomnieć, czy przed wyjściem z gabinetu przywiązała mu ręce do wózka. Na pewno zapomniałam. Dlatego zdołał uciec. To moja wina. Harry Slotkin to moja wina.

Nawet gdyby nie ona zawiniła, niczego by to nie zmieniło, ponieważ Toby była szefem zespołu, osobą odpowiedzialną za wszystko i wszystkich w izbie przyjęć. Skutek? Gdzieś tam po przedmieściach krążył nieszczęsny starzec, zdezorientowany i nagi.

Zwolniła. Wiedziała, że policjanci już przeszukali tę okolicę, mimo to obserwowała chodniki z nadzieją, że gdzieś dostrzeże zbiegłego pacjenta. Newton jest stosunkowo bezpiecznym przedmieściem Bostonu, a przy ulicach, którymi jechała, mieszkali ludzie dość zamożni. Skręciła w wysadzaną drzewami aleję, spoglądając na dobrze utrzymane domy, starannie przystrzyżone żywopłoty i na podjazdy za żelaznymi bramami. Nie, w takiej okolicy nikt by staruszka nie napadł. A może ktoś przygarnął go na noc? Może w tej chwili Harry właśnie siedzi w jakiejś przytulnej kuchni i pałaszuje śniadanie?

Gdzie jesteś, Harry?

Krażyła po okolicy, próbując patrzeć jego oczyma. Byłoby tu ciemno, zmarzłoby bez ubrania, zdezorientowany, nie wiedziałby, dokąd idzie. Bo dokąd właściwie szedł?

Do domu. Próbowaliby wrócić do domu, do Brant Hill.

Dwa razy przystawała, by spytać o drogę, a kiedy wreszcie dotarła do Brant Hill Road, omal jej nie przegapiła. Nie było tam żadnych tablic, żadnych drogowskazów, była tylko olbrzymia żelazna brama między dwiema kamiennymi kolumnami. Toby przystanąła. We wzór na kutyh wrotach wpleciono dwie eleganckie litery, barokowe „B” i „H”. Wijąca się za kolumnami droga ginęła dalej między liściastymi drzewami. A więc tak wygląda najbliższe sąsiedztwo Harry’ego Slotkina...

Toby wcisnęła pedał gazu i wjechała na Brant Hill Road.

Chociaż nawierzchnię drogi wyłożono stosunkowo niedawno, rosnące po obu jej stronach klony i dęby były drzewami w pełni dojrzałymi. Na niektórych liściach pyszniły się płomienne barwy jesieni. Bo to już wrzesień – pomyślała. Boże, kiedy minęło lato? Jechała krętą drogą, spoglądając na drzewa, na gęste poszycie, na cieniste miejsca, gdzie mogłoby spoczywać ciało Harry’ego. Czy policja przeszukała te krzaki? Jeśli Slotkin szedł tędy po ciemku, mógł łatwo wśród nich zabłądzić. Postanowiła, że zadzwoni na posterunek i zasugeruje, by przeczesali okolicę.

Drzewa się nagle przerzedziły, ustępując miejsca widokowi tak rozległemu i nieoczekiwanemu, że Toby gwałtownie zahamowała. Na poboczu stała tablica z zielonożółtym napisem:

BRANT HILL WJAZD TYLKO DLA MIESZKAŃCÓW I GOŚCI

Za tablicą rozciągał się pejzaż jakby przeniesiony ze starego angielskiego malarstwa. Ujrzała rozległe połacie łagodnie falujących, wypielegnowanych trawników, zobaczyła ozdobny ogród z rzadkimi zwierzętami, kępy jesiennych brzoź i klonów. Nieco dalej, niczym klejnot pośród zieleni, błyszczał staw z dzikimi irysami. Między liliami wodnymi sunęły wolno dwa łabędzie. Za stawem ciągnęła się „wieś” – grupka eleganckich domów, każdy z własnym ogrodem, każdy ogród zaś otoczony płotem z palików. Wyglądało na to, że głównym środkiem transportu są tu wózki golfowe z zielonobiałymi markizami. Widać je było dosłownie wszędzie, na podjazdach i ścieżkach między domami. Toby wypatrzyła kilka na polu golfowym, gdzie przewoziły graczy od dołka do dołka.

Skupiła uwagę na stawie, rozważając, czy jest głęboki, czy można się w nim utopić. Zdezorientowany, rozkojarzony człowiek mógłby po ciemku

wejść wprost do wody.

Pojechała w kierunku osiedla. Pięćdziesiąt metrów dalej był skręt w prawo i kolejna tablica:

KLINIKA I DOM OPIEKI W BRANT HILL

Toby skręciła.

Wijąca się między świerkami droga całkiem nieoczekiwanie urywała się na parkingu. Za parkingiem stał wielki, dwupiętrowy gmach. Po jego prawej stronie rozpoczęto przygotowania do budowy nowego skrzydła. Przez siatkę widać było wykop pod fundamenty. Na skraju wykopu konferowała nad planami grupka mężczyzn w kaskach.

Toby wjechała na parking dla gości i weszła do kliniki.

Powitał ją delikatny szmer muzyki klasycznej. Toby przystanęła – wystrój wnętrza zrobił na niej nieliche wrażenie. Nie była to zwykła poczekalnia, o nie. Stały tam kanapy z kremowo-żółcistej skóry, na ścianach wisiały prawdziwe oleje. Spojrzała na wyłożone czasopisma. „Architectural Digest”. „Town and Country”. „Popular Mechanics”? Nie, nie na tym stoliku.

Zza okienka recepcji uśmiechała się do niej pielęgniarka w różowym fartuchu.

– Czym mogę służyć?

Toby podeszła bliżej.

– Nazywam się Harper, Toby Harper. Jestem lekarką ze Springer Hospital. Dziś w nocy badałam jednego z waszych pacjentów. Próbowałam skontaktować się z jego lekarzem, ale nie mogę go złapać.

– Nazwisko lekarza?

– Doktor Carl Wallenberg.

– Och, doktor Wallenberg jest na konferencji. W klinice będzie dopiero w poniedziałek.

– A czy mogłabym przejrzeć kartę choroby pacjenta? Wyzbyłabym się kilku wątpliwości.

– Przykro mi, ale nie mamy prawa udostępniać kart bez zgody pacjenta.

– Rzecz w tym, że pacjent nie może jej wyrazić. Czy mogłabym porozmawiać z którymś z waszych lekarzy?

– Pozwoli pani, że najpierw odszukam tę kartę, dobrze? Nazwisko chorego?

– Slotkin.

Pielęgniarka wysunęła szufladę i zaczęła przeglądać sztywne kartoniki.

– Harold czy Agnes Slotkin?

– Agnes Slotkin? – powtórzyła skonsternowana Toby. – To jego krewna?

Pielęgniarka zerknęła na kartę.

– Żona.

Dlaczego syn Harry’ego ani słowem nie wspomniał o jego żonie?

Poszperała w torebce i wyjęła długopis.

– Czy mogłaby mi pani zapisać jej numer telefonu? Bardzo chciałabym porozmawiać z nią o Harrym.

– W jej pokoju nie ma telefonu. Musi pani skorzystać z windy.

– Z windy?

– Pani Slotkin jest na górze, na oddziale fachowej opieki pielęgniarskiej. Pokój numer trzysta czterdzieści jeden.

Zapukała do drzwi.

– Pani Slotkin?

Odpowiedziała jej cisza. Toby weszła do środka. Radio grało cichutko muzykę klasyczną. Firanki z białego muślinu filtrowały promienie porannego słońca, tak że pokój olewała miękka, mglista poświata. Stojące na nocnym stoliku róże zaczynały tracić różowe płatki. Leżąc w łóżku kobieta nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie zwracała uwagi ani na kwiaty, ani na słońce, ani na gościa.

Toby podeszła bliżej.

– Agnes?

Kobieta ani drgnęła. Leżała na lewym boku, twarzą do drzwi. Oczy miała półotwarte, lecz niewidzące, jej ciało podtrzymywały poduszki upchnięte za plecami. Ręce skrzyżowała na piersi, niczym płód w ciele matki, dłonie mocno zacisnęła. Rurką tkwiącą w nosie spływał kremowobiały płyn z wiszącego nad łóżkiem pojemnika. Choć prześcieradła były czyste, w powietrzu unosił się odór, którego nie likwidował nawet aromat róż. Był to odór charakterystyczny dla udarówki, zapach talku, uryny i pieluch. Zapach ciała z wolna ulegającego degradacji.

Toby delikatnie wyprostowała jej ramię. Łokieć nie stawiał prawie żadnego oporu, nie doszło do przykurczu zgięciowego; to oznaczało, że pielęgniarki musiały poddawać pacjentkę regularnym ćwiczeniom biernym. Toby puściła jej rękę, zauważając, że jest dość pulchna. Mimo stanu śpiączki chora była dobrze odżywiona i nawodniona.

Toby spojrzała na jej obwisłą twarz, zastanawiając się, czy kobieta na nią patrzy. Czy w ogóle coś widzi, czy cokolwiek rozumie.

– Dzień dobry, pani Slotkin – wyszeptwała. – Mam na imię Toby.

– Agnes nie może odpowiedzieć – odezwał się ktoś od wejścia. – Ale myślę, że panią słyszy.

Wystraszona Toby odwróciła się na pięcie. Mężczyzna stał w drzwiach, właściwie całkiem je sobą wypełniał. Był wielki, olbrzymi, miał szeroką ciemnoskórą twarz, lśniący, trójkątny nos i dobre oczy. Tak, to dzięki oczom ma taką miłą twarz – pomyślała.

Murzyn uśmiechnął się i wyciągnął do Toby rękę. Ramię miał tak długie, że rękaw białego fartucha nie sięgał nadgarstka. Czy w ogóle szyją fartuchy dla takich olbrzymów?

– Robbie Brace – powiedział. – Leczę panią Slotkin. Jest pani jej krewną?

– Nie. – Toby poczuła, że dłoń Brace'a obejmuje jej rękę niczym ciepła, brązowa rękawica. – Jestem lekarką z izby przyjęć Springer Hospital. Toby Harper.

– Sprowadzają tu panią sprawy służbowe?

– Pośrednio. Miałam nadzieję, że pani Slotkin powie mi coś na temat choroby męża.

– Pan Slotkin zachorował? Co się stało?

– Trafił do nas w nocy w stanie splątania i dezorientacji. Byłam akurat zajęta, a nim skończyłam, Harry opuścił szpital. Nie możemy go odnaleźć i nie mam pojęcia, co mu jest. Wie pan może, na co się leczył?

– Zajmuję się wyłącznie stałymi pacjentami z domu opieki. Powinna się pani skontaktować z lekarzami z kliniki.

– Leczy go doktor Wallenberg. Ale doktor Wallenberg wyjechał, a bez jego upoważnienia klinika nie chce udostępnić mi karty choroby.

Robbie Brace wzruszył ramionami.

– Takie obowiązują tu przepisy.

– Czy zna pan Harry'ego? Czy on na coś choruje?

– Znam pana Slotkina tylko z widzenia. Spotykam go, kiedy odwiedza Agnes.

– A więc od czasu do czasu pan z nim rozmawia.

– Och, mówimy sobie dzień dobry, to wszystko. Pracuję tu dopiero od miesiąca i jeszcze nie wszystkie nazwiska kojarzę sobie z postaciami.

– Czy ma pan prawo udostępnić mi jego kartę choroby?

Brace pokręcił głową.

– Takie uprawnienia ma wyłącznie doktor Wallenberg, ale nawet on

zażąda pisemnej zgody pacjenta.

– Przecież może to mieć negatywny wpływ na zdrowie podopiecznego.
Brace zmarszczył czoło.

– Powiedziała pani, że Harry wyszedł ze szpitala, tak?

– No tak, ale...

– A więc na dobrą sprawę nie jest już pani pacjentem, prawda?

Toby milczała chwilę, nie mogąc temu zaprzeczyć. Fakt, Harry Slotkin opuścił izbę przyjęć Springer Hospital, rezygnując tym samym z jej opieki. Nie miała przekonującego powodu, by domagać się jego karty choroby.

Spojrzała na chorą kobietę.

– Pani Slotkin też mi chyba nic nie powie.

– Niestety, Agnes nie mówi.

– To wylew?

– Podpajęczynówkowy. Według karty Agnes przebywa tu od roku. Jest w stanie wegetatywnym, ale od czasu do czasu jakby na mnie patrzyła. Prawda, Agnes? Patrzysz na mnie, skarbie?

Kobieta ani drgnęła, nie poruszyła nawet powieką.

Brace stanął przy łóżku i zaczął ją badać; jego czarne dłonie zdumiewająco kontrastowały z bladą skórą Agnes. Ośluchał jej serce i płuca, sprawdził perystaltykę, zaśwycił latarką w oczy, po czym rozprostował pacjentce kończyny, by zbadać opór mięśni. W końcu obrócił ją ku sobie i obejrzał skórę na plecach i pośladkach. Nie miała śladu odleżyn. Ostrożnie ułożył ją znowu na poduszkach i okrył prześcieradłem.

– Bardzo dobrze, Agnes – mruknął i poklepał ją po ramieniu. – Miłego dnia.

Toby wyszła za nim z pokoju, czując się jak karlica przy wielkoludzie.

– Jak na kogoś, kto jest w takim stanie od roku, rzeczywiście wygląda bardzo dobrze.

Brace otworzył kartę choroby.

– Oczywiście. Zapewniamy tu superluksusową opiekę.

– Po superwysokiej cenie?

Spojrzał na nią znad karty z cieniem uśmiechu na ustach.

– Powiedzmy, że nie mamy tu pacjentów podlegających państwowemu programowi powszechnej opieki medycznej.

– Wszyscy płacą z własnej kieszeni?

– Stać ich na to, są bardzo zamożni.

– Przyjmujecie tylko emerytów?

– Nie, kilkoro z nich wciąż pracuje. Wykupili udziały w Brant Hill, by

zapewnić sobie spokojną przyszłość. Otrzymują mieszkanie, wyżywienie, opiekę medyczną, a w razie potrzeby również długoterminową opiekę pielęgniarstwa. Pewnie pani zauważyła, że się rozbudowujemy.

– Widziałam też piękne pole golfowe.

– Są tu ponadto korty tenisowe, kino i kryty basen. – Zamknął kartę i z szerokim uśmiechem dodał: – Chciałoby się przejść na wcześniejszą emeryturę, co?

– Nie sadzę, żebym mogła sobie pozwolić na Brant Hill.

– Zdradzę pani pewien sekret: ani jednego z nas też na to nie stać. – Spojrzał na zegarek. – Było mi bardzo miło, pani doktor. Proszę wybaczyć, ale mam mnóstwo pacjentów.

– W jaki sposób mogłabym dowiedzieć się czegoś więcej o Harrym?

– Doktor Wallenberg wraca w poniedziałek. Proszę z nim porozmawiać.

– Chciałabym wiedzieć już teraz, to naprawdę nie daje mi spokoju. Nie mógłby pan przejrzeć jego karty i zadzwonić do mnie, gdyby znalazł pan coś interesującego? – Szybko zapisała swój numer telefonu na służbowej wizytówce.

Przyjął kartonik raczej niechętnie.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Nie powiedział nic więcej, odwrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju, zostawiając ją na korytarzu.

Toby westchnęła. Zrobiła, co mogła, ale klinika Brant Hill odmawia współpracy. Dopadł ją głód i zmęczenie, czuła, że jej organizm wydaje stanowcze rozkazy: zjedz coś i do łóżka. Natychmiast. Powłócząc nogami, ruszyła do windy. W połowie drogi przystanąła i znieruchomiała.

Ktoś krzyczał.

Przeraźliwy wrzask dochodził z pokoju na końcu korytarza.

I nie był wywołany bólem, lecz strachem.

Pędząc w tamtą stronę, słyszała, że z tyłu otwierają się drzwi, słyszała zaniepokojone głosy, szybki tupot nóg. Dobiegła na miejsce jako pierwsza i pchnęła drzwi.

W pierwszym momencie zobaczyła tylko starszego mężczyznę na czworakach. Nagi od pasa w dół, wykonywał na łóżku coś w rodzaju samczego tańca godowego, potrząsając pomarszczonymi pośladkami.

Dopiero po chwili zauważyła, że przygniata sobą drobną kobietę, prawie niewidoczną w kłębowisku zmiętych prześcieradeł i pledów.

– Zabierzcie go stąd! – krzyczała. – Błagam, zabierzcie go stąd!

Toby chwyciła starca za ramię i próbowała odciągnąć, ale pchnął ją tak mocno, że runęła na podłogę. Wtedy do pokoju wpadła pielęgniarka.

– Panie Hackett, niech pan przestanie! Proszę natychmiast przestać! – Ona też usiłowała zwlec go z łóżka i też skończyła na podłodze.

Toby z trudem wstała.

– Niech go pani chwyci za jedno ramię, ja chwycę za drugie! – rzuciła, zachodząc starca od tyłu. Chwyciły go razem, teraz skutecznie, ale nawet gdy ściągały go z łóżka, poruszał pośladkami niczym groteskowy seksualny robot bez wyłącznika. Napastowana kobieta zwinęła się w kłębek i zaszlochała z twarzą wtuloną w pościel.

Nagle starzec wykonał gwałtowny skręt, uderzając Toby łokciem w szczękę. Zadzwoniły jej wszystkie zęby, czaszkę przeszył ostry ból, zrobiło się jej białe przed oczyma, tak że omal go nie puściła, ale z czystej wściekłości jeszcze mocniej zacisnęła chwyt. Staruch próbował uderzyć ją jeszcze raz. Szarpali się jak dzikie zwierzęta, czuła odór jego potu, czuła, że szalenciec napina wszystkie mięśnie, by stawić jej opór. Pielęgniarka poślizgnęła się, zatoczyła i puściła jego ramię, w tej samej chwili starzec sięgnął do tyłu, chwycił Toby za włosy i zaczął dźgać ją wzwiedzionym penisem w biodro. Zagotowało się w niej z odrazy i furii. Napięła mięśnie, żeby kopnąć go w krocze, lecz nagle...

Cel zniknął. Zadyndał w powietrzu, dźwignięty parą silnych, czarnych rąk. Robbie Brace postąpił kilka kroków do tyłu i warknął:

– Haldol! Pięć miligramów domięśniowo! Natychmiast!

Pielęgniarkę wymiotło z pokoju. Za chwilę wróciła ze strzykawką w ręku.

– Szybko! Nie mogę go tak trzymać w nieskończoność..

– Nie mogę trafić w pośladek!

– Szybciej! Szybciej!

– Ciągłe się szarpie!

– Chryste, silny jest. Czym go karmicie?

– Jest na kuracji, no i ma alzheimera. Nic z tego. Nie mogę się do niego dobrać!

Brace obrócił starca pośladkami w stronę pielęgniarki. Chwyciła fałd nagiej skóry i wbiła igłę. Chory wrzasnął, wygiął się do tyłu, porwał ze stolika szklankę z wodą i grzmotnął nią Brace'a w twarz.

Szklanka roztrzaskała się na skroni.

Toby rzuciła się na starca jak lwica i zanim zdążył uderzyć ponownie, chwyciła go za nadgarstek i wykręciła mu rękę. Na podłogę spadł kawałek szkła o poszarpanych brzegach.

Brace objął napastnika wpół, ścisnął go kleszczami ramion i krzyknął:

– Daj mu resztę haldolu!

Pielegniarka wbiła igłę w pośladek i wcisnęła tłok.

– Poszło! Boże, mam nadzieję, że poskutkuje lepiej niż mellaril.

– On jest na mellarilu?

– Na okrągło. Mówiłam doktorowi Wallenbergowi, że to na niego nie działa. Tych z alzheimerem trzeba pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę, inaczej... Panie doktorze, pan krwawi!

Toby poderwała wzrok i struchlała: Brace miał zakrwawiony policzek, krew ściekała na fartuch. Szkło rozorało mu skroń.

– Musimy powstrzymać krwawienie – powiedziała. – Trzeba będzie szyć.

– Najpierw klienta unieruchomimy, skutecznie i elegancko. Chodźmy, panie Hackett. Wracamy do pokoju.

Starzec próbował plunąć mu w twarz.

– Czarnuch! Puszczaj mnie, czarnuchu!

– O rany – westchnął Brace. – Próbujemy się przymilać.

– Nie cierpię czarnuchów.

– Tak samo jak wszyscy – odrzekł Brace głosem, w którym zamiast irytacji pobrzmiwała nutka zmęczenia. Na wpół wlokąc, na wpół pchając pacjenta, wyszedł z nim na korytarz. – No, dziadku, wygląda na to, że zasłużyłeś sobie na randkę z kaftanikiem bezpieczeństwa.

– Aj! Niech mnie pani nie przerobi na drugiego Frankensteina, dobra?

Toby powoli opróżniła strzykawkę i wyjęła igłę. Wstrzyknęła mu ksylokainę w obydwie brzożgi rany, a po chwili delikatnie ukłuła go w skroń.

– Czuje pan coś?

– Nie. Zdrętwiała.

– Nie wolałby pan pójść z tym do chirurga plastycznego?

– Pracuje pani w izbie przyjęć, robicie to na co dzień, prawda?

– No tak, ale jeśli zależy panu na dobrych rezultatach kosmetycznych...

– Niby dlaczego miałyby mi zależeć? Brzydszy już nie będę. Blizna doda mi urody.

– I charakteru. – Sięgnęła po imadło z igłą i szew. Znalazła je we wspaniale zaopatrzonej sali zabiegowej. Sprzęt był nowiuteńki i najnowocześniejszy, jak wszystko w Brant Hill. Oparcie i końcową część stołu, na którym leżał Brace, można było ustawiać pod dowolnym kątem; umożliwiało to przeprowadzenie każdego zabiegu – od szycia ran głowy poczynając, na usuwaniu hemoroidów kończąc. Światło też było

znakomite, a w kącie stał wózek reanimacyjny, supernowoczesny – jakżeby inaczej! – i gotowy do natychmiastowego użytku.

Toby ponownie przetarła skórę betadyną i przekłuła brzegi rany zakrzywioną igłą. Brace leżał na boku i ani drgnął.

Większość pacjentów zamknęłaby oczy, tymczasem on ani u tym myślał, po prostu patrzył w ścianę. Posturę miał doprawdy imponującą, niemal groźną, jednak oczy łagodziły to wrażenie.

Były jasnobrazowe, ocienione długimi jak u dziecka i gęstymi rzęsami.

Przeciagnęła nić przez skórę.

– Staruszek głęboko pana poharatał. Ma pan szczęście, że nie trafił w oko.

– Zdaje się, że celował w gardło.

– I cały czas jest na środkach uspokajających? – Pokręciła głową. – Lepiej podwójcie mu dawkę i trzymajcie go pod kluczem.

– Zwykle go zamykamy. Pacjenci z alzheimerem zajmują osobny oddział i są pod stałą obserwacją. Hackett musiał się stamtąd wyślizgnąć. Wie pani, jak to jest. Starcy nie potrafią zapanować nad chucią. Hamulce już siadły, ale ciało jeszcze by chciało.

Toby zdjęła igłę, zacisnęła ostatni szew i przemyła alkoholem zamkniętą ranę.

– Na jakiej kuracji? – spytała.

– He?

Pielęgniarka mówiła, że ten Hackett jest na kuracji.

– Ach to... Wallenberg prowadzi jakieś badania. Wstrzykuje starcom hormony.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby mogli czerpać ze źródła młodości. Mamy tu zamożną klientelę, większość z nich chciałaby żyć wiecznie. To eksperymentalna kuracja, wszyscy zgłaszają się na ochotnika. – Usiadł i potrząsnął głową, jakby broniąc się przed gwałtownym atakiem osłabienia.

Im są więksi, tym większy huk, gdy padają, pomyślała skowana Toby. I tym trudniej ich dźwignąć z podłogi.

– Niech pan się położy – powiedziała. – Za szybko pan wstał.

– Nic mi nie jest. Muszę wracać do pracy.

– Nie, niech pan tu trochę posiedzi. Upadnie pan i będę musiała zszywać z drugiej strony.

– Więcej blizn, więcej charakteru – mruknął.

– Charakter już pan ma, panie doktorze.

Uśmiechnął się, choć wzrok miał lekko szklisty. Przez chwilę

obserwowała go czujnie, gotowa podtrzymać, gdyby zemdłał, lecz Brace wytrwał w pozycji siedzącej.

– Niech pan mi opowie o tej kuracji Wallenberga. Jakie hormony im wstrzykuje?

– Robi mieszanekę. Hormon wzrostu. Testosteron. DHEA. Jeszcze kilka innych. Przeprowadził gruntowne badania.

– Wiem, że hormon wzrostu zwiększa masę mięśniową, zwłaszcza u ludzi starszych. Ale nie pamiętam, żebym czytała o eksperymentach z mieszanekami.

– Chyba jest w tym sens, prawda? W miarę upływu lat przysadka mózgowa stopniowo zanika. Nie wytwarza już tych świeżych, soczystych hormonów. W myśl teorii właśnie dlatego się starzejemy. Hormony nam wysiadają, ot i tyle.

– A Wallenberg zastępuje je nowymi.

– Wygląda na to, że coś w tym jest. Weźmy choćby Hacketta – ile w nim energii, jaka żywotność.

– Aż za dużo. Dlaczego podajecie hormony pacjentom z alzheimerem? Przecież nie może wyrazić na to zgody.

– Pewnie zgodził się parę lat temu, kiedy był jeszcze sprawny umysłowo.

– Tak długo to trwa?

– Wallenberg rozpoczął badania w dziewięćdziesiątym drugim. Może to pani sprawdzić w „Index Medicus”, jego nazwisko widnieje w co najmniej kilkunastu publikacjach. Znają je wszyscy geriatrzy. – Ostrożnie spuścił nogi, wstał i po chwili kiwnął głową. – W porządku. Kiedy zdjąć szwy?

– Za pięć dni.

– A kiedy dostanę rachunek?

– Nie będzie żadnego rachunku – odrzekła z uśmiechem. – Proszę tylko o przysługę.

– Wiedziałem, że coś się za tym kryje.

– Niech pan zajrzy do karty Harry’ego Slotkina. I zadzwoni do mnie, jeśli będzie tam coś, o czym powinnam wiedzieć. Coś, co mogłam przegapić.

– A mogła pani?

– Sama nie wiem. Ale nie znoszę niczego zawałać. Koszmarnie tego nie znoszę. Niewykluczone, że Harry jest wystarczająco przytomny, by trafić do Brant Hill. Może nawet zawitać do pokoju żony. Powinniście się go spodziewać.

- Dobra, uprzedzę pielęgniarki.
- Trudno go nie zauważyć. – Sięgnęła po torebkę. – Jest nagusieńki.

Zaparkowała obok hondy Bryana i wyłączyła silnik. Zamiast wysiąść z samochodu, siedziała za kierownicą i wsłuchując się w jęklive potrzaskiwania stygnącego metalu, cieszyła się chwilą spokoju, niezakłóconą wiecznymi żądaniami. Tyloma, tyloma żądaniami... Głęboko odetchnęła i oparła się o zagłówek. Było wpół do dziesiątej, spokojna godzina w dzielnicy zamieszkaanej przez ludzi czynnych zawodowo. Mężowie i żony wyszli już do pracy, dzieci odwieziono do szkoły lub przedszkola – opustoszałe domy czekały na przyjazd ekip sprzątających, które odkurzą je, wyczyszczą i znikną, pozostawiając za sobą ulotny cytrynowy zapach pasty do podłóg. Była to okolica bezpieczna i zadbana. Nie należała do najelegantszych części Newton, lecz zaspokajała potrzebę ładu, którego w życiu Toby brakowało. Po nieprzewidywalnych atrakcjach nocnego dyżuru w izbie przyjęć fascynujący był nawet starannie przystrzyżony trawnik.

Na drugim końcu ulicy zawył odkurzacz do uprzątnięcia liści. Chwila ciszy prysnęła niczym sen. Rozpoczęła się codzienna inwazja śmieciarek.

Toby niechętnie wysiadła z mercedesa i weszła na schody.

W progu czekał na nią Bryan, opiekun matki. Ręce skrzyżowane na piersi, z dezaprobatą zmrużone oczy – miał wzrost dżokeja, był szczupłym, schludnym mężczyzną w miniaturze, a jednak stanowił przeszkodę trudną do pokonania.

– Mama od samego rana wychodzi z siebie – powiedział. – Nie powinnaś jej tego robić.

– Jak to? Nie powiedziałeś jej, że wrócę później?

– To nic nie daje. Dobrze wiesz, że ona tego nie rozumie. Spodziewa się ciebie rano, a jeśli nie przyjeżdżasz, staje przy oknie i zaczyna kiwać się w tę i w tę, wyglądając z samochodu.

– Przepraszam, Bryan, nie mogłam przyjechać wcześniej. Wyminęła go, weszła do środka i postawiła torebkę na stoliku w holu. Kurtkę zdejmowała bardzo powoli. Nie złość się – myślała. Nie daj się ponieść nerwom, dobrze wiesz, że go potrzebujesz. I ty, i mama.

– Dwie godziny spóźnienia to dla mnie betka – mówił Bryan. – Płacisz mi za to. Dużo mi za to płacisz, za co bardzo ci dziękuję. Ale twoja mama, biedactwo, twoja mama tego nie rozumie.

– Mieliśmy kłopoty w pracy.

– Nie tknęła śniadania, jajecznicą wystygła.

Toby trzasnęła drzwiami szafy.

– No to zrobię jej drugą!

W holu zapadła cisza.

Toby stała tyłem do niego, z ręką na drzwiach szafy. Nie chciałam się na niego wściec – myślała. Jestem po prostu męczona. Bardzo zmęczona.

– No cóż... – W tych dwu słowach zawarł wszystko, całą urazę i rezygnację.

Spojrzała na niego. Znali się od dwóch lat, mimo to nigdy nie wyszli poza układ pracodawca-pracobiorca, nigdy nie przekroczyli granicy dzielącej ich od prawdziwej przyjaźni. Ani razu nie była u niego w domu, nie poznała Noela, przyjaciela, z którym mieszkał. W tym momencie jednak zdała sobie sprawę, że może polegać na Bryanie bardziej niż na kimkolwiek innym. Tylko dzięki niemu, jak dotąd, nie popadła w obłęd. Nie, nie mogła go teraz stracić.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie poradzę sobie z kolejnym impasem, miałam koszmarną noc.

– Co się stało?

– Straciliśmy dwóch pacjentów. W ciągu godziny. Czuję się paskudnie. Nie chciałam się na tobie wyżywać.

Lekko kiwnął głową na znak, że powściągliwie przyjmuje przeprosiny.

– A jak minął twój dyżur? – spytała.

– Przespała całą noc. Przed chwilą wyprowadziłem ją do ogrodu. To ją uspokaja.

– Mam nadzieję, że nie wyrwała całej sałaty.

– Niechętnie to robię, ale ktoś musi ci o tym powiedzieć: twoja sałata poszła w nasienie miesiąc temu.

Niech będzie, jako ogrodniczka też jestem do niczego – myślała, przechodząc przez kuchnię. Co roku zakładała nową grządkę warzywną – z wielkimi nadziejami siała rzędy sałaty, cukinii i zielonego groszku – co roku skutecznie warzywa pielęgnowała i doprowadzała do fazy kiełkowania. A potem zaczynało się coś dziać, brakowało czasu, życie brało górę i zapominała o ogrodzie. Sałata przerastała, zachwaszczony groszek żółkł i drewniał. Zniechęcona, wyrwała wszystko jak leci, ale z mocnym postanowieniem, że za rok sprawi się lepiej. W głębi duszy wiedziała jednak, że przyszłoroczne cukinie będą tak samo jadalne jak kije do baseballu.

Wyszła na podwórze. W pierwszej chwili jej nie zauważyła. Letni ogród zamienił się w dżunglę wybujałych kwiatów i chwastów. Było w

nim coś z improwizacji, wielkiej i przyjemnej, jakby klomby i grządki usypano bez konkretnego planu, jakby rok po roku zieleń rosła tu spontanicznie lub według kaprysu ogrodnika, który rządził tutaj przed Toby. Kupiła ten dom przed ośmioma laty i natychmiast postanowiła wyrwać co niesforniejsze rośliny, by zaprowadzić w ogrodzie jakąś dyscyplinę. I właśnie Ellen jej to wyperswadowała, przekonała ją, że ogrodowy chaos trzeba cenić i pielęgnować.

Toby stanęła przy drzwiach i objęła wzrokiem gąszcz tak splątany, że ginęła pod nim wykładana kostką ścieżka. Między wysokimi łądygami coś się poruszało, mignął wśród nich fragment słomkowego kapelusza. To Ellen chodziła na kolanach po ziemi.

– Już jestem, mamó.

Rondo kapelusza powędrowało do góry i wychynęła spod niego okrągła, opalona twarz Ellen Harper. Dostrzegła córkę i pomachała jej na powitanie ręką, w której coś trzymała. Toby przebiła się przez splątane rośliny i zobaczyła, że matka ściska w garści pęk mleczków. Jednym z ironicznych paradoksów jej choroby było to, że chociaż tyle rzeczy zapomniała – nie umiała już gotować ani się kąpać – wciąż doskonale odróżniać kwiaty od chwastów. Nie wiedzieć dlaczego, Toby czuła, że tej umiejętności matka nigdy nie zatraci.

– Bryan mówi, że jeszcze nie jadłaś.

– Nie, chyba już jadłam. Nie jadłam?

– Zrobisz ci śniadanie. Chodź, zjesz ze mną?

– Ale mam tu jeszcze tyle do zrobienia... – Ellen westchnęła i popatrzyła na grzędy. – Ta praca nigdy się nie kończy. Spójrz tylko, widzisz? Widzisz te paskudztwa? – Pomachała jej przed nosem zwiędłymi mleczeniami.

– To mlecze.

– Mlecze. Rozrastają się w oczach. Jeśli ich nie wyrwiemy, wedrą się w te pąsowe kwiaty. Jak one się nazywają...

– Te pąsowe? Naprawdę nie wiem, mamó.

– Wszystko jedno. Za mało tu miejsca, trzeba to świństwo usunąć. To walka o przestrzeń życiową. Tyle tu pracy, a ja nigdy nie mam czasu.

Potoczyła wzrokiem wokół z policzkami zaróżowionymi od słońca. „Tyle tu pracy, a ja nigdy nie mam czasu” – to była jej mantra, powracający refren, który pozostał nietknięty, chociaż reszta pamięci kompletnie się rozpadła. Dlaczego zapamiętała akurat ten konkretny zwrot? Czyżby życie owdowiałej matki dwu córek było do tego stopnia naznaczone ciągłym brakiem czasu i sprawami, których nie zdążyła

załatwić?

Ellen opadła na kolana i znowu zaczęła ryć w ziemi. Czego tam szukała? Może tych przeklętych mleczów? Toby spojrzała w bezchmurne niebo. Dzień był ciepły, przyjemny. Nic się nie stanie, mogła zostawić ją samą. Furtka była zamknięta, mama szczęśliwa. Latem zawsze tak robiły. Zostawiała jej w kuchni kanapkę, szła do łóżka, wstawiała o czwartej i jadły razem kolację.

Dobiegł ją grzechot odjeżdżającego samochodu Bryana. Wróci o wpół do siódmej, żeby zostać z Ellen na noc, natomiast Toby znów pojedzie na nocny dyżur.

Tyle tu pracy, a ja nigdy nie mam czasu. Ona też zaczęła „mantrować”. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Poziom adrenaliny zdążył już opaść i Toby poczuła, że straszliwe zmęczenie przygniata ją niczym wielki głaz. Wiedziała, że powinna pójść prosto do łóżka, nie ruszyła się jednak z miejsca. Obserwowała matkę, myśląc, że w tym słomkowym kapeluszu wcale nie wygląda staro. Przypominała małą, okrągłolicą dziewczynkę, szczęśliwe dziecko zajęte robieniem babek z ogrodowej ziemi.

To ja teraz jestem matką – pomyślała Toby. I jak każda matka nagle uświadomiła sobie, jak szybko płynie czas, jak szybko przemijają chwile.

Uklękła koło Ellen.

Matka spojrzała na nią z cieniem zdumienia w niebieskich oczach.

– Potrzebujesz czegoś, kochanie? – spytała.

– Nie, mamusiu. Pomyślałam sobie, że pomogę ci pielnić.

– Aha – Ellen uśmiechnęła się i brudną ręką odgarnęła kosmyk włosów z policzka córki. – A czy na pewno wiesz, co trzeba wyrwać?

– Lepiej mi pokaż.

– Dobrze. – Łagodnie położyła jej rękę na kępie zielska. – Na początek wyrwij to.

I ramię w ramię, klęcząc na ziemi, matka z córką zaczęły wyrwać mlecze.

Rozdział piąty

Angus Parmenter podkreślił regulator prędkości i poczuł, jak pas bieżni drga mu pod stopami. Wydłużył krok, przyspieszył prawie do dziesięciu kilometrów na godzinę. Niemal od razu podskoczył mu puls; odczytał to z elektronicznego wskaźnika na uchwytych maszyny. Sto dwanaście. Sto szesnaście. Sto dwadzieścia. Dobrze. Serce musiało pracować intensywniej, musiało zwawiej pompować krew. Naprzód! Więcej tlenu! Wdech, wydech, wdech, wydech. Wyteż mięśnie!

Na ekranie stojącego przed nim telewizora – nazywali go „zaklinaczem nudy” – przesuwały się scenki z brukowanych uliczek greckiej wioski, ale on nie odrywał wzroku od cyfrowych wskaźników. Puls wzrósł do stu trzydziestu. Nareszcie, pierwszy punkt docelowy osiągnięty. Punkt drugi: utrzymać sto trzydzieści przez dwadzieścia minut, dać ciału solidny wycisk. Potem ochłonać, powoli zejść do stu, później do osiemdziesięciu. Wreszcie do sześćdziesięciu ośmiu, czyli do zwykłego pulsu spoczynkowego. Po bieżni przyjdzie czas na atlas. Trochę podźwiga, żeby wzmocnić mięśnie korpusu, potem weźmie prysznic, a jeszcze później zje lunch – wysokokaloryczny posiłek z niską zawartością tłuszczu i z dużą błonnikiem, który podadzą mu tutaj, w klubowej restauracji. W czasie posiłku przyjmie codzienną porcję pigulek: witamin E i C oraz cynku i selenu. Arsenał czarodziejskich leków na wieczną młodość.

Wyglądało na to, że wszystko gra. Angus Parmenter miał osiemdziesiąt dwa lata i nigdy w życiu nie czuł się lepiej. Cieszył się owocami swej pracy. Na fortunę, jaką zgromadził harował ciężiej niż te wymoczki, te pacany, które nigdy go nie prześcigną. Miał pieniądze i zamierzał żyć wystarczająco długo, by wydać wszystko, aż do ostatniego centa. Niechaj następne pokolenie samo zapracuje na swoją przyszłość. Teraz bawił się on, teraz był jego czas.

Po lunchu rozegra partyjkę golfa z Philem Dorrem i Jimem Bigelowem, swoimi kumplami i rywalami. Mógł również pojechać furgonetką do miasta. Wieczorem wybierali się do Wang Center, na *Koty*. Pewnie to sobie odpuści. Panie na pewno będą szalały, będą śpiewać te wszystkie piosneczki, ale on widział już *Koty* na Broadwayu i drugi raz oglądać ich nie zamierzał.

Dobiegł go furkot kół stacjonarnego roweru. Angus spojrzął w bok. Na rowerze zawzięcie pedałowal Jim Bigelow.

Angus kiwnął mu głową.

– Sie masz, Jim.

– Cześć.

Przez chwilę dyszeli obok siebie, zanadto skoncentrowani na ćwiczeniu, by cokolwiek mówić. Grecka wioska zniknęła i ekran telewizora pokazywał teraz błotnistą drogę w tropikalnej dżungli. Puls Angusa był równy i szybki, serce biło z częstotliwości stu trzydziestu uderzeń na minutę.

– Słyszałeś coś nowego? – rzucił Bigelow. – O Harrym? Nie.

– Widziałem, jak... policja przeszukuje... staw.

Bigelow sapał jak lokomotywa, trudno mu było pedałowac i jednocześnie mówić. Sam sobie winien – pomyślał Angus. Bigelow przepadał za deserami i bywał w siłowni tylko raz w tygodniu. Nie lubił ćwiczyć, nie lubił zdrowej żywności. Miał siedemdziesiąt sześć lat i wyglądał na swój wiek.

– Przy śniadaniu... słyszałem, że... jeszcze go... nie znaleźli – Bigelow pochylił się z twarzą czerwoną od wysiłku.

– Tak, wiem – odrzekł Angus.

– To dziwne. Zupełnie do niego niepodobne.

– Fakt.

– Ale już w czasie... weekendu... zachowywał się... dziwnie. Zauważyłeś?

– Co?

– Koszulę włożył na lewą... stronę. Do tego skarpetki nie od pary. Nie, to zupełnie do niego niepodobne – powtórzył.

Angus wbił wzrok w ekran telewizora. Rozstępowały się przed nim drzewa w dżungli. Po konarze pełznął boa dusiciel.

– A zauważyłeś... jego ręce? – wysapał Bigelow.

– Ręce?

– Trzęsły mu się. W zeszłym tygodniu.

Angus milczał. Zacisnął dłonie na poręczach bieżni i skupił się, by utrzymać równe tempo. Naprzód. Naprzód. Daj łydkom wycisk, niech będą sprężyste i młode.

– Cholernie dziwne – dodał Bigelow. – Cała ta historia. Nie myślisz chyba, że...

– Ja nic nie myślę, Jim. Miejmy nadzieję, że Harry się znajdzie.

– Taa... – Bigelow przestał pedałowac. Siedział, obejmując rękami kierownicę i gapiąc się w ekran telewizora, gdzie tropikalna ulewa siekła tropikalne paprocie. – Sek w tym – mruknął – że ja w to nie wierzę. Nie

wierzę, że wróci cały zdrow. Nie ma go już od dwóch dni.

Angus gwałtownie wyłączył bieżnię. Miał ochłonąć, ale do diabła z tym. Po cholere mu przerwa? Teraz zajmie się mięśniami tułowia. Zarzucił na ramię ręcznik i przeszedł na drugi koniec sali, gdzie stał atlas. Ku swemu rozdrażnieniu stwierdził, że Bigelow zsiada z roweru i idzie za nim.

Nie zwracając na niego uwagi, usiadł na ławeczce i zaczął od ćwiczeń mięśni grzbietu.

– Angus – rzucił Bigelow. – Ciebie to nie martwi?

– Nic na to nie poradzimy, Jim. Policja wciąż go szuka.

– Nie o to chodzi. Nie przypomina ci to... – Bigelow zniżył głos do szeptu. – Nie przypomina ci to sprawy Stana Mackiego?

Angus znieruchomiał z rękami na uchwytach wyciągu.

– Przecież to było kilka miesięcy temu.

– Tak, ale Mackie zachowywał się podobnie. Pamiętasz, jak chodził z rozpiętym rozporkiem? Poza tym zapomniał, jak ma na imię Phil. Czy można zapomnieć imię swojego najlepszego kumpla?

– O Philu można zapomnieć w każdej chwili.

– Nie do wiary. Jak możesz z tego żartować? Najpierw Stan. Teraz Harry. A jeśli... – Bigelow urwał i rozejrzał się ukradkiem, jakby się bał, że ktoś ich podsłucha. – A jeśli coś poszło nie tak? Jeśli wszyscy zachorujemy?

– Stan popełnił samobójstwo.

– To oni tak mówią. Rzecz w tym, że ludzie nie wyskakują oknem bez powodu.

– Aż tak dobrze go znałeś? Wiesz, że nie miał powodu?

Bigelow spuścił oczy.

– Nie...

– No widzisz. – Angus wrócił do ćwiczeń. Pociągnąć, opuścić. Pociągnąć, opuścić. Nie ma to jak młode mięśnie.

Bigelow westchnął.

– Ciągle się nad tym zastanawiam. Zawsze budziło to moje wątpliwości. Może to jakaś... Sam nie wiem. Kara boża? Może na nią zasłużyliśmy?

– Nie bądź takim zdewociałym katolikiem, Jim. Nic tylko czekasz na grom z jasnego nieba. Minęło już półtora roku i nigdy w życiu nie czułem się lepiej. – Wyprostował nogę. – Popatrz tylko na moje uda! Jak pięknie rozbudowały się mięśnie. A jeszcze dwa lata temu były sflaczałe jak u baby.

– Moje mięśnie się nie poprawiły – odburknął posepnie Bigelow.
– Bo nad nimi nie pracujesz. I za bardzo się wszystkim martwisz.
– Tak, chyba masz rację. – Bigelow znowu westchnął i owinał szyję ręcznikiem. Wyglądał jak żółw z głową wysuniętą spod skorupy. – Mecz aktualny?

– Phil go nie odwoływał.

– Fakt. No to do zobaczenia przy pierwszym dołku.

Angus patrzył, jak przyjaciel człapie w stronę drzwi. Bigelow wyglądał staro. Nic dziwnego, pedałował ledwie dziesięć minut i wcale nie ćwiczył na atlasie. Ludzie nie dbali o zdrowie.

Marnowali energię, zamartwiając się czymś, na co nie mieli żadnego wpływu. Mięśnie paliły go i bolały przyjemnym bólem po wysiłku. Puścił uchwyty, by chwilę odpocząć. Rozejrzał się po sali stwierdził, że prawie wszystkie maszyny i urządzenia są zajęte, głównie przez kobiety – przez babcie w dresach i tenisówkach. Kilka z nich zerkało w jego stronę, posyłając mu wymowne spojrzenia. Uważał, że w ich wieku jest to śmieszne. Były stanowczo za stare jak na jego gust. Bardziej odpowiadały mu... No, powiedzmy pięćdziesiątki. Ale wyłącznie szczupłe i wygimnastykowane na tyle, żeby dotrzymać mu kroku, i to pod każdym względem.

Pora na mięśnie klatki piersiowej.

Położył dłonie na odpowiednich uchwytach i już miał pociągnąć, gdy nieoczekiwanie stwierdził, że maszyna szwankuje. Prawy uchwyt wibrował.

Zabrał rękę i uważnie mu się przyjrzał. Uchwyt ani drgnął, Angus spojrzął na swoją dłoń i przeszły go ciarki. Co się dzieje?

Drżała mu prawa ręka.

Molly Picker dźwignęła głowę znad muszli klozetowej i pociągnęła za wajchę. Miała pusty żołądek, wszystko zwymiotowała. Pepsi, fritosy i Lucky Charms. Kręciło jej się w głowie. Usiadła na podłodze i wsłuchała się w szum wody spływającej rurami. Trzy tygodnie – myślała. Choruję od trzech tygodni.

Z trudem wstała, zataczając się, wróciła do łóżka i zwinięta w kłębek na nierównym materacu zasnęła szybko i głęboko.

Zbudziła się w południe, gdy do pokoju wszedł Romy. Nie zawracał sobie głowy pukaniem. Wszedł, przysiadł na łóżku i mocno nią potrząsnął.

– No i jak tam, Molly Dolly? Ciągłe boli cię brzuch?

Spojrzała na niego z jękiem. Z tymi lśniącościami, gładko zaczesanymi włosami, z oczami tak ciemnymi, że nie widać było źrenic, przypominał jej gada. Wielkiego jaszczura. Ale głaskał ją tak delikatnie... To do niego niepodobne, od dawna tego nie robił.

– Kiepsko się czujemy, he? – spytał z uśmiechem.

– Znowu rzygałam. Rzygam i rzygam.

– Wiem i coś ci na to przyniosłem. – Postawił na stoliku buteleczkę z pigułkami. Na naklejce widniało odręcznie wypisane zalecenie: „Na mdłości. Jedna pastylka co osiem godzin”. Romy wszedł do łazienki i wrócił ze szklanką wody. Otworzył buteleczkę, wytrząsnął pigułkę i pomógł Molly usiąść. – Masz, połknij.

Zmarszczyła brwi.

– Co to jest?

– Lekarstwo.

– Skąd je masz?

– Wszystko w porządku, przepisał je lekarz.

– Jaki lekarz?

– Próbuje być miły, chcę, żebyś poczuła się lepiej, a ty się odszczekujesz. Gównu mnie obchodzi, czy weźmiesz te prochy, czy nie.

Odwróciła się, czując, jak ręka, którą przyciskał do jej boku, zwija się w pięść. I nagle, zupełnie niespodziewanie, rozluźnił ją i serdecznymi, pieścizłowymi ruchami zaczął masować jej plecy.

– Daj spokój, Molly, przecież wiesz, że mi na tobie zależy. Zawsze mi na tobie zależało. I dawniej, i teraz.

Parsknęła gorzkim śmiechem.

– Zwłaszcza teraz, kiedy rzygam jak kot.

– Tak, teraz też. Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, jesteś moją najlepszą dziewczyną. – Wsunął rękę pod jej koszulę i delikatnie przeciągnął po plecach. – Jesteś ostatnio taka rozdrażniona, że nie miałem ochoty być dla ciebie miły. Ale wiesz, że o ciebie dbam, mój ty lizaczku. – Chwycił ją wargami za ucho. – Mniem-mniem.

– No to co jest w tej pigułce?

– Już ci mówiłem, lekarstwo. Żebyś przestała haftować i zaczęła normalnie jeść. Dorastające dziewczynki muszą jeść. – Przesunął ustami po jej szyi, zaczął całować ją w ramię. Jeśli nie zaczniesz jeść, niedługo będę musiał odwieźć cię do szpitala. Chcesz skończyć w szpitalu? Z bandą zdziwaczałych lekarzy?

– Nie chcę widzieć żadnych lekarzy.

Patrzyła na pigułkę i nagle ogarnęło ją swego rodzaju zadziwienie. Nie,

nie z powodu pigułki – z powodu Romy’ego. Od miesiący nie był dla niej tak słodki jak teraz, od miesiący tak jej nie nadskakiwał. Owszem, kiedyś naprawdę była dla niego kimś wyjątkowym, kiedyś ze sobą sypiali, oglądali w łóżku MTV, jedli lody, pili piwo. Kiedyś, kiedy tylko on jej dotykał. Kiedy tylko jemu na to pozwalała. Ale od tamtej pory wszystko się między nimi zmieniło.

Uśmiechał się do niej, i to nie tym swoim złośliwym uśmieszkiem, lecz uśmiechem, który widziała w jego oczach.

Przełknęła tabletkę i popiła wodą.

– Grzeczna dziewczynka. – Ułożył ją na poduszce i okrył kocem. – A teraz śpij.

– Zostań ze mną, Romy.

– Mam kupę roboty, złotko – wstał. – Interesy czekają.

– Muszę ci coś powiedzieć. Chyba wiem, dlaczego ciągle wymiotuję...

– Pogadamy o tym później, dobra? – Poklepał ją po głowie i wyszedł.

Molly wpatrzyła się w sufit. Trzy tygodnie to za długo jak na gripę żołądkową – myślała. Położyła rękę na brzuchu i wydało się jej, że zdążył już lekko obrzmieć. Kiedy wpadłam? Który z nich mnie urządził? Zawsze była ostrożna, zawsze miała przy sobie prezerwatywy, które nauczyła się nakładać łagodnie delikatnymi ruchami podczas gry wstępnej. Nie była głupia wiedziała, że dziewczyna może od tego zachorować.

No i zachorowała, i w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, w którym momencie popełniła błąd.

Romy wszystko zwali na nią.

Wstała i znowu zakręciło jej się w głowie. Wiedziała, że to z głodu. Ostatnio była ciągle głodna, nawet wtedy, gdy ją mdliło. Ubierając się, zula fritosy. Sól jej smakowała. Mogłaby jeść fritosy całymi garściami, ale zostało tylko kilka. Rozerwała torebkę, wylizała okruszynki i spojrzała w lustro. Z ustami oblepionymi solą wyglądała tak ohydnie, że cisnęła papier do kosza i wyszła z pokoju.

Dopiero kwadrans po pierwszej, na dole nic się jeszcze nie działo. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła Sophie, która opierając się o futrynę drzwi, popijała pepsi. Sophie to sama dupa i cyce, dziewczyna bez odrobiny oleju we łbie. Postanowiła ją zignorować i przeszła obok, patrząc przed siebie.

– Kogo ja widzę? Bezbiuście wyszło na spacer?

– Im większe cyce, tym mniejszą masz mózgownicę.

– O rany, w takim razie twoja musi być wielka jak stodoła.

Molly przyspieszyła, by nie słyszeć jej rżącego śmiechu. Zatrzymała się dopiero przed budką, dwie ulice dalej. Weszła do środka, zaszeleściła

wystrzępionymi kartkami książki telefonicznej, wrzuciła do automatu ćwierćdolarówkę i wystukała numer.

– Poradnictwo antyaborcyjne, słucham.

– Muszę z kimś porozmawiać – powiedziała Molly. – Jestem w ciąży.

Czarna limuzyna zaparkowała przy krawężniku. Romy wsiadł i zamknął drzwi.

Kierowca nawet się nie obejrzał. Nigdy się nie oglądał, tak że Romy mógł się wpatrywać tylko w jego głowę, w jego wąską potylicę, zarosniętą jasnymi włosami. Takie włosy u faceta to rzadkość i Romy się zastanawiał, czy dziwki na to lecą. Ale dobrze wiedział, że polecą nawet na łysola, byle miał w portfelu szmal.

Natomiast portfel Romy'ego chudł z dnia na dzień.

Rozejrzał się, jak zawsze podziwiając wewnątrz limuzyny, choć nie potrafił stłumić w sobie urazy, że facet za kierownicą stoi znacznie wyżej niż on. Nie musiał znać nazwiska, nie musiał wiedzieć, czym się człowiek zajmuje, on to po prostu wyczuwał, tak samo, jak czuł zapach skóry bijący z foteli. Romulus Bell był tylko marnym śmieciem, który wpadł do tego auta niesiony podmuchem wiatru, śmieciem, którego wkrótce stąd wyrzucą. Nie warto się na takiego oglądać.

Patrząc na szyję kierowcy, pomyślał, jak łatwo mógłby pobić go jego własną bronią. Tak, gdyby tylko zechciał. Od razu poczuł się lepiej.

– Chciał mi pan coś powiedzieć? – spytał kierowca.

– Tak. Mam drugą.

– Jest pan tego pewien?

– Znam swoje dziewczyny na wylot, wiem, kiedy wpadają, zanim same to odkryją. Jak dotąd nie pomyliłem się ani razu. A może nie?

– Faktycznie. Jak dotąd się pan nie pomylił.

– No to co będzie z forszą? Miałem dostać szmal.

– Jest pewien problem.

– Jaki problem?

Kierowca poprawił lusterko.

– Annie Parini nie stawiała się na spotkanie.

Romy zeszytniał. Zacisnął rękę na oparciu przedniego fotela.

– Co?

– Nie mogłem jej znaleźć. Miała czekać na Common, ale nie czekała.

– Była tam, sam ją odprowadziłem.

– Musiała sobie pójść, zanim przyjechałem.

Głupia dziwka. Jak tu prowadzić interesy, jeśli zawsze mu się stawiają, zawsze muszą coś spieprzyć? Wszystkie kurwy to bezmózdza. I zrobiły z niego idiotę.

– Gdzie jest Annie Parini, panie Bell?

– Znajdę ją.

– Wypłaty dzisiaj nie będzie.

– Przecież mówię, że mam drugą.

– Tym razem najpierw poczekamy na dostawę. W listopadzie, pod koniec drugiego tygodnia. Tylko niech pan nie zgubi towaru. A teraz żegnam, panie Bell.

– Muszę...

– Żegnam!

Romy wysiadł i trzasnął drzwiami. Limuzyna natychmiast odjechała, a on patrzył za nią, kipiąc z wściekłości.

Szedł Tremont Street i z każdym krokiem był coraz bardziej wściekły. Annie Parini. Wiedział, gdzie ta dziwka wystawała. Wiedział, gdzie jej szukać. Wiedział, że ją znajdzie.

Wciąż pobrzmiwały mu w uszach słowa kierowcy: „Tylko niech pan nie zgubi towaru”.

Dzwonek telefonu wyrwał Toby ze snu tak głębokiego, że wracała do świadomości jak przez grube warstwy błota. Pomacała na oślep i zrzuciła słuchawkę, która z trzaskiem spadła na podłogę. Toby przekręciła się na bok, żeby ją podnieść. Przy okazji zerknęła na budzik. Była dwunasta w południe, a dwunasta w południe to dla niej sam środek nocy. Słuchawka wpadła za nocny stolik. Toby chwyciła za sznur i przyciągnęła ją do siebie.

– Halo?

– Doktor Harper? Mówi Robbie Brace.

Półprzytomna próbowała sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko i ten głos.

– Lekarz z domu opieki w Brant Hill. Poznaliśmy się dwa dni temu. Pytała mnie pani o Harry’ego Slotkina.

– Tak, tak. – Błyskawicznie oprzytomniała i usiadła.

– Dziękuję za telefon.

– Obawiam się, że mam niewiele do powiedzenia. Leży przede mną karta choroby pana Slotkina i widzę, że staruszek jest okazem zdrowia.

– Nic tam nie ma? Absolutnie nic?

– Nic, co tłumaczyłoby jego chorobę. Badania lekarskie idealne. Wyniki badań laboratoryjnych bez zarzutu... – Toby usłyszała szelest kartek. – Zrobiono mu nawet pełną endokrynologię, wszystkie wyniki są w normie.

– Endokrynologię? Kiedy?

– W zeszłym miesiącu. Tak więc to, co zdarzyło się u was, musiało być przypadkiem całkowicie nagłym.

Toby zamknęła oczy, czując, jak z napięcia ściska ją w żołądku.

– Słyszał pan coś nowego?

– Rano przeszukali staw. Nie znaleźli go. To chyba dobrze, prawda?

– Tak. Bardzo dobrze. Niewykluczone, że Harry jeszcze żyje.

– No i to wszystko, pani doktor. Nic więcej nie wiem.

– Dziękuję. – Odłożyła słuchawkę.

Wiedziała, że powinna zasnąć. Znowu miała nocny dyżur, zostały jej tylko cztery godziny wypoczynku. Ale rozmowa z Brace'em ją rozdrażniła.

Telefon zadzwonił ponownie. Chwyciła słuchawkę.

– Doktor Brace?

– Lee... nie – powiedział zaskoczony głos. – Mówi Paul.

Paul Hawkins, kierownik izby przyjęć, był jej przełożonym, nieoficjalnie sympatycznym kumplem, przed którym mogła się wygadać, jednym z nielicznych przyjaciół wśród lekarzy. –

– Przepraszam cię, Paul. Myślałam, że to ktoś inny. Co się dzieje?

– Mamy tu pewien problem. Dobrze by było, gdybyś po południu wpadła do szpitala.

– Przecież dopiero co stamtąd wyszłam, a dziś znowu mam nocny dyżur.

– Nie chodzi o dyżur, Toby. Chodzi o naradę personelu administracyjnego. Corcoran ją zwołał.

Ellis Corcoran, szef personelu lekarsko-chirurgicznego, stał na samym czubku służbowej piramidy. Podlegał mu Paul Hawkins i wszyscy ordynatorzy.

Toby usiadła.

– Corcoran zwołał naradę? Na jaki temat?

– Chce omówić kilka spraw.

– Chodzi o Harry'ego Slotkina?

Paul milczał chwilę.

– O niego też, ale nie tylko. Mają w planie coś jeszcze.

– Oni? To znaczy kto?

– Doktor Carey. Ci z administracji. Chcą cię wypytać o wczorajsze wydarzenia.

– Wszystko ci opowiedziałam.

– Tak. I próbowałam im to wytłumaczyć, ale Careyowi odbiło i poszedł na skargę do Corcorana. Tobi jęknęła.

– Wiesz, o co tak naprawdę chodzi, Paul? To nie ma nic wspólnego ze Slotkinem. Chodzi o małego Freitasę. Tego chłopca, który zmarł przed kilku miesiącami. Carey próbuje się na mnie zemścić.

– To zupełnie inna sprawa.

– Nieprawda. Carey zawałił i dzieciak zszedł. To ja obwiniłam go za tę śmierć.

– Delikatnie to ujęłaś. Przez ciebie stawał przed sądem.

– Rodzina chłopca spytała mnie o opinię. Miałam skłamać? Zresztą i tak powinni byli go pozwać. Zostawić bez nadzoru dzieciaka z pękniętą śledzioną? To ja musiałam biedaka reanimować.

– Zgoda, Carey spieprzył sprawę, ale ty mogłaś zachować się dyskretniej.

Tu był pies pogrzebany: Tobi okazała się niedyskretna.

Takiej reanimacji boją się wszyscy lekarze. Umierające dziecko. Zrozpaczeni rodzice na korytarzu. Walcząc o życie chłopca, sfrustrowana Tobi palnęła: „Dlaczego nie położyli go na OIOM-ie?”.

Usłyszeli to rodzice. Potem adwokaci.

– Tobi, w tej chwili musimy skoncentrować się na sprawach bieżących. Narada jest o drugiej. Nie chcieli cię zaprosić, ale się uparłem.

– Dlaczego nie chcieli mnie zaprosić? To jakiś potajemny lincz, czy co?

– Przyjedź, dobra?

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na budzik. Wpół do pierwszej. Nie mogła zostawić matki samej. Znowu podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Bryana. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. „Cześć, mówi Noel! I Bryan! Umieramy z ciekawości, co chcesz nam powiedzieć, więc zostaw wiadomość...”

Trzasnęła widełkami i natychmiast wystukała inny numer: numer swojej siostry. Bądź w domu. Proszę cię, Vickie. Zrób to dla mnie i...

– Halo?

Tobi odetchnęła z ulgą.

– To ja.

– Możesz chwilę poczekać? Mam coś na gazie i...

Tobi usłyszała stukot słuchawki i brzęk pokrywki garnka podskakującej na parze. Wreszcie odezwała się Vickie.

– Przepraszam. Mamy dziś na kolacji rodziców Steve’a i próbuję zrobić ten nowy deser...

– Vickie, przyparli mnie do muru. Musisz zająć się mamą. Ale tylko przez kilka godzin.

– Zająć się... Teraz?! – Roześmiała się nerwowo i z niedowierzaniem.

– Wypadło mi nagłe spotkanie w szpitalu. Podrzucę ją po drodze i odbiorę zaraz po narodzie.

– Toby, mam dzisiaj gości. Gotuję, trzeba tu jeszcze posprzątać, dzieci wracają ze szkoły...

– Mama nie sprawi ci żadnego kłopotu. Zajmie się czymś na podwórzu.

– Nie może chodzić po podwórzu! Niedawno położyliśmy nowy trawnik i...

– No to posadzisz ją przed telewizorem. Muszę już iść, bo się spóźnię.

– Toby...

Trzasnęła słuchawką. Nie miała ani czasu, ani cierpliwości na kłótnię. Vickie mieszkała pół godziny jazdy od jej domu.

Uszczęśliwiona Ellen krążyła wokół przyzmy kompostowej.

– Mamo, musimy jechać do Vickie.

Ellen wyprostowała się i Toby z przerażeniem zobaczyła, że matka ma utyłtane ręce i pobrudzoną sukienkę. Nie było czasu na kąpiel ani na zmianę ubrania. Vickie dostanie apopleksji.

– Chodźmy do samochodu, mamo. Musimy się spieszyć.

– Nie powinnyśmy zawracać jej głowy.

– Nie widziałaś jej od tygodni.

– Jest zajęta. Vickie to bardzo zajęta dziewczyna. Nie chcę zawracać jej głowy.

– Mamo, musimy jechać.

– Jedź sama, ja zostanę.

– Tylko na kilka godzin, potem wrócimy do domu.

– Nie, lepiej posprzątam w ogrodzie. – Ellen wbiła rydel w czarny kompost.

– Mamo, musimy jechać! – Sfrustrowana Toby chwyciła ją za ramię i pociągnęła tak gwałtownie, że zszokowana Ellen głośno jęknęła.

– To boli!

Toby natychmiast ją puściła. Matka cofnęła się o krok, masując sobie rękę i z przerażeniem patrząc na córkę.

Jej milczenie i zwilgotniałe od łez oczy – Toby ścisnęło się serce. Niemal chora ze wstydu, pokręciła głową i szepnęła:

– Przepraszam, mamo. Bardzo cię przepraszam. Ale musisz ze mną

współpracować. Proszę cię...

Ellen spojrzała na kapelusz, który spadł jej z głowy i leżał teraz na trawie, falując na wietrze słomkowym rondem. Schyliła się powoli, podniosła go i mocno przycisnęła do piersi. Potem smutno kiwnęła głową, spuściła oczy, podeszła do furtki i przystanęła, czekając, aż córka ją otworzy.

Po drodze Toby próbowała doprowadzić do zgody. Z wymuszoną wesołością opowiadała o tym, co będą robić w najbliższy weekend. Przede wszystkim zbiją nową kratę, oprą ją o ścianę domu i zasadzą krzak pnącej róży – „Nowego brzasku”, może nawet „Płomienia”? Ellen uwielbiała czerwone róże. Potem rozrzuca kompost i zaplanują nowy kwietnik. Będą jadły kanapki ze świeżymi pomidorami i piły lemoniadę. Jest na co czekać!

Ellen patrzyła na swój kapelusz, który ścisnęła na kolanach i milczała.

Toby zaparkowała na podjeździe przed domem Vickie i przygotowała się wewnętrznie na ciężką przeprawę. Oczywiście siostra natychmiast podniesie gwałt, powie, że to niedopuszczalna ingerencja w jej plany i obowiązki. Vickie i jej obowiązki! Stanowisko wykładowczyni na Wydziale Biologii w Bentley College. Mąż, dyrektor, kawał snoba, który gada wyłącznie o sobie. Posepnie dorastający syn i córka. Toby to dopiero szczęściara! Ani męża, ani dzieci. Któż inny mógłby lepiej zadbać o mamę? No pewnie, przecież nie potrafiłaby inaczej żyć. Pomogła Ellen wysiąść z samochodu i wprowadziła ją na schody. Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła Vickie, zaczerwieniona ze złości.

– Nie mogłaś wybrać gorszego momentu.

– Wierz mi, dla mnie też nie jest najlepszy. Odbiorę ją najszybciej, jak tylko się da. – Delikatnie pchnęła matkę ku drzwiom. – Śmiało, mamó, baw się dobrze.

– Gotuję – ostrzegła Vickie – nie mogę jej pilnować...

– Nic sobie nie robi. Posadź ją przed telewizorem. Lubi stare filmy.

Vickie zmierzyła Ellen spojrzeniem i zmarszczyła czoło. Co jej się stało? Ma brudne ubranie. Mamó, co zrobiłaś sobie w rękę? Cały czas ją pocierasz.

Ellen smutno pokręciła głową.

– Boli. Ona się na mnie wściekła.

Toby spiekła raka.

– Musiałam zapakować ją do samochodu. Była w ogrodzie, dlatego jest taka brudna.

– W takim stanie nie może się nikomu pokazać, a o szóstej mam gości!

– Obiecuję, że odbiorę ją, zanim przyjdą. – Cmoknęła Ellen w policzek.
– Do zobaczenia, mamó. Słuchaj się Vickie.

Vickie zeszła za nią po schodach.

– Toby, następnym razem postaraj się uprzedzić mnie wcześniej. Za co ty płacisz Bryanowi?

– Nie ma go. Niedługo wrócą dzieci, niech jej popilnują.

– One nie chcą jej pilnować!

– No to im zapłać. Widać, że dolar jest dla nich najważniejszy! – Trzasnęła drzwiami samochodu i uruchomiła silnik. Po co ja to powiedziałam? Muszę się uspokoić. Powinam ochłonąć i przygotować się do spotkania.

Parszywie rozegrała to z Vickie. Teraz była na nią wkurzona nie tylko matka, ale i siostra. Być może wkurzał się na nią cały ten zafajdany świat.

Miała ochotę wcisnąć gaz do dechy i zostawić wszystko za sobą. Przybrać nową tożsamość, wyjechać do innego miasta, rozpocząć nowe życie. To, którym żyła teraz, było dokumentnie spaprane i nawet nie wiedziała, z czyjej winy. Na pewno nie z jej, bo starała się dawać z siebie wszystko.

Na szpitalny parking wjechała dziesięć po drugiej. Nie miała czasu pozbierać myśli – spotkanie już trwało, a nie chciała, by Doug Carey opluwał ją podczas jej nieobecności. Jeśli zamierzał atakować, musiała mieć możliwość obrony. Pobiegnęła wprost do skrzydła administracyjnego na pierwszym piętrze i weszła do sali konferencyjnej.

Rozmowa ustała jak nożem uciął.

Toby rozejrzała się i wśród sześciu osób siedzących za stołem dostrzegła kilka jej przyjaznych: Paul Hawkins, Maudeen i Val. Usiadła obok Val, naprzeciwko Paula, który bez słowa skinął jej na powitanie. Jeśli już musiała na kogoś patrzeć, niech to przynajmniej będzie przystojny mężczyzna. Siedzącego przy drugim końcu stołu Careya ledwie omiotła wzrokiem, ale jego wrogą obecność trudno było ignorować. Carey, człowiek mały nie tylko wzrostem, próbował zrekompensować sobie niedostatki natury sztywną postawą i groźnym, władcym spojrzeniem. Wyglądał jak mały, złośliwy chihuahua. W tej chwili patrzył na Toby.

Zignorowała go i przeniosła wzrok na Ellisa Corcorana, szefa personelu lekarsko-chirurgicznego. Nie znała go zbyt dobrze, chyba nikt z pracowników szpitala dobrze go nie znał. Trudno było znieść jego jankeski chłód i rezerwę. Rzadko kiedy ujawniał swe uczucia, teraz też miał kamienną twarz. Tak samo jak Ira Beckett, dyrektor administracyjny,

który siedział, uciskając stołem swój pękaty brzuch. Milczenie się przeciągało, stawało się niezręczne. Toby poczuła, że spotniały jej dłonie; dyskretnie wytarła je o spodnie.

– Na czym to pani skończyła, pani Collins? – zapytał Ira Beckett.

Maudeen odchrząknęła.

– Próbowałam państwu wyjaśnić, że wszystko działo się jednocześnie. Reanimowaliśmy tę kobietę, wszyscy byliśmy zajęci. Uznaliśmy, że pan Slotkin jest stabilny, więc...

– Więc daliście sobie z nim spokój? – wtrącił Carey.

– Jak długo pozostawał bez opieki? – spytał Beckett.

Maudeen zerknęła na Toby z błaganiem w oczach.

– Ostatnią osobą, która widziała pana Slotkina, byłam ja opowiedziałam Toby. – Mogła być wtedy piąta, kwadrans po. Jego nieobecność zauważyłam kilka minut po szóstej.

– A więc zostawiła go pani bez opieki prawie na godzinę?

– Czekał na tomografię, wezwaliśmy już rentgenologa. Do jego przyjazdu nie mogliśmy dla pana Slotkina nic zrobić. Wciąż nie wiemy, jak udało mu się wyjść z sali.

– Bo go nie pilnowałyście – mruknął Carey. – Nawet go nie unieruchomiłyście.

– Nieprawda! – wybuchnęła Val. – Był przywiązany do wózka!

– W takim razie drugi Houdini z niego. Ręce i nogi miał przywiązane, a zniknął jak kamfora. Chyba że ktoś zapomnij zapiąć pasy...

Pielęgniarki milczały z oczami wbitymi w stół.

– Pani doktor – odezwał się Beckett. – Powiedziała pani że to pani była ostatnią osobą, która widziała pana Slotkina, Czy pasy były zapięte?

Toby głośno przełknęła ślinę.

– Nie wiem.

Siedzący naprzeciwko Paul zmarszczył brwi.

– Mówiłaś, że były.

– Bo tak myślałam. Po prostu założyłam, że były. Miałyśmy bardzo ciężki dyżur. A teraz... Teraz nie jestem tego pewna. Gdyby pasy były zapięte, nie mógłby uciec, to niemożliwe.

– W końcu zaczynamy podchodzić do tego ucziwie, to już coś – burknął Carey.

– Nigdy nie byłam nieuczciwa! – odwarknęła Toby. – Spartaczyłam sprawę, ale przynajmniej potrafię się do tego przyznać.

– Toby... – wtrącił Paul.

– Bywa tak, że wali się nam na głowę kilka ciężkich przypadków

jednocześnie. Nie jesteśmy w stanie zapamiętać wszystkich szczegółów czegoś, co poszło źle!

– Widzisz, Paul? – rzucił Carey. – O tym właśnie mówię. Słyszę to cały czas. I zawsze chodzi o nocną zmianę.

– Ale tylko ty narzekasz – odciął się Paul.

– Mogę wymienić co najmniej sześciu lekarzy, którzy się z tym spotkali. Wzywają nas po nocy, żebyśmy przyjmowali do szpitala pacjentów, których wcale przyjmować nie trzeba. To kwestia rozsądku i właściwej diagnozy.

– O których pacjentach pan mówi? – spytała Toby.

– Nie mam przed sobą listy nazwisk.

– W takim razie zechce pan ją przynieść. Skoro próbuje podważać moje diagnozy, poproszę o szczegóły.

Corcoran westchnął.

– Odchodzimy od tematu.

– Wprost przeciwnie – zaproponował Carey. – Tematem jest kompetencja personelu izby przyjęć, podlegającej Paulowi. Czy wiecie, co się tam wtedy działo? Urządzili sobie przyjęcie urodzinowe! Wszedłem do pokoju po kubek kawy, a tam wszędzie serpentyny! I tort z wypalonymi świeczkami. I pewnie właśnie to było powodem zniknięcia pana Slotkina. Tak dobrze się bawili, że nie zwracali sobie głowy...

– Bredzi pan, doktorze – przerwała mu Toby.

– Zaprzeczy pani, że urządziliście sobie przyjęcie? – warknął Carey.

– Nie, ale urządziliśmy je przedtem i bynajmniej nie odciągnęło nas od pracy. Kiedy przywieziono pacjentkę z tamponadą, wszyscy zwijaliśmy się jak w ukropie. Ten przypadek wymagał pełnej koncentracji sił i uwagi.

– Mimo to ją również straciliście – wytknął Carey.

Toby zaczerwieniła się, jakby ją spoliczkował. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że on miał rację. Pacjentka zmarła. Dyżur skończył się klęską, i to klęską publiczną. W trakcie monologu rozeźlonego Daniela Slotkina w poczekalni byli już nowi pacjenci. Potem przyjechała karetka z chorym, który skarżył się na bóle w klatce piersiowej, jeszcze trochę później przbyły dwa radiowozy z policjantami mającymi pomóc w poszukiwaniu Harry'ego. Górę wzięło prawo fizyki i do zawsze uporządkowanej, regulaminowo zorganizowanej izby przyjęć wkradł się chaos.

Toby pochyliła się z rękami przyciśniętymi do stołu, ignorując Careya, a wbijając wzrok w Paula.

– Nie mieliśmy wsparcia chirurgicznego, a bez wsparcia chirurgicznego

nie mieliśmy szans. Pacjentka z tamponadą powinna była trafić na urazówkę. Utrzymywaliśmy ją przy życiu, dopóki mogliśmy. Nasz cudowny doktor Carey też by jej nie uratował, a przynajmniej bardzo w to wątpię.

– Wezwaliście mnie stanowczo za późno – odparł Carey.

– Wezwaliśmy pana zaraz po jej zdiagnozowaniu.

– Jak długo to trwało?

– Kilka minut.

– Sanitariusze odnotowali, że przywieźli pacjentkę o piątej dwadzieścia. Zadzwoniliście do mnie dopiero o piątej czterdzieści pięć.

– Nie, dzwoniłyśmy znacznie wcześniej. – Spojrzała na Maudeen i Val, które energicznie kiwnęły głowami.

– W protokóle reanimacyjnym tego nie odnotowano – wytknął Carey.

– A kto miał wtedy czas na notowanie? Próbowaliśmy ratować jej życie!

– Proszę, bardzo państwa proszę – wtrącił się Corcoran. – To jest zebranie, a nie bijatyka. Musimy się naradzić, jak stawić czoło nowemu problemowi.

– Jakiemu problemowi? – spytała Toby.

Wszyscy spojrzeli na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

– Nie zdążyłem ci powiedzieć – wyjaśnił Paul. – Zresztą sam dowiedziałem się o tym przed chwilą. Niektóre gazety podchwyciły temat. „Zapomniany pacjent znika z izby przyjęć... „ i tak dalej. Niedawno dzwonił tu jakiś pismak, wypytywał o szczegóły.

– Dlaczego się tym interesują? To takie ciekawe?

– Dla nich to mniej więcej to samo co chirurg, który amputuje zdrową nogę. Ludzie lubią czytać o błędach lekarzy?

– Ale kto im to podrzucił? – Popatrzyła po twarzach i napotkała wzrok Careya.

Carey odwrócił głowę.

– Mogła ich zawiadomić rodzina Slotkina – spekulował Beckett. – Może przygotowują grunt pod przyszły proces. Naprawdę nie wiem, jakim cudem dziennikarze zawsze coś zwęszają.

– Fuszerki rzucają się w oczy – powiedział Carey spokojnie, acz jadowniczo.

– Nie wszystkie. Swoje znakomicie pan ukrywa – wypaliła Toby.

– Jeszcze raz proszę państwa o spokój – przerwał im Corcoran. – Jeśli pacjent znajdzie się cały i zdrowy, nic nam nie grozi. Ale od chwili zniknięcia pana Slotkina minęły już dwa dni i z tego, co wiem, od tamtej

pory nikt go nie widział. Pozostaje nam tylko żywić nadzieję, że się odnajdzie.

– Rano dzwoniли do nas ci z prasy – powiedziała Maudeen. – I to dwukrotnie.

– Mam nadzieję, że nikt z nimi nie rozmawiał?

– Nie. Pielęgniarka odłożyła słuchawkę.

Paul wybuchnął gorzkim śmiechem.

– Oto sposób na prasę!

– Jeżeli pan Slotkin się znajdzie – mówił dalej Corcoran – niewykluczone, że wyjdziemy z tego obronna ręką. Niestety, pacjenci z alzheimerelem potrafią przewędrować dziesiątki kilometrów...

– Pan Slotkin nie cierpi na chorobę alzheimera – przerwała u Toby. – Nic na to nie wskazuje.

– Twierdziła pani, że był zdezorientowany i rozkojarzony.

– Tak, ale nie wiem z jakiego powodu. W trakcie badania nie znalazłam nic konkretnego. Parametry krwi w normie. Niestety, nie zdążyliśmy zrobić tomografii. Żałuję, że nie mogę stawić państwu pełnej diagnozy, gdyż nie byłam w stanie kończyć badania. – Zamilkła. – Ale tak, w pewnej chwili pomyślałam, czy on nie ma udaru...

– Zauważyła pani coś?

– Tak, widziałam, jak drgała mu noga. Ale nie umiem powiedzieć, czy były to skurcze mimowolne, czy nie.

– O Boże... – Paul odchylił się ciężko na krześle. – Miejmy nadzieję, że pan Slotkin nie wędruje autostradą ani w pobliżu jakiegoś jeziora lub rzeki. Mógłby mieć kłopoty.

Corcoran kiwnął głową.

– My też.

Po naradzie Paul zaprosił Toby do szpitalnego barku. Była trzecia po południu, samoobsługowy bar zamknięto przed godziną, tak że pozostały im tylko automaty z krakersami, chipsami i niekończącym się zapasem kawy kwaśnej jak akumulatorowy elektrolit. Sala była pusta i mogli usiąść, gdzie chcieli, Paul jednak zaprowadził ją do stolika w kącie. Jak najdalej od drzwi, jak najdalej od ciekawskich uszu.

Usiadł, patrząc w bok.

– Nie jest mi łatwo – zagaił.

Wypiła łyk kawy i w skupieniu odstawiła filiżankę. Paul wpatrzył się w blat. W neutralne miejsce. Unikał jej wzroku, co było zupełnie do niego

niepodobne. Pracowali razem od lat i zawiązała się między nimi otwarta, bezpośrednia przyjaźń. Jak to z przyjaźnią między kobietą a mężczyzną bywa, miała ona swoje drobne nieszczerości. Toby nigdy by się nie przyznała, że Paul szalenie się jej podoba. Niczemu by to nie służyło, poza tym za bardzo lubiła jego żonę, Elizabeth. Ale pod każdym innym względem mogli być ze sobą absolutnie szczerzy. Toteż bolało ją, że Paul gapi się teraz w stół – zważyła, czy może ufać mu jak dawniej.

– Cieszę się, że tam byłaś – powiedział. – Chciałem żebyś zobaczyła, z kim muszę walczyć.

– Mówisz o Careyu?

– Nie tylko. Toby, zaproszono mnie na posiedzenie zarządu szpitala w przyszły czwartek. Wiem, że ta sprawa znowu wypłynie. Carey ma w zarządzie przyjaciół. I łaknie krwi.

– Poluje na mnie od miesiący, od śmierci małego Freitas.

– No i wreszcie znalazł na ciebie haka. Sprawa Slotkina trafiła do gazet. Carey się na ciebie poskarży, a zarząd chętnie go wysłucha.

– Uważasz, że ma podstawy się na mnie skarżyć?

– Toby, gdybym tak uważał, już dawno byś u mnie nie pracowała. Nie żartuję.

Toby westchnęła.

– Sęk w tym, że tę sprawę naprawdę zawałam. Nie mam pojęcia, jak Slotkin mógł uciec, skoro pasy były zapięte. Co znaczy, że chyba ich nie zapięłam. Nie pamiętam... – Oczy piekły ją z niewyspania, w żołądku bulgotała kawa. Tracę pamięć, pomyślała. Czy to pierwsze symptomy alzheimera? Czy to początek końca? – Ciągle myślę o swojej matce. I o tym, jak bym się czuła, gdyby to ona błąkała się po ulicach. Tak wściekałabym się na ludzi, którzy jej nie upilnowali. Nie zachowałam ostrożności i naraziłam na niebezpieczeństwo bezbronny staruszek. Jego rodzina ma pełne prawo oskarżyć innie o zaniedbanie obowiązków. Czekam, aż to zrobią.

Paul ciągle milczał, więc podniosła wzrok.

– Chyba najwyższy czas ci o tym powiedzieć – rzekł cicho.

– O czym?

– Dziś rano adwokaci rodziny Slotkina zażądali kopii rejestru pacjentów izby przyjęć.

Toby nie odpowiedziała. Bulgotanie w żołądku ustąpiło miejsca mdłościom.

– Co jeszcze nie znaczy, że cię oskarżą – dodał Paul. – Jedno jest pewne: Slotkinowie nie potrzebują pieniędzy. A okoliczności zaginięcia

Harry'ego mogą okazać się dla nich zbyt krępujące, żeby je upubliczniać. Ojciec wędrujący nago po parku...

– Jeśli on nie żyje, oskarżą. – Ukryła twarz w dłoniach. – O Boże. To już drugie oskarżenie w ciągu trzech lat.

– Tamto było dęte. Wybroniłaś się po mistrzowsku.

– Tym razem się nie wybronię.

– Slotkin ma siedemdziesiąt dwa lata, dużo życia mu nie zostało. To może zmniejszyć wysokość odszkodowania.

– Siedemdziesiąt dwa lata? To jeszcze młodzieniaszek, może żyć i żyć!

– Stwierdziłaś, że był dezorientowany, splątany. Jeśli znajdą jego zwłoki i wykażą, że cierpiał na śmiertelną chorobę, sąd spojrzy na ciebie przychylniej.

Toby potarła twarz.

– Sąd. To ostatnie miejsce, gdzie chciałabym skończyć.

– Będziemy się tym martwić, jeśli i kiedy zajdzie taka potrzeba. Teraz mamy na głowie inne sprawy. Wiemy już, że wiadomość o Slotkinie przedostała się do prasy, a prasa uwielbia makabryczne historyjki o lekarzach. Jeśli opinia publiczna zacznie wywierać presję na szpital, zarząd każe mi poczynić odpowiednie kroki. Zrobię wszystko, żeby cię chronić, Toby, ale ja też nie jestem niezastąpiony. – Milczał chwilę. – Mike Esterhaus zdążył już wyrazić zainteresowanie stanowiskiem kierownika izby.

– To byłaby tragedia.

– Wszystkim by potakiwał, nie walczyłby z nimi jak ja. Ilekroć próbują zredukować liczbę etatów pielęgniarek dyplomowanych, mam mord w oczach. Natomiast Mike grzecznie przychylił się do wszystkich żądań.

Po raz pierwszy zaświtała jej w głowie myśl, że idąc na dno, pociąga za sobą Paula.

– Musimy wierzyć w jedno – powiedział – w to, że znajdą Slotkina. To załagodzi kryzys. Media stracą zainteresowanie sprawą, rodzina odstąpi od oskarżenia. Harry musi się znaleźć, cały i zdrowy.

– Co z każdą godziną jest coraz mniej prawdopodobne. Siedzieli w milczeniu nad stygnącą kawą. Sprawa Slotkina nadwreżyła ich przyjaźń. Dlatego lekarz nigdy nie powinien żenić się z lekarką – pomyślała Toby. Paul wróci wieczorem do Elizabeth, która nie ma nic wspólnego z medycyną. Nie dochodzi między nimi do napięć na tym tle, kolacji nie zepsuje im ani Doug Carey, ani perspektywa procesu sądowego, ani posiedzenie zarządu szpitala. Elizabeth pomoże mu o tym zapomnieć, przynajmniej na ten wieczór.

A kto pomoże mnie?

Rozdział szósty

Nareszcie porządne żarcie, żaden tam gumowy kurczak – pomyślał Robbie Brace, gdy kelnerka postawiła przed nim talerz. Spojrzał na apetyczną porcję jagnięcego mięsa z kostką, na młode ziemniaki i młode warzywa polane masłem. Wszystko było młodziutkie i delikatniutkie. Uprzywilejowani lubią jadać to, co młode – pomyślał, krojąc mięso. Tego wieczoru nie czuł się jednak szczególnie uprzywilejowany, choć na stole płonęły świece, a obok talerza stał kieliszek różowego szampana. Spojrzał na Gretę. Żona miała zmarszczone czoło. Wiedział, że nie ma to nic wspólnego z jakością serwowanego jadła; jej prośba o danie wegetariańskie została hojnie spełniona i talerz prezentował się nadzwyczaj okazale. Rozglądała się po sali, może więc zauważyła coś, co on spostrzegł już na samym początku uroczystego bankietu, mianowicie to, że posadzono ich przy stole stojącym najdalej od podium, że wygnano ich do kąta sali, gdzie prawie nikt nie mógł ich widzieć.

Połowa krzeseł przy ich stole była pusta, pozostałe trzy zajmowały pracownice administracji domu opieki i głuchy jak pień inwestor. Tak, wygnano ich na Syberię. Brace powiódł wzrokiem po sali, konstatując, że inni lekarze zajmują znacznie lepsze miejsca. Doktor Chris Olshank, którego przyjęto do pracy w tym samym tygodniu co jego, wylądował o kilka stołów bliżej podium. Może to nic nie znaczy. Może to tylko wina ludzi odpowiedzialnych za rozmieszczenie gości. A jednak trudno było nie zauważyć różnicy między nim a Chrisem Olshankiem.

Olshank był biały.

Człowieku, pieprzy ci się we łbie.

Upił łyk szampana i przełknął z bolesną powściągliwością, zdając sobie sprawę, że jest jedynym ciemnoskórym mężczyzną na bankiecie. Przy sąsiednim stole siedziały dwie Murzynki, ale on był tutaj jedynym Murzynem. Zauważał to zawsze, rejestrował podświadomie, ilekroć wchodził do pomieszczenia pełnego ludzi. Ilu jest białych, ilu Azjatów, a ilu czarnych. Jeśli przeważali jedni albo drudzy, czuł się nieswojo, jakby gwałciło to jakąś powszechnie akceptowaną normę ilościowo-rasową. Nawet będąc w pełni wykwalifikowanym lekarzem, nie potrafił wyzbyć się cierpkiej świadomości faktu, że jego skóra jest czarna. „Dr med.” przed nazwiskiem niczego nie zmieniło.

Greta dotknęła jego ręki. Biała dłoń uderzająco kontrastowała z jego

skórą.

– Nic nie jesz.

– Jem, jem. – Spojrzał na jej talerz. – Jak ci smakują królicze warzywka?

– Są pyszne. Masz, spróbuj. – Wsunęła mu do ust widelec ziemniaków z czosnkiem. – Dobrze, prawda? I żyły się od nich nie zatykają, tak jak od tego biednego jagniątko.

– Mięsożerca...

– ... mięsożercą pozostanie. Ale wciąż mam nadzieję, że otworzą ci się oczy.

W końcu się uśmiechnął, podziwiając urodę żony. Greta przykuwała wzrok nie tylko pięknem ciała – z jej twarzy biła inteligencja i ogień. Choć na pozór nie interesowała się efektem, jaki wywiera na przedstawicielach płci przeciwnej, Brace był boleśnie świadom spojrzeń, które posyłali jej inni mężczyźni. I jak patrzyli na niego, na Murzyna, który poślubił rudą. Zazdrość, oburzenie, zaskoczenie – widział to w ich oczach, gdy gapili się to na nią, to na niego, to na białą to na czarnego.

Ktoś zastukał w mikrofon. Brace podniósł wzrok i zobaczył na podium Kennetha Foleya, dyrektora naczelnego Brant Hill.

Światła przygasły i na ekranie nad głową Foleya wyświetlono pierwszy slajd. Był to znak firmowy Brant Hill, barokowa litera „B” przepleciona z literą „H”, a poniżej słowa: „Gdzie dobre życie jest najlepszą nagrodą”.

– Niebezpieczny slogan – szepnęła Greta. – Dlaczego nie napiszą po prostu: „Tam, gdzie mieszkają bogacze”?

Brace ostrzegawczo ścisnął jej kolano. Najzupełniej się z nią zgadzał, ale wśród futer z nerek i wśród brylantów nie ma miejsca na socjalizm.

Foley rozpoczął prezentację.

– Przed sześcioma laty Brant Hill było zaledwie koncepcją. Koncepcją bynajmniej nie oryginalną, ponieważ Amerykanie się starzeją i każdy stan wznosi nowe osiedla dla ludzi starszych. Nie koncepcja zatem wyróżnia Brant Hill spośród innych ośrodków, lecz sposób jej realizacji. Stopień, w jakim urzeczywistnimy odwieczne marzenie.

Na ekranie widniała panorama osiedla, staw z łabędziami w tle i łagodne wzgórza pola golfowego, otulone całunem mgły.

– Dobrze wiemy, że marzenie to nie ma nic wspólnego z dostatnią starością po której następuje bezbolesna śmierć. Marzenie to łączy się z życiem. Z początkiem, nie końcem. Właśnie to oferujemy naszym klientom. Ziściliśmy ich sen. I spójrzcie, jak daleko zaszliśmy! Brant Hill Newton się rozbudowuje. W Brant Hill La Jolla wykupiono wszystkie

miejsca. W ubiegłym miesiącu rozpoczęliśmy budowę naszego trzeciego ośrodka, w Naples na Florydzie, a do dnia dzisiejszego wyprzedaliśmy aż siedemdziesiąt pięć procent jeszcze nieistniejących domów. Dziś, w szóstą rocznicę rozpoczęcia budowy naszego pierwszego osiedla, pragnę przekazać państwu wiadomość najwspanialszą. – Zamilkł, a na ekran powrócił znak firmowy Brant Hill na lśniącym błękitnym tle. – Jutro o ósmej rano rozpoczynamy publiczną sprzedaż naszych udziałów. Myślę, że rozumieją państwo, co to oznacza.

Pieniądze – pomyślał Brace pośród szmeru podekscytowanych głosów w sali. Fortunę dla pierwszych inwestorów. Gwałtowny napływ gotówki, dzięki której firma będzie mogła budować ośrodki w innych stanach. Nic dziwnego, że serwują szampana. Poczynając od jutrzejszego ranka, połowa ludzi z tej sali będzie bardzo bogata.

Rozległy się burzliwe oklaski.

Greta nie klaskała, co Robbie zauważył z pewnym zażenowaniem. Rude są uparte – w przypadku jego żony stereotyp ten sprawdzał się do końca. Siedziała z założonymi rękami i z dumnie podniesioną głową, niczym uosobienie wkurzonej socjalistki.

Przesuwające się na ekranie obrazy rozświetlały jej twarz kolażem barw. Zdjęcia ośrodka w La Jolla, gdzie wzniesione nad Pacyfikiem domy zaprojektowano w stylu śródziemnomorskich willi. Zdjęcie klubu w Newton, gdzie tuzin podstarzałych pań w modnych kostiumach gimnastycznych ćwiczyło aerobik. Zdjęcie piątego dołka tamtejszego pola golfowego, gdzie dwóch mężczyzn pozowało przy wózku z markizą. Potem zdjęcie grupy mieszkańców w restauracji miejscowego klubu sportowego, popijających szampana z butelki chłodzącej się w srebrnym kubelku z lodem.

Tam, gdzie mieszkają bogacze...

Brace poruszył się na krześle. Czuł się nieswojo, doskonale wiedząc, co o tym wszystkim myśli Greta. Jako student medycyny bynajmniej nie zamierzał poświęcać się leczeniu bogaczy. Ale wtedy nawet nie przeczuwał, jak wielkich wyrzeczeń będzie wymagać spłacanie stypendium studenckiego, spłacanie hipoteki, oszczędzanie na naukę dziecka. Nie wyobrażał sobie, że mógłby się sprzedać.

Greta rozprostowała nogi, musnęła udem jego udo, a Brace poczuł, że ogarnia go fala nagłej złości. Greta nie potrafiła spojrzeć na to z jego perspektywy. Była tylko żoną, mogła sobie pozwolić na wierność swym zasadom, bo to on musiał utrzymywać rodzinę i dom. Czy leczenie bogaczy to taki grzech? Bogacze też chorują, potrzebują lekarzy i

współczucia.

I płacą rachunki.

Założył ręce, odsunął się od Greta fizycznie i psychicznie i spojrzął na ekran. A więc to dlatego Ken Foley zaprosił ich wszystkich na uroczystą kolację: żeby rozdmuchać ekscytującą wiadomość o publicznej sprzedaży udziałów, żeby podbić zapotrzebowanie na udziały nowe. Kierował swoje przemówienie nie tylko do zgromadzonych w sali bankietowej: kierował je do przyszłych inwestorów. Brant Hill musiało już istnieć na ekranach radarów firm brokerskich w całym kraju i nie było najmniejszych wątpliwości, że każde słowo, które tu wypowie, błyskawicznie trafi do mediów.

Wyświetlono kolejny slajd, artystyczną wizję nowego skrzydła domu opieki. Dzień wcześniej powstały jego fundamenty, a w przyszłym tygodniu rozpoczynano wykop pod fundamenty trzeciego skrzydła. Budowali najszybciej, jak mogli, mimo to popyt ciągle wzrastał.

Opisawszy produkt, Foley przystąpił do analizy rynku. Następny slajd był graficzną ilustracją wzrostu populacji ludzi starych w USA. Dzieci, które urodziły się w okresie demograficznego wyżu sprzed lat, wciskały się w paszczę węża starości i wędrowały przez jego cielsko niczym świnia połknięta przez anakondę. Pokolenie samolubnych japiszonów stopniowo rezygnowało z nart i przerzucało się na laski.

– Oto nasza docelowa populacja – mówił Foley, dźgając laserowym wskaźnikiem statystyczną świnie w wężu. – Oto nasi przyszli klienci. W roku dwa tysiące piątym zaczną przechodzić na emeryturę, a wtedy zainteresują się ośrodkami takimi jak Brant Hill. Mówimy tu o potężnych dochodach, o gigantycznych zyskach. Ten nowy etap życia będzie dla przyszłych emerytów czymś ekscytującym i ważnym. Ci ludzie nie chcą martwić się chorobami i ułomnościami. Wielu z nich przyjdzie do nas z zaoszczędzonymi pieniędzmi, z bardzo dużymi pieniędzmi. Będą się starzeli, pragnąc czuć się młodo.

Kto by tego nie pragnął? – pomyślał Brace. Kto z nas patrzy w lustro bez zdumienia, że twarz, którą widzi, jest stanowczo za stara, by mogła być jego twarzą?

Na „syberyjskim” stole pojawił się w końcu deser i kawa. Greta spróbowała okraszonych śmietanką chemikaliów i odłożyła łyżeczkę. Brace zjadł obie porcje, oddając się z przygnębieniem kalorycznej orgii. Kiedy usłyszał, że wyczytują jego nazwisko, usta miał pełne bitej śmietany.

Greta szturchnęła go w bok.

– Wstań. Przedstawiają nowych lekarzy.

Brace zerwał się na równe nogi, trącił talerzyk z deserem i uwalnął sobie marynarkę śmietaną. Stał tylko kilka sekund, miętosząc serwetkę i machając publiczności ręką, potem opadł na krzesło. Pozostali trzej nowi lekarze też wstali i pomachali zebrany, ale żaden z nich nie poplamiał sobie marynarki bitą śmietaną, żaden z nich też nie zaciskał z zażenowania ust.

Ukończyłem studia z drugą lokatą – myślał. Wybrano mnie na studenta roku. Doszedłem do tego wbrew wszystkiemu i wszystkim, bez najmniejszej pomocy finansowej od rodziny. A teraz siedzę tu i czuję się jak ostatni kretyn. Greta dotknęła jego kolana.

– Za bogato tu jak dla mnie – szepnęła. – Jeszcze chwila i zadławię się złocistym pyłem.

– Chcesz wyjść?

– A ty?

Spojrzał na podium, gdzie Foley perorował o pieniądzach, o zyskach i o wzroście na emerytalnym rynku. Ludzie, te staruchy to prawdziwa kopalnia złota!

Brace rzucił serwetkę na stół.

– Spadamy stąd.

Angus Parmenter nie czuł się za dobrze. Szczerze mówiąc, czuł się fatalnie. Od tamtego czwartku prawa ręka drżała mu jeszcze dwa razy. Odkrył, że jeśli się skupi, może jej dygotanie opanować, ale kosztowało to dużo wysiłku i bolało go potem ramię. Za każdym razem drzenie ustępowało samo z siebie. Od dwóch dni nie pojawiała się wcale, doszedł więc do wniosku, że te dziwne ataki nic nie znaczą. Może pił za dużo kawy. Albo za dużo ćwiczył na atlasie i nadwerężył mięśnie rąk. Odkąd przestał korzystać z atlasu, drzenie ustało, co było dobrym znakiem.

Bardziej niepokoiło go coś innego.

Zauważył to po obudzeniu się z popołudniowej drzemki. Zapadł już zmrok, więc zapalił lampę i rozejrzał się po sypialni. Wszystkie meble stały krzywo, były wyraźnie pochylone. Co się stało? Czyżby je poprzestawiał? Za nic nie mógł sobie tego przypomnieć. Jednak musiał je poprzestawiać, bo stolik nocny stał za daleko, przechylony, jakby zaraz miał runąć na podłogę. Angus wybałuszył oczy, próbując zrozumieć, dlaczego stolik wciąż stoi, czemu szklanka z wodą nie zsuwa się z blatu.

Spojrzał w okno. Ono też zmieniło położenie. Było teraz bardzo daleko,

przypominało małe prostokątne światełko na końcu długiego tunelu.

Wstał z łóżka i natychmiast się zachwiał. Co jest? Trzęsienie ziemi czy co? Podłoga falowała niczym rozkołysane morze. Postąpił krok w jedną, potem w drugą stronę i wylądował koło toaletki. Tam znieruchomiał, przytrzymując się blatu i próbując odzyskać równowagę. Na stopę spływało mu coś ciepłego. Spojrzał w dół i zobaczył, że dywan jest mokry. Poczul odór moczu. Kto się tu zsiął, do diabła?

Coś zadzwoniło. Dźwięki płynęły w powietrzu niczym maleńkie czarne balony. Dzwony kościelne? Zegar? Nie, ktoś dzwoni do drzwi.

Wytoczył się z sypialni, przytrzymując się ścian, futryn, wszystkiego, czego tylko zdołał się przytrzymać. Korytarz gwałtownie się wydłużył, frontowe drzwi odjechały daleko poza zasięg rąk. Nagle trafił dłonią w klamkę. Zacisnął na niej palce i z triumfalnym stęknieniem mocno szarpnął.

W progu stały dwa karzełki. Angus spojrział na nie w zdumieniu.

– Idźcie sobie – powiedział.

Karzełki patrzyły na niego, miaucząc jak koty. Chciał zamknąć drzwi, ale mu się nie udało, bo jak spod ziemi wyrosła przed nim jakaś kobieta.

– Co ty robisz, tatusiu? Dlaczego jesteś nieubrany?

– Idźcie sobie. Precz z mojego domu.

– Tatusiu! – Kobieta wpychała się do środka.

– Precz! – powtórzył Angus. – Dajcie mi spokój! Odwrócił się, zatoczył i ruszył korytarzem, żeby uciec od kobiety i karzełków, ale oni zaczęły go ścigać. Karzełki miauczały, a kobieta wrzeszczała:

– Co się stało?! Co ci jest?!

Potknął się o dywan. To, co nastąpiło potem, przypominało urzekający podwodny taniec. Poczul, że leci, że płynie, żegluj w powietrzu. Poczul, że rozkłada ramiona jak skrzydła i fruwa w płynnych przestworzach.

Siły upadku nawet nie zarejestrował.

– Tatusiu! O mój Boże!

Te przekłete karzełki piszczwały i drapały go pazurami po głowie. Kobieta uklękła. Odwróciła go na plecy.

– Tatusiu, nic ci się nie stało?

– Umiem latać – wyszeptał.

Kobieta spojrziała na karzełki.

– Pędźcie do telefonu i niech któraś wykręci dziewięćset jedenaście. Szybko!

Angus poruszył ręką, machając nią niby skrzydłem.

– Nie ruszaj się, tatusiu. Zaraz przyjedzie karetka.

Umiem latać! Płynął, żeglował w powietrzu jak ptak. Umiem latać.

– Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Nie poznaje mnie, nie poznaje wnuczek. Nie wiedziałam, co robić, więc wezwałam karetkę. – Kobieta z trwogą popatrzyła w stronę gabinetu lekarskiego, gdzie pielęgniarka mierzyła Angusowi temperaturę i ciśnienie. – To udar, prawda?

– Będę mogła coś powiedzieć dopiero po badaniu – odparła Toby.

– Ale czy nie wygląda to na udar?

– Możliwe. – Toby ciepło uścisnęła jej ramię. – Proszę usiąść w poczekalni. Porozmawiamy, jak skończę.

Edith Lacy kiwnęła głową. Skrzyżowanymi przed sobą rękami objęła się w pół, wyszła do poczekalni i ciężko opadła na kozetkę między dwiema córkami. Przytuliły się do siebie, ciepło i mocno, by zamknąć się w swoim świecie.

Toby weszła do gabinetu.

Angus Parmenter leżał przywiązany do wózka, bełkocząc coś o obcych w domu. Jak na osiemdziesięciodwuletniego starca kończyny miał zdumiewająco jędrne i muskularne. Był tylko w podkoszulku. Tak znalazła go córka, nagiego od pasa w dół.

Maudeen zdjęła opaskę aparatu do mierzenia ciśnienia krwi i zręcznie wsunęła go do schowka w ścianie.

– Wyniki w normie – powiedziała. – Sto trzydzieści na siedemdziesiąt. Tętno regularne, dziewięćdziesiąt cztery.

– Temperatura?

– Trzydzieści osiem – odrzekła Val.

Toby stanęła przy głowie pacjenta i spróbowała skupić jego uwagę.

– Panie Parmenter? Angus? Jestem doktor Harper.

– ... prosto do domu, nie chcieli zostawić mnie w spokoju, a potem...

– Angus, czy pan upadł? Czy uderzył się pan w głowę?

– ... te przekłete karzełki próbowały okraść mnie z pieniędzy. Wszyscy chcą okraść mnie z pieniędzy.

Maudeen pokręciła głową.

– Nie można nic z niego wyciągnąć.

– Córka twierdzi, że był zdrowy. Że ostatnio nie chorował. – Toby zaświeciła pacjentowi latarką w oczy. Źrenice się zwężyły. – Ledwo dwa tygodnie temu rozmawiała z nim przez telefon i mówił ponoć całkiem rozsądnie. Angus! Angus, co się panu stało?

– ... zawsze próbują podwędzić te przeklęte pieniądze...

– Zafiksował się – westchnęła Toby i wyłączyła latarkę. Prowadziła badanie dalej, poszukując symptomów urazu głowy, zwracając szczególną uwagę na nerwy czaszkowe. Na próżno. Nie stwierdziła żadnych objawów, które pozwoliłyby umiejscowić ognisko choroby, nie znalazła nic, co mogło stanowić przyczynę jego nagłej dezorientacji i splątania. Córka wspomniała, że się zataczał. Czyżby miał udar mózdzku? Mogłoby to wywołać zaburzenie koordynacji ruchów.

Rozpięła pas na jego prawym nadgarstku i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Angus, czy może pan dotknąć moich palców?

– Jest pani za daleko.

– Moja dłoń jest tu, przed pańską twarzą. Śmiało, niech pan spróbuje jej dotknąć.

Podniósł rękę. Zachybotła w powietrzu, zatańczyła niczym kobra.

Zadzwoił telefon. Odebrała Maudeen.

Ręka Angusa zadrżała, zaczęła dygotać rytmicznie i tak gwałtownie, że aż trząśł się wózek.

– Co mu jest? – spytała Val. – Ma drgawki?

– Angus! – Toby chwyciła go za głowę i zajrzała mu w oczy. Nie patrzył na nią patrzył na swoją rękę. – Angus, czy może pan mówić?

– Znowu to samo – szepnął.

– Co? To drżenie?

– Ręka... Czyja to ręka?

– Pańska.

Nagle wszystko ustało. Ramię bezwładnie opadło na wózek. Angus zamknął oczy.

– No – powiedział. – Teraz lepiej.

Maudeen odwróciła się ze słuchawką w ręce.

– Toby? Dzwoni jakiś Wallenberg, doktor Wallenberg. Chce z tobą rozmawiać.

Toby podeszła do telefonu.

– Doktor Wallenberg? Mówi Toby Harper, lekarz dyżurny z izby przyjęć.

– Macie mojego pacjenta.

– Pana Parmentera?

– Przed chwilą dzwonili do mnie z pogotowia. Powiedzieli, że przewieziono go do was. Co się stało?

– Znaleziono go w domu, w stanie splątania. W tej chwili jest

przytomny i stabilny, choć ma ataksję ruchową i jest bardzo zdezorientowany. Nie rozpoznaje nawet swojej córki.

– Dawno u was jest?

– Karetka przywiozła go koło dziewiątej.

Wallenberg zamilkł. Toby usłyszała w tle czyjeś głosy i śmiech. Przyjęcie.

– Będę u was za godzinę. Nie pozwólcie mu się załamać.

– Panie doktorze...

Nie zdążyła nic dodać. Wallenberg przerwał połączenie.

Toby spojrzała na Parmentera. Leżał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Jego gałki oczne przesuwaly się to w lewo, to w prawo, jakby oglądał mecz tenisowy pokazywany w zwolnionym tempie.

– Zróbmy tomografię – powiedziała. – I trzeba mu pobrać krew.

Val wyjęła z szuflady garść probówek.

– To co zwykle? Biochemia i morfologia?

– I test na obecność narkotyków. Wygląda na to, że ma halucynacje.

Maudeen podniosła słuchawkę.

– Zadzwoń na rentgen.

– Jeszcze jedno, moje drogie panie – dodała Toby. – Bez względu na to, co się dzisiaj będzie działo, nie wolno nam spuścić go z oka. Do chwili, kiedy zostanie wypisany z izby.

Val i Maudeen przytaknęły ze zrozumieniem.

Toby ujęła rękę Parmentera i starannie przypięła ją do bocznej poręczy wózka.

– A oto nasze przekroje – powiedział technik obsługujący tomograf.

Toby spojrzała na ekran monitora, gdzie widniał pierwszy obraz, owal w różnych odcieniach szarości. Patrzyła na przekrój mózgu Angusa Parmentera. Komputer przeanalizował tysiące promieni X, które przeniknęły jego czaszkę, i uwzględnivszy grubość kości, gęstość płynów ustrojowych oraz mózgu, wyświetlił na ekranie ten obraz. Czaszka, gruba, biała krawędź, przypominała skórę owocu, pod którą znajdowała się szarawa pulpa mózgu, poprzecinana ciemnymi bruzdami.

Na ekranie pojawiła się seria obrazów, z których każdy przedstawiał przekrój innego fragmentu czaszki pacjenta. Zobaczyła rogi przednie komór bocznych, dwa czarne owale wypełnione płynem mózgowordzeniowym. Zobaczyła jądra ogoniaste, wzgórze wzrokowe... Nie było tam żadnych przesunięć anatomicznych, żadnej asymetrii,

najmniejszych śladów krwawienia do którejkolwiek części mózgu.

– Nie widzę tu nic, co odbiegałoby od normy – skonstatowała.

Vince nie był lekarzem, ale jako technik rentgenolog widział więcej przekrojów tomograficznych niż ona. Kiedy na ekranie monitora pojawił się kolejny obraz, zmarszczył czoło i rzucił:

– Moment. To dziwne...

– Co?

– Tu, widzi pani? – Wskazał palcem smugę pośrodku przekroju. – To jest siodełko tureckie. Powinno być wyraźne, a ma rozmazane brzegi.

– Może pacjent się poruszył?

– Pozostała część przekroju jest bardzo ostra. Nie, pacjent się nie poruszył... – Vince podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer domowy radiologa dyżurnego. – Pan doktor? Mówi Vince. Widzi pan te przekroje na swoim komputerze? To świetnie. Tak, właśnie oglądamy je z doktor Harper. Zastanowił nas ten ostatni... – Zatańczył palcami po klawiaturze, przywołując na ekran przekrój siodełka. – Widzi pan? Co pan o tym myśli?

Podczas gdy Vince konferował z doktorem Ritterem, Toby przysunęła się bliżej ekranu. Zmiana, którą wychwycił, była tak subtelna, że prawie niezauważalna. Siodełko tureckie to maleńka kieszeń z cienkiej kości, mieszcząca przysadkę mózgową. Przysadka jest gruczołem niezmiernie ważnym. Wytwarzane tu hormony kontrolują bardzo wiele funkcji organizmu, między innymi płodność, wzrastanie w okresie dzieciństwa, cykl snu i czuwania. Czy to możliwe, by maleńka erozja siodełka wywołała u pacjenta symptomy chorobowe?

– Dobra – rzucił Vince – zrobię gęste przekroje czołowe siodełka. Coś jeszcze?

– Chcę z nim porozmawiać – Toby wzięła słuchawkę. – Cześć, George, mówi Toby. Co myślisz o tym siodełku?

– Niewiele tu do myślenia. – Usłyszała skrzypnięcie fotela, pewnie skórzanego. George Ritter lubił luksus. Wyobraziła sobie, jak siedzi w swoim gabinecie, otoczony najnowszymi osiągnięciami techniki komputerowej. – Gruczolak przysadki mózgowej u pacjenta w jego wieku nie należy do rzadkości. Występuje u dwudziestu procent osiemdziesięciolatków.

– I często doprowadza do erozji siodełka?

– No, nie. Ten jest lekko powiększony. A jak u niego z hormonami?

– Jeszcze nie sprawdzałam. Dopiero co przywieziono go do nas w stanie ostrego splątania. Czy powodem może być gruczolak?

– Nie, chyba że doprowadził do wtórnej anomalii metabolicznej. Sprawdzałaś elektrolity?

– Właśnie czekamy na wyniki.

– Jeśli są w normie, system wydzielania wewnętrznego funkcjonuje prawidłowo i powodem splątania jest coś innego. Ten gruczolak jest za mały, żeby wywierać nacisk na mózg. Kazałem Vince'owi zrobić gęste przekroje czołowe siodełka, to powinno nam dopomóc. Pewnie zechcesz wysłać pacjenta również na MR. Kto go leczy?

– Doktor Wallenberg.

W słuchawce zapadła cisza.

– To pacjent z Brant Hill?

– Tak.

Poirytowany Ritter ciężko westchnął.

– Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś.

– Dlaczego?

– Nie diagnozuję pacjentów z Brant Hill, mają swojego radiologa. Co oznacza, że mi za to nie zapłacą.

– Przepraszam, nie wiedziałam. Od kiedy tak jest?

– Od miesiąca. Podpisaliśmy z nimi porozumienie, że pacjenci z Brant Hill nie będą przechodzić przez naszą izbę. Tamtejsi lekarze kierują ich bezpośrednio na odpowiednie oddziały. Jak ten człowiek do was trafił?

– Córka spanikowała i wykręciła dziewięćset jedenaście. Wallenberg już tu jedzie.

– Z Bogiem. W takim razie niech on zdecyduje, co zrobić z tym przekrojem czołowym siodełka. Ja idę spać.

Toby odłożyła słuchawkę i spojrzała na Vince'a.

– Dlaczego nie powiedział mi pan, że Brant Hill ma zamknięty system rejestracyjny?

Spojrzał na nią lękliwie.

– Bo nie powiedziała mi pani, że on jest stamtąd.

– Nie ufają naszym radiologom?

– Nasi technicy robią tylko zdjęcia, od interpretacji są tamci. Pewnie chcą dać zarobić swoim.

Znowu ta polityka, pomyślała Toby. Wszyscy walczą o każdego centa, a budżet służby zdrowia wciąż się kurczy.

Wstała i zajrzała przez okno do komory tomograficznej. Pacjent leżał nieruchomo. Miał zamknięte oczy, bezgłośnie poruszał wargami. Drżenie ręki nie powróciło, ale trzeba będzie zrobić mu EEG, żeby wykluczyć wylew. I prawdopodobnie nakłucie lędźwiowe. Znużona oparła się o

szybę, zastanawiając się, co przeoczyła tym razem.

Harry Slotkin zniknął przed dwoma tygodniami i od tamtej pory zarząd szpitala miał ją na oku, musiała więc być jeszcze staranniejsza niż zwykle. Każdego popołudnia budziła się z przeczuciem, że właśnie znaleźli lub znajdą dziś jego zwłoki, że jej nazwisko znowu stanie się nazwiskiem publicznym. Wystarczyła jej pierwsza fala wątpliwej popularności. Przez tydzień od tamtego nieszczęsnego dyżuru wszystkie miejscowe stacje telewizyjne nadawały programy o zaginięciu Slotkina. Ciężko tę burzę przeżyła. Teraz wiadomość się zestarzała i ludzie pewnie o niej zapomnieli, ale dobrze wiedziała, że gdy tylko znajdą jego zwłoki, prasa, radio i telewizja zrobią z tego sensację dnia. I znowu pójdę pod ścianę – myślała – i znów czeka mnie walka z prawnikami i reporterami.

Otworzyły się drzwi.

– To mój pacjent tam leży?

Toby odwróciła się zaskoczona i zobaczyła uderzająco wysokiego mężczyznę w smokingu. Mężczyzna rzucił okiem na Vince'a i, rozpoznając w nim zwykłego technika, od razu go zignorował. Podszedł do szyby i spojrzał na Angusa Parmentera.

– Nie prosiłem o tomografię. Kto ją zlecił?

– Ja – odparła Toby.

Teraz z kolei Wallenberg skupił wzrok na osobie lekarki, jakby w końcu uznał, że warto jej się przyjrzeć. Mógł mieć najwyżej czterdzieści lat, jednak patrzył na nią z wyraźną wyższością. Może to przez ten smoking? Facet jak model z okładki „Gentlemen's Quarterly” miał wszelkie powody, żeby patrzeć na nich z góry. Z grzywą ciemnych, idealnie przystrzyżonych, odrzuconych do tyłu włosów, z czujnymi, choć niezbyt przyjaznymi oczami w kolorze bursztynu przypominał młodego lwa.

– Doktor Harper?

– Tak. Chciałam zaoszczędzić panu czasu, zleciłam więc tomografię.

– Pozwoli pani, że następnym razem sam zaordynuję badania.

– Uznałam, że to przyspieszy sprawę.

Zwęziły mu się oczy. Zamierzał coś odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. Kiwnął głową i spojrzał na Vince'a.

– Proszę przewieźć pacjenta na drugie piętro skrzydła medycznego. – I ruszył w stronę drzwi.

– Panie doktorze – zatrzymała go Toby. – Nie chce pan spojrzeć na wyniki badań?

– A jest na co?

– Wykryliśmy niewielką erozję siodełka tureckiego. Wygląda na to, że ma gruczolaka przysadki mózgowej.

– Coś jeszcze?

– Nie, pewnie jednak zechce pan zrobić pacjentowi przekrój czołowy siodełka, a skoro już mamy go na stole...

– To niekonieczne. Proszę odesłać go na górę. Wypiszę skierowanie.

– A co z tym gruczolakiem? Wiem, że to nic groźnego, ale interwencja chirurgiczna może się okazać niezbędna.

Wallenberg odwrócił się, niecierpliwie wzdychając.

– Pani doktor. Doskonale wiem, że pacjent ma gruczolaka przysadki mózgowej. Obserwuję go od dwóch lat. Badanie siodełka, o którym pani mówi, byłoby stratą pieniędzy. Ale dziękuję za cenną sugestię. – Iz tymi słowami opuścił pokój.

– Jezu – mruknął Vince. – A temu kto nasrał w kieszeń?

Toby spojrzała na Angusa, który cicho bełkotał. Nie zgadzała się z Wallenbergiem, uważała, że wnikliwsze badania radiologiczne są niezbędne. No ale cóż, pacjent przestał już być jej pacjentem.

Przeniosła wzrok na Vince'a.

– Do roboty. Przenieśmy go na wózek.

Rozdział siódmy

Na szarej tablicy widniał niebieski napis: „Poradnictwo przedporodowe”. Usłyszała, że w pokoju dzwoni telefon i znieruchomiła z ręką na klamce, wsłuchując się w szmer głosu za zamkniętymi drzwiami.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła do środka.

Recepcjonistka jej nie dostrzegła, przynajmniej z początku; była zajęta rozmową przez telefon. Molly przystanąła przed biurkiem, czekając, aż ktoś raczy ją zauważyć. Bała się przerwać tej zapracowanej kobiecie. W końcu recepcjonistka podniosła wzrok i spytała:

– Czym mogę służyć?

– Eee... Miałam tu z kimś porozmawiać...

– Pani Picker?

– Tak. – Molly z ulgą kiwnęła głową. A więc jej oczekiwali. – To ja.

Kobieta uśmiechnęła się, a właściwie posłała jej coś w rodzaju uśmiešku, który wykwita na ustach i na ustach gaśnie.

– Mam na imię Linda, rozmawialiśmy przez telefon. Przejdźmy do tamtego pokoju, dobrze?

Molly rozejrzała się niepewnie.

– Nie ma tu pielęgniarki? Nie muszę przedtem... No, wie pani, zrobić siusiu do butelki, czy coś w tym stylu?

– Nie, dzisiaj tylko porozmawiamy. A toaleta jest w poczekalni, w każdej chwili może z niej pani skorzystać.

– Nie, jakoś wytrzymam.

Weszła za nią do sąsiedniego pomieszczenia. Był to mały gabinet z biurkiem i dwoma krzesłami. Na ścianie wisiał olbrzymi plakat, przedstawiający przekrój brzucha ciężarnej kobiety, tak że widać było spoczywające w łonie dziecko; miało zamknięte oczy – pewnie spało – i podkurczone rączki i nóżki. Na biurku stał plastikowy model macicy, trójwymiarowa układanka, którą można było rozebrać na poszczególne warstwy, by zademonstrować prawidłowe ułożenie dziecka w brzuchu matki. Leżał tam również duży album, otwarty na zdjęciu pustego wózka – Molly uznała, że to trochę dziwne.

– Proszę usiąść – powiedziała Linda. – Napije się pani herbaty? A może soku jabłkowego?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? To naprawdę żaden kłopot.

– Nie, nie chce mi się pić.

Linda usiadła dokładnie naprzeciwko niej. Uśmiechała się teraz z wyraźnym zatroskaniem. Miała jasnoniebieskie oczy, które przy oszczędnym makijażu byłyby całkiem ładne, gdyby nie spoglądały z twarzy tak nijakiej i posepnej. Molly czuła się przy niej bardzo nieswojo, a Linda nie miała w sobie absolutnie nic, co by ją rozluźniło. Trudno, żeby dopomógł jej w tym widok trwałej, w której rozmówczyni wyglądała jak gospodyni domowa z prowincji, albo sukienka z wysoką stójką czy wąskie, mocno zaciśnięte usta. Różniły się od siebie tak bardzo, że Linda mogłaby pochodzić z innej planety. Molly wyczuła, że i jej rozmówczyni dostrzega tę różnicę: kryło się to w jej sposobie siedzenia, sztywno wyprostowanych ramionach, kościstych dłoniach splecionych na biurku. Nagle stwierdziła, że musi, że po prostu musi obciągnąć spódniczkę i skrzyżować ręce na piersi. Odczuła też coś, czego nie doświadczyła od bardzo dawna.

Czuła, że się wstydzi.

– A teraz – zagaiła Linda – proszę mi opowiedzieć o swojej sytuacji.

– O mojej... sytuacji?

– Powiedziała pani przez telefon, że jest pani w ciąży. Czy ma pani objawy?

– Tak. Chyba tak.

– Może mi pani powiedzieć jakie?

– No... – Molly spojrzała w dół. Spódniczka podjechała jej do pól uda. Dziewczyna niespokojnie poruszyła się na krześle. – Rano wymiotuję. Na okrągło siusiam. I od jakiegoś czasu nie mam miesiączki.

– Od kiedy nie ma pani okresu?

Molly wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna. Ostatni miałam chyba w maju.

– To ponad cztery miesiące temu. Nie martwiła się pani, że tak bardzo się opóźnia?

– Bo ja wiem... Jakoś tego nie śledziłam. A potem złapałam gripę żołądkową i myślałam, że spóźnia się, bo zachorowałam. No i chyba nie chciałam się nad tym zastanawiać. Nad tym, co to znaczy. Wie pani, jak to jest.

Linda najwyraźniej nie wiedziała. Po prostu patrzyła na nią swoimi małymi oczkami.

– Jest pani mężatką?

Zaskoczona Molly parsknęła śmiechem.

– Nie, proszę pani.

– Ale uprawiała pani... seks. – Słowo to zabrzmiało jak zduszone chrząknięcie.

Molly znowu poruszyła się na krześle.

– No, tak – odrzekła. – Uprawiałam.

– Bez zabezpieczenia?

– Pyta pani o gumki? Nie, o gumkach to ja pamiętam, ale... Ale chyba miałam małą wpadkę.

Linda odchrząknęła.

– Molly, czy wie pani, jak teraz wygląda pani dziecko?

Molly pokręciła głową.

– Ale rozumie pani, że tam, w brzuchu, nosi pani dziecko, prawda? – Podsunęła jej album, przerzuciła kilka kartek i wskazała zdjęcie dziecka zwiniętego w kłębuszek. – Tak wygląda czteromiesięczny płód. Ma buzię, rączki i stopki. Widzi pani, że jest już w pełni ukształtowany? To prawdziwe dziecko. Czyż nie jest piękne?

Molly zaszurała nogami.

– Zdecydowała się już pani na imię? Nie sądzi pani, że trzeba je jakoś nazwać? Kiedy zacznie się poruszać, a już wkrótce to pani poczuje, nie może pani mówić do niego „hej, ty”. Zna pani imię jego ojca?

– Nie.

– Jak w takim razie ma na imię pani tato?

Molly przełknęła ślinę.

– William – szepnęła. – Tato ma na imię William.

– Bardzo ładnie! Może nazwie go pani Willie? Oczywiście, jeśli okaże się, że to dziewczynka, imię trzeba będzie zmienić. – Uśmiechnęła się do niej. – Jest tyle pięknych imion dla dziewcząt. Mogłaby pani nadać jej swoje...

Molly spojrzała na nią oszołomiona.

– Dlaczego pani mi to robi? – spytała cicho.

– Co takiego?

– Próbuje pani...

– Próbuje dać ci szansę, Molly. Jedyłą szansę. Nosisz w sobie dziecko. Czteromiesięczny płód. Dobry Pan obarczył cię świętą odpowiedzialnością.

– Ale to nie dobry Pan mnie zerznął. Kobieta aż sapnęła, położyła rękę na ustach. Molly znów poruszyła się na krześle.

– Chyba już sobie pójdę...

– Nie, nie. Próbuje tylko przedstawić ci możliwości, wszystkie możliwości. Masz wybór, Molly, nie wierz tym, którzy mówią inaczej.

Możesz dać temu dziecku życie. Mały Willie może dzięki tobie żyć.

– Proszę go tak nie nazywać. – Molly wstała.

Linda też.

– On ma imię. To człowiek. Mogę skontaktować cię z agencją adopcyjną. Są ludzie, którzy tego dziecka pragną, tysiące rodzin czekają na dziecko. Czas pomyśleć o kimś innym prócz siebie.

– Muszę myśleć o sobie – szepnęła Molly. – Bo nikt inny o mnie nie myśli.

Wyszła z biura na ulicę.

W budce telefonicznej znalazła książkę z bostońskimi numerami, wśród nich kliniki świadomego macierzyństwa, ale z adresem na drugim końcu miasta.

Muszę myśleć o sobie. Bo nikt inny o mnie nie myśli. I nigdy nie myślał.

Pojechała autobusem i po dwóch przesiadkach znalazła się o jedną ulicę od celu wyprawy.

Na chodniku falował tłum. Ludzie coś skandowali, ale słów nie rozumiała. Słyszała tylko pulsujący rytmicznie, hałaśliwy chór głosów. Z boku stali dwaj policjanci z założonymi rękami. Wyraźnie się nudzili.

Molly przystanąła, niepewna, czy podejść bliżej, czy nie. Raptem tłum skupił uwagę na samochodzie, który zaparkował przy krawężniku. W tej samej chwili z gmachu wyszły spiesznie dwie kobiety. Przebiły się buńczucznie przez tłum i zatrzymały przy samochodzie, pomogły wysiąść wystraszonej kobiecie i, otoczywszy ją kręgiem ramion, ruszyły z powrotem ku drzwiom. Do akcji wkroczyli znudzeni policjanci. Przepychali się przez gąszcz ludzi, torując drogę idącym.

– Oto co robią tu z dziećmi! – wrzasnął jakiś mężczyzna i cisnął na chodnik słój.

Rozprysło się szkło, a na beton chlusnęła krew, struga szokująco szkarłatnej krwi.

– Dzieciobójcy! – skandował tłum. – Dzieciobójcy! Dzieciobójcy!

Trzy kobiety pochylły głowy i na oślep szły za policjantami. Po chwili były już na schodach. Trzasnęły drzwi.

Molly poczuła, że ktoś szarpie ją za rękaw – jakiś mężczyzna wetknął jej do ręki broszurę.

– Przyłącz się do naszej krucjaty, sestro!

Molly spojrzała na broszurę. Widniało na niej zdjęcie uśmiechniętego dziecka z miękkimi, jaśniutkimi włosami. I napis: *Jesteśmy Bożymi aniołami pomsty.*

– Potrzebujemy nowych żołnierzy – dodał mężczyzna. – To jedyny sposób na pokonanie szatana. Chętnie cię wśród nas powitamy. – Wyciągnął do niej rękę, z dłonią jak u kościotrupa.

Molly wybuchnęła płaczem i uciekła.

Autobusem wróciła do swojej dzielnicy.

Kiedy weszła na schody, zegarek wskazywał piątą. Była tak zmęczona, że ledwo powłóczyła nogami i z trudem pokonała ostatnie piętro.

Padła na łóżko, a za chwilę do pokoju wtargnął Romy.

– Gdzie byłaś? – warknął.

– Na spacerze.

Kopnął łóżko.

– Dorabiasz na boku, co? Mam na ciebie oko, wiem, gdzie łazisz.

– Daj mi spokój. Chce mi się spać.

– Puszczasz się? Gadaj, pieprzysz się na lewo?

– Wyjdź! Precz stąd! – Zepchnęła go nogą z łóżka.

Błąd. Romy wykręcił jej rękę. Zrobił to tak mocno i gwałtownie, że omal nie trzasnęły jej kości.

– Przestań! – krzyknęła. – Złamiesz mi...

– Zapominasz, kim jesteś, Molly Dolly. Zapominasz, z kim masz do czynienia. Nie lubię, jak znikasz, nie mówisz, dokąd wychodzisz.

– Puszczaj. Proszę cię, Romy, to boli!

Mruknął coś z odrazą i wreszcie ją puścił. Podeszedł do starego trzcinowego stolika, gdzie zostawiła torebkę. Chwycił ją i opróżnił na podłogę. Z portmonetki wyjął jedenaście dolarów, wszystkie pieniądze, jakie miała. Jeśli chodziła na lewiznę, marnie jej płacili. Wkładając pieniądze do kieszeni, zobaczył broszurę, tę ze zdjęciem blond bobaska na okładce.

Jesteśmy Bożymi aniołami pomsty.

Podniósł ją i wybuchnął śmiechem.

– Co to za gówno?

– Takie tam...

– Skąd to masz?

Wzruszyła ramionami.

– Od jakiegoś faceta.

– Od kogo?

– Nie wiem, jak się nazywa. Przechodziłam koło kliniki ginekologicznej. Na ulicy stała banda wariatów. Wrzeszczeli coś i popychali ludzi.

– Coś ty robiła koło kliniki?

– Nic. Nic nie robiłam.

Podszedł do łóżka i gwałtownie chwycił ją za podbródek.

– Chyba nie zrobiłaś czegoś bez mojej wiedzy? – spytał cicho.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nikt nie ma prawa dotknąć cię bez mojej zgody, jasne? – Wbił palce w jej twarz i wtedy się przestraszyła. Mówił cicho, a kiedy mówił cicho, był zły. Widziała sińce na twarzach innych dziewcząt. Widziała krwawe dziury zamiast zębów. – Myślałem, że wyjaśniliśmy to sobie już dawno.

Nacisk palców stawał się nie do zniesienia.

– Tak – szepnęła. – Tak, ja tylko... – Zamknęła oczy, przygotowując się na cios. – Zawaliłam, Romy. Chyba jestem w ciąży.

Ku jej zdziwieniu cios nie padł. Romy puścił ją i chyba zachichotał. Nie miała odwagi na niego spojrzeć i z pokorą schyliła głowę.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało – dodała. – Bałam się ci o tym powiedzieć. Pomyślałam, że sama to jakoś załatwię. Wtedy nie musiałabym nic ci mówić.

Ręka opadła na jej głowę – o dziwo, bardzo łagodnie. Niemal pieśczośliwie.

– Wiesz, że nie tak to załatwiamy. Wiesz, że o ciebie dbam. Musisz nauczyć się mi ufać, Molly Dolly. Musisz nauczyć się mi zwierzać. – Musnął palcami jej policzek. – Znam takiego jednego lekarza.

Molly zeszywniała.

– Zajmę się tym tak samo, jak zajmuję się wszystkim innym. Dlatego nie rób nic na własną rękę. Dotarło?

Kiwnęła głową.

Kiedy wyszedł, powoli rozprostowała kończyny i głęboko westchnęła. Tym razem jakoś się wywinęła. Dopiero teraz, po awanturze, zdała sobie sprawę, że niewiele brakowało, a straszliwie by oberwała. Z Romym zadzierają tylko te, które nie szanowały własnych zębów.

Znów zgłodniała, ostatnio ciągle była głodna. Sięgnęła pod łóżko po fritosy, ale przypomniała sobie, że rano wykończyła całą paczkę. Wstała i zaczęła buszować po pokoju, szukając czegoś do zjedzenia.

Jej wzrok padł na zdjęcie bobasa na broszurze; leżała na podłodze, tam gdzie rzucił ją Romy.

Jesteśmy Bożymi aniołami pomsty.

Podniosła ją i przyjrzała się buzi dziecka. Czy to dziewczynka, czy chłopiec? Nie umiała powiedzieć. Nie znała się na dzieciach, nie widywała ich od lat, odkąd sama była dzieckiem. Jak przez mgłę przypominała sobie tylko, że kiedyś trzymała na kolanach Lily, młodszą siostrę. Pamiętała

chrzest majteczek z tworzywa na jej pieluszcze, słodki zapach zasypanej pudrem skóry. I to, że Lily nie miała szyi, tylko mały, miękki garb między ramionkami.

Położyła się i dotknęła brzucha, jędrnego, twardego jak pomarańcza. Przed oczyma stało jej zdjęcie z albumu Lindy: fotografia dziecka z całkowicie ukształtowanymi paluszkami i stopkami. Kieszonkowego malca, który zmieściłby się w jednej dłoni.

Jesteśmy Bożymi aniołami pomsty.

Zamknęła oczy i pomyślała: A co ze mną, Boże? O mnie zapomniałeś.

Toby ściągnęła rękawiczki i wrzuciła je do kosza.

– Już po wszystkim. Będiesz miał co pokazywać kolegom.

Chłopak zebrał się na odwagę i spojrzał na swój łokieć. Gdy Toby zszywała ranę, zacisnął powieki, nawet nie próbował zerkać. Teraz patrzył zdziwiony na niebieską nylonową nić.

– O rany... Ile szwów?

– Pięć.

– To dużo?

– O pięć za dużo. Może lepiej odstaw deskorolkę, co?

– Nie, urządziłem się inaczej. – Usiadł, zsunął się ze stołu i natychmiast się zachwiał.

– No proszę. – Maudeen podtrzymała go pod pachy i pomogła mu usiąść na krześle. – Za szybko się wstało, panie kolego. – Wepchnęła mu głowę między kolana, spojrzała na Toby i wywróciła oczami. Te nastolatki! Chwalą się tylko, a słabe to jak muchy. Ten bohater wmaszeruje jutro do szkoły, dumnie wymachując ręką, by pokazać wszystkim nową bitewną ranę. Nie będzie zwracał sobie głowy szczegółami i na pewno nie wspomni, że omal nie zemdlał w ramionach pielęgniarki.

Zaterkotał interkom. Dzwoniła Val.

– Pani doktor, reanimacja na drugim zachodnim!

Toby zerwała się na równe nogi.

– Już lecę.

Minąwszy windę, wbiegła na schody. Wiedziała, że szybciej dotrze tam piechotą.

Na drugim piętrze skrzyła do skrzydła zachodniego i, widząc pielęgniarkę pchającą przez drzwi wózek reanimacyjny, wpadła za nią do sali.

Przy łóżku stały już dwie pielęgniarki oddziałowe. Jedna trzymała maskę przy twarzy pacjenta i pompowała tlen, druga robiła masaż serca. Pielęgniarka z wózkiem wyszarpnęła kable i przyłożyła elektrody EKG do piersi pacjenta.

– Co się stało? – rzuciła Toby.

– Kiedy go znalazłam, miał drgawki – odpowiedziała pielęgniarka zajęta masażem serca. – Potem zwiotczał i... przestał oddychać – mówiła rytmicznie, w tempie nachylania się i ugniatania klatki piersiowej. – Doktor Wallenberg... już tu jedzie.

Wallenberg? Toby spojrzała na głowę chorego. Nie rozpoznała go, ponieważ miał na twarzy maskę tlenową, ale teraz...

– Czy to pan Parmenter?

– Niedomaga od kilku dni. Dziś rano chciałam przenieść go na OIOM.

Toby precyzyjnie się bliżej wezłowania.

– Szybciej z tymi przewodami. Zajmę się oddechem. Rurka numer siedem.

Pielęgniarka podała jej laryngoskop i rozerwała opakowanie rurki intubacyjnej.

Toby przykucnęła przy głowie pacjenta.

Dobra, do roboty.

Zdjęto maskę. Toby odchyliła Parmenterowi głowę i wsunęła mu do ust laryngoskop. Błyskawicznie zlokalizowała struny głosowe i wprowadziła plastikową rurkę. Podłączono przewody i wznowiono pompowanie tlenu.

– Mam zapis! – zawołała pielęgniarka. – Wygląda na migotanie.

– Defibrylator! – rzuciła Toby. – Sto dzuli. I bolus lidokainy, sto miligramów.

Wydawała za dużo poleceń naraz i pielęgniarka sprawiała wrażenie zagubionej. W izbie każde zadanie wykonano by w mgnieniu oka, lekarz nie musiałby mówić ani słowa. Toby żałowała, że nie zabrała ze sobą Maudeen.

Chwyciła elektrody i przyłożyła do klatki piersiowej pacjenta.

– Cofnąć się! – rzuciła i włączyła prąd.

Przez ciało Angusa Parmentera popłynęło sto dzuli.

Wszystkie utkwili wzrok w ekranie monitora.

Linia rytmu pracy serca wystrzeliła w górę, opadła, a po chwili... mignął na niej jasny punkcik, stromy szczyt zespołu QRS. Potem następny. I jeszcze jeden.

– Tak! – sapnęła Toby. Ujęła pacjenta za rękę i natychmiast wyczuła puls. Był słaby, ale był. – Niech ktoś zadzwoni na OIOM, trzeba go tam

przewieźć.

– Jest ciśnienie. Osiemdziesiąt pięć...

– Możemy pobrać elektrolity? Podajcie mi strzykawkę do pobierania krwi na gazometrię.

– Proszę, pani doktor.

Toby zdjęła nasadkę z igły. Nie tracąc czasu na poszukiwanie tętnicy promieniowej, od razu wkłuła się pod kątem w udowę. Trafiła bez pudła, czego dowodem była struga jasnoczerwonej krwi w strzykawce. Pobrała trzy centymetry sześciennie i podała strzykawkę pielęgniarce.

– Dobrze, w porządku. – Uciskając tętnicę, głęboko odetchnęła. Pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku, by spokojnie ocenić sytuację. Pacjent oddychał, miał wyczuwalne tętno i dobre ciśnienie – jakoś sobie poradziły. Teraz mogła zadać pytanie najważniejsze: skąd ta nagła zapaść?

– Mówiła pani, że miał drgawki? – spytała.

– Tak, to był atak drgawek – odrzekła pielęgniarka. – o dziesiątej roznosiłam lekarstwa i zobaczyłam, że ręka mu dygocze. No i nie reagował na bodźce. W razie potrzeby mamy podawać mu dożylnie valium i właśnie szykowałam strzykawkę, kiedy przestał oddychać.

– Valium? Wallenberg zaordynował valium?

– Tak, na te ataki.

– Dużo ich miał?

– Odkąd do nas trafił? Może sześć. Średnio raz dziennie. Zwykle ma drgawki prawej ręki. I nie jest w stanie utrzymać równowagi.

Toby zmarszczyła czoło. Nagle przed oczyma stanął jej Harry Slotkin, jego dygocząca noga.

– Jaką diagnozę postawili? Wiedzą już, co mu jest?

– Ciągłe nad tym pracują. Ściągnęli nawet neurologa, ale chyba nic jeszcze nie wykrył.

– Pacjent jest tu od tygodnia, a oni nie potrafią nic ustalić?

– Nie wiem, mnie nic nie mówili. – Pielęgniarka spojrzała na koleżanki, które jednocześnie pokręciły głowami.

Usłyszały go, zanim zdały sobie sprawę, że wszedł do sali.

– Co z nim? – rzucił. – Utrzymałyście go?

Toby się odwróciła. Wallenberg. Spotkali się wzrokiem i przez ułamek sekundy widziała w jego oczach wyraźne zdumienie. Zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

– Miał migotanie komór – odparła. – Poprzedzone drgawkami i zatrzymaniem oddechu. Zastosowałyśmy defibrylację i przywróciłyśmy rytm zatokowy. Czekamy, aż przygotują łóżko na OIOM-ie.

Wallenberg kiwnął głową i automatycznie sięgnął po kartę choroby. Czyżby unikał jej wzroku? Obserwowała go, jak przerzuca kartki, i mimowolnie podziwiała jego opanowanie. Jego elegancję. Nie odstawał mu ani jeden włoszek na głowie, na białym fartuchu nie było ani jednej zmarszczki. Ubrana w zbyt obszerny fartuch, Toby poczuła się nagle tak, jakby wywleczono ją z kosza na brudną bieliznę.

– Słyszałam, że miał już kilka takich ataków – dodała. – To udar?

– Nie jesteśmy pewni. EEG tego nie potwierdza. – Wallenberg odłożył kartę i spojrzał na monitor, który pokazywał normalny rytm zatokowy. – Wygląda na to, że sytuacja jest opanowana. Resztą zajmę się sam. Dziękuję, pani doktor.

– Czy wykluczył pan toksyny? Czynniki zakaźne?

– Poprosiliśmy o konsultację neurologa.

– Czy badał go pod tym kątem?

Wallenberg posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Dlaczego?

– Ponieważ Harry Slotkin miał identyczne objawy. Drgawki ogniskowe, ostre stany splątania...

– U pacjentów w tym wieku ostre stany splątania występują dość często, pani doktor. To nie katar, tego nie można złapać.

– Ale obaj mieszkali w Brant Hill. U obu był ten sam obraz kliniczny. Może powodem jest jakaś toksyna...

– Jaka toksyna, pani doktor? Może pani mówić konkretniej?

– Nie, ale neurolog mógłby to ustalić.

– Mamy tu neurologa.

– No i? Wie, co mu jest?

– A pani, pani doktor?

Umilkła, zdumiona wrogim tonem jego głosu. Spojrzała na pielęgniarki. Skwapliwie unikały jej wzroku.

– Pani doktor? – W drzwiach pojawiła się głowa pielęgniarki pomocniczej. – Izba na linii. Mają pacjenta z bólem głowy.

– Już idę. – Toby spojrzała na Wallenberga, ale on już nałożył słuchawki, skutecznie ucinając dalszą dyskusję. Sfrustrowana wyszła z sali.

Schodząc do izby, powtarzała sobie, że Angus Paimenter nie jest jej pacjentem, że to nie jej problem. Że Wallenberg jest geriatrą i na pewno ma lepsze kwalifikacje niż ona.

Mimo to sprawa nie dawała jej spokoju.

Przez następnych dziesięć godzin harowała w izbie, odbierając parady

chorób, bólów w piersi, bólów brzucha i dzieci z gorączką. Ilekroć jednak zdarzyła się jej chwila spokoju, wracała myślą do Angusa Parmentera.

I do Harry'ego Slotkina, którego do tej pory nie odnaleziono. Zniknął przed z górą trzema tygodniami. Poprzedniej nocy temperatura spadła poniżej zera i Toby z trwogą wyobrażała sobie, jak musi czuć się człowiek wędrujący nago w takim zimnie. Wiedziała, że tylko się zadręcza, że znowu wymierza sobie karę. Harry Slotkin nie cierpiał na mrozie. Harry Slotkin niemal na pewno już nie żył.

O świcie, kiedy poczekalnia wreszcie opustoszała, Toby weszła do pokoju lekarzy. Za biurkiem wisiała półka z książkami medycznymi. Przesunęła po nich palcem i wyjęła podręcznik neurologii. W indeksie odszukała hasło „splątanie”. Występowało przy nim co najmniej dwadzieścia odsyłaczy do przeróżnych chorób, od gorączki poczynając aż po *delirium tremens*. Popatrzyła na spis treści. Splątanie metaboliczne. Zakaźne. Zwrodnieniowe. Neoplastyczne. Wrodzone.

Doszła do wniosku, że „splątanie” jest określeniem za szerokim; potrzebowała czegoś konkretniejszego, oznak fizycznych lub wyników badań laboratoryjnych, które umożliwiłyby właściwą diagnozę. Znowu przypomniawszy sobie Harry'ego Slotkina, jego drgającą nogę. Przypomniawszy sobie również słowa pielęgniarki o dygoczącej ręce Angusa Parmentera. Udar? Wallenberg twierdzi, że EEG udar wykluczyło.

Zamknęła książkę i z jękiem wstała. Musiała przejrzeć kartę choroby Parmentera. Może tam znajdzie wyniki badań laboratoryjnych, które odbiegają od normy, lub dane kliniczne, na które nikt dotąd nie zwrócił uwagi.

Siódma rano. Dyżur wreszcie dobiegł końca.

Wjechała windą na czwarte piętro, na oddział intensywnej opieki medycznej. Na stanowisku pielęgniarek stało siedem monitorów EKG. Siedząca przed nimi dyżurna wpatrywała się w ekrany jak zahipnotyzowana.

– Gdzie leży Angus Parmenter?

Pielęgniarka otrząsnęła się z transu.

– Parmenter? Nie znam tego nazwiska.

– Przeniesiono go wczoraj z drugiego zachodniego.

– Wczoraj? Wczoraj nikogo do nas nie przeniesiono. Jest tu ten zawałowiec, którego nam pani przysłała, ale...

– Nie, nie, Parmenter był po reanimacji.

– A tak, już pamiętam. Odwołali przeniesienie.

– Dlaczego?

– Musi pani zapytać na dole.

Toby zeszła schodami na drugie piętro. Stanowisko pielęgniarek było opustoszałe, na telefonie mrugało światelko. Toby podeszła do segregatora z kartami choroby, ale nie znalazła tam karty Angusa Parmentera. Coraz bardziej sfrustrowana, poszła na koniec korytarza, pchnęła drzwi do jego sali...

... i zamarła.

Przez okno wpadały promienie porannego słońca, oświetlając łóżko, na którym leżał Angus Parmenter. Miał na wpół otwarte oczy. Siną twarz i bezwładnie opuszczoną szczękę. Odłączono wszystkie kroplówki i kable monitora. Angus Parmenter nie żył.

Na korytarzu otworzyły się drzwi. Pielęgniarka wyprowadzała wózek z lekarami z sali naprzeciwko.

– Co się stało? – zapytała Toby, wskazując zwłoki. – Kiedy zmarł?

– Przed godziną.

– Dlaczego nie wezwano mnie do reanimacji?

– Był tu doktor Wallenberg. Postanowił go nie reanimować.

– Pacjent miał być przeniesiony na OIOM.

– Tak, ale doktor Wallenberg zadzwonił do jego córki i uzgodnili, że nie ma sensu tego robić. Ani stosować jakichś nadzwyczajnych środków. Pozwolili mu umrzeć.

Toby nie mogła z tym polemizować; Angus Parmenter miał osiemdziesiąt dwa lata, od tygodnia był w stanie śpiączki, na poprawę trudno by liczyć.

Miała jeszcze jedno pytanie:

– Czy rodzina wyraziła zgodę na sekcję zwłok?

Pielęgniarka oderwała wzrok od lekarstw.

– Sekcji nie będzie.

– Przecież musi być.

– Załatwiono już formalności pogrzebowe. Ci z kostnicy przyjeżdżają po ciało.

– Gdzie jest jego karta?

– Oddziałowa już ją zlikwidowała. Czekamy, aż doktor Wallenberg wystawi świadectwo zgonu.

– Wallenberg jest w szpitalu?

– Chyba tak. Ma spotkanie z konsultantem na chirurgii. Toby wróciła do stanowiska pielęgniarek. Pielęgniarki oddziałowej tam nie było, ale na biurku leżały formularze wypełnione na podstawie karty choroby Parmentera. Toby szybko je przejrzała i zatrzymała wzrok na ostatnim

wpisie Wallenberga.

Rodzina powiadomiona. Oddech ustał – pielęgniarce nie wyczuwają tętna. Pacjent osłuchany – nie stwierdzono bicia serca. Brak reakcji źrenic. Godzina zgonu: 5.58.

Ani słowa o sekcji zwłok, ani słowa na temat przypuszczalnej przyczyny śmierci.

Usłyszała pisk kół. Dwóch sanitariuszy wyprowadziło z windy wózek. Szli w stronę sali numer trzysta czterdzieści jeden.

– Chwileczkę – zatrzymała ich Toby. – Przyszedliście po zwłoki Angusa Parmentera?

– Tak.

– Moment. Na razie go nie zabierajcie.

– Już wysłali karawan.

– Zwłoki zostaną tutaj. Muszę porozmawiać z rodziną.

– Ale...

– Żadnych ale. Zaczekajcie, aż porozumiem się z doktorem Wallenbergiem.

Nie odpowiadał jednak na sygnał pagera. Sanitariusze stali na korytarzu, spoglądając po sobie i wzruszając ramionami. Toby spróbowała połączyć się z córką zmarłego; jej numer figurował w dokumentach. Po szóstym sygnale odłożyła słuchawkę, by kipiąc z wściekłości, zobaczyć, że sanitariusze wprowadzają wózek do sali zmarłego. Natychmiast za nimi pobięła.

– Mówiłam, żeby nigdzie go nie zabierać!

– Pani doktor, kazano nam zwieźć go na dół...

– To na pewno jakaś pomyłka. Doktor Wallenberg jest jeszcze w szpitalu. Zaczekajcie, aż z nim porozmawiam...

– O czym, pani doktor?

Toby odwróciła się na pięcie. W drzwiach stał Wallenberg.

– O sekcji zwłok – odrzekła.

Wallenberg wszedł do sali. Drzwi zamknęły się za nim z cichym fuknięciem.

– To pani do mnie dzwoniła?

– Tak. Zabierają zwłoki do kostnicy. Kazałam im poczekać, aż zarządzi pan autopsję.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Przecież nie wiadomo, dlaczego zmarł. Nie wiadomo, dlaczego był w stanie splątania.

– Najbardziej prawdopodobną przyczyną był udar.

– Badanie tomograficzne tego nie potwierdziło.

– Niewykluczone, że zrobiono je za wcześnie. Poza tym mogliście nie zauważyć martwicy.

– To są tylko domysły, panie doktorze.

– Czego pani chce? Żebym zlecił badanie komputerowe głowy martwego pacjenta?

Zafascynowani sanitariusze przysłuchiwali się gwałtownej wymianie zdań, spoglądając to na niego, to na nią. Teraz patrzyli na nią, czekali na odpowiedź.

– Harry Slotkin miał identyczne symptomy. Ostry napad splątania i drgawki ogniskowe. Obaj mieszkali w Brant Hill, obaj byli poprzednio zdrowi...

– Ludzie w ich wieku mają skłonność do udarów.

– Tak, ale może chodzić o coś innego i tylko drogą autopsji można to ustalić. Czy są jakieś powody, dla których nie chce pan jej przeprowadzić?

Wallenberg poczerwieniał. Wpadł w złość, w złość tak wielką, że niewiele brakowało, a Toby by się cofnęła. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu nad sobą zapanował.

– Nie zlecę autopsji, ponieważ córka zmarłego nie wyraziła zgody. A ja szanuję jej życzenie.

– Może nie rozumie, jakie to ważne. Gdybym z nią porozmawiała...

– Niech pani nawet o tym nie myśli. Naruszyłaby pani jej prywatność.

– Utwierdziwszy się w przekonaniu, że ugruntował swoją przewagę, zerknął na sanitariuszy. – Zabierzcie go na dół. – I zbywając Toby przelotnym spojrzeniem, wyszedł z sali.

Sanitariusze podprowadzili wózek do łóżka i zablokowali koła. Toby obserwowała ich w milczeniu.

– Raz, dwa, trzy – już!

Przenieśli zwłoki i przymocowali do wózka pasem. Zrobili to nie dla bezpieczeństwa, tylko ze względów estetycznych – po drodze wózek mógł na coś wpaść, rampy były strome, a widok nieboszczyka spadającego na podłogę nie należał do przyjemnych. Nad zwłokami zamocowali materac, który przykryli długim prześcieradłem, tak że postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że ma przed sobą pusty wózek.

Potem wywieźli ciało z sali.

Toby została sama. Wsłuchiwała się w popiskiwanie opon na korytarzu

i myślała. Na dole, w kostnicy, będą musieli wypełnić stos dokumentów, formularzy, upoważnień i zezwoleń. Potem zmarłego załadują do karawanu i przewiozą do zakładu pogrzebowego, gdzie ściągną ze zwłok płyny ustrojowe, by zastąpić je środkiem balsamującym.

A może go skremują? Ogień zredukuje ciało do garstki popiołu i na wszelkie pytania czy odpowiedzi będzie za późno.

To była jej ostatnia szansa, ostatnia okazja, żeby wykryć przyczynę śmierci Angusa Parmentera. Niewykluczone, że Harry'ego Slotkina również. Ponownie zadzwoniła do córki zmarłego.

Tym razem miała szczęście.

– Halo?

– Pani Lacy? Mówi doktor Harper. Poznałyśmy się w zeszłym tygodniu w szpitalu.

– Tak, pamiętam.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani ojca. Przed chwilą się o tym dowiedziałam.

Kobieta westchnęła, raczej ze znużeniem niż smutkiem.

– Spodziewaliśmy się tego. I szczerze mówiąc, przyjęliśmy to z ulgą. To brzmi strasznie, wiem, ale przez tydzień patrzyliśmy, jak się męczy i...

– Znowu westchnęła. – On nie chciałby tak żyć.

– Nikt by nie chciał, proszę mi wierzyć. – Toby zawahała się, szukając odpowiednich słów. – Proszę pani, wiem, że nie jest to właściwa pora, by o tym mówić, ale naprawdę nie mam wyboru. Doktor Wallenberg powiedział mi, że pani sobie nie życzy sekcji zwłok. Zdaję sobie sprawę, jak ciężko jest rodzinie wyrazić na to zgodę, ale naprawdę uważam, że w tym przypadku autopsja jest niezmiernie istotna. Nie wiemy, co było powodem śmierci pani ojca. Może się okazać, że...

– Nie sprzeciwiałam się sekcji.

– Doktor Wallenberg twierdzi, że nie wyraziła pani zgody.

– Nie, w ogóle o tym nie rozmawialiśmy.

Toby zamilkła. Dlaczego Wallenberg skłamał?

– W takim razie – zapytała – czy zechce pani wyrazić zgodę?

Córka Angusa Parmentera wahała się tylko kilka sekund.

– Skoro uważa pani, że to konieczne – odrzekła cicho. – Tak.

Toby odłożyła słuchawkę. W pierwszej chwili chciała zadzwonić na patologię, ale zmieniła zdanie. Wiedziała, że jeśli sprzeciwił się temu lekarz prowadzący, żaden ze szpitalnych anatomopatologów nie przeprowadzi sekcji zwłok, nawet za zgodą rodziny.

Dlaczego Wallenberg chce uniknąć autopsji? Czego się boi?

Spojrzała na telefon. Podejmij decyzję. Musisz zdecydować już, teraz, natychmiast. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do informacji.

– Poproszę o numer urzędu anatomopatologa stanowego w Bostonie.

Zanim podano jej numer i zanim połączyła się z odpowiednim wewnętrznym, upłynęło kilka minut. Czekać, wyobrażała sobie, jak zwłoki Angusa Parmentera wędrują do kostnicy. Winda. Automatycznie otwierające się drzwi. Piwnice. Korytarz pełen jęczących rur na ścianach...

– Urząd anatomopatologa stanowego. Mówi Stella.

Toby wróciła do rzeczywistości.

– Doktor Harper ze Springer Hospital w Newton. Czy mogłabym rozmawiać z anatomopatologiem stanowym?

– Doktor Rowbotham jest na urlopie, ale mogę panią połączyć z jego zastępcą, doktorem Dvorakiem.

– Bardzo proszę.

Kilka trzasków i głos mężczyzny, beznamiętny i znużony:

– Dvorak, słucham.

– Dopiero co zmarł mi pacjent – powiedziała. – Uważam, że trzeba przeprowadzić sekcję zwłok.

– Można spytać dlaczego?

– Przyjeliśmy go tydzień temu. Badałam go na dyżurze w izbie przyjęć, gdzie przywieziono go karetką...

– Stwierdziła pani jakieś obrażenia?

– Nie. Pacjent był oszołomiony i rozkojarzony, miał objawy mózdkowe. Dziś rano doszło do zatrzymania oddechu i zmarł.

– Czy pani widzi w tym coś podejrzanego?

– Nie, ale...

– W takim razie autopsję może przeprowadzić anatomopatolog szpitalny. Nie musi pani meldować o zgonie pacjenta, chyba że śmierć nastąpiłaby w ciągu dwudziestu czterech godzin od jego przyjęcia.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że koroner z reguły nie zajmuje się takimi przypadkami. Rzecz w tym, że lekarz prowadzący nie wyraża zgody na autopsję, co oznacza, że nasz anatomopatolog jej nie przeprowadzi. Dlatego do pana dzwonię. Rodzina się zgodziła.

Usłyszała długie westchnienie, szelest papierów i niemal ujrzała go oczyma wyobraźni: zmęczony, przepracowany, otoczony niezliczonymi symbolami śmierci – siedział za biurkiem i wzdychał. Smutny zawód – pomyślała – i Dvorak ma głos smutnego człowieka.

– Pani doktor, wydaje mi się, że nie rozumie pani roli naszego urzędu. Interwenujemy tylko wtedy, gdy dochodzi do przestępstwa albo gdy

zagrożone jest zdrowie publiczne...

– No właśnie, może być zagrożone.

– Jak to?

– To już drugi taki przypadek. W ciągu jednego miesiąca przyjąłem dwóch pacjentów z identycznymi objawami: obaj byli oszołomieni i splątani, obaj mieli objawy mózdkowe i drgawki ogniskowe. A najbardziej niepokoi mnie to, że obaj mieszkali w tym samym ośrodku dla emerytów. Pili tę samą wodę, jadali w tej samej restauracji. Prawdopodobnie się znali. Dvorak milczał.

– Nie mam pojęcia, co to może być – mówiła dalej Toby. – W grę wchodzi wiele możliwości: od wirusowego zapalenia opon mózgowych poczynając, na truciznach ogrodowych kończąc. Nie chciałabym przeoczyć niczego, co może zapobiec dalszym przypadkom występowania tej samej choroby.

– Mówi pani, że było ich dwóch...

– Tak. Pierwszego przyjąłem trzy tygodnie temu.

– I wyniki jego autopsji pani nie zadowolili?

– Nie było żadnej autopsji. Pacjent zniknął. Ciało dotąd nie znaleziono.

Dvorak znów cicho westchnął, ale gdy się odezwał, w jego głosie brzmiało lekkie zainteresowanie.

– Pracuje pani w Springer Hospital, tak? Nazwisko pacjenta?

– Angus Parmenter.

– Zwłoki są jeszcze u was?

– Dopilnuję, żeby były.

Zbiegła do piwnicy. Jarzeniówki na suficie mrugały jak lampy stroboskopowe, a kiedy pędziła korytarzem w stronę drzwi z napisem: „Obcym wstęp wzbroniony”, nogi zdawały się jej co chwila nieruchomieć niczym w filmowej stopklatce. Weszła do kostnicy.

W środku paliło się światło, grało radio stojące na biurku, ale w przedpokoju nie było nikogo.

Poszła dalej, do laboratorium anatomopatologicznego. Wyłożony nierdzewną blachą stół był pusty. Zajrzała do chłodni, gdzie przechowywano zwłoki przed sekcją. Wszędzie unosił się odór martwego ciała. Zapaliła światło i zobaczyła dwa wózki. Podeszła do pierwszego i rozpięła plastikową torbę. Wychyła z niej twarz starszej kobiety z otwartymi oczami o koszmarnie przekrwionych twardówkach. Toby wzdygnęła się, zapięła torbę i stanęła przy drugim wózku. Zwłoki były

duże i kiedy zaczęła rozpinąć zatrzask, spod plastikowej folii buchnął straszliwy fetor. Wystarczyło, że rzuciła okiem na twarz mężczyzny i aż się cofnęła, dławiąc mdłości. Z prawego policzka spadało mu ciało.

Przeżarły je bakterie – pomyślała – paciorkowiec martwiczy.

– Tu nie wolno wchodzić.

Odwróciła się i zobaczyła pracownika kostnicy.

– Szukam zwłok Angusa Parmentera. Gdzie są?

– Wywieźli je na rampę.

– Już go zabierają?

– Przed chwilą przyjechał karawan.

– Cholera jasna – mruknęła i wybiegła z kostnicy.

Trucht korytarzem i znalazła się przy drzwiach na rampę załadunkową. Pchnęła je i jej twarz zalały promienie jaskrawego słońca. Gwałtownie mrugając, błyskawicznie oceniła sytuację: sanitariusz stojący przy pustym wózku, odjeżdżający karawan. Puściła się pędem, minęła sanitariusza i biegnąc obok samochodu, zaczęła walić pięścią w okno od strony kierowcy.

– Stać! Niech pan stanie!

Kierowca zahamował i opuścił szybę.

– Co jest?

– Nie możecie zabrać zwłok.

– Wydali mi je, mam papiery.

– Ciało zabiera anatomopatolog stanowy.

– Nikt mi nic nie mówił. Wiem tylko tyle, że rodzina załatwiła już pogrzeb.

– Sprawę przejmuje urząd anatomopatologa stanowego. Może pan tam zadzwonić, niech pan poprosi doktora Dvoraka.

Kierowca obejrzał się na rampę, gdzie wciąż stał zaskoczony sanitariusz.

– Kurczę, sam nie wiem...

– Niech pan posłucha – nie ustępowała Toby. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. A teraz proszę się cofnąć. Trzeba wyładować zwłoki.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Jak pani chce – mruknął, wrzucając wsteczny. – Ale ktoś za to beknie. Mam nadzieję, że nie ja.

Rozdział ósmy

Lisa znowu z nim flirtowała. Była to jedna z irytujących dokuczliwości dnia powszedniego, które Daniel Dvorak nauczył się tolerować, tak samo jak tolerował jej długie, okraszone trzepotaniem powiek spojrzenia zza okularów ochronnych, nienasyconą ciekawość jego życia prywatnego, wyraźne sfrustrowanie wynikające z faktu, że konsekwentnie ignorował jej awanse. Nie miał pojęcia, co w nim widziała; przypuszczał, że jako człowiek cichy i milczący stanowi dla niej kuszące wyzwanie.

Cichy, milczący i starszy, skonstatował z rezygnacją, spoglądając na swoją młodą asystentkę. Lisa nie miała zmarszczek, nie miała siwych włosów ani worków pod oczami. Ta dwudziestosześcioletnia kobieta była – według nieśmiertelnego określenia Patricka, jego nastoletniego syna – wystrzałową blondyną. Ciekawe, jak mój kochany synalek nazywa za plecami mnie? – pomyślał. Starym pierdołą? Zgredem? Czterdzieści pięć lat to dla czternastolatka wiek równie odległy jak następna epoka lodowcowa.

Tymczasem wszyscy stoimy bliżej śmierci, niż się nam wydaje – dumiał, patrząc na nagie ciało leżące na stole w kostnicy. Światło, jaskrawe i bezwzględne, eksponowało każdą zmarszczkę, każdy pieprzyk na skórze. Siwe włosy na piersi. Czarne brodawki łojotokowe na szyi. Nieuniknione oznaki starości. Nawet jasnowłosa i gładkolica Lisa będzie kiedyś miała plamy wątrobowe.

– Dużo przebywał na otwartym powietrzu – zauważył, przeciągając palcem po szorstkiej skórze na czole nieboszczyka. – Rogowacenie starcze. Za dużo słońca.

– Ale jak na takiego starca ma bardzo ładnie rozwinięte mięśnie klatki piersiowej. – Kto jak kto, ale Lisa zawsze takie szczegóły zauważała. Wpadła w nałóg, od dwóch lat miała kręcka na punkcie gimnastyki, a jej dążenie do doskonałości fizycznej osiągnęło stadium, kiedy nieustannie mówiła o „brzusznym, brzuszno-bocznym i łydkowym”. Był to język obsesjonatów, ludzi myślących tylko o jednym: o mięśniach. Często widział, jak Lisa przegląda się w lustrze nad umywalką. Czy włosy dobrze leżą? Czy ten loczek jest wystarczająco podwinięty? A opalenizna – czy aby nie schodzi? Może tak pójść na dach i trochę się poopalać? Tylko dwadzieścia minut. Ta młodzieńcza troska o dobry wygląd była dla Dvoraka czymś zabawnym i jednocześnie zatrważającym.

On przestał już spoglądać w lustro i korzystał z niego tylko przy goleniu. A ilekroć widział swoje odbicie, zawsze się dziwił, że włosów ciemnych ma prawie tyle co i siwych. Dostrzegał ślady upływu lat na swojej twarzy, dostrzegał pogłębiające się zmarszczki koło oczu i trwałą już – między brwiami. Był zmęczony i wymizerowany. Po rozwodzie trzy lata temu stracił na wadze, a odkąd Patrick wyjechał przed dwoma miesiącami do szkoły z internatem, schudł jeszcze bardziej. Im gorzej mu się wiodło w życiu osobistym, tym szybciej chudł.

Tego ranka Lisa zauważyła, jak bardzo zeszczupłał.

– Świetnie pan wygląda, doktorze! – zaświergotała, co jedynie utwierdziło go w przekonaniu, że młodzi są ślepi.

Dvorak uważał, że wygląda fatalnie. Ilekroć spoglądał w lustro, widział człowieka, który powinien zażywać prozac. A ta sekcja na pewno nie poprawi mu humoru.

– Obróćmy go – powiedział. – Zacznę od pleców. Ułożyli zwłoki na boku. Dvorak ustawił lampę i na plecach zmarłego zauważył plamy opadowe, powstałe w wyniku pośmiertnego zalegania krwi, oraz blade plamy na pośladkach, gdzie ciężar ciała sprasował miękką tkanę. Nacisnął palcem sinawe odbarwienie. Zbielało.

– Plamy opadowe nieustalone. Na prawej łopatce mamy otarcie, ale to nic istotnego.

Odwrócili zmarłego na plecy.

– Pełne stężenie pośmiertne – zauważyła Lisa.

Dvorak zajrzał do dokumentów.

– Zgon nastąpił o piątej pięćdziesiąt osiem. Wszystko się zgadza.

– A te zasinienia na nadgarstkach?

– Pewnie musieli go przywiązać do łóżka. – Przerzucił kilka kartek i odnalazł notatkę pielęgniarki: „Pacjent rozdrażniony i unieruchomiony”. Gdyby wszystkie przypadki były tak dobrze udokumentowane! Kiedy przywożono im nowe zwłoki, cieszył się, jeżeli uprzednio je zidentyfikowano, a jeśli były nienaruszone i nie cuchnęły, wprost nie posiadał się z radości. Szukając ratunku przed najgorszymi odorami, on i jego asystenci nakładali kombinezony ochronne i maski tlenowe. Ale tego dnia pracowali tylko w rękawiczkach i okularach, tego dnia dostarczono im zwłoki przebadane w szpitalu na HIV i wirusowe zapalenie wątroby. I choć żadna sekcja do przyjemnych nie należy, wszystko wskazywało, że ta będzie raczej znośna. I prawdopodobnie bezowocna.

Poprawił lampę. Zmarły miał pokłute ręce. Na lewym przedramieniu naliczył cztery, na prawym pięć wyraźnych śladów po nakłuciach. I jeden

śląd w prawej pachwinie, najpewniej po nakłuciu tętnicznym. Ten człowiek nie zasnął spokojnie.

Dvorak ujął skalpel, zrobił nacięcie w kształcie litery „Y”, uniósł mostek i odsłonił klatkę piersiową wraz z jamą brzuszną.

Organy wewnętrzne prezentowały się normalnie.

Zaczął je usuwać, dyktując spostrzeżenia.

– Zwłoki dobrze odżywionego białego mężczyzny, w wieku osiemdziesięciu dwóch... – Urwał. Osiemdziesięciu dwóch lat? To chyba jakaś pomyłka. Zajrzał do dokumentów, by sprawdzić datę urodzenia. Wszystko się zgadzało.

– Dałabym mu najwyżej sześćdziesiąt pięć – powiedziała Lisa.

– Piszą tu, że miał osiemdziesiąt dwa.

– Może się pomylili?

Dvorak przyjrzał się twarzy zmarłego. Oznaki starzenia zależą zarówno od genów, jak i od stylu życia. Widział już osiemdziesięcioletnie kobiety, które mogły uchodzić za sześćdziesięciolatki. Widział też trzydziestopięcioletnich alkoholików wyglądających jak starcy. Pewne geny okazały się dla Angusa Parmentera szczególnie łaskawe.

– Później to sprawdzimy. – I dyktował dalej: – Zgon nastąpił dzisiaj, o godzinie piątej pięćdziesiąt osiem, w Springer Hospital w Newton, w stanie Massachusetts, po siedmiodniowym leczeniu. – Znowu sięgnął po skalpel.

Wykonywał te czynności tyle razy, że pracował jak automat. Wyciął przełyk, tchawicę, tętnice, serce i płuca. Lisa położyła je na szalce, głośno odczytała wagę, następnie umieściła serce na krajalnicy. Dvorak rozciął naczynia wieńcowe.

– To nie zawał – rzucił. – Wieńcowe są czyste.

Zbadał śledzionę i jelito cienkie. Nieskończenie długie zwoje były zimne i śliskie. Żołądek, trzustkę i wątrobę wyciął za jednym zamachem. Nie stwierdził zapalenia otrzewnej, nie wyczuł odoru wskazującego na obecność bakterii beztlenowych. Świeże zwłoki. Co za radość. Żadnego fetoru, tylko zapach krwi – jak u rzeźnika.

Rozciął żołądek na krajalnicy. Był pusty.

– Pewnie nie smakowało mu szpitalne jedzenie – rzuciła Lisa.

– Piszą tu, że nie mógł jeść.

Jak dotąd Dvorak nie dopatrzył się niczego, co mogłoby wskazywać na przyczynę zgonu.

Naciał skórę wokół głowy, zdjął skalp i zarzucił go na twarz nieboszczyka jak gumową maskę. Lisa przygotowała piłę. Milczeli, gdy

ostrze jękliwie zawirowało i zagłębiło się w czaszkę.

Dvorak zdjął kalotę. Mózg pod delikatną warstwę opon przypominał kłębowisko szarawych robaków. Opony wyglądały normalnie, co wykluczało możliwość infekcji. Śladów wylewu nadtworówkowego też nie stwierdził.

Mózg trzeba było wyjąć do dalszych badań. Dvorak wziął skalpel, wprawnie przeciął nerwy wzrokowe i naczynia krwionośne. Kiedy sięgnął głębiej, by oddzielić mózg od rdzenia kręgowego, poczuł bolesne ukłucie.

Natychmiast wyjął rękę z czaszki i spojrzał na rozciętą rękawiczkę.

– Cholera jasna – mruknął, idąc do umywalki.

– Co się stało? – spytała Lisa.

– Skaleczyłem się.

– Do krwi?

Dvorak zerwał rękawice i obejrzał środkowy palec lewej ręki. Cieniutkie nacięcie wezbrało krwią.

– Skalpel przeciął dwie warstwy gumy. Cholera jasna, niech to szlag trafi! – Chwycił ze stołu butelkę z betadyną i obficie zlał nią palec. – Zdychajcie, zarazki.

– On jest HIV – negatywny, tak?

– Na szczęście – odrzekł, wycierając rękę. – To nie powinno się było zdarzyć, nie zachowałem ostrożności. – Zły na siebie, nałożył świeżą parę rękawiczek i podszedł do zwłok. Wszystkie połączenia mózgu z rdzeniem były już przecięte. Ostrożnie wziął go w obydwie ręce, zmył krew solą fizjologiczną i położył ociekający organ na krajalnicy. Najpierw obrócił go i dokładnie obejrzał. Zwoje wyglądały normalnie, nie dostrzegł żadnych guzów. Zsunął mózg do pojemnika z formaliną, gdzie miał spoczywać przez tydzień, zanim można go będzie spreparować. Odpowiedzi należało szukać pod mikroskopem.

Zaskrzeczał interkom.

– Panie doktorze? – to Stella.

– Tak?

– Mam na linii doktora Carla Wallenberga.

– Powiedz, że oddzwonię. Jestem w trakcie sekcji.

– Właśnie dlatego chce się z panem porozumieć. Mówi, że trzeba ją przerwać.

Dvorak wyprostował się.

– Dlaczego?

– Może lepiej pan z nim porozmawia.

– Chyba muszę – mruknął do Lisy, zdejmując rękawice i fartuch. –

Zrób biopsję mięśni i pobierz wycinek z wątroby.

– Nie czekać, aż pan z nim porozmawia?

– Tyle już zrobiliśmy... Nie, skończ sekcję tkanek.

Wszedł do gabinetu, żeby odebrać telefon. Choć zamknął za sobą drzwi, w pomieszczeniu wyczuwalny był odór formaliny. Nic dziwnego, cuchnęły mu ręce, cuchnęło ubranie. Śmierdział jak zakonserwowany okaz, ukryty w pokoju bez okien. Jak człowiek w słoju, w szklanej pułapce. Podniósł słuchawkę.

– Doktor Wallenberg? Mówi Dvorak.

– Doszło do jakiegoś nieporozumienia. Pan Parmenter był moim pacjentem i zupełnie nie wiem, dlaczego przeprowadza pan autopsję.

– Prosiła mnie o to lekarka ze Springer Hospital.

– Doktor Harper? – Wallenberg aż prychnął z oburzenia. – Ona go nie leczyła. Nie miała prawa do pana dzwonić.

– Według dokumentów badała pacjenta na ostrym dyżurze.

– Tydzień temu, panie doktorze. Od tamtej pory pacjent był pod moją opieką i pod opieką kilku specjalistów. Wszyscy jednogłośnie uznaliśmy, że autopsja jest całkowicie zbędna. A już na pewno nikt z nas nie przypuszczał, że sprawą zajmie się anatomopatolog stanowy.

– Doktor Harper przekonała mnie, że jest to kwestia zdrowia publicznego.

Wallenberg znów prychnął.

– Doktor Harper nie jest wystarczająco wiarygodnym źródłem informacji. Może pan o tym nie słyszał, ale zarząd szpitala prowadzi śledztwo w jej sprawie. Doktor Harper dopuściła się błędu na dyżurze, poważnego błędu. Niewykluczone, że wkrótce zostanie zwolniona, nie ufałbym więc jej opinii w żadnej kwestii. Panie doktorze, tu chodzi o hierarchię służbową. Jestem lekarzem prowadzącym i – powtarzam – sekcja jest stratą pańskiego czasu. I pieniędzy podatników.

Dvorak stłumił jęk. Nie, to nie dla mnie. Jestem tylko patologiem. Wolę mieć do czynienia z umarlakami niż z rozbuchanym ego żywych.

– No i jest jeszcze rodzina – mówił dalej Wallenberg. – Córka pana Parmentera byłaby nad wyraz wzburzona, gdyby okaleczono zwłoki jej ojca. Mogłaby nawet przedsięwziąć kroki prawne.

Dvorak wyprostował się powoli i, zaskoczony, uniósł głowę.

– Ale panie doktorze, ja z nią rozmawiałem...

– Słucham?

– Dziś rano. Pani Lacy zadzwoniła do mnie, żeby omówić sprawę autopsji. Wyjaśniłem jej powody i sądzę, że je rozumiała. W każdym razie

nie miała nic przeciwko sekcji zwłok.

Wallenberg milczał.

– Musiała zmienić zdanie – mruknął po chwili.

– Na to wygląda. Tak czy inaczej, sekcję przeprowadziliśmy.

– Już?

– Mieliśmy dość spokojny ranek.

Wallenberg znowu zamilkł. A kiedy zaczął mówić, był dziwnie przygaszony.

– Czy ciało... zostanie zwrócone rodzinie w całości?

– Tak, ze wszystkimi organami wewnętrznymi.

Wallenberg odchrząknął.

– Myślę, że to powinno ich usatysfakcjonować.

Ciekawe – dumiał Dvorak, odkładając słuchawkę. Nawet nie spytał o wyniki...

Odtworzył w myśli przebieg rozmowy. Czyżby próbowano go wciągnąć w jakąś intrygę, w rozgrywki osobiste w małym podmiejskim szpitalu? Według Wallenberga doktor Harper jest podrzędną lekarką, kobietą – niewykluczone, że skłóconą z kolegami – której zarząd patrzy na rękę. Czyżby jej prośba o sekcję była tylko próbą przysporzenia kłopotów innemu lekarzowi?

Dziś rano powinien był pograć jak Machiavelli, powinien sprawdzić, o co jej tak naprawdę chodzi. Jednakże Dvorak lubił konkrety. Gromadził informacje na podstawie tego, co mógł zobaczyć i poczuć, czego mógł dotknąć. Skalpel bez trudu odsłaniał wszystkie sekrety nieboszczyka – motywy, którymi kierowali się ludzie żywi, były dla niego tajemnicą.

Zabrzączał interkom.

– Panie doktorze? – To Stella. – Dzwoni doktor Harper. Mam łączyć?

Dvorak przemyślał to i doszedł do wniosku, że nie ma ochoty rozmawiać z kobietą, która zdążyła zepsuć mu dzień.

– Nie – odrzekł.

– Co jej powiedzieć?

– Że poszedłem do domu.

– Skoro pan sobie tego życzy...

– Stella?

– Tak?

– Jeśli pani Harper zadzwoni ponownie, powiedz jej to samo: nie ma mnie.

Wrócił do kostnicy.

Lisa pochylała się nad krajalnicą, odcinając fragment wątroby. Kiedy

wszedł, podniosła wzrok.

– No i? Kończymy biopsję?

– Tak. Później włóż z powrotem wszystkie organy. Rodzina życzy sobie pochować kompletne ciało.

Lisa zrobiła kolejne nacięcie i nagle znieruchomiała.

– A mózg? Musi utrwać się co najmniej tydzień.

Dvorak spojrział na pojemnik z mózgiem Angusa Parmentera.

Potem przeniósł wzrok na swój zabandażowany palec i wyobraził sobie, jak ostrze skalpela przecina podwójną rękawicę i kaleczy go do krwi.

– Mózg zatrzymamy. Nałożę pokrywę czaszki i przyszyję skalp. – Wziął świeże rękawice i sięgnął do szuflady po igłę i nici. – Nie domyśla się, że nic tam nie ma.

Podminowana Toby odłożyła słuchawkę. Zrobili tę sekcję czy nie? Wydzwaniała tam od dwóch dni i za każdym razem sekretarka mówiła, że Dvoraka nie ma, podczas gdy ton jej głosu niedwuznacznie wskazywał, że po prostu nie chcą, by zwracała im głowę.

Odezwał się brzęczyk. Toby wyłączyła gaz i wyjęła z piecyka szklaną brytfannę z przykrywką. Znowu powtórka: lazania, czekająca do dziś na swą kolej w zamrażarce, i posepnie przywiedła sałata. Nie miała czasu zrobić zakupów, w domu nie było mleka, nalała więc do szklanek wody i postawiła je na kuchennym stole. Tak, całe życie – jej życie – sprowadzało się do obłądnego biegu na skróty. Do mrozonek, do stert brudnych naczyń w zlewie i do wymiętych bluzek prosto z suszarki. Zastanawiała się, czy jest tak bardzo znużona dlatego, że wylęgają się w niej wirusy grypy, czy dlatego, że jest wykończona psychicznie. Otworzyła drzwi i krzyknęła:

– Mamo, kolacja gotowa! Chodź jeść!

Ellen wyłoniła się zza kępy pysznogłówek i posłusznie przydreptała do kuchni. Toby umyła jej ręce nad zlewem, a kiedy usiadły do stołu, zawiązała mamie na szyi serwetkę i podsunęła talerz z lazanią. Pokroiła na drobne kawałeczki, sałatę też, po czym wcisnęła jej do ręki widelec.

Ellen nie jadła. Czekala, obserwując córkę.

Toby zajęła się swoim talerzem i przełknęła kilka kęsów. Zauważyła, że Ellen nie je.

– To kolacja, mamo. Do buzi, do buzi.

Ellen włożyła do ust pusty widelec i smakowała go w skupieniu.

– Daj, pomogę ci. – Toby nakierowała jej rękę na talerz, nagarnęła

odrobinę jedzenia i wsunęła widelec do ust matki.

– Bardzo dobre – powiedziała Ellen.

– A teraz sama, śmiało.

Odezwał się dzwonek u drzwi i Ellen poderwała wzrok.

– To pewnie Bryan – powiedziała Toby, wstając od stołu. – Jedz, nie czekaj na mnie.

Zostawiła ją w kuchni i poszła otworzyć.

– Tak wcześnie?

– Pomyślałem sobie, że pomogę przy kolacji – odrzekł, wchodząc do holu. Podał jej papierową torbę. – Lody. Mama lubi truskawkowe.

Kiedy brała torbę, zauważyła, że Bryan na nią nie patrzy. Jakby unikał jej wzroku, bo natychmiast się odwrócił, żeby powiesić skórzaną kurtkę w szafie, a kiedy już ją powiesił, patrzył wszędzie, tylko nie na nią.

– No i jak radzimy sobie z kolacją?

– Właśnie usiadłyśmy. Mamy trochę kłopotów zjedzeniem.

– Znowu?

– Nie tknęła kanapki, którą jej zostawiłam. I patrzy na lazanie jak na stwora z kosmosu.

– Zaraz się tym zajmiemy.

W tej samej chwili w kuchni coś głośno trzasnęło, dał się słyszeć brzęk rozbijanego szkła.

– O mój Boże! – Toby wbiegła do kuchni.

Wystraszona Ellen wpatrywała się w szczątki brytfanny. Na podłodze wały się resztki potrawy, przywarły również do ściany, malując na niej szokujący obraz z roztopionego sera i sosu pomidorowego.

– Mamo, co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła Toby.

Ellen pokręciła głową i wyszeptała:

– Gorące. Nie wiedziałam, że to takie gorące.

– Chryste, spójrz tylko na ten bałagan! Na ten ser...

Toby chwyciła kosz na śmieci. Wściekła i sfrustrowana przyciągnęła go bliżej, a kiedy przyklękła, by pozbierać kawałki szkła, zdała sobie sprawę, że jest niebezpiecznie bliska łez. Już nie mogę, nie daję rady. Mam tak kurewsko spieprzone życie, że nie wytrzymam tego dłużej. Po prostu nie mogę.

– Chodź, kochanie – powiedział Bryan. – Obejrzymy twoje ręce. Niedobrze, musimy zlać je zimną wodą. Nie, nie. Nie zabieraj ich, Ellen, zaraz przestaną boleć. Paskudnie to wygląda...

Toby podniosła głowę.

– Co?

– Mama poparzyła sobie ręce. – Zaprowadził ją do zlewu i puścił zimną wodę.

– Oj! Oj! Oj! – popiskiwała Ellen.

– Już lepiej, prawda? Zaraz zjemy lody i poczujesz się zupełnie dobrze. Przyniosłem ci truskawkowe. Mniam, mniam.

– Mniam – powtórzyła Ellen.

Czerwieniąc się ze wstydu, Toby patrzyła, jak Bryan delikatnie osusza ręce Ellen. Nawet się nie zorientowała, że matka zrobiła sobie krzywdę. W milczeniu wróciła do zbierania szczątków brytfanny i kawałków tężejącego sera. Zgarnęła gąbką sos i przetarła ścianę. Potem usiadła przy stole i obserwowała, jak Bryan próbuje namówić Ellen do zjedzenia lodów. Robił to tak cierpliwie, tak pieścizotliwie, że ogarnęło ją jeszcze większe poczucie winy. To on zauważył, że matka się poparzyła, to on się nią zajął, a Toby dostrzegła tylko rozbite szkło i pomidorowy sos na ścianie i podłodze.

Kwadrans po szóstej, musiała przygotować się do wyjścia.

Nie miała siły wstać. Siedziała z ręką przyciśniętą do czoła, chcąc tę chwilę choćby troszeczkę przedłużyć.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się Bryan. Odłożył łyżeczkę i delikatnie otarł Ellen usta serwetką. Potem spojrzał Toby prosto w oczy. – Naprawdę bardzo mi przykro. Nielatwo mi było podjąć decyzję, ale... – W skupieniu odłożył serwetkę na stół. – Zaproponowano mi pracę. Coś, czego nie mogę przepuścić. Coś, o czym od dawna marzyłem. Wierz mi, nie szukałem nowego zajęcia, to czysty przypadek.

– Co się stało?

– Zadzwonili do mnie z domu opieki Twin Pines w Wellesley. Szukają kogoś, kto poprowadziłby terapię rekreacyjno-artystyczną. Złożyli mi propozycję. Nie mogłem jej odrzucić.

– Nic mi o tym nie mówiłeś.

– Dzwonili wczoraj. Dziś rano byłem na rozmowie wstępnej.

– I przyjąłeś tę pracę ot tak sobie? Bez porozumienia ze mną?

– Musiałem podjąć decyzję natychmiast, na miejscu. Toby, to regularna praca, od dziewiątej do piątej, znowu będę mógł żyć jak normalny człowiek.

– Ile ci zaproponowali? Dam więcej.

– Już się zgodziłem.

– Ile?

Odchrząknął.

– Nie chodzi o pieniądze. Nie chcę, żebyś tak myślała. Chodzi o...

wszystko razem.

Toby oklapła.

– A więc nic lepszego nie mogę ci zaproponować.

– Nie. – Wbił wzrok w stół. – Chcą, żebyśmy zaczął jak najszybciej, jak tylko będę mógł.

– A co z moją matką? Co będzie, jeśli nikogo nie znajdzie?

– Na pewno kogoś znajdziesz.

– Dokładnie, ile mam na to czasu?

– Dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie?! Myślisz, że wyciągnę kogoś z kapelusza? Ciebie szukałam kilka miesięcy!

– Tak, wiem, ale...

– No i co ja mam, do diabła, zrobić?! – Rozpacz bijąca z jej głosu zawisła między nimi jak żalobny całun.

Powoli dźwignął głowę i spojrział na nią dziwnie obojętnym wzrokiem.

– Lubię Ellen. Dobrze o tym wiesz. Zawsze dbałem o nią, najlepiej jak mogłem. Ale ona nie jest moją matką, Toby. To ty jesteś jej córką.

Ta oczywista prawda zamknęła jej usta. Tak, Ellen jest moją matką i to ja za nią odpowiadam.

Spojrzała na nią. Ellen nie zwracała na nich uwagi. Marszcząc w skupieniu czoło, składała i rozkładała serwetkę.

– Znasz kogoś, kto mógłby się nią zająć?

– Podam ci kilka nazwisk. Mogą być zainteresowani.

– Byłabym ci wdzięczna. – Popatrzyli na siebie przez stół; tym razem nie jak chlebodawczyni i pracownik, ale jak prawdziwi przyjaciele. – Dziękuję ci, Bryan. Za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

Zadzwonił zegar w saloniku. Wpół do siódmej. Toby westchnęła i ociężale podniosła się z krzesła.

Musiała iść do pracy.

– Toby, musimy pogadać.

Oderwała wzrok od dyszącego astmatycznie trzylatka i na progu izby przyjęć zobaczyła Paula Hawkinsa.

– Możesz chwilę poczekać?

– To bardzo ważne.

– Dobrze, podam mu tylko adrenalinę i zaraz do ciebie przyjdę.

– Będę w kuchni.

Zdziwiona Maudeen podała jej fiolkę. Zastanawiały się z Toby nad tym

samym: co szef izby przyjęć robi tu w czwartek o dziesiątej wieczorem? Zamiast szpitalnego fartucha miał na sobie garnitur i był pod krawatem. Czując się nieswojo, Toby nabrała do strzykawki dwie dziesiąte centymetra sześciennego adrenaliny i zwróciła się wesoło do dziecka:

– Zaraz będzie ci się oddychać o wiele, wiele łatwiej. Ale musisz spokojnie siedzieć, dobrze? Poczujesz ukłucie, jakby użądliła cię pszczoła, ale pieczenie szybko minie.

– Nie kcem pcoły! Nie kcem pcoły!

Matka objęła dziecko i przytrzymała mu rączki.

– On nie cierpi tych zastrzyków. Lepiej zrobmy to szybko.

Tobby kiwnęła głową. Pertraktowanie z trzylatkiem to beznadziejna sprawa. Wstrzyknęła lekarstwo, co wywołało wrzask tak głośny i przenikliwy, że niewiele brakowało, by ściany zaczęły obłazić z farby. Raptem chłopiec zamilkł. Przyczyna była oczywista: wciąż pochlipując, pożerał oczami strzykawkę.

– Kcem to.

– Dam ci nową – odrzekła Toby, podając mu strzykawkę bez igły. – Wspaniała zabawka do wanny.

– Dam zascyk siostrce.

Matka przewróciła oczami.

– Na pewno się ucieszy.

Maluch przestał już sapać, więc Toby zostawiła go pod opieką Maudeen i poszła do kuchni.

Paul wstał na jej widok, ale odezwał się dopiero wtedy, gdy zamknęła drzwi.

– Mieliśmy dzisiaj posiedzenie zarządu. Przed chwilą się skończyło. Pomyślałem sobie, że wyjaśnię ci, o co chodziło.

– Pewnie znowu o Harry’ego Slotkina.

– Tak, między innymi.

– Między innymi?

– Wyłynęła sprawa tej autopsji.

– Rozumiem. Chyba lepiej usiądę.

– Usiądźmy oboje.

Przysunęła sobie krzesło.

– Skoro była to narada z cyklu: „Upieczmy doktor Harper na rożnie”, dlaczego nie zaprosiliście mnie na degustacją?

Paul ciężko westchnął.

– Toby, ze sprawy Harry’ego Slotkina moglibyśmy wyjść suchą stopą. Poza tym, jak dotąd, sprzyjało ci szczęście. Jego rodzina nie wniosła

sprawy do sądu, przynajmniej na razie. Prasa, radio i telewizja zaprzestały nagonki. Z tego, co wiem, wszystko dzięki interwencji Brant Hill. I doktora Wallenberga.

– Wallenberga? Niby dlaczego miałyby robić mi przysługę?

– Zamożny mieszkaniec Brant Hill kręci się nago po okolicy, sam, jak jakiś włóczęga? To wbrew interesom firmy. Wiesz, że Brant Hill nie jest zwykłym osiedlem dla emerytów. Ich sukces zależy od tego, czy utrzymają swój platynowy status, status najlepszych i najdroższych w branży. Jeśli pojawią się wątpliwości, czy potrafisz zadbać o swoich klientów, nowych do siebie nie ściągniesz.

– Chronił więc nie mnie, lecz swoją dojną krowę.

– Wszystko jedno, Wallenberg ci pomógł. A ty – co? Ty go wkurzyłaś. Co cię napadło? Dzwonisz do anatomopatologa stanowego, robisz z tego sprawę dla koronera...

– To był jedyny sposób na postawienie diagnozy.

– Ten człowiek nie był już twoim pacjentem. Decyzja o autopsji należała do Wallenberga.

– Ale Wallenberg jej unikał. Albo nie chce poznać przyczyny śmierci, albo czegoś się boi. Nie miałam wyboru.

– Postawiłaś go w złym świetle. Zrobiłaś z niego przestępcę.

– To kwestia zdrowia publicznego...

– To nie jest kwestia zdrowia publicznego. To jest polityczny burdel. Na posiedzeniu był Wallenberg. I poplecznicy Douga Careya. Tak, usmażyli cię, byłaś głównym daniem na pikniku. Wiesz, co zrobił Wallenberg? Zagroził, że Brant Hill będzie wysyłać pacjentów do Lakeside Hospital, a nie do nas. Boleśnie to w nas uderzy. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale Brant Hill to ledwie ogniwo wielkiego łańcucha. Są powiązani z kilkunastoma innymi domami opieki, a wszystkie przysyłają pacjentów do Springer Hospital. Czy ty masz pojęcie, ile zarabiamy na samych tylko operacjach stawu biodrowego? Dodaj do tego usuwanie zaćmy, operacje prostaty i hemoroidów, a zechciej przy tym pamiętać, że mówimy o dziesiątkach pacjentów, z których większość ma po kilka polis ubezpieczeniowych. Nie możemy ich stracić, nie stać nas na to. A tym właśnie grozi nam Wallenberg.

– I to wszystko przez tę jedną autopsję?

– Ma powody do zdenerwowania. Dzwoniąc do anatomopatologa stanowego, podałaś w wątpliwość jego kompetencje. Albo coś gorszego. Ci z gazet znów zaczynają do nas wydzwaniać, znowu robią nam koło pióra.

- Dostają cynk od Careya. Lubi kablować, to do niego pasuje.
- Wallenberg jest wkurzony, bo nie chce, żeby ludzie o nim gadali.

Zarząd jest wkurzony, bo szpital może stracić pacjentów z Brant Hill.

- No i oczywiście wszyscy są wkurzeni na mnie.

- Dziwi cię to?

Toby powoli wypuściła powietrze.

- No dobra, upiekliście mnie niczym jagnię na rożnie.

Paul kiwnął głową.

– Wallenberg chce, żebyś wyleciała z pracy. Naturalnie sprawa musi trafić najpierw do mnie, bo jestem kierownikiem izby przyjęć. Nie zostawili mi zbyt dużego pola manewru.

- Co im powiedziałaś?

– Że będą z tym kłopoty. – Parsknął sztucznym śmiechem. – Zastosowałem wybieg opóźniający, którego pewnie nie pochwalisz. Ale cóż... Powiedziałem im, że możesz nas oskarżyć o dyskryminację. Trochę się tym zdenerwowali. Lamentująca feministka to ostatnia sprawa, z jaką chcieliby mieć do czynienia.

- Wielkie dzięki.

- Nic innego nie mogłem wymyślić.

– To zabawne. Nigdy bym na to nie wpadła. Rzeczywiście, jestem kobietą.

– Pamiętasz sprawę tej pielęgniarce? Oskarżyła nas o molestowanie seksualne. Sprawa wlokła się dwa lata, a skończyło się tym, że zarząd musiał wybulić fortunę adwokatom. To był jedyny sposób, żeby wzięli na wstrzymanie i dobrze się tym razem zastanowili. Dzięki temu zyskałaś trochę czasu, może sprawa przycichnie. – Przegarnął palcami włosy. – Toby, jestem między młotem a kowadłem. Nalegają, żebym jakoś to rozwiązał. Nie chcę cię skrzywdzić. Naprawdę nie chcę.

- Prosisz mnie, żebym zrezygnowała?

- Nie. Nie dlatego chciałem z tobą rozmawiać.

- W takim razie dlaczego?

– Pomyślałem sobie, że może wzięłabyś kilkutygodniowy urlop. Tymczasem przyślą wyniki sekcji. Jestem przekonany, że Parmenter zmarł z przyczyn naturalnych. To Wallenberga oczyści...

- I wszystko pójdzie w niepamięć.

– Oby. Zresztą i tak miałaś wziąć urlop w przyszłym miesiącu. Mogłabyś to zrobić już teraz. Miałabyś trzy, cztery tygodnie wolnego ekstra.

Chwilę to trawiła, rozgrywając w myślach partyjkę domina. Każda

akcja powoduje reakcję, każda reakcja prowokuje kolejną akcję.

– Kto by mnie zastąpił?

– Choćby Joe Severin. Pracuje tylko na pół etatu, na pewno by się zgodził.

Popatrzyła uważnie na Paula.

– I już nigdy nie odzyskałabym pracy. Prawda?

– Toby...

– Czy to nie Carey ściągnął do nas Severina? Nie są przypadkiem kumplami? Nie wzięłaś pod uwagę żadnej innej kandydatury. Jeśli pójde na urlop, moje miejsce zajmie Joe Severin. Nie będę miała do czego wracać, dobrze o tym wiesz.

Paul milczał. Po prostu patrzył na nią z niezgłębionym wyrazem twarzy. Wieloletnia fascynacja Hawkinsem przesłoniła prawdziwy obraz tego, co ich łączyło. Jego uśmiechom, przyjacielskim gestom Toby przypisywała więcej, niż się za nimi kryło. To, że zdała sobie z tego sprawę dopiero teraz, w chwili całkowitej bezbronności, wzmogło siłę już i tak bolesnego ciosu.

Wstała.

– Pójde na urlop zgodnie z harmonogramem.

– Toby, musisz zrozumieć, że mnie też mogą wykopać. Jeśli stracimy pacjentów z Brant Hill, szpital znajdzie się w paskudnej sytuacji finansowej, a zarząd zacznie szukać kozłów ofiarnych.

– Nie winię cię za to, Paul. Rozumiem, dlaczego to robisz.

– Skoro tak, czemu nie chcesz posłuchać mojej rady? Idź na wcześniejszy urlop. Wrócisz na swoje stanowisko.

– Możesz dać mi to na piśmie?

Paul nie odpowiedział.

Odwróciła się ku drzwiom.

– Tak myślałam.

Rozdział dziewiąty

Molly Picker patrzyła na telefon, próbując zebrać się na odwagę i wziąć słuchawkę do ręki. Była w tej budce już drugi raz tego dnia. Za pierwszym razem nawet nie weszła do środka, odwróciła się i natychmiast odeszła. Teraz stała przed telefonem, drzwi były zamknięte, nikt jej nie przeszkadzał.

Drżącą ręką podniosła słuchawkę i wystukała numer.

– Centrala.

– Chciałabym zamówić rozmowę na koszt abonenta z Beaufort w Karolinie Południowej.

– Jak mam panią przedstawić?

– Proszę powiedzieć, że dzwoni Molly. – Podała numer, zamknęła oczy i z bijącym sercem oparła się o ścianę. Usłyszała sygnał. Bała się tak bardzo, że omal nie zwymiotowała. Słodki Jezu, pomóż mi...

– Halo?

Molly zeszywniała. To głos matki.

– Mama? – wybełkotała, lecz telefonistka była szybsza.

– Dzwoni Molly. Czy pokryje pani koszt rozmowy?

Zapadło długie milczenie.

Proszę, proszę cię, proszę. Porozmawiaj ze mną!

– Halo? Czy przyjmie pani płatną rozmowę?

Długie westchnienie.

– Chyba tak...

– Proszę mówić.

– Mama? To ja. Dzwonię z Bostonu.

– A więc ciągle tam jesteś.

– Tak. Już dawno chciałam do ciebie...

– Potrzebujesz pieniędzy, tak?

– Nie, nie! Jakoś sobie radzę. Jakoś... – odchrząknęła – jakoś się trzymam.

– To dobrze.

Molly zamknęła oczy, pragnąc, by rozmowa potoczyła się tak, jak to sobie wymarzyła. Żeby matka nie mówiła tak obojętnie. Żeby się rozpląkała i zaczęła namawiać ją do powrotu do domu. Ale mama nie zamierzała się rozpląkać – mówiła głosem bezdusznym i oschłym, głosem, który rozdzierał jej serce.

- Masz do mnie jakąś sprawę?
- Nie... – Molly przetarła oczy. – Nie, chyba nie...
- Chcesz mi coś powiedzieć?
- Chciałam tylko... Chciałam się z tobą przywitać.
- To dobrze. Słuchaj, mam garnki na gazie, więc jeśli nie...
- Jestem w ciąży – szepnęła Molly.

Matka milczała.

– Słyszałaś? Będę miała dziecko. Pomyśl tylko! Oby to była dziewczynka, mogłabym ubierać ją jak księżniczkę. Pamiętasz, jak cerowałaś mi te wszystkie sukienki? Kupię maszynę do szycia, nauczę się szyc. – Śmiała się przez łzy, mówiła szybko, gorączkowo. – Ale musisz mnie nauczyć, mam, bo nigdy z tym sobie nie radziłam, nigdy nie umiałam fastrygować...

- Będzie kolorowe?
- Słucham?
- Czy dziecko będzie kolorowe?
- Nie wiem...
- Co znaczy – nie wiem?!

Molly zasłoniła ręką usta, żeby stłumić szloch.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie wiesz? Straciłaś rachubę, czy co?

– Mamo – szepnęła Molly – to naprawdę nie ma znaczenia. Przecież to jest moje dziecko...

– Dla tutejszych ludzi to ma znaczenie, i to wielkie. Jak myślisz, co powiedzą? A twój ojciec? To by go zabiło.

Ktoś załomotał w drzwi. Molly zerknęła przez ramię i zobaczyła mężczyznę, który wymachiwał rękami, wskazując na zegarek. Szybko się odwróciła.

– Mamo – powiedziała – chcę wrócić do domu.

– Nie możesz. Nie w tym stanie.

– Romy każe mi zrobić skrobankę, każe mi zabić moje dziecko. Wysyła mnie dzisiaj do lekarza, a ja nie wiem, co mam robić. Mamo, musisz mi powiedzieć, powiedz, co mam robić...

Matka westchnęła ze znużeniem.

– Może tak będzie lepiej – odrzekła cicho.

– To znaczy jak?

– Jak pozbędziesz się dziecka.

Wstrząśnięta Molly pokręciła głową.

– Przecież to twoja wnuczka...

– To nie jest moja wnuczka. Ja takiej wnuczki nie chcę.

Mężczyzna załomotał ponownie i tym razem wrzasnął, żeby wynosiła się z budki. Molly zatkała palcem ucho.

– Proszę – skamlała – pozwól mi wrócić do domu.

– Twój ojciec by tego nie przeżył – powtórzyła matka – dobrze o tym wiesz. Nie po takim wstydzie, jakiego nam narobiłaś. A mówiłam ci, Molly, mówiłam ci nieraz, uprzedzałam cię, że możesz tak skończyć. Ale ty mnie nie słuchałaś, nigdy mnie nie słuchałaś.

– Nie sprawię wam więcej kłopotów. Zerwałam z Romym, chcę tylko wrócić do domu.

Mężczyzna walił w szybę, wrzeszczał, żądał, by wynosiła się z budki. Zdesperowana Molly zaparła się plecami o drzwi.

– Mamo? Mamo?

Matka odpowiedziała, ale z wyraźną nutą triumfu w głosie:

– Jak sobie posłałaś, tak się wyśpisz.

Molly zamarła ze słuchawką przy uchu. Zdawała sobie sprawę, że matka przerwała połączenie, ale nie mogła w to uwierzyć. Mów do mnie, powiedz coś. Powiedz, że tam jesteś. Że zawsze będziesz.

– Kurwa mać, skończysz wreszcie gadać czy nie?!

Bez słowa rozluźniła dłoń. Słuchawka zakołysała się w powietrzu i trzasnęła w szybę. Oszołomiona Molly wyszła z budki, nie widząc ani nie słysząc wyzywającego ją człowieka. Po prostu odeszła.

Nie mogę wrócić do domu. Nie mogę wrócić do domu. Ani teraz, ani nigdy.

Szła nic nie widząc, nie czując, że porusza nogami, nie słysząc, że postukuje w chodnik obcasami. Ból zagłuszył wszelkie doznania.

Romy'ego też nie zauważyła.

Cios trafił ją w podbródek i rzucił na ścianę domu. Chwyliła się krat w oknie, przytrzymała kutego żelaza, by nie upaść. Nie rozumiała, co się stało, wiedziała tylko, że boleśnie dzwoni jej w głowie, że Romy na nią wrzeszczy.

Chwylił ją za ramię i wciągnął za próg. W korytarzu znów ją uderzył. Tym razem runęła na schody.

– Gdzieś ty, kurwo, była?! – ryknął.

– Miałam... coś do załatwienia.

– Umówiłem cię na spotkanie, zapomniałaś? Chcą wiedzieć, dlaczego nie przyszłaś.

Głośno przełknęła ślinę i wbiła wzrok w schody. Nie śmiała spojrzeć mu w twarz. Miała jedynie nadzieję, że uwierzy w kłamstwo.

– Zapomniałam – szepnęła.

– Co?

– Zapomniałam.

– Co za durna dziwka. Przecież rano powiedziałem ci, gdzie masz być!

– Wiem.

– Gówno ci wyrosło zamiast mózgu.

– Myślałam o czymś innym.

– Czekają na ciebie. Rusz dupę i wskakuj w samochód.

Podniosła głowę.

– Ale... ja nie jestem przygotowana.

– Przygotowana? – Parsknął śmiechem. – Niby do czego? Masz tylko walnąć się na stół i rozłożyć nogi, jasne? – Szarpnął ją za rękę, a kiedy wstała, pchnął w stronę drzwi. – Idź. Gablotę, kurwa, po ciebie przysłali.

Wyszła chwiejnie na ulicę.

Przy krawężniku czekała czarna limuzyna. Za mocno przyciemnioną szybą rysowała się głowa kierowcy.

– No dalej, włącz.

– Romy, źle się czuję. Nie chcę tego robić.

– Nie zadzieraj ze mną. Wsiadaj do samochodu. – Wepchnął ją do środka i zatrzasnął drzwi.

Limuzyna ruszyła.

– Hej! – krzyknęła Molly. – Chcę wysiąść! – Od kierowcy oddzielała ją pleksiglasowa przegroda. Zaczęła w nią tłuc pięścią, ale nie zwracał na to uwagi. Spojrzała na maleńki głośnik i nagle... Przeszył ją dreszcz niepokoju. Znała ten samochód, już nim kiedyś jechała.

– Halo, proszę pana? Czy ja pana znam?

Kierowca nawet się nie odwrócił.

Molly opadła na skórzane siedzenie. Ten sam samochód. Ten sam kierowca. Pamiętała jego jasne, niemal srebrzyste włosy. Poprzednio zawiózł ją do Dorchester, gdzie czekał inny mężczyzna, facet w zielonej masce na twarzy. I stół z pasami na ręce i nogi.

Niepokój ustąpił miejsca panice. Spojrzała przed siebie. Dojeżdżali do skrzyżowania. Do ostatniego skrzyżowania przed skretem na autostradę. Wbiła wzrok w światła. Czerwone, modliła się w duchu, zmień się na czerwone...

Drogę zajechał im jakiś samochód. Kierowca gwałtownie zahamował, Molly runęła na przegrodę. Z tyłu rozjazgotały się klaksony, ruch zamarł.

Molly pchnęła drzwi i wyskoczyła na jezdnię.

– Wracaj! – wrzasnął kierowca. – Natychmiast wracaj!

Przemknęła między dwoma samochodami i znalazła się na chodniku. Przekląte obcasy, przez nie omal nie upadła! Odzyskała równowagę i puściła się pędem przed siebie.

– Hej, ty!

Zerknęła przez ramię i z przerażeniem stwierdziła, że czarny samochód parkuje przy krawężniku, a kierowca ściga ją lawirując między trąbiącymi samochodami.

Molly biegła, biegła ciężko, niezdarnie. Inaczej nie mogła, wszystko przez te nieszczęsne pantofle na platformach. Obejrzała się na skrzyżowaniu.

Kierowca był coraz bliżej.

Co go napadło, dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?

Zareagowała odruchowo, jak ścigane zwierzę: zaczęła kluczyć.

Skręciła w prawo, w wąską uliczkę, i stromym, nierównym chodnikiem popędziła w kierunku Beacon Hill, ale już przy pierwszej przecznicy zabrakło jej tchu. I rozboleły ją łydki – wszystko przez te cholerne buciory!

Znowu się obejrzała.

Kierowca biegł pod górę.

Ogarnięta nową falą paniki, zaczęła uciekać jeszcze szybciej. Skręciła w lewo, potem w prawo, zagłębiając się w labirynt uliczek Beacon Hill. Nie oglądała się za siebie, wiedziała, że on tam jest.

Stopy miała otarte, pokryte boleśnie piekącymi bąblami. Nic z tego, daleko nie ucieknę.

Skręciła za róg i zobaczyła taksówkę przy krawężniku. Puściła się w tamtą stronę.

Kiedy padła na tylne siedzenie i zatrzasnęła drzwi, zdumiony kierowca się obejrzał.

– Chwila! – warknął. – Jestem zajęty!

– Niech pan jedzie. Niech pan jedzie!

– Czekam na pieniądze.

Wynocha stąd!

– Ktoś mnie goni. Proszę, nie może mnie pan podrzucić za następne skrzyżowanie?

– Nigdzie nie jadę. Wsiadaj, bo wezwę przez radio gliny.

Molly ostrożnie uniosła głowę i wyjrzała przez okno.

Jej prześladowca stał kilka metrów dalej i rozglądał się na wszystkie strony. Natychmiast zsunęła się na podłogę.

– To on! – szepnęła.

– Gówno mnie to obchodzi. Wzywam gliny.
– Dobra, śmiało! Choć raz w życiu mi się przydadzą.
Usłyszała, jak kierowca sięga po mikrofon.
– Kurwa mać! – wymamrotał i odłożył go na półkę.
– No to jak? Wzywa ich pan, czy nie?
– Nie chcę gadać z gliniarzami. Dlaczego nie wysiądziesz, tak jak ci mówię?
– Dlaczego nie może pan mnie podrzucić za najbliższe skrzyżowanie?
– No dobra już, dobra. – Zrezygnowany, mruknął coś jeszcze pod nosem, zwolnił ręczny hamulec i odbił od krawężnika. – Co to za facet?
– Wiózł mnie gdzieś, gdzie nie chciałam jechać. No to wyskoczyłam z gabloty.
– Niby dokąd cię wiózł?
– Nie wiem.
– Nie wiesz? Ja też nie chcę wiedzieć. Nie chcę wiedzieć nic o twoim speprzonym życiu. Chcę tylko, żebyś wysiadła z taksówki. – Zahamował.
– Wyskakuj.
– A on?
– Jesteśmy na Cambridge Street, podrzuciłem cię dalej, niż chciałaś. Facet został daleko za nami.

Molly podniosła głowę i zlustrowała okolicę. Ludzi było sporo, ale prześladowcy wśród nich nie zobaczyła.

– Może kiedyś panu zapłacę – rzuciła, wysiadając.

– Aha, może kiedyś polecę na Księżyc.

Szła szybko, najpierw Cambridge Street, potem Sudbury. Zwolniła dopiero w labiryncie uliczek North Endu.

Był tam cmentarz z ławką przed wejściem. I tablica z napisem: Copp's Burying Ground. Usiadła i zdjęła pantofle. Pęcherze popękały, na palcach miała szkarłatne siniaki. Była zbyt zmęczona, żeby dojść chociaż do następnej ulicy, siedziała więc na bosaka i obserwowała turystów, którzy korzystając z łagodnego październikowego popołudnia, przechodzili obok z mapami *Szlaku wolności* w rękach.

Nie mogę wrócić do swego pokoju. Nie mogę wrócić po ubranie. Romy mnie zabije.

Dochodziła czwarta i Molly poczuła się głodna. Na śniadanie zjadła dwa pączki z dżemem truskawkowym, zapiała je sokiem grejpfrutowym i od tamtego czasu nie miała nic w ustach. Smakowite zapachy niosące się z włoskiej restauracji po drugiej stronie ulicy doprowadzały ją do szału. Zajrzała do torebki, ale znalazła tylko kilka dolarów. W pokoju ukryła

trochę pieniędzy. Będzie musiała je wykraść, tak żeby Romy jej nie zauważył.

Krzywiąc się z bólu, nałożyła buty i pokuśtykała do budki telefonicznej. Proszę, zrób to dla mnie, Sophie. Choć raz w życiu bądź dla mnie miła.

Sophie odpowiedziała głosem przyciszonym i ostrożnym.

– Tak?

– To ja. Musisz pójść do mojego pokoju i...

– Odpada. Romy szaleje.

– Nie mam pieniędzy. Proszę, przynieś mi je i natychmiast spadam. Już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Ani mi się śni. Romy tam jest, rozpirza wszystko, co mu wpadnie w łapy. Możesz pożegnać się ze szmałem.

Molly oklapła.

– Posłuchaj, trzymaj się od niego z daleka, nie wracaj.

– Ale ja nie mam dokąd pójść! – Rozszlochała się żałośnie. Zrozpaczona, skuliła się jeszcze bardziej, na oczy opadły jej strąki włosów mokrych od łez. – Nie mam dokąd pójść...

Sophie milczała.

– Hej, posłuchaj, bezbiuście – odezwała się po chwili. – Chyba znam kogoś, kto mógłby cię przechować. Ale tylko kilka nocy. Potem będziesz musiała radzić sobie sama. Jesteś tam jeszcze?

Molly odetchnęła głęboko.

– Tak.

– Idź na Charter Street. Na rogu jest piekarnia, a obok piekarni pensjonat. Ona ma pokój na pierwszym piętrze.

– Kto?

– Pytaj o Annie.

– Jesteś jedną z dziewczyn Romy'ego, tak?

Spojrzała na nią przez wąską szparę w przytrzymywanych łańcuchem drzwiach. Molly widziała tylko pół twarzy, kilka jaskrawo-rudych loków i niebieskie, podkrążone ze zmęczenia oko.

– Sophie kazała mi tu przyjść. Powiedziała, że może mnie przenocujesz...

– Najpierw powinna była spytać o to mnie.

– Proszę, czy mogłabym tu zostać? Tylko na jedną noc. – Dygocząc z zimna, skrzyżowała ręce na piersi, chwyciła się za ramiona i rozejrzała po

korytarzu. – Nie mam dokąd pójść. Będę cicho. Nawet mnie nie zauważysz.

– Wkurzyłaś Romy'ego, co? Czym?

– Niczym.

Kobieta zaczęła zamykać drzwi.

– Zaczekaj! Tak, chyba go wkurzyłam. Nie chciałam znowu iść do tego lekarza i...

Drzwi się uchyliły. Kobieta bez słowa popatrzyła na jej brzuch.

– Jestem taka zmęczona – szepnęła Molly. – Nie mogłabym przespać się na podłodze? Proszę, tylko dzisiaj.

Drzwi się zamknęły.

Zrozpaczona Molly przejmująco zaszlochała. Nagle rozległ się brzęk łańcucha i drzwi otworzyły się na oścież. W progu stała rudowłosa Annie. Miała na sobie sukienkę w kwiaty, która opinała jej wydatny brzuch.

– Właż.

Molly weszła do mieszkania. Annie natychmiast zamknęła drzwi i założyła łańcuch.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Molly zerknęła na jej brzuch. Annie poszła za jej wzrokiem i wzruszyła ramionami.

– Nie jestem gruba. Jestem w ciąży.

Molly kiwnęła głową i położyła ręce na swoim lekko zaokrąglonym brzuchu.

– Ja też.

– Dwadzieścia dwa lata opiekowałam się starcami, pracowałam w czterech domach opieki w New Jersey. Znam się na tym, wiem, jak ich upilnować, żeby nie zrobili sobie krzywdy. – Wskazała kartki leżące na stole. – Zajmuję się tym od dawna.

– Tak, widzę – odparła Toby, przeglądając świadectwa z przebiegu kariery zawodowej Idy Bogart. Kartki cuchnęły papierosowym dymem. Tak samo jak Ida Bogart, jak jej ubranie, jak również cała kuchnia, którą zatrąła nikotynowymi wyziewami. Po co ja z nią rozmawiam? Nie chcę, żeby przychodziła do mojego domu. Nie chcę, żeby zbliżała się do mojej matki.

Odłożyła kartki i zmusiła się do uśmiechu.

– Zatrzymam to do chwili podjęcia decyzji.

– Potrzebuje pani kogoś od zaraz, prawda? Tak było napisane w ogłoszeniu.

- Mam jeszcze innych kandydatów.
- Można spytać ilu?
- Kilku.
- Niewielu chce pracować w nocy. Dla mnie to żaden problem.

Toby wstała, dając jednoznacznie do zrozumienia, że rozmowa skończona. Szybko wyprowadziła ją z kuchni do holu.

– Będę o pani pamiętać. Dziękuję, że zechciała się pani pofatygować. – Niemal wypchnęła ją z domu, zamknęła drzwi, po czym oparła się o nie plecami, jakby chciała się zabarykadować przed kolejnymi paniami Bogart. Zostało mi tylko sześć dni – pomyślała. Jak tu kogoś znaleźć w tak krótkim czasie?

W kuchni zadzwonił telefon.

Vickie.

– No i jak przebiegają rozmowy? – spytała.

– W ogóle nie przebiegają.

– Mówiłaś, że ktoś się zgłosił.

– Tak, nałogowa palaczka, dwie dziewczyny bez znajomości angielskiego i alkoholiczka, na widok której chciałam zamknąć na klucz szafkę z alkoholem. Vickie, nic z tego nie będzie. Nie mogę zostawić matki z takimi ludźmi. Dopóki kogoś nie znajdziemy, będziesz musiała zabierać ją na noc do siebie.

– Toby, ona nocami chodzi. Może otworzyć gaz, kiedy będziemy spali. Muszę myśleć o dzieciach.

– Mama nie tyka kuchenki. I zwykle przesypia całą noc.

– Może zadzwonisz do jakiejś agencji?

– To rozwiązanie na krótką metę. Codziennie nowa twarz? Odpada, to by ją rozstroiło.

– Lepsze to niż nic. Albo to, albo dom starców, innego wyjścia nie ma.

– Wykluczone. Nie oddam jej do domu starców.

Vickie westchnęła.

– To tylko luźna propozycja. Myślę nie tylko o mamie, ale i o tobie. Szkoda, że tak niewiele mogę zrobić...

Fakt, szkoda. Cóż, Vickie miała na głowie dwoje dzieci, wymagających stałej uwagi. Ellen byłaby kolejnym ciężarem. Siostra nie dałaby sobie rady.

Toby podeszła do okna i wyjrzała do ogrodu. Matka stała przy szopie z grabiami w ręku. Wyglądało na to, że nie pamięta, do czego służą, bo skrobała nimi kamienną ścieżkę.

– Ilu ci jeszcze zostało? – spytała siostra.

– Dwoje.

– Jak tam ich papiery?

– Wyglądają znakomicie, ale na papierze wszyscy wyglądają znakomicie. Wóda zalatuje od nich dopiero wtedy, gdy rozmawiasz z nimi twarzą w twarz.

– Przesadzasz, chyba nie jest aż tak źle...

– Wobec tego sama z nimi porozmawiaj. Następny powinien już tu być... – W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. – To pewnie on.

– Już jadę.

Toby odłożyła słuchawkę i poszła otworzyć. W progu stał starszy mężczyzna o szarej, ściągniętej twarzy i pochylonych ramionach.

– Ja w sprawie pracy. – Zdołał powiedzieć tylko tyle, chwycił go bowiem gwałtowny atak kaszlu.

Toby szybko wprowadziła go do środka i posadziła na sofie. Przyniosła mu szklanek wody i odczekała, aż mężczyzna wykaszle się i odchrząknie, by znowu zacząć kaszleć. Dopiero co wyszedł z przeziębienia, to stąd, wyjaśnił, kiedy mu na chwilę przeszło. Najgorsze ma już za sobą, musi tylko zwalczyć to zapalenie oskrzeli. Ależ nie, bynajmniej, zapalenie oskrzeli nie przeszkodzi mu w pracy, absolutnie. Zdarzało mu się pracować, kiedy był w znacznie gorszym stanie, pracował całe życie, odkąd skończył szesnaście lat.

Toby słuchała go bardziej z litości niż z zainteresowania, wbijając wzrok w dokumenty na stole. Wallace Dugan, lat sześćdziesiąt jeden. Wiedziała, że go nie zatrudni, ale nie miała serca mu przerwać. Siedziała więc bez słowa, wysłuchując opowieści o kolejach jego losu, które doprowadziły go do tej smutnej chwili życia. O tym, jak bardzo tej pracy potrzebował. I o tym, jak trudno o pracę ludziom w jego wieku.

Kiedy przyjechała Vickie, Wallace Dugan wciąż jeszcze tam siedział. Vickie weszła do salonu, zobaczyła go i skamieniała.

– To jest moja siostra Vickie – powiedziała Toby. – A to jest pan Dugan. Pan Dugan stara się o pracę.

Wallace wstał, żeby się z nią przywitać, ale natychmiast opadł na sofę, bo chwycił go kolejny atak kaszlu.

– Toby, pozwól na chwilę, możesz? – rzuciła Vickie i zniknęła w kuchni.

Toby weszła tam za nią i zamknęła drzwi.

– Co mu jest? – szepnęła Vickie. – Jakby miał raka albo gruźlicę.

– Mówi, że to zapalenie oskrzeli.

– Chyba nie chcesz go zatrudnić?

– Jak dotąd to najlepszy kandydat.

– Żartujesz. Powiedz, że żartujesz.

Toby westchnęła.

– Niestety, nie. Nie widziałaś poprzednich.

– Byli gorsi od niego?!

– Ten jest przynajmniej sympatyczny.

– Jasne, a kiedy rypnie na podłogę i straci przytomność, mama zrobi mu masaż serca i sztuczne oddychanie, co?

– Vickie, nie zamierzam go zatrudniać.

– No to czemu go nie odeślesz? Zaraz ci tam wykituje.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– Jezus Maria. – Toby wypadła z kuchni. Mijając Dugana, posłała mu przepaszające spojrzenie, ale odkasływał właśnie w chusteczkę i nawet jej nie zauważył.

W progu stała uśmiechnięta, chochlikowata kobieta, myszka w porządnie odprasowanej bluzce i luźnych spodniach. Miała trzydzieści parę lat i fryzurę a la księżna Di.

– Doktor Harper? Przepraszam, jeśli przychodzę za wcześnie, ale chciałam mieć pewność, że się nie spóźnię i że trafię. – Wyciągnęła do niej rękę. – Jane Nolan.

– Proszę wejść. Jeszcze nie skończyłam rozmowy z innym kandydatem, ale...

– Ja z panią porozmawiam – przerwała jej Vickie. Przepchnęła się do przodu i uścisnęła Jane rękę. – Jestem siostrą doktor Harper. Chodźmy, porozmawiamy w kuchni. – Zerknęła na Toby. – Tymczasem skończ z panem Duganem. – I szeptem dodała: – Pozbądź się dziada.

Wallace Dugan wiedział już, jaki zapadł wyrok. Kiedy Toby weszła do salonu, pokonany i zrezygnowany patrzył w stół. Przed nim leżały jego dokumenty. Trzy strony kroniki czterdziestu pięciu lat pracy. Kroniki, którą prawdopodobnie będzie musiał już zamknąć.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, bardziej z grzeczności niż z potrzeby. Oboje wiedzieli, że już nigdy więcej się nie zobaczą. Kiedy w końcu wyszedł, Toby z ulgą zamknęła za nim drzwi. Trudno. Kierując się współczuciem i litością, nic by nie zdziałała.

Wróciła do kuchni.

Vickie była sama. Stała w drzwiach i patrzyła na ogród.

– Zobacz – powiedziała.

Ścieżką dreptała matka, a obok niej szła Jane Nolan, kiwając głową, ilekroć matka wskazywała jakąś roślinę. Była niczym mały, ruchliwy

ptaszek, czujny i troskliwy. Ellen nagle przystanąła, spojrziała w dół i zmarszczyła czoło. Pochyliła się i podniosła ogrodowe pazurki. Obracała je w rękach, szukając wskazówki, do czego mogą służyć.

– I co my tu mamy? – spytała Jane.

Ellen pokazała jej pazurki.

– To. Szczotkę. – Natychmiast zdała sobie sprawę, że słowo jest źle dobrane i pokręciła głową. – Nie, to nie szczotka. To jest... No wiesz, to jest do...

– Do kwiatów, prawda? – odpowiedziała Jane. – Pazurki do spulchniania ziemi.

– Tak. – Ellen się rozpromieniła. – Pazurki.

– Odłóżmy je na miejsce, żeby się nie zapodziały. I żebyśmy na nie przypadkiem nie nastąpiły. – Jane położyła pazurki w tacze. Podniosła głowę i widząc Toby, uśmiechnęła się do niej i pomachała. Potem wzięła Ellen pod rękę i zniknęły za rogiem domu.

Toby poczuła, że z ramion spada jej niewidzialny ciężar. Popatrzyła na siostrę.

– No i co o niej myślisz?

– Ma spore doświadczenie. I znakomite referencje z trzech domów opieki. Będziemy musiały podnieść jej stawkę, bo to przyuczona pielęgniarzka, z prawem do praktyki. Ale myślę, że warto.

– Zdaje się, że mama ją polubiła, to najważniejsze.

Vickie westchnęła z satysfakcją. Misja zakończona. Medal za skuteczność.

– No i widzisz? – rzuciła, zamykając drzwi. – To wcale nie było takie trudne.

Jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden dolar. Jeszcze jeden trup. Daniel Dvorak cofnął się od stołu i zdjął rękawiczki.

– Oto i twoja odpowiedź, Roy. Rana drążąca w lewej górnej ćwiartce i uszkodzenie śledziony, które wywołało silny krwotok wewnętrzny. Ten człowiek na pewno nie umarł z przyczyn naturalnych. Żadnych niespodzianek. – Wrzucił rękawiczki do kosza i spojrzął na detektywa Sheehana.

Sheehan stał przy stole, lecz bynajmniej nie patrzył na opróżnioną jamę brzuszną. Nie, Sheehan robił słodkie oczy do Lisy. Jakie to romantyczne. Romeo i Julia nad ludzkimi zwłokami.

Dvorak pokręcił głową i poszedł umyć ręce. W lustrze obserwował

rozwój sytuacji. Sheehan wyprostował plecy i wciągnął brzuch. Lisa roześmiała się, odrzucając z czoła puszyste blond loki. Natura bierze górę nawet w sali autopsyjnej.

Nawet gdy mężczyzna jest dużo starszy, żonaty i otyły.

Jeśli Sheehan chce odgrywać romantycznego kochanka, to jego sprawa – pomyślał, spokojnie wycierając rękę. Ale powinienem go ostrzec, że nie jest pierwszym gliniarzem, który tutaj przypomina sobie o własnych hormonach. Sekcje zwłok stały się ostatnio bardzo popularne, i to wcale nie ze względu na zwłoki.

– Będę w gabinecie – rzucił i wyszedł.

Dwadzieścia minut później do drzwi zapukał Sheehan.

Wszedł z nieśmiałym, acz szczęśliwym wyrazem twarzy człowieka, który zdaje sobie sprawę, że zachowuje się głupio, wie, że inni też o tym wiedzą, i który ma to gdzieś.

Dvorak doszedł do wniosku, że on też ma to gdzieś. Wyjął z szafki teczkę i podał ją Sheehanowi.

– Końcowe wyniki badań toksykologicznych, o które prosiłeś. Jeszcze coś?

– Eeee... Tak. To dziecko. Ustaliliście przyczynę zgonu?

– Wszystkie objawy wskazują na zespół nagłej śmierci niemowląt.

Sheehan zapalił papierosa.

– Tak myślałem.

– Mógłbyś to zgasić?

– Słucham?

– W tym budynku obowiązuje zakaz palenia.

– Nawet tutaj?

– Wszystko przesiąka dymem.

Sheehan parsknął śmiechem.

– W twoim zawodzie trudno narzekać na zapachy. – Mimo to zgasił papierosa na talerzyku, który podsunął mu Dvorak. – Wiesz, ta Lisa to miła dziewczyna.

Daniel nie odpowiedział, uznawszy, że tak będzie bezpieczniej.

– Ma chłopaka?

– A skąd mam wiedzieć?

– Nigdy jej o to nie pytałeś?

– Nie.

– Nawet z czystej ciekawości?

– Ciekawi mnie dużo rzeczy, ale to akurat wcale. – Dvorak milczał chwilę. – Tak przy okazji, jak się miewa żona i dzieci?

Sheehan odchrząknął.

– Dobrze, dziękuję.

– A w domu? Też wszystko dobrze?

– Tak. Oczywiście.

Dvorak ponuro kiwnął głową.

– No to szczęściarz z ciebie.

Sheehan poczerwieniał i wbił wzrok w protokół toksykologiczny.

Gliniarze widzą za dużo śmierci – pomyślał Daniel. Dlatego próbują chwycić wszystko, co w życiu najlepsze. Sheehan, bystry i w gruncie rzeczy porządny gość, walczył z pierwszymi oznakami wieku średniego, jakie dostrzegał w lustrze.

W tym momencie do gabinetu weszła Lisa z dwiema tacami preparatów. Posłała Sheehanowi uśmiech i zdumiała się, gdy szybko uciekł wzrokiem w bok.

– Co to jest? – spytał Dvorak.

– Na górnej tacy wątroba i płuca Josepha Odette. Na dolnej mózg Parmentera. – Znowu zerknęła na Sheehana, ale tym razem z wyniosłą godnością. – Życzył pan sobie tylko barwienie hematoksyliną, eozyną i PAS-em, prawda? – spytała rzeczowo.

– Nie barwiłaś czerwienią Kongo?

– Też, na wszelki wypadek. – I opuściła gabinet z nienaruszoną dumą.

Zaraz potem wyszedł i Sheehan, chwilowo utemperowany Romeo.

Dvorak przeniósł tace do laboratorium i włączył mikroskop. Pierwszy preparat: tkanka płucna Joeya Odette. Palacz – pomyślał Daniel, spoglądając na pęcherzyki. Żadna niespodzianka, już w czasie autopsji widział u niego zmiany rozedmowe. Przejrzał kilka preparatów z innymi wycinkami tkanki płucnej, a potem zajął się wątrobą. Marskość i stłuszczenie. Nie tylko palacz, ale i pijak. Gdyby Joey Odette nie palnął sobie w łeb, na pewno wysiadłyby mu płuca albo wątroba. Samobójstwo można popełnić na wiele sposobów.

Przedyktował uwagi, odłożył szkiełka i sięgnął po drugą tacę.

Pierwszy preparat mózgu Angusa Parmentera – mikroskopowe badanie mózgu przeprowadza się rutynowo, to nieodłączny element każdej sekcji – wycinek kory mózdzku barwiony różowawym kwasem nadjodowym według Schiffa. Dvorak poprawił ostrość. Patrzył przez okular co najmniej dziesięć sekund, próbując połapać się w tym, co widzi.

Artefakt – pomyślał. Nic innego. Zniekształcenie tkanki pojawiające się w preparacie mikroskopowym w trakcie jego przygotowywania lub barwienia.

Odłożył szkiełko i wziął następne. Wyregulował ostrość.

I znów wszystko wyglądało nie tak. Zamiast jednolitej tkanki nerwowej, poprzątkanej szkarłatnymi jądrami, widział coś w rodzaju różowawo-białej piany. Wszędzie pełno wakuoli, jakby substancję mózgową nadjadły mikroskopijne mole.

Powoli uniósł głowę. I spojrzął na swój palec – na palec, w który skaleczył się skalpelem. Ranka już się zagoiła, lecz w miejscu, gdzie zamknęły się jej brzegi, na skórze widniała cieniuteńka blizna. Dotykałem wtedy mózgu. I przeciąłem podwójne rękawice.

Diagnozę trzeba będzie potwierdzić. Trzeba skonsultować się z neuropatologiem, przeprowadzić badania pod mikroskopem elektronowym, przejrzeć notatki z badań klinicznych. Nie, na planowanie pogrzebu jeszcze za wcześnie.

Spotniały mu dłonie. Wyłączył mikroskop i głęboko odetchnął. Potem sięgnął po słuchawkę telefonu.

Sekretarka szybko odszukała prywatny numer Toby Harper. Po szóstym sygnale odpowiedział mu zirytowany głos:

– Halo!

– Doktor Harper? Mówi Dan Dvorak z urzędu anatomopatologa stanowego. Dzwonię nie w porę, czy możemy porozmawiać?

– Od tygodnia próbuję pana złapać.

– Wiem – przyznał. I nie potrafił wymyślić żadnej wymówki.

– Zdiagnozował pan Angusa Parmentera?

– Właśnie dlatego dzwonię. Musi mi pani przedstawić jego obraz kliniczny.

– Nie przysłali panu karty choroby?

– Przysłali, ale chciałbym z panią porozmawiać o tym, co widziała pani w izbie przyjęć. Wciąż próbuję zinterpretować preparaty histologiczne. Jak już mówiłem, brakuje mi kilku elementów do pełnego obrazu klinicznego.

W tle usłyszał coś, co brzmiało jak szum wody tryskającej z kranu.

– Nie, zakręć to! – krzyknęła Toby. – Zakręć, zalejesz całą podłogę! – Trzask słuchawki, szybki tupot nóg. Odezwała się dopiero po chwili. – To dla mnie niezbyt dobra pora na rozmowę przez telefon, doktorze. Wolałabym się z panem spotkać.

– Tak, to chyba lepszy pomysł – odrzekł po chwili wahania. – Dziś po południu?

– Dzisiaj mam wolne, musiałabym wezwać opiekunkę... O której kończy pan pracę?

– Zaczekam tak długo, jak będzie trzeba.

- Dobrze, postaram się przyjechać przed szóstą. Gdzie to jest?
- Albany Street siedemset dwadzieścia, naprzeciwko szpitala miejskiego. Główne drzwi będą już zamknięte, proszę zaparkować za budynkiem.
- Wciąż nie rozumiem, o co panu chodzi, doktorze.
- Zrozumie pani – odparł – gdy pani obejrzy preparaty.

Rozdział dziesiąty

Było prawie wpół do siódmej, kiedy wjechała na parking za piętrowym budynkiem przy 720 Albany Street. Minąwszy po drodze trzy identyczne furgonetki z napisem: Urząd Głównego Anatomopatologa Wspólnoty Massachusetts, zaparkowała blisko drzwi. Cały dzień zanosił się na deszcz i w końcu zaczął padać łagodny kapuśniaczek, który posrebrzał mrok. Był koniec października, wcześniej robiło się ciemno; Toby już teraz tęskniła za długimi, letnimi, ciepłymi wieczorami. Budynek przypominał kryptę z czerwonej cegły.

Wysiadła z samochodu i ruszyła przez parking, kuląc się w deszczu. Gdy dochodziła do wejścia, drzwi otworzyły się na oścież. Zaskoczona, podniosła głowę.

W progu, na tle oświetlonego korytarza, rysowała się sylwetka wysokiego mężczyzny.

– Doktor Harper?

– Tak.

– Dan Dvorak. Drzwi zamykają o szóstej, więc na panią czekałem. Zapraszam.

Weszła do środka, otarła oczy z deszczu, zamrugła w jaskrawym świetle i przyjrzała się jego twarzy, porównując obraz, jaki ukształtował się w jej świadomości podczas rozmowy telefonicznej, z wysokim mężczyzną, który ją powitał. Wiek? Czterdzieści kilka lat, tak jak myślała. Ciemne włosy obficie przyprószone siwizną i zmierzwiłone, jakby nerwowo przeczesywał je palcami. Oczy niebieskie i tak głęboko osadzone, że spoglądały na nią jak z dwóch ciemnych jamek. Lekko się uśmiechnął, ale wyczuła, że jest to uśmiech wymuszony; choć bardzo przyjemny, gościł na jego ustach króciutko i zniknął, by ustąpić miejsca grymasowi, którego rozszyfrować nie była w stanie. Może to wyraz niepokoju. Albo lęku.

– Prawie wszyscy już wyszli – dodał – więc cicho tu jak w grobie.

– Chciałam przyjechać jak najszybciej, ale nie od razu udało mi się ściągnąć opiekunkę.

– Ma pani dzieci?

– Nie, to opiekunka matki. Nie lubię zostawiać jej samej. Weszli na schody. Dvorak wyprzedzał ją trochę, poły białego fartucha trzepotały w rytm jego długich kroków.

- Przepraszam, że nie uprzedziłem pani wcześniej.
- Nie odbiera pan moich telefonów i nagle chce pan ze mną rozmawiać.

Dlaczego?

- Chcę się z panią skonsultować.
- Nie jestem patologiem. To pan przeprowadzał autopsję.
- Ale to pani go badała, kiedy jeszcze żył.

Wyszli na korytarz na piętrze i Dvorak ruszył przodem tak energicznie i nerwowo, że Toby musiała prawie biec.

– Ci od Wallenberga konsultowali się z neurologiem. Rozmawiał pan z nim?

– Neurologa wezwano, gdy pacjent był już w stanie śpiączki. Nie miał więc praktycznie żadnych objawów. Nie licząc samej śpiączki, oczywiście.

- Wallenberg też nic panu nie powiedział? Był lekarzem prowadzącym.
- Wallenberg utrzymuje, że to udar.
- No i co? To był udar?
- Nie. – Dvorak otworzył drzwi i zapalił światło.

W pomieszczeniu stało zgrabne stalowe biurko, kilka krzeseł i szafka na dokumenty. Gabinet człowieka dobrze zorganizowanego – pomyślała Toby, spoglądając na sterty równiutko poukładanych teczek i na rząd podręczników na półce. Jedynymi elementami osobistymi w tym surowym wnętrzu była zaniedbana paprotka na szafce i fotografia na biurku. Fotografia przedstawiała nastolatka o zwichrzonych włosach, który mrużąc oczy w słońcu, demonstrował złowionego pstrąga. Twarz chłopca była duplikatem twarzy Dvoraka. Toby usiadła naprzeciwko biurka.

– Napije się pani kawy?

– Wolalabym raczej garść informacji. Czego się pan dowiedział w trakcie autopsji?

- Podczas oględzin ogólnych – niczego.
- Żadnych śladów udaru?
- Ani zakrzepowego, ani krwotocznego.
- A serce? Naczynia wieńcowe?

– W idealnym stanie. Żeby człowiek w jego wieku miał tak czystą lewą zastępującą? Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. Nie, on nie umarł na serce. – Dvorak usiadł przy biurku, wpatrując się w nią tak intensywnie, że ledwo wytrzymała jego spojrzenie.

– Toksyny?

– Minał dopiero tydzień. Badanie wstępne wykazuje obecność diazepamu i dylantyny. Podawano mu je w trakcie leczenia. – Pochylił się

do przodu. – Dlaczego nalegała pani na sekcję?

– Już panu mówiłam. Trafiło do mnie dwóch pacjentów o identycznym zespole symptomów. Chciałam ich zdiagnozować.

– Proszę mi o tych symptomach opowiedzieć. Wszystko, co pani pamięta.

Pod przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu trudno jej było się skupić. Oparła się wygodniej, przeniosła wzrok na stos teczek na biurku i odchrząknęła.

– Przede wszystkim splątanie. Obu przywieziono do izby w stanie głębokiej dezorientacji.

– Najpierw niech mi pani opowie o Parmenterze.

Kiwnęła głową.

– Obijał się nieprzytomnie po domu. Akurat odwiedziła go córka i to ona wezwała karetkę. Nie poznawał ani jej, ani wnuczek. Z ich opowieści wywnioskowałam, że miał halucynacje. Był przekonany, że potrafi latać. W trakcie badania nie stwierdziłam żadnych urazów. Nie był w stanie dotknąć palcem nosa – to jedyny objaw neurologiczny wskazujący na umiejscowienie choroby. Początkowo myślałam, że to udar mózdkowy, ale zauważyłam inne objawy, których nie umiałam wyjaśnić.

– Jakie?

– Miał silne zaburzenia wzroku. Nie potrafił ocenić, jak daleko stoje. – Zmarszczyła brwi: – No tak, stąd te karzełki...

– Słucham?

– Skarżył się, że w domu nawiedziły go karzełki. Pewnie mówił o wnuczkach, są w wieku mniej więcej dziesięciu lat.

– Dobrze. A więc miał zaburzenia wzroku i objawy mózdkowe.

– No i te drgawki.

– Tak, wspomina pani o nich w zapiskach z izby przyjęć. – Otworzył kartonową teczkę i wyjął jakiś dokument. Była to kserograficzna odbitka karty choroby Parmentera. – Pisze tu pani, że drżała mu prawa ręka.

– Tak, drżenie powtarzało się podczas hospitalizacji mimo stosowania środków przeciwdrgawkowych. Wiem o tym od pielęgniarek.

Dvorak przerzucił kilka kartek.

– Wallenberg prawie o tym nie wspomina... Ale widzę, że zaordynował dylantynę. Tak, to jego własnoręczny podpis. – Podniósł wzrok znad papierów. – Wygląda na to, że miała pani rację co do tych ataków.

Niby dlaczego miałabym jej nie mieć? – pomyślała z nagłą irytacją. Teraz z kolei ona pochyliła się do przodu.

– Może powie mi pan wreszcie, do jakiej diagnozy pan zmierza.

– Nie chciałbym niczego sugerować. Musi pani zachować całkowitą bezstronność.

– Szczerowość zaoszczędziłaby nam mnóstwo czasu.

– Śpieszy się pani?

– Panie doktorze, mam dzisiaj wolne. Mogłabym siedzieć w domu i robić coś innego.

Chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem wyprostował się i ciężko westchnął.

– Przepraszam za te uniki, ale przyznam, że trochę to mną wstrząsnęło.

– Dlaczego?

– Myślę, że mamy do czynienia z czynnikiem zakaźnym.

– Bakteryjnym? Wirusowym?

– Ani z takim, ani z takim.

Zmarszczyła brwi.

– No to z jakim? Wykrył pan jakieś pasożyty?

Dvorak wstał.

– Przejdźmy do laboratorium. Pokażę pani preparaty. Zjechali windą do podziemi i weszli do opustoszałego holu.

Było po siódmej. Toby wiedziała, że oprócz Dvoraka w kostnicy musi dyżurować ktoś jeszcze. Idąc cichym korytarzem, nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że są w gmachu zupełnie sami. Dvorak otworzył drzwi jakiegoś pomieszczenia, wszedł do środka i zapalił światło.

Zamigotały jarzeniówki, na gładkich stalowych powierzchniach rozblęły jaskrawe refleksy. Zobaczyła chłodnię, zlewy z nierdzewnej stali, ladę ze sprzętem do analiz ilościowych i monitor komputera. Na półkach stały rzędy słoików z ludzkimi organami. W powietrzu unosił się mdły zapach formaliny.

Dvorak włączył mikroskop. Urządzenie było wyposażone w dodatkowy okular, tak że mogli oglądać preparat razem. Umieścił szkiełko przed obiektywem, usiadł i wyregulował ostrość.

– Niech pani spojrzy.

Przystawiła sobie taboret i pochyliła głowę. To, co zobaczyła, przypominało białe bąbelki w morzu różowości.

– Minęło sporo czasu, odkąd zaliczyłam histologię. Niech mi pan podpowie.

– Dobrze. Rozpoznaje pani tę tkankę? Poczerwieniała z zażenowania. Ba, gdyby tylko potrafiła ją rozpoznać! Była boleśnie świadoma swojej niewiedzy. Niewiedzy i przedłużającej się ciszy. Nie odrywając oczu od okularu, powiedziała:

– Ze wstydem przyznaję, że nie.

– Nie ma się czego wstydzić, pani doktor. Jest to wycinek tkanki tak nienormalnej, że nad wyraz trudno ją rozpoznać. Mamy przed sobą fragment kory mózdzku Angusa Parmentera zabarwiony kwasem nadjodowym. Różowe tło to neuropil, siatka włókien nerwowych. Szkarłatne cętki to jądra.

– A te wszystkie wodniczki?

– W tym sęk. W zdrowej tkance kory mózdzku nie ma takich dziurek.

– Dziwne. Przypomina mi to moją różową gąbkę... – Nie odpowiedział. Zaskoczona, podniosła głowę i zobaczyła, że na nią patrzy. – Coś się stało?

– Od razu pani to zauważyła – powiedział półgłosem.

– Co?

– To wygląda dokładnie tak, jak pani opisała. Jak różowa gąbka. – Oparł się o ladę i przetarł ręką oczy. W jaskrawym świetle jarzeniówek dostrzegła wyraźny cień zarostu i zmęczenie rysujące się na jego twarzy. – Myślę, że mamy do czynienia z gąbczastym zwyrodnieniem mózgu.

– Z CJD? Z chorobą Creutzfeldta-Jakoba?

Kiwnął głową.

– To by wyjaśniało patologiczne zmiany w korze mózdzku. I obraz kliniczny. Jego psychofizyczną degradację. Zaburzenia wzroku. Drgawki.

– To nie były drgawki ogniskowe?

– Nie. Moim zdaniem była pani świadkiem drgawek mioklonicznych po bodźcu. Gwałtownych skurczów włókien mięśniowych spowodowanych na przykład hałasem. Dylantyna ich nie powstrzyma.

– To chyba bardzo rzadka choroba, prawda?

– Jeden przypadek na milion. Atakuje sporadycznie, zwłaszcza ludzi starszych.

– Ale dochodzi również do zachorowań epidemii. Przed rokiem w Anglii...

– Mówi pani o chorobie wściekłych krów. Wszystko wskazuje, że jest to odmiana CJD. A może i ta sama choroba, nie jesteśmy tego pewni. Ofiary zarażają się, jedząc mięso chorych krów. To bardzo rzadki przypadek. Od tamtej pory innych nie zanotowano.

Toby przeniosła wzrok na mikroskop.

– Czy to możliwe, żebyśmy wykryli skupisko choroby u nas? Angus Parmenter nie był pierwszym pacjentem, u którego dostrzegłam te symptomy. Pierwszy był Harry Slotkin. Przyjęłam go kilka tygodni przed Parmenterem – miał te same objawy! Splątanie, zaburzenia wzroku...

- To nie są oznaki swoiste. Musi je potwierdzić autopsja.
 - Tak, ale Slotkin zaginał.
 - W takim razie nie można go zdiagnozować.
 - Obaj mieszkali w tym samym osiedlu dla osób starszych. Mogli więc być wystawieni na działanie tego samego patogenu.
 - Choroba Creutzfeldta-Jakoba to nie katar, nie można jej złapać. Przenoszą ją priony, cząsteczki białka komórkowego o nienormalnej budowie. Wymaga to bezpośredniego kontaktu z tkanką. Może do niego dojść na przykład przy transplantacji rogówki.
 - Anglicy zachorowali, jedząc wołowinę. To samo mogło zdarzyć się u nas. Slotkin i Parmenter mogli zjeść...
 - Amerykańskie bydło jest zdrowe. Choroba wściekłych krów u nas nie występuje.
 - Skąd ta pewność? – Zaintrygowana Toby kurczowo chwyciła się nowej myśli. Przypomniała sobie noc, kiedy do izby przyjęć przywieziono Harry'ego Slotkina. Przypomniał się jej brzęk spadającej na podłogę metalowej nerki i spazmatyczne drgawki jego nogi na stole. – Trafiliśmy na dwa identyczne przypadki, na dwóch mężczyzn z tego samego kompleksu domów.
 - Samo splątanie to za mało.
 - Harry Slotkin miał drgawki. Teraz zdaje, sobie sprawę, że mogły to być drgawki miokloniczne po bodźcu, gwałtowne skurcze mięśni wywołane nagłym hałasem.
 - Musiałbym przeprowadzić sekcję. Nie zdiagnozuję go bez badania tkanki mózgowej.
 - A czy ma pan jakieś wątpliwości co do Parmentera?
 - Wysłałem materiał na konsultację do neuropatologa, który przeprowadzi badanie pod mikroskopem elektronowym. To może potrwać kilka dni. – I cicho dodał: – Mam nadzieję, że się mylę.
- Spojrzała na niego i niespodziewanie uświadomiła sobie, że oprócz znużenia widzi kryjący się w jego twarzy... strach.
- Skaleczyłem się – wyjaśnił. – W czasie sekcji, akurat przy wyjmowaniu mózgu z czaszki. – Pokręcił głową i roześmiał się ironicznie.
 - Otwierałem tysiące czaszek. Kroilem zwłoki ludzi zakażonych HIV, żółtaczką, nawet wściekliczną. I ani razu się nie skaleczyłem. Aż tu nagle kładą mi na stół Angusa Parmentera. Wszystko wskazuje na to, że zmarł z przyczyn naturalnych: spędził tydzień w szpitalu, nie miał żadnych infekcji. No i co robię? Natychmiast zacinam się w palec. I to przy wyjmowaniu tego cholernego mózgu.

– Diagnoza nie jest jeszcze ostatecznie potwierdzona. Może to artefakt – może tylko źle przygotowany preparat.

– Taką mam nadzieję. – Spojrzał na mikroskop jak na śmiertelnego wroga. – Dotykałem mózgu obiema rękami, nie mogłem wybrać gorszego momentu.

– To wcale nie znaczy, że się pan zaraził. Prawdopodobieństwo zachorowania jest minimalne.

– Ale jest. Jest, prawda? – popatrzył na nią.

Nie mogła zaprzeczyć. Tak samo jak nie mogła obłudnie go pocieszać. Milczenie było przynajmniej szczere.

Wyłączył mikroskop.

– Okres inkubacji jest bardzo długi. Zanim się dowiem, minie rok, przelecą dwa lata. Ale nawet po pięciu latach będę się zastanawiał, wciąż będę czekał na pierwsze objawy. Przynajmniej koniec jest bezbolesny. Zaczyna się od demencji. Od zaburzeń wzrokowych, niewykluczone, że od halucynacji. Potem delirium. Wreszcie śpiączka... – Znużony, wzruszył ramionami. – To chyba lepsze niż umieranie na raka.

– Przepraszam – odezwała się półgłosem. – Wszystko przeze mnie.

– Przez panią?

– To ja nalegałam na autopsję. Naraziłam pana na niebezpieczeństwo.

– Sam się na nie naraziłem. Oboje się narażamy, pani doktor, to część naszej pracy. Pracuje pani w izbie przyjęć. Ktoś zakaszle i łapie pani gruźlicę. Ukłuje się pani igłą i grozi pani żółtaczka albo AIDS. – Odłożył szkiełko z preparatem na tacę, narzucił plastikowy pokrowiec na mikroskop. – Każda praca łączy się z jakimś ryzykiem. Ryzykowne jest poranne wstawanie, jazda do pracy, wyjście do skrzynki na listy, podróż samolotem. – Spojrzał na nią. – Śmierć jako taka nie jest zaskoczeniem. Zaskoczeniem jest to, jak i kiedy umieramy.

– Może istnieje jakiś sposób na powstrzymanie choroby w tym stadium. Na przykład zastrzyk immunoglobuliny...

– Nie działa. Przejrzałem literaturę.

– Rozmawiał pan o tym z lekarzem?

– Dotąd nikomu o tym nie mówiłem.

– Nawet rodzinie?

– Mam tylko syna, Patricka. Skończył dopiero czternaście lat, a w tym wieku ma się na głowie inne problemy.

Przypomniała sobie fotografię chłopaka o rozwichrzonych włosach. Dvorak miał rację: czternaście lat to stanowczo za mało, by zrozumieć, że ojciec jest zwykłym śmiertelnikiem.

– I co pan teraz zrobi?

– Będę regularnie płacił składki na polisę ubezpieczeniową. I postaram się nie tracić nadziei. – Wstał, by zgasić światło. – Nic więcej nie mogę zrobić.

Robbie Brace otworzył drzwi w koszulce Red Soksów i w złachanych spodniach od dresu.

– Szybko pani przyjechała.

– Dziękuję, że zechciał pan się ze mną zobaczyć.

– Przyłapała nas pani w nie najlepszej porze. Nasz potomek idzie spać, rozumie pani. Płacz, zgrzytanie zębów i przetargi. Zaraz pani usłyszysz.

Toby weszła do holu. Gdzieś na górze darło się dziecko. Krzyczało nie z rozpaczy, ale ze złości, potem głośno zatupało i huknęło czymś o podłogę.

– Mamy trzy lata i poznajemy smak władzy – wyjaśnił Brace. – Rany boskie, jak ja uwielbiam być ojcem... – Zamknął drzwi i poprowadził ją korytarzem do salonu. Znowu zaimponował jej swoim wzrostem i niebywale muskularnymi ramionami. Przysiadła na kozetce, a on opadł na mocno podniszczony fotel.

Wrzask na górze nie ustawał. Był teraz chrapliwszy i przerywany od czasu do czasu głośnym, wielce dramatycznym siąkaniem nosa. Słysząc też było głos kobiety, mówiącej spokojnie, acz stanowczo.

– Starcie tytanów – powiedział Brace, zerkając na sufit. – Żona jest twardsza ode mnie. Ja od razu padam, przekręcam się na plecy i udaję nieboszczyka. – Popatrzył na Toby i przestał się uśmiechać. – No więc, co z tym Parmenterem?

– Wracam od anatomopatologa stanowego. Postawili wstępną diagnozę: CJD. Choroba Creutzfeldta-Jakoba.

Zdumiony Brace pokręcił głową.

– To pewne?

– Czekają, aż potwierdzi to neuropatolog, ale wszystkie objawy pasują. Chodzi nie tylko o Parmentera. O Harry'ego Slotkina też.

– Dwa przypadki CJD? To tak, jakby piorun uderzył dwa razy w to samo miejsce. Jak to potwierdzicie?

– Zgoda, przypadku Slotkina potwierdzić nie można, bo nie mamy ciała. Ale gdyby tak okazało się, że dwóch mieszkańców Brant Hill miało rzeczywiście CJD? Natychmiast przychodzi do głowy pytanie, czy źródłem infekcji nie był ten sam czynnik. – Pochyliła się do przodu. –

Mówił pan, że Harry Slotkin nie chorował, że był zdrow jak rydz.

– Zgadza się.

– Czy w ciągu ostatnich pięciu lat przechodził jakieś zabiegi chirurgiczne? Na przykład przeszczep rogówki?

– Nie pamiętam, żebym widział coś takiego w jego papierach. Można od tego złapać CJD, tak?

– Były takie przypadki. – Milczała chwilę. – Ale można ją przenieść w inny sposób: przez wstrzykiwanie hormonu wzrostu.

– No i?

– Mówił pan, że klinika w Brant Hill prowadzi badania nad wpływem hormonów na ludzi starszych. Mówił pan, że pacjenci poddani kuracji stają się silniejsi, wykazują przyrost masy mięśniowej. Czy to możliwe, by wstrzykiwano im skażony hormon wzrostu?

– Hormonu wzrostu nie pobiera się już ze zwłok. Wytwarza się go sztucznie.

– A jeśli Brant Hill wykorzystuje stare zapasy? Zapasy hormonu wzrostu skażonego CJD?

– Stare zapasy wycofano z rynku dawno temu, a Wallenberg stosuje tę kurację od lat, odkąd wrócił z Rosslyn. Nigdy nie słyszałem, by wśród jego pacjentów zdarzył się przypadek choroby Creutzfeldta-Jakoba.

– Skąd wrócił? Z Rosslyn? Co to jest?

– Geriatryczny Instytut Naukowy w Connecticut. Wallenberg pracował tam kilka lat, zanim przeszedł do Brant Hill. Niech pani zajrzy do literatury fachowej, jest tam sporo opracowań, które powstały w Rosslyn. A Wallenberg to autor przynajmniej połowy z nich. To guru speców od manipulacji hormonalnej.

– Nie wiedziałam.

– Nic dziwnego, nie siedzi pani w geriatrici. – Wstał, zniknął w sąsiednim pokoju i wrócił z jakimiś papierami, które położył na stoliku przed Tobą. Na wierzchu leżała odbitka kserograficzna artykułu z „Journal of the American Geriatrics Society” z roku 1992. Napisało go trzech autorów, ale nazwisko Wallenberga umieszczono na pierwszym miejscu. Tytuł tego artykułu brzmiał – *Poza limit Hayflicka: przedłużanie życia na poziomie komórkowym*.

– Do tego właśnie sprowadza się większość geriatrycznych badań naukowych – wyjaśnił Brace. – Do próby przesunięcia granicy życia komórki, tak zwanej granicy Hayflicka, poprzez manipulację hormonalną. Jeśli założymy, iż starzenie się i śmierć są procesami komórkowymi, oczywistym celem geriatrici powinno być przedłużenie życia

komórkowego.

– Ale obumieranie niektórych komórek jest niezbędne dla zdrowia.

– Naturalnie, choćby komórek błony śluzowej i skóry – pozbywamy się ich cały czas. Rzecz w tym, że jednocześnie je regenerujemy, nie potrafimy natomiast regenerować komórek szpiku kostnego, mózgu czy innych równie ważnych organów. Te komórki starzeją się i umierają. A my razem z nimi.

– A przy zastosowaniu manipulacji hormonalnej?

– Właśnie to jest przedmiotem tych analiz. Które hormony – albo jaka ich kombinacja – mogą przedłużyć życie komórki? Wallenberg zajmuje się tym problemem od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. I doszedł do bardzo obiecujących rezultatów.

Podniosła wzrok.

– Ten staruszek w domu opieki? Ten, który tak zaciekle z nami walczył?

Brace kiwnął głową.

– Masą mięśniową i siłą fizyczną dorównuje prawdopodobnie mężczyznom znacznie młodszym. Niestety, choruje na alzheimera. Ma zniszczony mózg, a tego nie naprawią żadne hormony.

– Właściwie o jakich hormonach mówimy? Wspomniał pan o ich kombinacji.

– Tak. Badania wskazują że najbardziej obiecująca jest mieszanka hormonu wzrostu, dehydroepiandrosteronu, melatoniny i testosteronu. Myślę, że Wallenberg miesza je w odpowiednich proporcjach, niewykluczone, że stosuje też kilka innych.

– Ale nie jest pan tego pewien?

– Nie mam z tą kuracją nic wspólnego, zajmuję się tylko pacjentami z domu opieki. Zresztą na razie to wszystko patykiem na wodzie pisane, bo nikt dokładnie nie wie, co daje rezultaty, a co nie. Wiemy tylko tyle: kiedy się starzejemy, przysadka mózgowa przestaje wytwarzać pewne hormony. Może lekarstwem na wieczną młodość jest któryś z nich, może ten, którego jeszcze nie odkryliśmy?

– A więc Wallenberg robi zastrzyki z hormonów... – Toby parsknęła śmiechem. – Poszukuje lekarstwa na wieczną młodość.

– Może mu się udać. Już teraz po polu golfowym w Brant Hill hasają osiemdziesięcioletni supermani.

– Niech pan nie zapomina, że ci supermani są bardzo zamożni, dużo ćwiczą i nie mają na głowie żadnych trosk.

– Fakt. Kto wie, może najlepszym wyznacznikiem długości ludzkiego

życia jest konto bankowe?

Toby przejrzała artykuł, odłożyła go na stolik i jeszcze raz rzuciła okiem na datę publikacji.

– Wallenberg prowadzi te badania od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Nie odnotował dotąd ani jednego przypadku choroby Creutzfeldta-Jakoba?

– Przez cztery lata stosował tę kurację w Rosslyn, potem przyjechał do Brant Hill...

– Dlaczego wyjechał z Rosslyn?

Brace się roześmiał.

– A jak pani myśli?

– Poszło o pieniądze.

– No jasne, ja też pracuję tu dla pieniędzy. Dobrze zarabiam, nie muszę się wyklócać z towarzystwami ubezpieczeniowymi i mam pacjentów posłusznych moim zaleceniom. – Nagle umilkł. – Ale słyszałem, że w przypadku Wallenberga poszło nie tylko o to. Na ostatniej konferencji geriatrycznej krążyły plotki. O Wallenbergu i jego asystentce z Rosslyn...

– Aha. Jeśli nie chodzi o pieniądze, to na pewno chodzi o seks.

– A czy warto się zabijać o coś jeszcze?

Przed oczyma stanął jej Wallenberg w smokingu, młody lew o bursztynowych oczach – tak, mógł być obiektem kobiecego pożądania, nie miała najmniejszych wątpliwości.

– A więc romansował z asystentką. To niezbyt szokujące.

– Rzecz w tym, że był w to zamieszany ktoś jeszcze.

– Wallenberg, asystentka i...?

– Jakiś lekarz z Rosslyn. Słyszałem, że sytuacja stała się bardzo napięta i wszyscy troje zrezygnowali. Wallenberg przyjechał do Brant Hill i podjął tu badania. Tak czy inaczej, wstrzykuje te hormony od sześciu lat bez żadnych skutków ubocznych...

– I przypadków CJD.

– Zgadza się. Musi pani spróbować z innej beczki.

– Dobra, skreślmy kurację hormonalną. Jak inaczej mogli się zarazić? Operacja, drobny zabieg chirurgiczny, na przykład przeszczep rogówki. Przeglądając karty choroby, mógł pan to przeoczyć.

Zirytowany Brace aż jęknął.

– Dlaczego się pani tak uwzięła? Codziennie widzę, jak ktoś umiera, i nie wpadam z tego powodu w obsesję.

Toby z westchnieniem osunęła się na oparcie kozetki.

– Wiem, że to niczego nie zmieni. Wiem, że Harry prawdopodobnie nie

żyje. Ale jeśli chorował na CJD, musiał już umierać, kiedy znalazł się w izbie przyjęć, i nie mogłam go uratować. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Sama nie wiem.

Gdyby tak było, może czułabym się mniej odpowiedzialna za jego śmierć.

– Dręczy panią poczucie winy.

Kiwnęła głową.

– Ale nie tylko o to chodzi. Do pewnego stopnia dbam też o korzyści osobiste. Adwokaci syna Harry’ego zbierają zaprzysiężone zeznania od pielęgniarek z izby. Nie sądzę, bym mogła uniknąć procesu. Ale gdybym zdołała udowodnić, że Harry Slotkin był śmiertelnie chory, kiedy go badałam...

– Sąd spojrzałby na panią przychylniej.

– Otóż to – przyznała ze wstydem. – Panie Slotkin, pański tatuś już umierał, o co cały ten szum?

– Nie wiemy na pewno, że Harry nie żyje.

– Zaginął miesiąc temu. Gdzie mógłby się podziać? To tylko kwestia odnalezienia zwłok.

Krzyk na górze ustał, bitwa dobiegła końca. Cisza wyeksponowała niezręczne milczenie, jakie między nimi zapadło. Zatrzeszczały schody i do saloniku weszła rudowłosa kobieta o skórze tak jasnej, że w świetle lampy niemal przezroczystej.

– Moja żona, Greta – powiedział Brace – doktor Toby Harper. Toby wpadła na pogawędkę o sprawach służbowych.

– Przepraszam za te krzyki – odezwała się Greta. – To codzienny napad złego humoru. Przypomnij mi, kochanie: dlaczego właściwie zdecydowaliśmy się na dziecko?

– Chcieliśmy przekazać mu dar naszego cudownego DNA. Sęk w tym, że ono ma twój temperament.

Greta przysiadła na poręczu fotela.

– To się nazywa determinacja, a nie temperament.

– Jak to zwał, tak zwał, ale uszy od tego puchną. – Poklepał ją po kolanie. – Toby pracuje w izbie przyjęć Springer Hospital. To ona mnie pozszywała.

– Ach tak. – Greta z uznaniem kiwnęła głową. – Znakomita robota, prawie nie będzie widać blizny. – Spojrzała na stolik i zmarszczyła czoło. – Robbie, mam nadzieję, że zaproponowałeś pani coś do picia. Nastawić herbatę?

– Nie, dziecinko, właśnie skończyliśmy.

To chyba znak, że pora iść, pomyślała Toby i niechętnie wstała.

Robbie też się podniósł. Cmoknął żonę w policzek i rzucił:

– Zaraz wracam, wpadnę tylko do kliniki. – Po czym spojrzał na zdumioną Toby. – Chce pani przejrzeć te karty choroby, prawda?

– Tak, oczywiście...

– W takim razie spotkamy się na miejscu. W Brant Hill.

Rozdział jedenasty

– Wiedziałem, że nie da mi pani spokoju – mruknął, otwierając frontowe drzwi. – Sprawdź to, sprawdź tamto. Jezu – pomyślałem sobie – pokażę te przeklęte karty, żeby się pani przekonała na własne oczy, że niczego nie ukrywam.

Weszli do środka. Drzwi się zatrzasnęły, w pustych korytarzach zadudniło echo. Brace skręcił w prawo i otworzył drzwi do archiwum.

Toby zapaliła światło i aż zamrugła ze zdumienia, widząc sześć rzędów szafek na akta.

– Są ułożone alfabetycznie? – spytała.

– Tak. Pacjenci na „A” są z tamtej strony, na „Z” z tej. Ja poszukam karty Slotkina, a pani – Parmentera.

Toby ruszyła w stronę szafek oznaczonych literą „P”.

– Ile tu tego jest – szepnęła zdziwiona. – Nie do wiary... Brant Hill ma aż tylu pacjentów?

– Nie. To jest archiwum centralne. Są tu karty choroby pacjentów wszystkich domów opieki Orcutt Health.

– To jakaś kongregacja?

– Tak. Jesteśmy jej sztandarową placówką.

– Ile skupia domów?

– Chyba kilkanaście. Dzielą się kosztami, przychodami i pacjentami.

Toby znalazła odpowiednią szafkę i zaczęła przerzucać karty.

– Nie mogę jej znaleźć – powiedziała.

– Slotkina już mam.

– Ale gdzie jest Parmenter?

Brace stanął w przejściu.

– Zapomniałem. Parmenter nie żyje, pewnie przenieśli jego kartę do zgonów. – Podeszedł do szafek na końcu sali. Chwilę później zamknął szufladę. – Nie ma, pewnie ktoś ją zabrał. Musi pani wystarczyć Slotkin. Niech pani czyta, ile tylko zechce, a przekona się pani, że niczego nie przeoczyłem.

Toby usiadła przy pustym biurku i otworzyła kartę choroby Harry'ego Slotkina. Ułożono ją według kategorii chorobowych. Na pierwszej stronie wyszczególniono dolegliwości, jakie trapiły pacjenta ostatnimi laty. Nie znalazła nic godnego uwagi. Przerost prostaty. Chroniczne bóle kręgosłupa. Lekkie upośledzenie słuchu spowodowane otosklerozą.

Typowe objawy starości.

Przerzuciła kilka kartek, cofając się w przeszłość. Znowu nic szczególnego. Usunięcie wyrostka robaczkowego w wieku trzydziestu pięciu lat. Przezcewkowa resekcja prostaty w wieku sześćdziesięciu dziewięciu. Kiedy skończył siedemdziesiątkę, usunięto mu zaćmę. Przez większość życia Harry Slotkin był bardzo zdrowym człowiekiem.

Zajrzała do wizyt klinicznych, gdzie znalazła zapiski lekarzy. Slotkin zgłaszał się głównie na rutynowe badania kontrolne, które przeprowadzał Wallenberg, od czasu do czasu odwiedzał też urologa, niejakiego doktora Bartella.

Przewracała kartki, aż trafiła na wpis sprzed dwóch lat, adnotację z podpisem, którego nie mogła odczytać.

– Kto to jest? – spytała. – Pierwsza litera to chyba „Y”

Brace zmrużył oczy.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Nie rozpoznaje pan tego nazwiska?

Pokręcił głową.

– Czasem ściągają na konsultację specjalistów spoza kliniki. A o co chodziło?

– Piszą tu chyba, że... „zniekształcona przegroda chrzestna nosa”. Badał go jakiś otorynolaryngolog.

– W Newton mieszka otorynolaryngolog Greenley. Ta litera to pewnie „G”, a nie „Y”.

Znała to nazwisko. Greenley przyjeżdżał na konsultacje do izby przyjęć.

Skoncentrowała się na wynikach ostatnich badań wzoru krwinek i składu chemicznego krwi, zarejestrowanych na komputerowych wydrukach. Wszystkie były w normie.

– Jak na człowieka w jego wieku, ma bardzo dobrą hemoglobinę – zauważyła. – Piętnaście. Jest lepszy ode mnie. – Odwróciła kartkę i zmarszczyła brwi, widząc zestawienie z nagłówkiem „Diagnostyka, Newton”. – Jezu, o koszty to wy się chyba nie martwicie, co? Ile tego jest... Test radioimmunologiczny na hormon tarczycy, test na hormon wzrostu, na prolaktynę, melatoninę, na hormon adrenokortykotropowy... – znów odwróciła kartkę. – I tu... Ta lista nie ma końca. Badania przeprowadzono rok temu, a powtórzono przed trzema miesiącami. Któreś laboratorium w Newton zgarnęło kupę szmalu.

– Tego rodzaju badania Wallenberg robi wszystkim pacjentom przechodzącym kurację hormonalną.

– Ale o samej kuracji nie ma tu ani słowa.

Brace zamilkł.

– Fakt, to dziwne. Jeśli Harry nie przechodził kuracji, po kiego grzyba takie badania?

– Może Brant Hill nabija kabzę laborantom? Te wszystkie badania musiały kosztować kilka tysięcy dolarów.

– Przeprowadzono je na zlecenie Wallenberga?

– Nic o tym tutaj nie piszą.

– Niech pani zajrzy do zestawienia zleceń i porówna daty. Toby znowu przerzuciła kilka kartek i odszukała odpowiednią listę. Były to ołówkowe kopie odręcznych zleceń lekarskich, wszystkie z podpisem i datą.

– Dobra. Pierwsze badanie endokrynologiczne zlecił Wallenberg. Drugie ten facet z niewyraźnym podpisem, doktor Greenley czy jak mu tam.

– Po co otorynolaryngolog miałby zlecać badanie endokrynologiczne?

Toby przejrzała resztę zleceń.

– Znowu ten sam podpis. To było prawie przed dwoma laty. Zlecił przedoperacyjnie valium i zamówił transport do zrzeszenia chirurgów „Howarth i Spółka” w Wellesley.

– Przedoperacyjnie? Przed jakim zabiegiem?

– Ma bardzo niewyraźny charakter pisma... „Zniekształcenie przegrody chrzestnej nosa”. – Toby westchnęła i zamknęła kartę. – Nic nam to nie dało, prawda?

– Wystarczy? W takim razie rozumiem, że możemy już iść. Greta się na mnie wkurzy.

Ze smutkiem podała mu dokumenty.

– Przepraszam, że wyciągnęłam pana z domu.

– Taa, nie mogę uwierzyć, że na to poszedłem. A papiery Parmentera? Chyba już ich pani nie potrzebuje, co?

– Gdyby się znalazły...

Włożył kartę Slotkina do szafki i trzasnął szufladą.

– Będę z panią szczery, pani doktor: wcale mi na tym nie zależy.

W salonie paliło się światło. Zaparkowawszy obok saaba Jane Nolan, dostrzegła ciepłą poświatę bijącą z za kotar i sylwetkę kobiety w oknie. Ktoś czuwał, ktoś wyglądał w mrok – ten widok podniósł ją na duchu. Jane była w domu, Jane pilnowała matki.

Toby otworzyła drzwi i weszła do saloniku.

– Już jestem.

Jane odwróciła się od okna, żeby pozbierać rozrzucone czasopisma. Na sofie leżał „National Enquirer”, otwarty na stronie z artykułem zatytułowanym *Wstrząsające przepowiednie metapsychiczne*. Jane szybko podniosła czasopismo i spojrzała na nią z uśmiechem pełnym zażenowania.

– Moja podnieta intelektualna na noc – wyjaśniła. – Wiem, że powinnam rozwijać umysł i czytać coś poważniejszego, ale... – pokazała czasopismo. – Nie potrafię oprzeć się niczemu ze zdjęciem Daniela Day-Lewisa na okładce.

– Ja też nie – wyznała Toby. I roześmiały się wesoło, bez skrepowania konstatując, że niektóre fantazje są wśród kobiet powszechne.

– Jak minął wieczór? – spytała Toby.

– Bardzo dobrze. – Jane szybko poprawiała poduszki na sofie. – O siódmej zjadłyśmy kolację; pochłonęła prawie wszystko, co przygotowałam. Potem zrobiłam jej kąpiel w pianie. Ale chyba powinnam była się od tego powstrzymać – dodała ze smutkiem.

– Dlaczego? Co się stało?

– Bawiła się tak dobrze, że nie chciała wyjść z wanny. Musiałam wyciągnąć korek.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zrobiła mamie taką kąpiel.

– Ma przy tym mnóstwo zabawy! Kładzie sobie pianę na głowie, wszędzie ją rozrzuca i rozdmuchuje. Dobrze, że nie widziała pani tego bałaganu. To tak jak obserwować małe dziecko w kąpeli. Bo w sumie pani mama jest dzieckiem.

Toby ciężko westchnęła.

– Dzieckiem, które z każdym dniem robi się młodsze.

– Ale jest przy tym bardzo miła. Pracowałam z wieloma pacjentkami chorymi na alzheimera, które wcale nie były miłe. Które z wiekiem robiły się coraz złośliwsze. Myślę, że pani mama taka nie będzie.

– Nie. Nigdy taka nie była.

Jane zebrała resztę czasopism i Daniel Day-Lewis zniknął w jej plecaczku. Toby dostrzegła wśród pism „Modern Bride”. Czasopismo marzycielek, pomyślała. Według dokumentów Jane była niezamężna. Miała trzydzieści pięć lat i jak tyle innych kobiet, które Toby знаła, robiła wrażenie osoby z nikim niezwiązaną, mimo to wciąż mającej nadzieję. Chętnej, lecz niezdesperowanej. Kobiety, której idol filmowy wystarczy do chwili, kiedy w jej życiu pojawi się mężczyzna z krwi i kości. Jeżeli kiedykolwiek to nastąpi.

Odprowadziła ją do drzwi.

– A więc wszystko poszło dobrze.

– O, tak. Świetnie mi się z Ellen układa. – Jane przystanąła w progu. – Byłabym zapomniała. Dzwoniła pani siostra. I ktoś z urzędu anatomopatologa. Powiedział, że jeszcze zadzwoni.

– Doktor Dvorak? Mówił, o co chodzi?

– Nie. Powiedziałam, że wróci pani późno. – Uśmiechnęła się i pomachała jej na pożegnanie. – Dobranoc.

Toby szcęknęła zasuwą i weszła do sypialni, by zadzwonić do siostry.

– Myślałam, że masz dzisiaj wolne – zaczęła Vickie.

– Bo mam.

– Zdziwiłam się, kiedy odebrała Jane.

– Prosiłam ją, żeby przyszła na kilka godzin. Pewnie tego nie zrozumiesz, ale raz na pół roku chciałabym wieczorem gdzieś wyjść.

Vickie westchnęła.

– Znowu jesteś na mnie wściekła. Jesteś, prawda?

– Nie, nie jestem.

– Jesteś, jesteś. Toby, ja doskonale wiem, że mama jest dla ciebie ciężarem. Wiem, że to niesprawiedliwe. Ale co ja na to poradzę? Dzieci doprowadzają mnie do szału. Wykładam w college'u, ale i tak najwięcej roboty mam w domu. Ledwie zapię.

– Vickie, czy to zawody z cyklu: Kto bardziej cierpi?

– Nawet nie wiesz, jak trudno jest radzić sobie z dziećmi.

– Fakt, nie wiem.

Zapadło długie milczenie. Nie wiem – pomyślała Toby, ponieważ ich nie mam, bo nie było okazji. Ale nie, nie mogła obwiniać za to siostry. To ambicja pchała ją do kariery, to przez ambicję nie interesowała się niczym innym. Cztery lata medycyny, trzy lata rezydentury. Nie miała czasu na romans. A potem Ellen zaczęła tracić pamięć i Toby musiała stopniowo przejmować jej obowiązki. Nikt tego nie planował. Nie wkroczyła na tę ścieżkę z rozmysłem. Po prostu tak chciało życie.

Nie, nie miała prawa się na nią złościć.

– Posłuchaj, mogłabyś wpaść do nas w niedzielę na kolację? – spytała Vickie.

– W niedzielę pracuję.

– Nie mogę się połąpać w tych twoich dyżurach. Cztery noce pracujesz, trzy masz wolne, tak?

– Z zasady. W przyszłym tygodniu mam wolny poniedziałek i wtorek.

– O Boże. Zupełnie nie pasuje. W poniedziałek jest dzień otwarty w

szkole, we wtorek Hannah ma recital fortepianowy.

Toby milczała. Czekala, az siostra skonczy ograna litanie na temat wypeelnionego kalendarza i trudnosci w zestrojeniu rozkladu tygodnia czterech osob. Jak wszystkie dzieci w ich wieku, rowniez Hannah i Gabe byli ostatnio bardzo zajeci, wypeelniajac kazda wolna godzine dzieciinstwa lekcjami muzyki, gimnastyka, plywaniem i zajeciami komputerowymi. Trzeba odwiedzic je tu, trzeba odwiedzic je tam, tak ze pod koniec dnia Vickie juz nie wiedziala, gdzie ma nogi, a gdzie glowe.

– Nie szkodzi – powiedziala w koncu Toby. – Moze umowimy sie kiedy indziej?

– Naprawde bardzo bym chciala, zebyś do nas wpadla.

– Tak, wiem. Mam wolny drugi tydzien listopada.

– Zaraz to zapisze. Ale najpierw upewnij sie, czy pasuje to mojej gromadce. Zadzwoe do ciebie w przyszłym tygodniu, dobrze?

– Dobrze. Dobranoc, Vickie. – Odlozyla sluchawke i ze znuzeniem przeczesala palcami wlosy. Jesteśmy zbyt zajete, zbyt zajete. Nie mamy nawet czasu, zeby odbudowac spalone mosty... Wyszla na korytarz i uchylila drzwi do pokoju matki.

Spala w swietle nocnej lampki. Wygladala jak dziecko: lekko rozchylone usta, twarz gladka i spokojna. Bywalo, ze w chwilach takich jak ta Toby dostrzegala w niej cień malej dziewczynki, jaka mama kiedyś byla, dziewczynki z twarza i lekami Ellen. Co sie z ta dziewczynka stalo? Uciekla, by zamknac sie w paralizujacym kokonie doroslosci? Czyzby wychodzila z niego dopiero teraz, pod koniec zycia, gdy krepujace ja scianki zaczynaly sie powoli zluszczac?

Dotknela jej czoła, odgarnela miękki lok siwych wlosów. Ellen poruszyla sie, otworzyla oczy i spojrzala na nia nieprzytomnie.

– To tylko ja, mamó, spij.

– Zakrecilas gaz?

– Tak. I sprawdzilam, czy drzwi sa zamkniete. Dobranoc – pocalowala ja i wyszla z pokoju.

Postanowila jeszcze sie nie klastc. Nie bylo sensu zaklocac ustalonego rytmu pracy i odpoczynku, juz za dwadzieścia cztery godziny czekal ja przeciez kolejny dyzur. Nalala sobie kieliszek brandy i zanosla do salonu. Wlaczyla stereo i puszcila plyte Mendelssohna. Odezwaly sie solowe skrzypce, czysto i zalobnie. Ulubiony koncert Ellen. Ulubiony koncert Toby.

W kulminacyjnym punkcie crescendo zadzwonil telefon. Przyciszyla muzyke i podniosla sluchawke.

Dvorak.

– Przepraszam, że tak późno.

– Nie szkodzi. Przed chwilą wróciłam do domu – usiadła wygodnie na sofie z kieliszkiem w ręku. – Podobno dzwonił pan do mnie.

– Tak, rozmawiałem z gospożą. – Umilkł. W tle słyszała muzykę operową. *Don Giovanni*. No i tak – pomyślała. Dwoje obcych sobie ludzi siedzi samotnie w domu, tylko w towarzystwie wież stereo. – Miała pani przejrzeć karty choroby tych pacjentów z Brant Hill. Ciekawi mnie, czy coś pani znalazła.

– Przeglądałam kartę Harry’ego Slotkina. Nie ma tam żadnej adnotacji, która wskazywałaby na możliwość kontaktu z chorobą Creutzfeldta-Jakoba.

– A iniekcje hormonów?

– On ich nie dostawał. Chyba nie przechodził tej kuracji, a przynajmniej ani słowa nie ma o tym w karcie.

– A Parmenter?

– Nie mogliśmy znaleźć jego dokumentów, toteż nie wiem, czy przechodził jakieś zabiegi chirurgiczne. Mógłby pan spytać o to Wallenberga.

Dvorak nie odpowiedział. *Don Giovanni* dobiegł końca i w słuchawce zapanowała cisza.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć panu nic więcej. To czekanie na diagnozę musi być straszne.

– Owszem, miewałem już przyjemniejsze wieczory – przyznał. – Odkryłem, że polisy ubezpieczeniowe to bardzo nudna lektura.

– O Boże. Chyba nie spędził pan nad nimi całego wieczoru?

– Pomogła mi butelka wina.

Mruknęła ze współczuciem.

– Po ciężkim dniu zwykle zalecam kieliszek brandy. Szczerze mówiąc, właśnie je sączę. – Umilkła, potem od niechcienia dodała: – Wie pan co? I tak już nie zasnę. Nie sypiam nocami, odwykłam. Zapraszam pana do siebie. Napijemy się razem.

Dvorak milczał, a ona zamknęła oczy i pomyślała: Boże święty, po co ja to powiedziałam?! Dlaczego się tak napraszam?

– Dziękuję, ale dzisiaj nie miałaby pani ze mnie pociechy. Może innym razem.

– Dobrze. Innym razem. Dobranoc.

I czego się spodziewałam? Że natychmiast do mnie przyleci? Że spędzimy noc, patrząc sobie w oczy?

Westchnęła i puściła koncert od początku. Skrzypce grały, a ona sęczyła brandy i liczyła godziny do samego świtu.

Rozdział dwunasty

Pogrzeby zaczynały Bigelowa nużyć. W tyłu już uczestniczył, a ostatnio bywał na nich coraz częściej, tak często, że przywodziły na myśl wciąż szybsze i szybsze uderzenia bębna, odmierzające upływ czasu. To, że stracił tylu przyjaciół, nie było niczym nieoczekiwanym; ostatecznie miał siedemdziesiąt sześć lat i przeżył większość z nich. Śmierć szła teraz po niego. Czuł, jak się skrada, słyszał jej ciche kroki, a oczyma wyobraźni widział dokładny obraz swego sztywnego ciała w otwartej trumnie: przypudrowana twarz, starannie zaczesane włosy, szary wełniany garnitur, porządnie odprasowany i zapięty. I tłum tych samych co teraz ludzi, którzy przechodzili obok trumny, w milczeniu składając hołd zmarłemu. Dziś na katafalku stała trumna Angusa Parmentera, a nie Jamesa Bigelowa, ale to tylko kwestia czasu. Jeszcze miesiąc, jeszcze rok i w zakładzie pogrzebowym wystawią na widok publiczny trumnę z jego zwłokami. Wszyscy muszą kiedyś dotrzeć do kresu podróży.

Ludzie się przesuwali, wraz z nimi przesuwiał się Bigelow. Przystanął przy trumnie i spojrzał na swego przyjaciela. Nawet ty nie byłeś nieśmiertelny, Angus.

Poszedł dalej, skręcił w środkowe przejście i usiadł w czwartym rzędzie. Z tego miejsca obserwował procesję znajomych twarzy z Brant Hill. Była wśród nich Anna Valentine, sąsiadka Angusa, która niestrudzenie zadrezczała go telefonami i zapiekankami. Byli wśród nich koledzy z pola golfowego, znajomi z kółka degustatorów wina i muzycy z amatorskiej orkiestry.

A gdzie Phil Dorr?

Bigelow rozejrzał się, wiedząc, że Phil powinien tu być. Nie dalej jak przed trzema dniami wypili w klubie po kilka szklaneczek, poszeptując o starych kumplach od pokera, o Angusie, Harrym i Stanie Mackie. Żaden już nie żył, pozostali tylko on i Phil. Poker we dwóch to gra niewarta świeczki, stwierdził Phil. Chciał wsunąć Angusowi do trumny talię kart. Ot tak, na pożegnanie i na dobry początek przy zielonym stoliku w niebiesiech. Zastanawiał się, czy rodzina miałaby coś przeciwko temu. Uznają, że to tani dowód przyjaźni? Że uchybia godności nieboszczyka, spoczywającego na połyskliwych atłasach? Śmiali się z tego ze smutkiem, sącząc kolejną szklaneczkę toniku. Pies to drapał, zdecydował Phil. Zrobi to tak czy inaczej. Angus na pewno by ten gest docenił.

Mimo to Phil nie pokazał się z kartami na pogrzebie.

Między krzesła wcisnęła się Anna Valentine i usiadła obok Bigelowa. Twarz miała mocno upudrowaną, lecz – o ironio! – miał kamuflować jej wiek, puder uwydatniał każdą, nawet najdrobniejszą zmarszczkę. Jeszcze jedna wyglądająca wdowa. Gdziekolwiek się obrócisz – wdowa. W normalnych okolicznościach pewnie unikałby rozmowy, nie chcąc rozbudzać w niej fałszywych nadziei – Anna myślała tylko o jednym – ale tak się złożyło, że w pobliżu nie było nikogo, z kim mógłby zamienić choćby parę słów.

Nachylił się do Anny i szepnął:

– Gdzie Phil?

Spojrzała na niego, zdziwiona, że się do niej zwrócił.

– Co?

– Phil Dorr. Miał tu być.

– Chyba źle się czuje.

– Co mu jest?

– Nie wiem. Dwa dni temu zrezygnował z wyprawy do teatru.

Powiedział, że ma coś z oczami.

– Mnie nic nie mówił.

– Zauważył to dopiero w ubiegłym tygodniu, miał iść do lekarza. – Głęboko westchnęła i popatrzyła na trumnę. – To straszne, jak szybko wszystko się nam psuje, prawda? Oczy, biodra, uszy... Dzisiaj zdałam sobie sprawę, że zmienił mi się głos. Nigdy dotąd nie zwróciłam na to uwagi. Oglądałam kasetę z wycieczki do Faneuil Hall i nie mogłam uwierzyć, że mówię jak sędziwa staruszka. I czuję się jak sędziwa staruszka, Jimmy, przestałam rozpoznawać się w lustrze... – Znowu przeciągle westchnęła. Po jej policzku spłynęła łza, żłobiąc w pudrze kręty wawóz. Annę otarła ją, ale rozmazała przy tym makijaż.

Phil ma coś z oczami.

Bigelow pogrzył się w zadumie. Koło trumny wciąż sunął sznur żałobników, wciąż skrzypiały krzesła, wciąż niósł się szmer przyciszonych głosów:

– Pamiętasz, jak Angus...

– Nie mogę uwierzyć, że już zgasł...

– Powiadają, że to wylew...

– Nie, słyszałem, że to coś innego...

Bigelow gwałtownie wstał.

– Nie zostajesz na nabożeństwie? – spytała Anna.

– Muszę... muszę z kimś porozmawiać – odrzekł, przeciskając się

między krzesłami. Chyba go wołała, ale ruszył w stronę wyjścia i nie obejrzał się za siebie.

Najpierw pojechał do Phila, który mieszkał ledwie kilka domów od niego. Drzwi były zamknięte, nikt nie reagował na dzwonek. Bigelow stał na ganku, potem zajrzał przez okno. Widział stamtąd tylko mały hol, stolik z wiśniowego drewna i mosiężny stojak na parasole. Aha, jeszcze but na podłodze. But. Uznał, że to dziwne, wręcz niemożliwe! Phil był chorobliwie pedantyczny.

Bigelow zawrócił i mijając ogrodową furtkę, dostrzegł, że skrzynka na listy jest pełna. To też było do Phila niepodobne.

Miał coś z oczami...

Wsiadł do samochodu i krętą alejką przejechał kilkaset metrów do gmachu kliniki. Wszedł do recepcji ze spotniałymi dłońmi i z walącym sercem.

Recepcjonistka go z początku nie zauważyła, zbyt zajęta rozmową przez telefon.

Bigelow załomotał w okienko.

– Muszę się widzieć z doktorem Wallenbergiem.

– Zaraz do pana podejść – odrzekła.

Coraz bardziej sfrustrowany patrzył, jak się od niego odwraca, jak zaczyna postukiwać w klawiaturę komputera, nie przerywając rozmowy o składkach ubezpieczeniowych i numerach autoryzacyjnych.

– To ważne! – krzyknął. – Muszę wiedzieć, co się dzieje z Philem Dorrem!

– Rozmawiam przez telefon, proszę pana.

– Phil też zachorował, tak? Ma kłopoty z oczami.

– Musi pan porozmawiać z jego lekarzem.

– W takim razie proszę mnie wpuścić do doktora Wallenberga.

– Doktor Wallenberg wyszedł na lunch.

– Kiedy wróci? Kiedy?!

– Proszę się uspokoić, musi się pan uspokoić...

Bigelow wsunął rękę przez okienko i grzmotnął pięścią w widełki telefonu.

– Chcę się widzieć z Wallenbergiem!

Recepcjonistka cofnęła się z zasięgu jego ramion. Z sąsiednich pomieszczeń archiwum wyszły dwie kobiety. Wszystkie trzy gapiły się na starca szalejącego w poczekalni.

Otworzyły się drzwi i wszedł lekarz, olbrzymi Murzyn, górujący nad Bigelowem niczym wieża. Na przypiętym do fartucha identyfikatorze

widniało nazwisko: Dr Brace.

– Co się stało? – zapytał. – Mogę w czymś pomóc?

– Muszę się zobaczyć z Wallenbergiem.

– W tej chwili nie ma go w klinice.

– W takim razie to pan mi powie, co się dzieje z Philem.

– Z kim?

– Dobrze pan wie! Z Philem Dorrem! Mówią, że jest chory, że ma coś z oczami. Zabrali go do szpitala?

– Zaraz sprawdzimy. Zechce pan tymczasem usiąść. Siostry zajrzą do kartoteki i...

– Nie chcę siadać! Chcę wiedzieć, czy Phil zachorował na to samo co Angus! Na to samo co Stan Mackie!

Frontowymi drzwiami do poczekalni weszła pacjentka. Zamarła, widząc Bigelowa z zaczerwienioną twarzą, i natychmiast wyczuła, że dzieje się coś niedobrego.

– Porozmawiamy w moim gabinecie, dobrze? – zaproponował Brace głosem cichym i łagodnym. Wyciągnął rękę. – To kilka kroków stąd.

Bigelow spojrział na jego szeroką, zaskakująco białą od środka dłoń, przeciętą grubą, czarną linią życia. Podniósł wzrok.

– Chciałem się tylko dowiedzieć... – szepnął.

– Czego?

– Czy... czy zachoruję tak jak oni?

Brace pokręcił głową. Nie była to odpowiedź na pytanie, lecz wyraz zdumienia.

– Dlaczego miałby pan zachorować?

– Mówili, że nie ma żadnego ryzyka, że zabieg jest całkowicie bezpieczny. Ale potem zachorował Mackie i...

– Mackie? Nie znam pana Mackie.

Bigelow spojrział na recepcjonistkę.

– Pani go pamięta. Pamięta pani Stana Mackie, musi go pani pamiętać.

– Oczywiście – odrzekła. – Było nam bardzo smutno, kiedy odszedł.

– Phil też odszedł, prawda? Tylko ja zostałem.

– Panie Bigelow? – odezwała się jedna z kobiet spoza okienka. – Właśnie sprawdziłam kartę pana Dorra. Pan Don nie jest chory.

– To dlaczego nie był na pogrzebie Angusa? Miał tam być!

– Pan Dorr wyjechał z nagłych powodów rodzinnych. Prosił, żeby przenieść jego dokumenty do La Jolla, ma tam nowego lekarza.

– Co?!

– Tak tu jest napisane – pokazała mu z daleka kartę z przypiętą do niej

notatką. – Na upoważnieniu jest wczorajsza data. Przeczytam je panu: „*Pacjent nie wraca – przeniesiony z nagłych powodów rodzinnych. Kartę choroby przesać do Brant Hill West, La Jolla, Kalifornia*”.

Bigelow podszedł do okienka i spojrzął na widniejący na upoważnieniu podpis: dr med. Carl Wallenberg. Brace położył mu rękę na ramieniu.

– Jestem przekonany, że pański przyjaciel wkrótce się do pana odezwie. Wygląda na to, że wezwały go pilne sprawy rodzinne.

– Ale jakim cudem? – zapytał cicho Bigelow.

– Może ktoś zachorował. Albo umarł.

– Przecież Phil nie ma żadnej rodziny.

Patrzył na niego Brace, patrzyły na niego kobiety zza okienka recepcji. Czuł, że stoją za szybą i gapią się na niego jak na zwierzę na wybiegu w zoo.

– Coś tu nie gra – dodał. – Nie chcecie mi powiedzieć, tak?

– Możemy o tym porozmawiać – odezwał się lekarz.

– Chcę się zobaczyć z Wallenbergiem.

– Jest na lunchu. Ale może pan porozmawiać ze mną, panie...

– Bigelow. James Bigelow.

Brace otworzył drzwi na korytarz.

– Przejdźmy do mojego gabinetu, dobrze? Wszystko mi pan opowie.

Bigelow spojrzął w głąb długiego, białego korytarza, który ciągnął się za progiem.

– Nie – szepnął, cofając się o krok. – Nie, nie ma o czym, nieważne...

I uciekł z budynku.

Robbie Brace zapukał do drzwi i wszedł do gabinetu Carla Wallenberga. Gabinet odzwierciedlał dobry, acz snobistyczny gust jego właściciela. Brace nie znał się na meblach, ale nawet on zauważył, że są najwyższej jakości. Masywne biurko z ciepłego, egzotycznego drewna, którego nie rozpoznawał. Na ścianach abstrakcyjne mazaje, za które płaciło się fortunę. Biurko stało przy oknie, a za oknem zachodziło słońce, tak że głowa Wallenberga tonęła w złocistej poświacie. Siedzi tu jak sam Pan Bóg na niebieskim tronie – pomyślał Brace.

Wallenberg oderwał wzrok od dokumentów.

– Tak, Robbie?

„Robbie”. Nie „panie doktorze”, tylko „Robbie”. Ciekawe, kto tu rządzi.

– Czy pamięta pan pacjenta o nazwisku Stan Mackie?

Na tle słońca nie mógł zobaczyć wyrazu jego twarzy.

Wallenberg powoli odchylił się w fotelu, głośno zaskrzypiała skóra.

– Gdzie pan słyszał to nazwisko?

– Wspomniał o nim jeden z pańskich pacjentów. Zna pan pana Bigelowa?

– Tak, oczywiście. To jeden z moich pierwszych podopiecznych. Jako jeden z pierwszych wprowadził się do Brant Hill.

– Otóż pan Bigelow przyszedł tu wczoraj po południu. Był bardzo zdenerwowany, dlatego nie wiem, czy dobrze go zrozumiałem. W kółko powtarzał, że zachorowali jego wszyscy przyjaciele, niepokoił się, że będzie następny. I wspomniał nazwisko pana Mackie.

– Chodziło mu o doktora Mackie.

– Był lekarzem?

Wallenberg wskazał krzesło.

– Niech pan spocznie, Robbie. Trudno jest rozmawiać, gdy pan tak nade mną góruje.

Brace usiadł i natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił taktyczny błąd. Stracił przewagę wzrostu, bo głowy mieli teraz na tej samej wysokości, a Wallenberg przewyższał go pod każdym innym względem. Był jego szefem. Był biały. No i miał lepszego krawca.

– Wyglądało na to, że pan Bigelow śmiertelnie boi się na coś zachorować. O co mu chodziło? – spytał.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Mówił o jakimś zabiegu, twierdził, że przechodził go wraz z przyjaciółmi.

Wallenberg pokręcił głową.

– Może chodziło mu o kurację hormonalną? O cotygodniowe zastrzyki?

– Nie wiem.

– Jeśli miał na myśli kurację, niepotrzebnie się niepokoi. W tym, co robimy, nie ma nic rewolucyjnego, dobrze pan o tym wie.

– A więc jednak pan Bigelow i jego przyjaciele przechodzili kurację hormonalną?

– Tak. Między innymi dlatego przyjechali do Brant Hill. Żeby skorzystać z rezultatów naszych prekursorskich badań i zabiegów.

– Zabiegów? No właśnie. To ciekawe, że użył pan tego słowa. Pan Bigelow nie wspominał o zastrzykach. Mówił o „zabiegu”, jakby chodziło mu o jakiś zabieg chirurgiczny.

– Nie, nie. Pan Bigelow nie przechodził żadnego zabiegu. O ile pamiętam, do chirurga zgłosił się tylko raz, z polipem w nosie. I,

oczywiście, nie był to nowotwór złośliwy.

– A ta kuracja hormonalna? Czy stwierdził pan jakieś poważne skutki uboczne?

– Nie, żadnych.

– A więc to wykluczone, żeby spowodowała śmierć Angusa Parmentera?

– Jak dotąd nie ustalono, na co umarł.

– Wykryto u niego chorobę Creutzfeldta-Jakoba. Wiem to od doktor Harper.

Wallenberg znieruchomiał, a Brace uświadomił sobie natychmiast, że nie powinien był wymieniać jej nazwiska. Że nie powinien przyznawać się do utrzymywania z nią jakichkolwiek kontaktów.

– Cóż – zauważył cicho Wallenberg – wyjaśniałoby to symptomy, jakie u niego zaobserwowaliśmy.

– A niepokoję pana Bigelowa? O to, że zachoruje na tę samą chorobę co jego przyjaciele?

Wallenberg pokręcił głową.

– Sam pan wie, że naszym pacjentom trudno jest pogodzić się z faktem, że ich życie dobiega kresu. Angus Parmenter miał osiemdziesiąt dwa lata. Starość i śmierć czeka nas wszystkich.

– Jak umarł doktor Mackie?

Wallenberg odpowiedział nie od razu.

– To było niezwykle przykre i denerwujące zdarzenie. Doktor Mackie załamał się psychicznie. Wskoczył oknem w Wicklin Hospital.

– Chryste...

– Przeżyliśmy szok. Doktor Mackie był chirurgiem, bardzo dobrym chirurgiem. Miał siedemdziesiąt cztery lata i wciąż operował. Pracował do ostatniej chwili, do dnia tego... nieszczęsnego wypadku.

– Przeprowadzono autopsję?

– Zmarł od ciężkich urazów, więc...

– Tak, ale czy przeprowadzono autopsję?

– Nie wiem. Był pod opieką chirurgów z Wicklin. Zmarł tydzień później. – Przyjrzał mu się w zamyśleniu. – Widzę, że wyraźnie to pana niepokoi, Robbie.

– Pewnie dlatego, że Bigelow był tak bardzo zdenerwowany. Wymienił nazwisko jeszcze jednego przyjaciela, który ponoć zachorował, niejakiego Philipa Dorra.

– Pan Dorr ma się doskonale. Przeniósł się do Brant Hill West w La Jolla. Właśnie otrzymałem podpisane przez niego upoważnienie do

przeniesienia dokumentacji medycznej. – Poszperał wśród papierów na biurku i wyciągnął kartkę papieru. – Faks z Kalifornii.

Na dole widniał własnoręczny podpis Dorra.

– A więc nie jest chory.

– Kilka dni temu robiłem mu rutynowe badania kontrolne.

– I?

Wallenberg spojrział mu prosto w oczy.

– Był zupełnie zdrowy.

Po powrocie do swego pokoju Brace skończył wypełniać codzienną porcję kart choroby i zaliczył codzienną sesję dyktowania. O wpół do siódmej wyłączył magnetofon, spojrzął na uporządkowane biurko i przyłapał się na tym, że patrzy na nazwisko, które wypisał na okładce protokołu laboratoryjnego: dr Stanley Mackie. Wczorajszy incydent w recepcji ciągle nie dawał mu spokoju. Przypomniały mu się dwa inne nazwiska, które wymienił Bigelow: Angus Parmenter i Philip Dorr. Mackie, Parmenter i Dorr. W tym, że dwaj z nich już nie żyli, nie było nic niepokojącego. Wszyscy trzej należeli do ludzi starszych, wszyscy trzej przekroczyli średnią statystyczną długości życia.

Rzecz w tym, że to nie starość była przyczyną ich śmierci.

Brace widział strach w oczach Bigelowa, widział w nich prawdziwy lęk i poczuł się nieswojo. Od tamtej pory nie mógł się z tego otrząsnąć.

Zadzwoił do Greta, by ją uprzedzić, że się spóźni, bo musi wpaść na chwilę do Wicklin. Potem spakował teczkę i wyszedł.

Klinika już opustoszała, tylko na końcu korytarza, przy recepcji, paliła się jedna jarzeniówka. Kiedy pod nią przechodził, usłyszał ciche brzęczenie. Podniósł głowę i zobaczył owada, który trzepotał się pod plastikową osłoną i zmagał z nieuchronną śmiercią. Brace pstryknął przełącznikiem. W korytarzu zapadła ciemność, mimo to wciąż słyszał dochodzące z góry bzyczenie i szaleńczy trzepot.

Wyszedł z budynku w wietrzną, wilgotną noc.

Jego zielona toyota była jedynym samochodem na parkingu. W żółtawym blasku latarni sprawiała wrażenie czarnej i przypominała lśniący pancierz żuka. Przystanął, by wygrzebać z kieszeni kluczyki, i spojrzął na oświetlone okna domu opieki. Dostrzegł nieruchome sylwetki pacjentów w pokojach oraz błękitną poświatę z telewizyjnych ekranów, na które mało kto patrzył. I nagle przytłoczyła go fala przemożnego przygnębienia. To, co tam widział, było kresem życia. Zapowiedzią jego własnej

przyszłości.

Wsiadł do samochodu i wyjechał z parkingu, mimo to nie potrafił otrząsnąć się z depresji. Przyłgnęła do niego jak zimna mgła do skóry. Powinienem być wybrać pediatrię – pomyślał. Dzieci. Początki. Rozwijające, a nie rozkładające się ciało. Podczas studiów jednak uległ przekonaniu, że przyszłość praktyki medycznej leży w geriatric, w leczeniu posiwiałych przedstawicieli wyżu demograficznego, całej ich armii, która maszerując ku starości, pochłania po drodze góry medykamentów. Dziewięćdziesiąt centów z każdego dolara przeznaczonego na opiekę medyczną pacjent wydaje w ostatnim roku życia: to właśnie stąd popłyną pieniądze, to na tym można porządnie zarobić.

Jako człowiek praktyczny Robbie Brace wybrał praktyczny zawód.

Praktyczny, za to koszmarnie przygnębiający.

Jadąc do Wicklin, zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby wybrał pediatrię. Pomyślał o swojej córeczce i przypomniało mu się, z jaką radością patrzył na jej pomarszczoną twarzyczkę, gdy wściekała się i wrzeszczała na porodówce. Pamiętał też inne rzeczy: wyczerpujące karmienia o drugiej w nocy, zapach pudru, kwaśny zapach mleka, zapach jedwabistej skóry w ciepłej kąpiel. Pod wieloma względami niemowlęta przypominają sędziwych starców. Trzeba je kąpać, karmić i ubierać. Trzeba im zmieniać pieluszki. Nie umieją ani chodzić, ani mówić. Żyją na łasce ludzi, którzy się nimi opiekują.

Było wpół do ósmej, kiedy dojechał do Wicklin Hospital, małego szpitala komunalnego w granicach administracyjnych Bostonu. Nałożył biały fartuch, poprawił identyfikator, po czym wszedł do budynku. Nie miał tu żadnych uprawnień ani władzy, by żądać okazania kart choroby; zaryzykował, stawiając na to, że nikt nie zechce zawracać sobie głowy sprawdzaniem jego praw.

W archiwum wypełnił formularz zapotrzebowania na kartę choroby Stanleya Mackie, po czym wręczył go drobnej blondynce za ladą. Zerknęła na jego identyfikator i zawahała się, najpewniej wiedząc, że Brace u nich nie pracuje.

– Jestem z Brant Hill – wyjaśnił. – Pan Mackie był naszym pacjentem.

Kiedy urzędniczka przyniosła dokumenty, usiadł przy pustym biurku. Okładkę karty przecinał czarny napis: Zmarł. Brace zajrzał do środka. Na pierwszej stronie wyszczególniono dane osobowe: imię i nazwisko, datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego. Uwagę Brace'a natychmiast przykuł adres denata: 101 Titwillow Lane, Newton, Massachusetts.

To był adres Brant Hill.

Przerzucił kartę. Zapiski i adnotacje dotyczyły tylko ostatniej hospitalizacji, okresu zakończonego zgonem pacjenta. Brace zaczął od protokołu lekarza przyjmującego z dnia dziewiątego marca i czytał z rosnącym zdumieniem.

Doktor Mackie: 74 lata, biały, z zawodu lekarz. Dotychczas zdrowy, przeniesiony z izby przyjęć z rozległymi obrażeniami po upadku z okna na trzecim piętrze szpitala. Tuż przed wypadkiem pacjent wykonywał rutynowy zabieg usunięcia wyrostka robaczkowego; instrumentariuszki, asystujące przy operacji, zauważyły wyraźne drżenie obu jego rąk. Bez żadnego wyjaśnienia doktor Mackie dokonał resekcji kilkudziesięciu centymetrów zdrowego jelita cienkiego operowanej pacjentki, wskutek czego nastąpił rozległy krwotok wewnętrzny. Kiedy obecni na miejscu zdarzenia członkowie personelu medycznego próbowali go odciągnąć od stołu operacyjnego, doktor Mackie zaatakował anestezjologa, przeciął mu skalpelem żyłę szyjną, po czym zbiegł z sali operacyjnej.

Świadkowie obecni w korytarzu widzieli, jak rzuca się głową naprzód w okno. Upadł na parking. Nie reagował na bodźce i krwawił z licznych ran ciętych.

Po zaintubowaniu i stabilizacji pacjenta w izbie przyjęć skierowano go na oddział urazowy z licznymi pęknięciami czaszki i z prawdopodobnym złamaniem kompresyjnym kręgosłupa...

Protokół sporządzono w charakterystycznym dla chirurgów stylu, lapidarnym i bezdusznym. Opis w sumie sprowadzał się do zwięzłego wypunktowania odniesionych przez pacjenta ran, a także spostrzeżeń neurologicznych. Liczne okaleczenia skóry głowy i twarzy. Otwarte złamania kości ciemieniowych oraz płaszczyzny czołowej, połączone z wypchnięciem z czaszki substancji szarej. Uszkodzona tęczówka prawego oka. Zatrzymanie oddechu spontanicznego, brak reakcji na ból. Słowem, obrażenia typowe dla człowieka, który upadł na parking głową w dół.

Po przerzuceniu kilku kartek Brace zobaczył adnotację chirurga:

Wynik badania rtg: złamanie kompresyjne kręgów C6, C7, T8.

Potwierdziło to fakt, że upadł na głowę, gdyż siła upadku zadziałała przede wszystkim na górną część kręgosłupa.

Tygodniowe leczenie szpitalne Stanleya Mackie było przegraną walką z

postępującą dysfunkcją organów wewnętrznych – podłączony do respiratora, zapadł w śpiączkę, z której już się nie obudził. Najwcześniej przestały funkcjonować nerki, pewnie wskutek wstrząsu pourazowego. Potem przyplątało się zapalenie płuc, pacjentowi dwukrotnie spadało ciśnienie, co doprowadziło do zawału krezki. W końcu, siedem dni po upadku z trzeciego piętra, doszło do zatrzymania pracy serca.

Brace zajrzał na koniec karty, gdzie umieszczono wyniki badań laboratoryjnych. Znalazł tam plik wydruków komputerowych z tygodniowego leczenia, na bieżąco aktualizowane dane na temat składu elektrolitów, krwi i moczu. Przewracał kartkę po kartce, przeglądając wydruki rejestrujące badania warte tysiące dolarów – badania, które przeprowadzono, mimo że pacjenta nieuchronnie czekała śmierć.

Więcej czasu poświęcił zestawieniu z nagłówkiem „Patologia”.

Wątroba (post-mortem):

Oględziny zewnętrzne. Waga: 1600 g. Błada, wyraźnie widoczne obszary silnego krwawienia. Brak chronicznych zmian zwłóknieniowych.

Oględziny mikroskopowe. W preparatach barwionych hematoksyliną i eozyną słabo wybarwione ogniska martwicy komórek, ogniska zakrzepowej martwicy niedokrwiennej.

Na następnej stronie znalazł wynik badania krwi, wpięty tam najpewniej przez pomyłkę. Przerzucił kolejną kartkę i zobaczył... okładkę. Więcej kartek nie było.

Zaczął przeglądać papiery od początku, szukając wyników autopsji, ale prócz opisu wątroby nie znalazł absolutnie nic. Nie trzymało się to kupy. Dlaczego mieliby przeprowadzać sekcję tylko jednego organu? Gdzie podział się opis płuc, serca i mózgu?

Spytał urzędniczkę, czy udostępniła mu komplet dokumentów.

– Tak, innych w archiwum nie ma – odrzekła.

– Brakuje tu niektórych wyników badań patologicznych.

– Może pan sprawdzić bezpośrednio w patologii. Mają tam kopie wszystkich protokołów.

Oddział patologii mieścił się w podziemiach i był poprzecinany labiryntem niskich korytarzy o białych ścianach, obwieszonych egzotycznymi plakatami biur podróży. Mgła nad Serengeti. Tęcza nad Kauai. Mangrowce na tle turkusowego morza. Z radia płynęła ściszona muzyka rockowa. Biorąc pod uwagę rodzaj wykonywanej pracy, samotna laborantka, którą tam zobaczył, sprawiała absurdalnie wesołe wrażenie.

Róż na policzkach, krzykliwie zielony cień na powiekach – podobnie jak plakaty dziewczyna była jaskrawą plamą na tle bieli.

– Próbuję odnaleźć protokół z autopsji, którą przeprowadzaliście w marcu – powiedział. – Nie ma go w karcie. W archiwum powiedziano mi, żebym spróbował tutaj.

– Nazwisko pacjenta?

– Stanley Mackie.

Laborantka pokręciła głową i ruszyła w stronę szafki na akta.

– Taki miły człowiek. Strasznie było nam go żal.

– Znała go pani?

– Chirurdzy często wpadają tu, by zajrzeć do protokołów swoich pacjentów. Zналиśmy doktora Mackie bardzo dobrze. – Wyciągnęła szufladę i zaczęła szukać akt. – Na gwiazdkę kupił nam ekspres do kawy. Nazwałyśmy go „Kawowarem Stanleya”... Wyprostowała się, wpatrzona w otwartą szufladę. – Dziwne.

– Co?

– Nie mogę go znaleźć, tego protokołu. – Zatrzasnęła szufladę. – Ale jestem pewna, że autopsję robiliśmy.

– Może ktoś włożył go przez pomyłkę pod „S”, jak „Stanley”? Otworzyła inną szufladę, przeszukała ją, zamknęła i odwróciła się, widząc, że do laboratorium ktoś wchodzi.

– Hej, Tim! – zawołała. – Widziałeś gdzieś protokół z autopsji doktora Mackie?

– Robiliśmy ją chyba dość dawno.

– Na początku roku.

– W takim razie powinien gdzieś tu być. – Postawił na stole tacę z preparatami. – Spytaj Hermana.

– Dlaczego nie pomyślałam o Hermanie? – Laborantka westchnęła i weszła do jednego z pomieszczeń sąsiadujących z laboratorium.

Brace ruszył za nią.

– Kto to jest Herman?

– Nie kto, a co. – Zapaliła światło. – Oto Herman we własnej osobie – powiedziała, wskazując biurko z komputerem. – Pieszczoszek doktora Seiberta.

– Ten Herman... Co on takiego robi?

– Błyskawicznie zestawia dane. Powiedzmy, że chce pan wiedzieć, ile niemowląt palących matek zmarło lub ile spośród tych matek straciło dziecko w czasie porodu. Wystukuje pan na klawiaturze wyrazy „palacz” i „okołoporodowy”, a Herman wyświetla listę pacjentek, które do nas

trafiły.

– A więc przechowujecie tu dane ze wszystkich przeprowadzonych autopsji?

– Nie, tak dobrze nie jest. Doktor Seibert zaczął wprowadzać je dopiero dwa miesiące temu, do końca jeszcze daleko. – Usiadła, wystukała na klawiaturze nazwisko Stanleya Mackie i kliknęła myszką: „Szukaj”.

Komputer wyświetlił po chwili protokół z sekcji zwłok doktora Mackie. Laborantka wstała.

– Herman jest do pańskiej dyspozycji.

Dane wprowadzono przed sześcioma tygodniami – oryginał protokołu musiał zagać właśnie wtedy. Brace wcisnął klawisz z napisem „Page down” i zaczął czytać.

Protokół rozpoczynał się opisem zwłok sprzed rozpoczęcia sekcji: liczne ślady po nakłuciach dożylnych, ogolona głowa, na niej nacięcia wykonane nożem neurochirurga. Poniżej zamieszczono ogólną charakterystykę organów wewnętrznych. Płuca przekrwione i obrzęknięte. Serce po świeżym zawale. Liczne krwotoki domózgowe. Wyniki badania makroskopowego potwierdzały diagnozę chirurga: rozległe obrażenia głowy i obustronne zapalenie płuc. Bezpośrednią przyczyną zgonu był prawdopodobnie zawał.

Brace przeszedł do wyników badań mikroskopowych, gdzie natknął się na streszczenie opisu wątroby; była to komputerowa wersja dokumentu zamieszczonego w oryginale protokołu. Ale znalazł tam również dane, których w oryginale nie było: wyniki badań mikroskopowych wątroby, serca i płuc. Żadnych niespodzianek – pomyślał. Facet grzmotnął głową w beton, roztrzaskał sobie czaszkę, a urazy neurologiczne doprowadziły do dysfunkcji organów wewnętrznych.

Nacisnął klawisz i na ekranie pojawiły się wyniki badań mózgu. I nagle... Spośród zdań opisujących rozległe urazy tkanki mózgowej oczy Brace’a natychmiast wyłowiły coś, co go zmroziło.

... w siatce włókien nerwowych liczne wakuole. Ubytki neuronalne i astrocytoza odczynowa z Kongo-pozytywnymi płytkami kuru, jak w preparatach mózdkowych.

Natychmiast przeskoczył na ostatnią stronę, gdzie zamieszczono diagnozę końcową:

1. Liczne pourazowe krwotoki domózgowe.

2. Choroba Creutzfeldta-Jakoba.

Siedział w samochodzie na parkingu i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Czy w ogóle powinien cokolwiek robić, rozważał wszystkie konsekwencje kroków, jakie mógłby podjąć. Byłby to druzgoczący cios dla reputacji Brant Hill. Prasa, radio i telewizja natychmiast by to podchwyciły; oczyma wyobraźni widział już nagłówki: *Ritz i śmierć; Choroba wściekłych krów dla bogaczy*.

Wyleciałby z pracy.

Nie, nie możesz milczeć. Toby Harper ma rację. Grozi nam epidemia, nie znamy jej źródła. Zastrzyki hormonalne? Żywność?

Sięgnął pod fotel po telefon komórkowy. Nadal miał przy sobie wizytówkę Toby i szybko wystukał jej domowy numer.

Odebrała jakaś kobieta:

– Dom pani Harper, słucham.

– Mówi doktor Brace z Brant Hill. Można prosić panią Toby Harper?

– Pani Harper wyszła, ale przekażę jej, że pan dzwonił. Można prosić o pański numer?

– Dzwonię z samochodu. Proszę jej tylko powiedzieć, że miała rację. To drugi przypadek CJD.

– Słucham?

– Ona będzie wiedziała, co to znaczy. – W lusterku błysnęło światło. Brace odwrócił głowę. Wzdłuż sąsiedniego rzędu samochodów powoli jechał jakiś wóz. – O której wróci?

– Pani doktor ma dyżur, więc...

– Aha. W takim razie wpadnę do szpitala. Sam jej wszystko opowiem, dziękuję. – Rozłączył się, wsunął telefon pod fotel i uruchomił silnik. Wyjeżdżając z parkingu, zauważył, że podążają za nim światła samochodu, który koło niego przejechał. Szybko zgubił go na ruchliwej ulicy.

Do Springer Hospital było pół godziny jazdy i zanim skręcił na parking przed szpitalem, z głodu rozboleła go głowa. Stał na miejscu dla gości, wyłączył silnik i siedział chwilę, masując sobie skronie. Ból nie był intensywny, lecz uświadomił mu, że od śniadania nic nie jadł. Postanowił, że zabawi u Toby tylko kilka minut, przekaże jej to, czego się dowiedział, i wyjdzie. A ona? Niech robi, co chce. Marzył tylko o powrocie do domu, pragnął zjeść kolację i pobawić się ze swoją małą córeczką.

Wysiadł, zamknął drzwi na klucz i ruszył w stronę wejścia do izby przyjęć. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy usłyszał nagle warkot silnika. Odwrócił się i zobaczył światła samochodu, który zbliżał się powoli, by

przystanąć tuż obok. Dobiegł go cichy pomruk silniczka elektrycznie opuszczanej szyby.

Uśmiechał się do niego mężczyzna o włosach tak jasnych, że aż srebrzystych w świetle parkingowych latarni.

– Chyba się zgubiłem.

– A dokąd pan jedzie?

– Na Irving Street.

– To w przeciwnym kierunku. – Brace postąpił krok w stronę samochodu. – Musi pan zawrócić, skręcić w prawo, cztery albo pięć ulic dalej...

Puf-puf. Te dziwne odgłosy bardzo go zaskoczyły. Tak samo jak silne uderzenie w pierś.

Szarpnął się, zdumiony niesprovokowanym ciosem. Dotknął ręką piersi w miejscu, gdzie narastał ból, i stwierdził, że nie może głębiej odetchnąć. Spod koszuli wypływało coś ciepłego, coś, co oblepiało mu palce. Spojrzał na nie, były uwalane czarną, lśniąca ciecżą.

Puf. Kolejny cios w pierś.

Brace zachwiał się, zatoczył. Próbował odzyskać równowagę, ale czuł, że uginają się pod nim nogi. Runął na kolana, dźwignął jeszcze głowę i spojrzał na latarnię. Jej światło zaczynało się rozmywać, drżące niczym refleks na wodzie.

Ostatnia kula trafiła go w plecy.

Upadł na twarz, drobiny żwiru wbiły mu się w policzek. Samochód oddalał się powoli, wreszcie ucichł w mroku nocy. Brace czuł, że wraz z ciepłym strumieniem wypływa z niego życie. Przyłożył rękę do piersi, by zatamować krwotok, ale brakło mu sił. Zdołał tylko niezdarnie zacisnąć palce.

Boże, nie tutaj – pomyślał. Nie teraz.

Zaczął wolno czołgać się w stronę wejścia do izby przyjęć. Cały czas próbował uciskać pierś, lecz z każdym uderzeniem serca z rany tryskała coraz obfitsza struga. Izba przyjęć – wpatrywał się w jaskrawoczerwony napis, ale nie potrafił skupić wzroku. Litery zaczęły się wyginać na wszystkie strony, krwawiąc tak samo jak on.

Przeszklone drzwi znajdowały się dokładnie naprzeciw niego. Nagle w prostokącie światła ukazała się jakaś postać. Przystanąła ledwie kilka kroków dalej. Zrozpaczony i zdesperowany Brace wyciągnął rękę i szepnął:

– Na pomoc! Proszę, pomóżcie mi!

– Tu ktoś leży! – Kobieta. Krzyczała kobieta. – Ten człowiek mocno

krwawi! Potrzebny mi ktoś do pomocy! Szybko!
A potem usłyszał tupot nóg.

Rozdział trzynasty

– Wkłujcie trzecią! – krzyknęła Toby. – Igła szesnastka! Płyn Ringera z mleczanami na maks.

– Zero minus w drodze!

– Gdzie jest ten Carey, do ciężkiej cholery?

– Był w szpitalu – odrzekła Maudeen. – Wywołam go jeszcze raz.

Toby nałożyła sterylne rękawiczki i sięgnęła po skalpel. W jaskrawym blasku lamp sali operacyjnej twarz Brace'a błyszczała od potu. Bał się, patrzył na nią znad maski szeroko rozwartymi oczyma, wdychając tlen krótkimi, rozpaczliwymi haustami. Bandaż na piersi znów nasiąkł krwią. Wezwana z położnictwa pielęgniarka anestetyczna przygotowywała się do intubacji.

– Robbie, masz odmę, muszę ci założyć cewnik do opłucnej – powiedziała Toby.

Ruchem głową dał znak, że rozumie. Zobaczyła, jak zaciska szczęki w oczekiwaniu na ból, ale nawet nie drgnął, gdy ostrze skalpela rozcięło mu skórę nad żebrami; podskórny zastrzyk ksylokainy zdążył już wyciszyć zakończenia nerwowe. Toby usłyszała syk uciekającego powietrza – przebiła się do jamy klatki piersiowej. I natychmiast uzyskała potwierdzenie diagnozy wstępnej: kula przebiła płuco, więc z każdym oddechem powietrze z rozerwanego płata uciekało do przestrzeni opłucnowej, zwiększając ciśnienie wewnętrzne na tyle, że mogło przesunąć serce wraz z tętnicami i sprasować zdrową tkankę płuc.

Rozszerzyła palcami nacięcie i wsunęła w nie plastikową rurkę. Val podłączyła ją do pompy podciśnieniowej. Rurka natychmiast wypełniła się krwią, która od razu spłynęła do pojemnika.

Toby i Val wymieniły spojrzenia, myśląc o tym samym: Brace wykrwawiał się do klatki piersiowej, i to szybko.

Popatrzyła mu w oczy. Obserwował ją i chyba dostrzegł wyraz lęku na jej twarzy.

– Kiepsko... – wychrypiał.

Ścisnęła go za ramię.

– Wszystko będzie dobrze, Robbie. Zaraz przyjdzie chirurg.

– Zimno. Tak mi zimno...

Maudeen okryła go kocem.

– Gdzie ta minusowa zerówka?! – zawołała Toby.

– Właśnie ją podwieszam.

– Toby – szepnęła Val. – Ciśnienie skurczowe spadło do osiemdziesięciu pięciu.

– Szybciej, szybciej! Podajmy mu wreszcie krew!

Otworzyły się drzwi i do sali wszedł Doug Carey.

– Co tu mamy? – warknął.

– Rany postrzałowe piersi i pleców – poinformowała Toby. – Na zdjęciach widać trzy kule, ale znalazłam cztery otwory wlotowe. Poza tym odma wentylowa. I to – wskazała pojemnik, w którym zebrało się już sto centymetrów sześciennych krwi. – Nacięłam go ledwie przed kilkoma minutami. Ciśnienie spada.

Carey spojrział na podświetlone zdjęcia.

– Otwieramy – rzucił.

– Musielibyśmy ściągnąć cały zespół, może trzeba by podłączyć płucoserce?

– Nie ma na to czasu. Krwawienie trzeba powstrzymać natychmiast. – Spojrział jej w twarz i Toby poczuła, że odżywa w niej stara niechęć. Doug Carey to sukinsyn, ale w tej chwili bardzo go potrzebowała. Ona i Robbie.

Popatrzyła na anestezjolożkę i kiwnęła głową.

– Intubacja. Przygotujemy go. Val, zestaw do torakotomii... Podczas gdy wszyscy krzżeli się, pielęgniarka anestetyczna nabrała do strzykawki dawkę etomidatu, środka odurzającego, po którym Robbie miał stracić przytomność na czas intubacji.

Toby poluźniła maskę tlenową. Brace nie odrywał od niej wzroku, wpatrywał się w nią z rozpaczą i nadzieją. Tyle razy widziała przerażenie w oczach pacjentów, tyle razy dławiała w sobie emocje, żeby móc skoncentrować się na pracy. Ale strachu w oczach tego pacjenta zignorować nie mogła. Tego człowieka знаła, tego człowieka zdążyła polubić.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła. – Musisz mi zaufać. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. – Łagodnie objęła dłońmi jego twarz i posłała mu uśmiech.

– Liczę... na... ciebie... Toby – powiedział z trudem.

Kiwnęła głową.

– I bardzo dobrze. A teraz pójdziemy spać. Gotowy?

– Obudź mnie... kiedy będzie... po wszystkim.

– Przejdiesz przez to tak szybko, że nawet się nie spostrzeżesz. – Dała znak i pielęgniarka anestetyczna wstrzyknęła środek odurzający do przewodu kroplówki. – Śpij, Robbie, śpij. Kiedy się obudzisz, będę przy

tobie.

Wciąż na nią patrzył. Toby: ostatni obraz, jaki zarejestrował, ostatnia twarz, którą widział. Z jego oczu powoli znikła świadomość. Mięśnie zwiotczały, powieki opadły.

Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Zdjęła mu maskę. Pielęgniarka anestetyczna natychmiast odchyliła Robbiemu głowę i wsunęła do gardła laryngoskop. Intubacja zajęła jej ledwie kilka sekund. Podłączono tlen, oklejono taśmą rurkę. Od tej chwili oddychał za niego respirator, tłocząc do płuc życiodajny tlen i znieczulający halotan.

Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Toby odetchnęła i szybko nałożyła fartuch. Wiedziała, że łamie wszelkie zasady i obowiązujące w tej sali regulaminy, ale na zadbanie o pełną sterylność nie było czasu. Zaciągnęła rękawiczki i podeszła do stołu.

Stała naprzeciw Careya. Piersz pacjenta została już pospiesznie wysmarowana betadyną i obłożona gazowymi serwetami, wyznaczającymi pole operacyjne.

Carey zrobił czyste, pojedyncze nacięcie wzdłuż mostka. Nie było czasu na elegancję – chociaż z trzech kroplówek nieustannie ściekał roztwór soli fizjologicznej i krew, ciśnienie skurczowe spadło do siedemdziesięciu. Toby nieraz uczestniczyła w nagłych torakotomiach, lecz ich brutalność zawsze ją przerażała. Powstrzymując mdłości, patrzyła, jak Carey chwyta piłę i rozcina mostek, widziała, jak nad wirującym ostrzem wykwita mgła rozpylonej kości i krwi.

– Cholera jasna! – Carey zajrzał do klatki piersiowej. – Tu jest co najmniej litr krwi. Ssak! I ręczniki!

Krew zabulgotała w rurce tak głośno, że zagłuszyła popiskiwanie kardiomonitora. Val zajęła się ssakiem, tymczasem Maudeen rozerwała torbę ze sterylnymi ręcznikami. Carey wetknął jeden z nich do wnętrza klatki piersiowej. Kiedy go wyjął, ręcznik ociekał krwią. Carey cisnął go na podłogę i chwycił następny. Ten również nasiąkł w jednej chwili.

– Dobra. Dobra... Chyba już widzę, skąd ten krwotok. Wygląda na to, że z tętnicy zstępującej. Tak, leje się jak cholera. Toby, musicie szybciej oczyszczać pole...

Ssak wciąż bulgotał. Chociaż większość krwi już odsączyli, jamę klatki piersiowej ciągle zalewała krew z uszkodzonej aorty.

– Nie widzę kuli – rzucił Carey. Zerknął na zdjęcia, spojrzął w dół. – Przeciek zlokalizowałem, ale gdzie jest ta pieprzona kula?

– Nie można tego zaszyć?

– Kula może tkwić w ścianie aorty. Zamkniemy ją i pęknie w innym miejscu. – Sięgnął po igłę i nici. – Dobra, najpierw zatamujemy krwotok. Potem się rozejrzemy...

Toby odciągnęła płuco i Carey zabrał się do szycia. Robił to szybko, igła wchodziła i wychodziła z rozerwanej ścianki aorty. Gdy krwotok ustał, wszyscy głośno odetchnęli.

– Ciśnienie? – spytał Carey.

– Utrzymuje się na siedemdziesięciu pięciu – zameldowała Val.

– Nie odłączać krwi. Mamy więcej jednostek?

– Już niosą.

– Dobrze. – Carey nabrał powietrza. – Zobaczmy, co jeszcze tu znajdziemy...

Odessał do końca krew, żeby dokładniej obejrzeć wnętrze klatki piersiowej. Potem wziął gąbkę i delikatnie osuszył zaszytą aortę. Raptem zamarł.

– Kurwa mać – mruknął. – Kula...

– Co?

– Kula jest tu! Prawie przebiła przeciwległą ścianę! – Zaczął wyciągać rękę.

I w jednej chwili z piersi Robbiego wytrysnęła fontanna krwi, zalewając im twarze.

– Nie! – krzyknęła Toby.

Ogarnięty paniką Carey chwycił z tacy szczypczyki zaciskowe i nie zważając na buchającą krew, włożył do klatki piersiowej. Musiał pracować na oślep, macając w połyskliwym morzu czerwieni, które już wylewało się na stół, które już wsiąkało w fartuch Toby.

– Nie mogę tego zatamować. Chyba rozerwało mu całą ściankę...

– Niech pan ją zaciśnie! Nie może pan zacisnąć?

– Co zacisnąć? Poszła cała aorta... Zapiszczał monitor.

– Asystolia! – krzyknęła anestezjolożka. – Asystolia!

Toby rzuciła okiem na ekran. Wyświetlał płaską linię.

Błyskawicznie włożyła rękę do ciepłego jeziora krwi i odnalazła serce. Ścisnęła je raz, drugi raz, zmuszając mięsień do pracy.

– Niech pani przestanie! – rozkazał Carey. – Jeszcze bardziej się wykrwawia!

– Przecież doszło do zatrzymania...

– Nic pani na to nie poradzi.

– No to co robimy, do ciężkiej cholery?!

Monitor wciąż piszczał. Carey spojrzał na otwartą klatkę piersiową. Na

lśniąca krew, która ją wypełniała. Odkąd Toby przerwała masaż, gwałtowny krwotok ustał. Kap, kap, kap – przelewając się przez brzegi rany, krew ściekała wolno na podłogę.

– To już koniec. – Carey odstąpił cicho od stołu. Fartuch miał do pasa przesiąknięty krwią. – Nie było co szyć, Toby. Doszło do rozwarstwienia ściany aorty. Po prostu ją rozerwało.

Toby spojrzała na twarz Robbiego. Oczy miał przymknięte, opadła mu szczeka. Respirator wciąż pracował, tłocząc powietrze do martwego ciała.

Anestezjolożka pstryknęła wyłącznikiem. W sali zaległa cisza.

Toby położyła rękę na ramieniu Robbiego. Przez sterylne prześcieradło czuła, że ciało jest jeszcze ciepłe i jędrne.

„Nie pozwolę, żeby coś ci się stało”.

– Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam...

Policja przyjechała przed jego żoną. Kilka minut po przybyciu pierwszego radiowozu funkcjonariusze zabezpieczyli miejsce zbrodni i ogrodzili taśmą pół parkingu. Kiedy do izby przyjęć wpadła Greta Brace, parking tonął w świetle reflektorów sześciu radiowozów, które ściągnęły do Springer Hospital zarówno z Newton, jak i z Bostonu. Toby stała w recepcji, rozmawiając z jednym z detektywów, gdy zauważyła ją w drzwiach: Greta wbiegła do środka w rudej chmurze rozwichrzonych włosów. W poczekalni kłębił się tłum policjantów, było tam również kilkoro przerażonych pacjentów, tak że musiała się między nimi przepychać, klnąc i szlochając.

– Gdzie on jest?! – krzyczała.

Toby przerwała rozmowę i szybko do niej podeszła.

– Tak mi przykro...

– Gdzie on jest?!

– W sali operacyjnej, na urazówce. Greto, nie! Nie idź tam! Daj nam trochę czasu na...

– To mój mąż. Muszę zobaczyć mojego męża.

– Greto...

Wyminęła Toby i wbiegła do bloku operacyjnego. Nie wiedziała, dokąd ma iść, miotając się w korytarzu, gorączkowo otwierając to jedno, to drugie drzwi. W końcu zobaczyła tabliczkę z napisem „Sala operacyjna”. Wpadła do środka. Toby tuż za nią.

Pochylony nad zwłokami Dvorak – był w fartuchu i w rękawiczkach – podniósł wzrok. Robbie leżał na stole nago, z ziejącą raną w klatce

piersiowej i z obwisłą po śmierci twarzą.

– Nie – jęknęła cicho Greta. – Nie! – zawodziła głosem wysokim i przenikliwym.

Toby próbowała wyprowadzić ją z sali, ale Greta wyszarpnęła się i chwyciła pod rękę męża. Ujęła w dłonie jego twarz, całowała oczy, czoło. Z ust wciąż sterczała mu rurka intubacyjna. Greta zaczęła zrywać taśmę, by usunąć ten przedmiot, uwłaczający poczuciu godności.

Dvorak przytrzymał jej rękę.

– Przykro mi – powiedział cicho. – To musi pozostać tak jak jest.

– Chcę, żeby to stąd zniknęło!

– Rurka musi tu na razie pozostać. Wyjmę ją, kiedy skończę badanie.

– Kim pan, do diabła, jest?

– Anatomopatologiem. Daniel Dvorak. – Spojrzał na detektywa, który wszedł do sali.

– Pani Brace? Detektyw Sheehan. Lepiej stąd wyjdźmy. Usiądziemy w jakimś spokojnym kącie, dobrze?

Greta ani drgnęła. Z twarzą skrytą za szopą zmierzwionych włosów głaskała twarz męża, mruczając cicho.

– Musi nam pani pomóc, chcemy się dowiedzieć, co tu zaszło. – Sheehan delikatnie dotknął jej ramienia. – Usiądźmy w sąsiednim pokoju. Tam będziemy mogli porozmawiać.

W końcu pozwoliła odciągnąć się od stołu. W drzwiach przystanąła i spojrzała na męża.

– Zaraz wracam, Robbie. – I powoli wyszła z sali.

Toby i Dvorak zostali sami.

– Nie wiedziałam, że pan tu jest.

– Przyjechałem dziesięć minut temu. Kłębi się tam taki tłum, że pewnie mnie pani nie zauważyła.

Popatrzyła na Robbiego, zastanawiając się, czy ciało jest jeszcze ciepłe.

– Szkoda, że nie możemy zamknąć izby przyjęć. Chciałabym pójść do domu. Ale nic z tego, pacjenci ciągle przychodzą. Z bólem brzucha, z zasmarkanym nosem. Ze swymi głupimi dolegliwościami. – Do oczu napłynęły jej łzy. Otarła twarz i ruszyła do wyjścia.

– Toby?

Przystanąła, ale się nie odezwała ani nie odwróciła.

– Muszę z panią porozmawiać. O tym, co się stało.

– Rozmawiałam już chyba z sześcioma policjantami. Nikt z nas tego nie widział. Znaleźliśmy go na parkingu. Czołgał się do drzwi.

– Zgadza się pani z doktorem Careym, że śmierć nastąpiła wskutek

rozerwania aorty?

Nabrała powietrza i niechętnie się odwróciła.

– Zgadzam się ze wszystkim, co powie.

– Co pani pamięta z operacji?

– W ścianie aorty był mały otwór. Carey go zaszył. Wtedy spostrzeżliśmy, że kula... przeszła prawie na wylot, że ścianka jest rozerwana od środka. Doszło do rozwarstwienia, a potem... Potem rozerwało aortę. – Przełknęła ślinę i uciekła wzrokiem w bok. – To był koszmar.

Dvorak milczał.

– Znałam go – szepnęła Toby. – Byłam w jego domu. Poznałam jego żonę. O Chryste... – Wybiegła z sali.

Jedynym schronieniem, jakie mogła znaleźć, była dyżurka – wpadła tam i usiadła na łóżku, kiwając się i płacząc. Nie słyszała nawet pukania do drzwi.

Do pokoju cicho wszedł Dvorak. Był bez fartucha, zdjął już rękawiczki i stanął przy łóżku, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Dobrze się pani czuje? – spytał w końcu.

– Nie, niedobrze.

– Przepraszam za te pytania. Musiałem je zadać.

– Ale robił to pan z kurewską bezduszością.

– Musiałem wiedzieć, Toby. Nie możemy mu pomóc, teraz już nie. Ale możemy się dowiedzieć, co zaszło. Jesteśmy mu to winni.

Ukryła twarz w dłoniach. Próbowwała nad sobą zapanować, usiłowała powstrzymać łzy. Płakała w jego obecności, Dvorak stał tam, patrzył na nią, czym jeszcze bardziej czuła się upokorzona. Rozległo się skrzypnięcie krzesła. Usiadł. Kiedy zdołała wreszcie dźwignąć głowę, stwierdziła, że patrzy mu prosto w oczy.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że znała pani ofiarę.

– On nie jest ofiarą. Miał na imię Robbie.

– Dobrze. Robbie. Nie wiedziałem, że pani go znała. – Zawahał się. – Byliście bliskimi przyjaciółmi?

– Nie. Przyjaciółmi, ale nie bliskimi.

– Bardzo ciężko to pani przeżywa.

– A pan tego nie rozumie, prawda?

– Nie do końca.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– To dopada nas wszystkich. Kiedy tracimy pacjenta, w większości przypadków jakoś sobie z tym radzimy. Do chwili, gdy umrze jakies

dziecko. Albo znajomy. I nagle uświadamiamy sobie, że dłużej nie damy rady tego znosić... – Przetarła ręką oczy. – Muszę wracać do pracy. Pewnie czekają pacjenci...

Chwycił ją za rękę.

– Toby, jeśli to panią pocieszy, uważam, że nie mogła go pani uratować. Ta aorta była dosłownie rozszarpana.

Spojrzała na jego dłoń, lekko zdziwiona, że wciąż ściska ją za nadgarstek. On też był zaskoczony swoim spontanicznym gestem i szybko cofnął rękę. Milczeli chwilę.

– Za blisko – szepnęła. – Za blisko... Zamordowali go ledwie o krok stąd. – Skrzyżowała ręce na piersiach, chwyciła się za ramiona i znów poczuła, że musi na niego spojrzeć. – Przechodzę przez ten parking co wieczór, przechodzą tamtędy wszystkie pielęgniarki. Jeśli był to zwykły rabunek, każda z nas stanowiłaby o wiele łatwiejszy cel.

– Czy w Springer Hospital zdarzały się już podobne wypadki?

– Podobne? Nie. Pamiętam, kilka lat temu zgwałcono tu pielęgniarkę. Ale Newton to nie centrum Bostonu, nie szalejemy tutaj na punkcie bezpieczeństwa.

– Potwory mieszkają i na przedmieściach.

Pukanie do drzwi wystraszyło oboje. Toby otworzyła. W progu stał detektyw Sheehan.

– Pani doktor, muszę zadać pani kilka pytań. – Wszedł i zamknął za sobą drzwi. W dyżurce zrobiło się nagle bardzo ciasno. – Rozmawiałem przed chwilą z panią Brace. Niewykluczone, że jej mąż przyjechał tu, aby zobaczyć się z panią.

Toby pokręciła głową.

– Po co?

– Właśnie się nad tym zastanawialiśmy. Zadzwoił do żony koło szóstej i uprzedził ją, że się spóźni, bo musi wpaść do Wicklin Hospital.

– No i? Był tam?

– Moi ludzie to sprawdzają. Rzecz w tym, że nie wiemy, dlaczego przyjechał akurat tutaj, do Springer Hospital. Może pani wie?

– Nie. Nie mam pojęcia.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Wczoraj wieczorem.

Sheehanowi drgnęła brew.

– Był tu?

– Nie. To ja byłam u niego w domu. Pomagał mi odszukać karty choroby...

– Spotkaliście się, żeby porozmawiać o kartach choroby?

– Tak. – Spojrzała na Dvoraka. – To było zaraz po rozmowie z panem. Powiedział mi pan, co wykryliście u Angusa Parmentera. Myślałam o Harrym Slotkinie, zastanawiałam się, czy on też chorował na CJD. Pojechaliśmy z Robbiem odszukać kartę Slotkina i...

– Co to jest CJD? – przerwał jej Sheehan.

– Choroba Creutzfeldta-Jakoba. Śmiertelna infekcja mózgu.

– Dobra. Spotkaliście się więc wczoraj wieczorem. A później?

– Pojechaliśmy do Brant Hill. Przejrzeliśmy kartę i potem wróciliśmy.

– Nie zatrzymywaliście się po drodze? Nie odwiedził pani?

– Nie. Wróciłam do domu koło wpół do jedenastej. Sama. Nie dzwonił do mnie, ja też do niego nie dzwoniłam, dlatego nie wiem, po co chciał się ze mną zobaczyć.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi. Ciekawe, ilu jeszcze ludzi zmieści się w tej klitce, pomyślała Toby. W progu stała Val.

– Mamy pacjenta z osłabioną czynnością lewej połowy ciała i z niewyraźną mową. Ciśnienie dwieście pięćdziesiąt na sto trzydzieści. Jest w dwójce.

Toby popatrzyła na Sheehana.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Zechce pan wybaczyć, pacjent czeka.

O ósmej rano zaparkowała na podjeździe obok granatowego saaba Jane i wyłączyła silnik. Była zanadto wyczerpana, żeby wysiąść z samochodu i od razu stawić czoło Ellen, siedziała więc chwilę, patrząc na martwe liście, które wiatr niósł przez trawnik. Miała za sobą jedną z najgorszych nocy w swoim życiu. Najpierw śmierć Robbiego, potem procesja poważnych przypadków: udar, zawał i tak ciężka, krańcowa faza rozedmy płuc, że pacjent wymagał intubacji. Do tego wszystkiego tłum policjantów z krótkofalówkami i poczucie ogólnego zamieszania. Czyżby mieli wczoraj pełnię księżyca? A może to jakiś zwariowany układ planet posiał chaos w izbie przyjęć? I ten Sheehan. Wszędzie na nią czatował, ciągle zastawiał pułapki, wykorzystywał każdą sposobność, by zadać jej „ostatnie pytanie”.

Pod uderzeniem wiatru samochód lekko się zakołysał. Ogrzewanie było wyłączone i Toby zaczynała marznąć. W końcu wysiadła i weszła do domu.

Powitał ją zapach kawy i miłe pobrzękiwanie porcelany w kuchni.

– Już jestem! – zawołała, wieszając kurtkę w szafie. W drzwiach stanęła ciepło uśmiechnięta Jane.

– Właśnie zaparzyłam kawę. Napije się pani?

- Chętnie bym się napiła, ale nie będę mogła zasnąć.
- To bezkofeinowa. Wiedziałam, że prawdziwej pani nie zechce. Tobi też się uśmiechnęła.
- W takim razie poproszę. Z przyjemnością się napiję.

Przez okno zaglądał blady poranek. Siedziały przy kuchennym stole i piły kawę. Ellen jeszcze się nie obudziła i Tobi miała lekkie wyrzuty sumienia, że tak bardzo cieszy ją ta chwila zwłoki i cudownego spokoju. Odchyliła się na krzesło i wdychała aromat parującej filiżanki.

– Bosko...

– To tylko zwykła kolumbijka.

– Tak, ale nie musiałam jej mleć. Nie musiałam parzyć. Po prostu siedzę tu sobie i piję.

Jane współczująco pokiwała głową.

– Miała pani ciężki dyżur.

– Tak ciężki, że nie chcę o tym mówić. – Odstawiła filiżankę i przetarła ręką twarz. – Jak minęła noc?

– Dość bezładnie. Mama miała kłopoty z zaśnięciem. Kładła się i wstawiała, znów się kładła i znowu wstawiała. Snuła się po całym domu.

– O Boże. Dlaczego?

– Mówiła, że musi odebrać panią ze szkoły, szukała kluczyków do samochodu.

– Nie prowadzi od lat. Nie mam pojęcia, co ją napadło.

– Bardzo nie chciała, żeby czekała pani w szkole – wyjaśniła z uśmiechem Jane. – Martwiła się, że pani zmarznie. Kiedy spytałam, ile ma pani lat, powiedziała, że jedenaście.

Jedenaście lat, pomyślała Tobi. Wtedy umarł tato. Wtedy wszystko zważyło się na barki mamy. Jane wstała i umyła filiżankę.

– Tak czy inaczej, wykapałam ją, więc nie musi pani zawracać tym sobie głowy. O północy zjadłyśmy solidną przekąskę. Myślę, że nieprędko wstanie. Może nawet prześpi cały dzień. – Postawiła filiżankę na suszarce i odwróciła się. – Musiała być cudowną matką.

– Tak, była – odrzekła niewyraźnie Tobi.

– Miała pani szczęście. Więcej szczęścia niż ja... – Oczy jej posmutniały, utkwiała wzrok w podłodze. – Cóż, nie wszyscy możemy mieć wymarzonych rodziców, prawda? – Nabrała powietrza, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale uśmiechnęła się tylko i sięgnęła po torebkę. – Do zobaczenia jutro wieczorem. – Wyszła, zamykając za sobą frontowe drzwi.

Bez Jane kuchnia wydawała się pusta. Martwa. Tobi wstała, poszła do pokoju matki i zajrzała przez uchylone drzwi. Ellen spała. Tobi cicho

weszła do środka i przysiadła na łóżku.

– Mamo?

Ellen odwróciła się na plecy. Powoli otworzyła oczy i skupiła wzrok na córce.

– Mamo, dobrze się czujesz?

– Jestem zmęczona – wymamrotała Ellen. – Dzisiaj jestem zmęczona.

Toby położyła jej rękę na czole. Było chłodne. A więc to nie gorączka. Odgarnęła z oczu pasemko siwych włosów.

– Chyba nie jesteś chora?

– Chce mi się tylko spać.

– Dobrze. – Toby pocałowała ją w policzek. – Śpij. Ja też się położę.

– Dobranoc.

Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Postanowiła, że swoją sypialnię też zostawi otwartą, by usłyszeć, jeśli Ellen ją zawoła. Wzięła prysznic i przebrała się w podkoszulek, w którym zwykle sypiała. Gdy usiadła na łóżku, zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Można spytać, do kogo się dodzwoniłem? – Skądś znała ten głos.

Zaskoczona bezceremonialnością nieznajomego, odparła:

– Skoro nie wie pan, do kogo pan dzwoni, nie mogę panu pomóc. Żegnam.

– Chwileczkę. Mówi detektyw Sheehan z policji bostońskiej. Próbuje ustalić, do kogo należy ten numer.

– Detektyw Sheehan? Mówi Toby Harper.

– Doktor Harper?

– Tak. Wykręcił pan mój domowy numer. Nie wiedział pan o tym?

Sheehan milczał.

– Nie – odrzekł po chwili.

– W takim razie skąd pan go ma?

– Z telefonu Brace'a.

– Co?!

– Pod fotelem kierowcy w jego samochodzie leżał telefon komórkowy. Znalazłem go kilka minut temu i wcisnąłem przycisk ponownego wybierania. – Znowu umilkł. – Była pani ostatnią osobą, do której telefonowałem.

Dojazd zajął Vickie pół godziny – miała popilnować matki – Toby

natomiast co chwilę grzęzła w porannych korkach, tak że przebicie się do centrum Bostonu zajęło jej aż czterdzieści minut. A przesłuchanie u Sheehana tak ją zmęczyło i rozdrażniło, że gotowa była urwać łeb każdemu, kto wszedłby jej w drogę. I chociaż powinna od razu wrócić do domu i położyć się spać, zatelefonowała z samochodu do Vickie i uprzedziła ją, że musi jeszcze gdzieś wstąpić.

– Mama kiepsko wygląda – powiedziała siostra. – Co jej jest?

– Wczoraj czuła się dobrze.

– Przed chwilą z wymiotowała. Zmusiłam ją do wypicia soku i trochę jej lepiej. Ale wciąż jest bardzo senna.

– Skarży się na coś jeszcze?

– Głównie na żołądek. Powinnaś pojechać z nią do lekarza.

– Przecież ma lekarza w domu.

– No tak, ty wiesz najlepiej.

Toby odłożyła słuchawkę, zirytowana na siostrę i trochę zaniepokojona żołądkowo-jelitowymi dolegliwościami Ellen. To nic takiego – pomyślała – pewnie dopadł ją jakiś wirus. Po kilku dniach wróci do formy.

Prosto z komendy pojechała na Albany Street, do urzędu anatomopatologa stanowego.

Dvorak natychmiast wyczuł jej nastrój. Zaprosił ją grzecznie do biura i postawił przed nią filiżankę kawy, nie pytając, czy Toby ma na nią ochotę. Miała, i to wielką, bardzo potrzebowała kofeiny.

Szybko wypila kilka łyków i spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę wiedzieć, dlaczego Sheehan się na mnie wziął. Dlaczego się mnie czepia.

– A czepia się?

– Właśnie od niego wracam, zmarnowałam kolejną godzinę. Niech pan posłucha. Nie mam pojęcia, dlaczego Robbie do mnie dzwonił. Nie było mnie w domu, rozmawiała z nim opiekunka matki. Przed chwilą się o tym dowiedziałam.

– A ta opiekunka? Wie, po co dzwonił?

– Nie rozumiała, o co mu chodziło. Powiedział, że zobaczy się ze mną w szpitalu, więc nic mi nie przekazała. Niech mi pan wierzy, Dan, nic między Brace'em a mną nie było. Żadnego romansu, seksu, niczego. Ledwo zdążyliśmy się zaprzyjaźnić.

– Jego śmierć bardzo panią poruszyła.

– Poruszyła? Robbie wykrwawił się przy mnie na śmierć! Byłam złana jego krwią, trzymałam w ręku jego serce, próbowałam zmusić je do pracy, żeby przeżył. Cholera jasna, pana by to nie poruszyło? – Wzięła głęboki

oddech, żeby się nie rozplakać. – Nie, pana by to nie poruszyło. Pan nie pracuje z żywymi ludźmi, pan tego nie zrozumie. Do pana trafiają same trupy.

Dvorak milczał. Cisza potęgowała ból i wściekłość bijącą z jej ostatnich słów.

Toby odchyliła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

– Ma pani rację – powiedział cicho. – Ja tego nie zrozumie. Nie widzę, jak ludzie umierają. Może właśnie dlatego wybrałem ten zawód. Żeby nie musiał tego oglądać.

Podniosła głowę, ale nie miała ochoty na niego patrzeć. Spoglądała na róg biurka.

– Sekcji pewnie jeszcze pan nie przeprowadził.

– Skończyliśmy ją rano. Żadnych niespodzianek.

Kiwnęła głową ciągle unikając jego wzroku.

– A Parmenter? Neuropatolog potwierdził diagnozę?

– Tak. To choroba Creutzfeldta-Jakoba. – Powiedział to bez zająknięcia, w jego głosie nie usłyszała nic, co wskazywałoby na druzgoczące wrażenie, jakie musiało to na nim wywrzeć.

Nagle popatrzyła na niego innym wzrokiem, nagle przypomniała sobie o jego strachu, o tym, przez co musiał przechodzić. Dopiero teraz spostrzegła, że musi źle sypiać. Oczy miał zapadnięte i błyszczące, jakby trawiła go gorączka.

– Muszę z tym jakoś żyć – powiedział. – Z tym, że mogę zachorować. I z tym, że równie dobrze mogę umrzeć już za dwa lata, jak też za lat czterdzieści. Wmawiam sobie, że w każdej chwili może mnie przejechać autobus. Takie jest życie. Każdy dzień niesie ze sobą nowe ryzyko. – Wyprostował się, jakby chciał odpędzić ponure myśli. I raptem się uśmiechnął. – Nie to, żeby moje życie było takie ekscytujące.

– Mimo to mam nadzieję, że będzie długie.

Wstali i uścisnęli sobie dłonie – gest zbyt formalny jak na przyjaciół. I chociaż przyjaźni jeszcze nie zawarli, Toby czuła, że ich znajomość ku temu zmierza. Bardzo chciała, żeby tak było. Spojrzała na niego zmieszana nowym uczuciem, zaskoczona swoją reakcją na dotyk jego ciepłej dłoni.

– Przedwczoraj zapraszała mnie pani na kieliszek brandy.

– Tak.

– Odmówiłem, bo... bo nie zdążyłem otrząsnąć się z szoku po tej diagnozie. Zepsułbym cały wieczór i pani, i sobie.

Pamiętała, jak spędziła tamtą noc. Samotna i przygnębiona, siedziała na

sofie, przeglądając czasopisma medyczne i słuchając ponurego Mendelssohna. Tak parszywy wieczór trudno byłoby zepsuć.

– No i właśnie... Właśnie zastanawiałem się, czy mógłbym się jakoś zrewanżować. Dochodzi południe. Siedzę tu od rana i nie mogę się już doczekać, kiedy wyjdę z tego przeklętego gmaszydła. Jeśli ma pani czas... jeśli mógłbym czymś panią zainteresować...

– To znaczy... teraz?

Tego się nie spodziewała. Patrzyła na niego chwilę, świadoma, jak bardzo tego pragnie, a jednocześnie bała się, że oczekuje zbyt wiele.

Długo milczała, więc doszedł do wniosku, że nie ma ochoty z nim wyjść.

– Przepraszam, powinienem był panią uprzedzić... Może innym razem.

– Tak. To znaczy nie, bardzo chętnie...

– Na pewno?

– Pod jednym warunkiem. O ile nie ma pan nic przeciwko temu.

Przekrzywił głowę, nie wiedząc, czego oczekiwać.

– Czy moglibyśmy posiedzieć w parku? – spytała tęsknie. – Wiem, że jest trochę zimno, ale od tygodnia nie widziałam słońca. I bardzo bym chciała poczuć je na twarzy.

– Wie pani co? Ja też. – Uśmiechnął się szeroko. – Tylko wezmę płaszcz.

Rozdział czternasty

Siedzieli w szalikach, tuląc się do siebie na parkowej ławce i jedząc gorące kawałki pizzy wprost z pudełka. Pizza była z kurczakiem po rajsku i sosem z orzeszków ziemnych; ku swemu zdziwieniu od razu się na nią zdecydowali – i ona, i on.

– Wielkie umysły myślą podobnie – rzucił ze śmiechem, gdy pod nagimi drzewami szli w stronę ławki nad stawem. Choć wiał zimny wiatr, na jasnym, czystym niebie świeciło słońce.

Zupełnie inny człowiek, pomyślała, patrząc na jego twarz, na rozwichrzone włosy i zaróżowione od wiatru policzki. Wystarczy wyciągnąć go z tego ponurego budynku, oderwać od ludzkich zwłok, by natychmiast stał się kimś innym. Od razu poweselał, od razu śmieją mu się oczy. Ciekawe, czy ja też wyglądam inaczej. Wiatr potargał jej włosy, ręce miała uwalane sosem, mimo to już od dawna nie czuła się kobietą atrakcyjniejszą niż teraz. Może dlatego, że tak na nią patrzył. Nic nie upiększa kobiety bardziej niż uśmiech pociągającego mężczyzny.

Spojrzała w niebo, rozkoszując się jasnością dnia.

– Prawie już zapomniałam, jak przyjemnie jest poczuć słońce na twarzy.

– Tak dawno go nie widziałaś?

– Od tygodni. Najpierw cały czas lało. Potem było kilka słonecznych dni, ale wszystkie przespałam.

– Właściwie dlaczego zdecydowałaś się na nocne dyżury? Skończyła ostatni kawałek pizzy i dokładnie otarła ręce z sosu.

– Nie miałam innego wyjścia. Kiedy skończyłam rezydenturę w izbie przyjęć, nie mogli mi zaproponować innego etatu, bo go po prostu nie mieli. Z początku było świetnie. Po północy w izbie robi się spokojnie, mogłam więc złapać kilka godzin snu. Potem wracałam do domu, ucinałam sobie drzemkę i przez resztę dnia mogłam się bawić. – Pokręciła głową, uśmiechając się do wspomnień. – To było dziesięć lat temu. Kiedy się ma dwadzieścia lat, można obyć się bez snu.

– Tak, wiek średni to istny koszmar.

– Wiek średni? Mów za siebie, gburze.

Parsknął śmiechem i zmrużył oczy w słońcu.

– No więc minęło dziesięć lat, jesteś trzydziestoparoletnią staruszką, mimo to ciągle bierzesz nocne dyżury.

– Po jakimś czasie przywykłam. Do pracy z tymi samymi pielęgniarkami. Do ludzi, którym mogę zaufać. – Westchnęła. – No, a potem... Mama choruje na alzheimera i jej stan się pogorszył. Za dnia chciałam być w domu. Żeby jej pomóc. To dla mnie bardzo ważne. Nocami zawsze ktoś jej pilnuje. Rano wracam i przejmuję pałeczkę.

– Zarzynasz się.

Wzruszyła ramionami.

– Mam jakiś wybór? W gruncie rzeczy cały czas uśmiecha się do mnie szczęście. W przeciwieństwie do wielu innych kobiet stać mnie przynajmniej na wynajęcie kogoś do opieki, no i mogę pracować. A moja mama... Mama nie przestaje być... – urwała, szukając najodpowiedniejszego słowa, którym mogłaby ją opisać. – Nie przestaje być dobra. Nawet wtedy, gdy jest najbardziej irytująca. Zawsze była dobra.

Spotkali się wzrokiem. Dmuchnął wiatr znad stawu, zatrzeszczały gałęzie drzew. Toby zadrżała.

– Czuję, że jesteś do niej bardzo podobna.

– Ja? Nie, ja nie jestem dobra. I bardzo tego żałuję. – Popatrzyła na drobne fale tańczące na wodzie. – Jestem zbyt niecierpliwa. Podchodzę do wszystkiego zbyt emocjonalnie, a to nie sprzyja dobroci.

– To fakt, pani doktor. Przekonałem się o tym już w trakcie naszej pierwszej rozmowy. Nawet teraz dostrzegam emocje, które malują się na twojej twarzy.

– Przeróżające, co?

– Za to zdrowe dla ducha. Przynajmniej potrafisz je z siebie uwalniać. Szczerze mówiąc, przydałoby mi się trochę twojej uczuciowości.

– A mnie twojej powściągliwości – odrzekła ze smutkiem. Ostatni kawałek pizzy został zjedzony. Pudełko trafiło do kosza na śmieci, a oni poszli na spacer. Zdawało się, że Dvorak nie zauważa zimna. Poruszał się swobodnie, z wdziękiem stawiał długie nogi, a ponieważ nie zapiął płaszcza, szalik fruwał za nim jak niesiony wiatrem suplement.

– Chyba nie spotkałam jeszcze patologa, który nie byłby powściągliwy. Wszyscy jesteście takimi pokerzystami?

– Pytasz, czy nasza osobowość różni się czymś od osobowości człowieka w stanie śpiączki?

– Ci, których znam, są tacy spokojni. I bardzo kompetentni, jakby znali odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Bo tak jest.

Spojrzała na jego kamienną twarz i wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś dobrym aktorem, Dan, nabrałeś mnie.

– Powiem ci prawdę: uczą nas tego na stażu. Jak wywierać na ludziach wrażenie osób inteligentnych. Ci, którzy obleją egzamin, zostają chirurgami.

Odchyliła głowę i roześmiała się jeszcze głośniejsze.

– Ale masz rację – przyznał. – Na patologię idą cisi i spokojni. Ta nauka przyciąga tych, którzy lubią pracować w podziemiach. Którzy czują się lepiej, gdy spoglądają przez mikroskop, niż gdy mają rozmawiać z ludźmi.

– Ty też taki jesteś?

– Niestety, chyba tak. Nie radzę sobie z ludźmi. Pewnie dlatego się rozwiodłem.

Chwilę spacerowali, milcząc. Wiatr gonił chmury po niebie, tak że szli to w słońcu, to w cieniu.

– Ona też była lekarzem? – spytała Toby.

– Patologiem, tak samo jak ja. Bardzo błyskotliwym i bardzo powściągliwym. Nawet nie zauważyłem, że coś się między nami popsulo. Dotarło to do mnie dopiero po jej odejściu. Co potwierdzałoby fakt, że oboje byliśmy świetnymi pokerzystami.

– Małżeństwu to chyba nie służy.

– Naszemu nie służyło. – Nagle przystanął, spojrzął na swój pasek do spodni i zmarszczył brwi. – Ktoś do mnie dzwoni – mruknął, zdejmując pager.

– Tam jest budka.

Podczas gdy telefonował, Toby stała z zamkniętymi oczami, spijając z nieba przebłyski słońca spoza chmur. Krótkie chwile czystej radości życia. Z budki docierał do niej przytłumiony głos Dvoraka, ale go nie słuchała. Dopiero na dźwięk słów „Brant Hill” odwróciła się i spojrzała na niego przez szybę.

Odwiesił słuchawkę i wyszedł.

– Co się stało? – spytała. – Chodzi o Robbiego, prawda?

Kiwnął głową.

– Dzwonił Sheehan. Był w Wicklin, przesłuchiwał personel. Powiedzieli mu, że doktor Brace był tam wczoraj wieczorem. W archiwum i w patologii. Wypytywał o stare akta, o protokoły sekcji zwłok jednego z podopiecznych Brant Hill. Stanleya Mackie.

Pokręciła głową.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Ci z Wicklin twierdzą, że Mackie zmarł w marcu od rozległych

urazów czaszki po upadku z dużej wysokości. Ale Sheehana zainteresowała diagnoza, jaką postawiono po autopsji. Choroba, o której usłyszał nie dalej jak wczoraj.

Słońce zniknęło za chmurą, świat pograżył się w półmroku. Twarz Dvoraka poszarzała.

– To była choroba Creutzfeldta-Jakoba.

Z okna sali konferencyjnej na dwudziestym piętrze Carl Wallenberg widział ozdobną kopułę starego bostońskiego Kapitolu, a za nią drzewa przy Common, nagie niczym szkielety pod surowym, błękitnym niebem. A więc takim widokiem sycą oczy ci na wysokich stołkach – pomyślał. Podczas gdy my harujemy w Brant Hill, zajmując się naszymi pacjentami, Kenneth Foley i jego księgowi siedzą sobie w luksusowych gabinetach, opiekując się gotówką, która stamtąd płynie. Bo płynie, i to w coraz zawrotniejszym tempie. Klony Foleya w garniturach od Armaniego – pomyślał, spoglądając na siedzących wokół stołu. Nie pamiętał nawet, jak się nazywają i kim są, nie zawracał sobie tym głowy. Facet w niebieskim garniturze w jodełkę był chyba pierwszym wiceprezesem. Ruda snobka była główną księgową. Nie licząc Wallenberga i Russa Hardawaya, adwokata i doradcy prawnego spółki, w sali zgromadzili się najznamienitsi zarządcy i gryzipiórki.

Sekretarka wniosła ozdobny dzbanek z kawą, z wdziękiem rozlała ją do pięciu filiżanek z cieniutkiej porcelany i postawiła na stole wraz z kryształową cukiernicą i kryształowym dzbaneczkiem na śmietankę. Cukier w papierowych torebkach? Nie na tym spotkaniu, tu nie miejsce na śmietnik. Sekretarka przystanąła, dyskretnie czekając na dalsze polecenia. Szef nie miał żadnych. Zebrani poczekali, aż dziewczyna wyjdzie i zamknie za sobą drzwi.

Wtedy przemówił Kenneth Foley, dyrektor naczelny Brant Hill.

– Dziś z rana znowu dzwoniła do mnie doktor Harper. Po raz kolejny przypomniła mi, że Brant Hill nie spełnia swojego zadania. Że chorować może znacznie więcej mieszkańców. Okazuje się, że to problem o wiele poważniejszy, niż myślałem. – Potoczył wzrokiem po twarzach zebranych i wpatrzył się w Wallenberga. – Carl, zapewniał mnie pan, że sprawa jest rozwiązana.

– Bo jest – odparł Wallenberg. – Rozmawiałem z doktorem Dvorakiem. Rozmawiałem z przedstawicielami wydziału zdrowia publicznego. Wszyscy zgodnie uważamy, że nie ma powodu do niepokoju. Nasz

kompleks restauracyjny odpowiada wszelkim wymogom. Wodę czerpiemy z wodociągu komunalnego. A co do kuracji hormonalnej, o którą jest tyle krzyku, dysponujemy dokumentacją potwierdzającą fakt, że hormony te pochodzą z absolutnie pewnego źródła i że są całkowicie bezpieczne. Doktor Dvorak jest przekonany, że to zwykły zbieg okoliczności. W żargonie naukowym jest na to określenie: „zbitka statystyczna”.

– A więc ma pan pewność, że pańskie wyjaśnienia zadowolily anatomopatologa stanowego i przedstawicieli wydziału zdrowia?

– Tak. Ponieważ nie ma najmniejszego powodu do niepokoju, zgodzili się sprawy nie upubliczniać.

– A jednak doktor Harper o tym wie. Musimy się zastanowić, co jej odpowiedzieć, bo jeśli ona wie, wkrótce mówić będą o tym wszyscy.

– Czy zainteresowały się tym media? – spytał Hardaway.

– Jak dotąd, nie. Ale nie można wykluczyć, że niebawem się zainteresują, że grozi nam wielce niepożądana reklama. – Foley przeszył wzrokiem Wallenberga. – Dlatego niech pan powtórzy jeszcze raz, Carl, niech pan powtórzy, że nie ma powodów do niepokoju.

– Nie ma żadnych powodów do niepokoju – powiedział Wallenberg. – Te dwa przypadki są zupełnie od siebie niezależne. To zwykły zbieg okoliczności.

– Jeśli pojawi się ich więcej, nikt nie uwierzy w przypadek – spekulował Hardaway. – Dojdzie do publicznego skandalu, ponieważ wyjdzie na to, że zlekceważyliśmy poważny problem.

– Właśnie dlatego bardzo martwi mnie telefon od doktor Harper – odrzekł Foley. – W gruncie rzeczy dała nam do zrozumienia, że o tym wie. I że nas obserwuje.

– To brzmi jak groźba – zauważył Hardaway.

– To jest groźba – podkreśliła z naciskiem rudowłosa księgowa. – Dziś rano nasze akcje podskoczyły o kolejne trzy punkty, ale co by się stało, gdyby inwestorzy dowiedzieli się, że nasi mieszkańcy umierają, a my nie robimy nic, by temu zapobiec?

– Tu nie ma czemu zapobiegać – odparował Wallenberg. – To zwykła histeria, histeria nieumotywowana racjonalnymi przesłankami.

– Odniosłem wrażenie, że doktor Harper jest osobą myślącą bardzo racjonalnie – zauważył Foley.

– W tym problem – prychnął Wallenberg. – Doktor Harper potrafi wszystkich zmylić.

– O co jej właściwie chodzi? – spytała główna księgowa. – O pieniądze? O reklamę? Przecież musi kierować się jakimiś motywami. Nie

domyślił się pan tego z porannej rozmowy?

– Moim zdaniem chodzi o doktora Brace’a – odrzekł cicho Foley. – O to, że zginął w tak niefortunnym momencie.

Na wspomnienie tego nazwiska wszyscy na chwilę umilkli i wbili wzrok w stół. Nikt nie chciał rozmawiać o zmarłym.

– Doktor Brace był jej znajomym – dodał Foley.

– Może więcej niż znajomym – wtrącił Wallenberg z nutką odrazy w głosie.

– Bez względu na to, co ich łączyło – kontynuował Foley – śmierć doktora Brace’a wytrąciła ją z równowagi na tyle, że zaczęła stawiać pytania. Poza tym wydaje się, iż ma ona dostęp do informacji na temat przebiegu śledztwa. Dowiedziała się, na co chorował Mackie. Dowiedziała się, że mieszkał w Brant Hill. Tych faktów do wiadomości publicznej nie podano.

– Wiem, jak na to wpadła – odrzekł Wallenberg. – Zaczęła węszyć w urzędzie anatomopatologa stanowego. Jadła lunch z doktorem Dvorakiem.

– Gdzie pan to słyszał?

– Tu i tam.

– Cholera jasna – mruknęła księgowa. Była jedyną kobietą w tym towarzystwie, a zakłęta jako pierwsza. – W takim razie zna nazwiska i fakty, które może podać do prasy. Panowie, pożegnajmy się z trzypunktowym wzrostem kursu.

Foley pochylił się, świdrując wzrokiem Wallenberga.

– Carl, jest pan naszym dyrektorem naukowym. Jak dotąd polegaliśmy ślepo na pańskim osądzie. Ale jeśli pan się myli, jeśli umrze na tę chorobę choćby jeszcze jeden pacjent, jego śmierć pokrzyżuje nam dalsze plany ekspansji. Mało tego, diabli wezmą to, co już zdobyliśmy.

Wallenberg zdławił ogarniającą go irytację. Przemówił głosem w pełni opanowanym i spokojnym, głosem człowieka pewnego siebie.

– Powtórzę to po raz trzeci. Jeśli będę musiał, powtórzę to jeszcze sto razy. To nie jest epidemia. Choroba już nie zaatakuje. Jeśli zaatakuje, zwrócę swój pakiet akcji.

– Jest pan aż tak pewny swego?

– Aż tak.

Foley odchylił się na krześle z wyrazem ulgi na twarzy.

– W takim razie naszym jedynym problemem jest gadatliwość doktor Harper – podsumowała księgowa. – Niestety, jeśli nawet niczego nam nie udowodni, może poważnie zaszkodzić interesom spółki.

Rozważali to chwilę w milczeniu.

– Moim zdaniem – rzekł Wallenberg – powinniśmy ją zignorować. Nie reagujmy na jej telefony, nie dajmy podstaw do wzmocnienia jej argumentów. Prędzej czy później sama podważy swoją wiarygodność.

– Tymczasem jednak ona podważa naszą – zauważyła księgowa. – Nie moglibyśmy wyrzucić na niej jakiejś... presji? Ot, na przykład sprawa jej pracy. Myślałam, że szpital chce ją zwolnić.

– Próbowaliśmy – odrzekł Wallenberg – ale szef izby przyjęć się zaparł i zarząd postanowił odczekać. Przynajmniej jakiś czas.

– A pański przyjaciel, ten chirurg? Ponoć miał się tym zająć.

Wallenberg pokręcił głową.

– Doktor Carey jest zbyt pewny siebie, jak każdy chirurg.

Księgowa niecierpliwie westchnęła.

– No dobrze. Co w takim razie z nią robimy?

Foley spojrział na Wallenberga.

– Może Carl ma rację – powiedział. – Nie róbmy nic. Pani Harper walczy o pracę i chyba tę walkę przegrywa. Niechaj zniszczy sama siebie.

– Może jej w tym dopomóc? – zaproponowała księgowa.

– Nie trzeba – odparł Wallenberg. – Proszę mi wierzyć, największym wrogiem Toby Harper jest sama Toby Harper.

Zauważyła go po drugiej stronie świeżo wykopanego grobu. Głowa lekko pochylona, wzrok utkwiony w trumnie. W trumnie Robbiego... Bez swojej białej opończy wyglądał jak pobożny, pełen współczucia i pogrążony w smutku lekarz. Jakież to myśli snuje nasz świątobliwy mąż? – pomyślała Toby. Na pewno grzeszne. Niewielka grupa lekarzy i urzędników z Brant Hill miała identyczny wyraz twarzy – jakby wszyscy nałożyli żałobne gumowe maski, zakupione w tym samym sklepie. Który z nich był prawdziwym przyjacielem Robbiego? Nie wiedziała. Ich twarze tego nie zdradzały.

Wallenberg wyczuł, że ktoś na niego patrzy. Podniósł głowę. Chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Wallenberg uciekł oczami w bok.

Dmuchał zimny wiatr, zwiewając do grobu pożółkłe liście. Córeczka Robbiego rozplakała się w ramionach Greta. Płakała nie ze smutku, lecz z frustracji, że musi tak długo przebywać wśród dorosłych. Greta postawiła ją na ziemi. Dziewczynka zachichotała i puściła się biegiem, zygzakując między żałobnikami.

Ksiądz nie potrafił konkurować ze śmiejącym się dzieckiem. Z wyrazem rezygnacji na twarzy skrócił swoją mowę i zamknął Biblię.

Kiedy zebrani zaczęli podchodzić do wdowy, by złożyć jej kondolencje, Toby straciła Wallenberga z oczu. Dostrzegła go dopiero wówczas, gdy obeszła grób: zmierzał w stronę parkujących nieopodal samochodów.

Ruszyła za nim. Musiała wołać go po nazwisku dwa razy, zanim się odwrócił.

– Od tygodnia próbuję się z panem skontaktować – powiedziała. – Pańska sekretarka nie chce mnie połączyć.

– Ostatnio jestem bardzo zajęty.

– Teraz też? Możemy porozmawiać?

– To niezbyt właściwa pora.

– A kiedy będzie właściwa?

Nie udzielając odpowiedzi, odwrócił się i odszedł. Poszła za nim.

– W Brant Hill zarejestrowano dwa udokumentowane przypadki CJD – mówiła. – Pierwszy to Angus Parmenter, a drugi Stanley Mackie.

– Doktor Mackie zmarł po upadku z dużej wysokości.

– Tak, ale poza tym chorował na CJD. I pewnie dlatego wyskoczył oknem.

– Tej choroby nie da się wyleczyć. Mam się czuć winny zaniedbania?

– Dwa przypadki w roku to...

– To tylko statystyczna zbitka, pani doktor. Mamy tu dużą populację wyjściową. W Bostonie i okolicy może wystąpić kilka podobnych przypadków. Tak się złożyło, że pan Parmenter i pan Mackie byli sąsiadami.

– A jeśli mamy do czynienia z bardziej zaraźliwym szczepem prionów? W Brant Hill mogą wykluwać się nowe...

Odwrócił się do niej z tak groźnym wyrazem twarzy, że aż się cofnęła.

– Niech pani posłucha. Ludzie kupują mieszkania w Brant Hill, bo chcą żyć bez zmartwień i strachu. Całe życie ciężko pracowali i zasługują na ten luksus. Stać ich na to. Wiedzą, że Brant Hill zapewni im najlepszą opiekę medyczną w świecie. Nie chcą wysłuchiwać zwariowanych teorii o zabójczym wirusie, który grasuje w ich mózgach, a pochodzi z podawanego im jedzenia.

– Tylko na tym panu zależy? Na spokoju ducha pańskich podopiecznych?

– Moi podopieczni za to płacą. Jeśli stracą do nas zaufanie, spakują manatki i sprzedadzą domy. Brant Hill stanie się miastem widmem.

– Nie próbuję zrujnować Brant Hill. Uważam tylko, że powinniście przebadać pacjentów pod kątem objawów CJD.

– Zdaje pani sobie sprawę, jaką panikę by to wywołało? Nasza

żywność jest zdrowa i bezpieczna. Hormony kupujemy w renomowanych wytwórniach. Nawet wydział zdrowia publicznego uważa, że nie ma powodu do masowych badań. Proszę więc przestać straszyć naszych rezydentów. W przeciwnym razie do pani drzwi zapuka adwokat. – Odwrócił się i odszedł.

– A Robbie Brace? – wypaliła.

– Co Robbie Brace?

– Bardzo niepokoi mnie fakt, że zabito go zaraz po tym, gdy się dowiedział, że doktor Mackie też chorował na CJD. – No, nareszcie to powiedziała, nareszcie wyłożyła kawę na ławę. Spodziewała się, że Wallenberg ją pożre.

Tymczasem on jedynie spojrział na nią z tajemniczym uśmiechem na ustach.

– Tak, słyszałem, że sugerowała to pani policji. Słyszałem również, że musieli tę teorię odrzucić, ponieważ nie znaleźli żadnych dowodów, że sprawy te się ze sobą wiążą. À propos – dodał. – Zadawali mi mnóstwo pytań na pani temat.

– Policja? Jakich pytań?

– Czy wiem, że coś was łączyło, panią i doktora Brace’a. Czy wiem, że doktor Brace sprowadził panią do kliniki, i to w nocy. – Wykrzywił usta, pogardliwie i szyderczo. – To fascynujące, że wy, kobiety, odczuwacie tak silny pociąg seksualny do mężczyzn o ciemnym kolorze skóry.

Rozwścieczona Toby poderwała głowę i, wiedzioną furją, postąpiła krok do przodu.

– Niech pana szlag trafi! Nie ma pan prawa tak o nim mówić!

– Wszystko w porządku, Carl?

Toby odwróciła się na pięcie i zobaczyła przed sobą wysokiego, niemal zupełnie łysego mężczyznę. Był to ten sam elegancko ubrany typ, który stał obok Wallenberga podczas obrzędku pogrzebowego. Patrzył na nią dziwnie, jakby zalekniony. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że zaciska pięści i twarz płonie jej z gniewu.

– Niechący podsłuchałem – dodał. – Mam kogoś wezwać?

– Nie trzeba, Gideon. Doktor Harper jest po prostu... – Na jego twarz znów powrócił ten paskudny uśmiezek samozadowolenia. – Jest wstrząśnięta śmiercią Robbiego.

Ty sukinsynu, pomyślała.

– Za pół godziny mamy posiedzenie zarządu.

– Tak, pamiętam. – Wallenberg spojrział na Toby z błyskiem triumfu w oczach. Rozwścieczył ją, wyprowadził z równowagi, a osobnik o imieniu

Gideon był tego świadkiem. To Wallenberg wygrał, to on panował nad sytuacją, a nie ona, i dawał jej to do zrozumienia znaczącym uśmiechem.

– W takim razie do zobaczenia. – I obrzuciwszy Toby zatroskanym spojrzeniem, Gideon odszedł.

– Myślę, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia – rzekł Wallenberg i też się odwrócił.

– Chwilowo. Do następnego przypadku CJD.

Posłał jej współczujące spojrzenie.

– Pani doktor, czy mogę udzielić pani pewnej rady?

– Słucham.

– Niech pani nie będzie głupia.

Nie jestem głupia, pomyślała, pijąc łączywie kawę w pokoju dla personelu. Przecież żyję, do ciężkiej cholery, żyję. Może nie jest to życie, które sobie wymarzyła jako młoda lekarka na rezydenturze, nie takie, jakie by sobie wybrała. Ale czasem nie ma wyboru, czasem uniemożliwiają to okoliczności. Praca, obowiązki.

Ellen.

Dopiła kawę i wzięła sobie następną, czarną i gorącą. Ryzykowała nadkwasotę, ale rozpaczliwie potrzebowała kofeiny. Pogrzeb Robbiego zburzył jej dobowy rytm, przed wyjściem do pracy spała tylko kilka godzin. Dochodziła szósta rano i Toby funkcjonowała tylko dzięki automatycznym odruchom i sporadycznym wybuchom prymitywnych emocji. Złości. Frustracji. Teraz była i zła, i sfrustrowana, ponieważ wiedziała, że za pół godziny, kiedy wyjdzie ze szpitala, od razu spadną na nią nowe zmartwienia i obowiązki.

„Niech pani nie będzie głupia”. Nie była głupia. Po prostu żyła życiem, które się jej trafiło, którym musiała żyć.

Poprzedniego dnia, ubierając się przed wyjściem do pracy, spojrzała w lustro i spostrzegła, że niektóre z jej jasnych włosów wcale nie są jasne, lecz po prostu siwe. Kiedy to się stało? Kiedy przekroczyła granicę oddzielającą młodość od wieku średniego? Chociaż nikt inny by ich nie zauważył, szybko je wyrwała, dobrze wiedząc, że odrosną tak samo siwe jak przedtem. Martwe melanocyty się nie regenerują. Źródło wiecznej młodości nie istnieje.

O wpół do ósmej wyszła w końcu ze szpitala i przystanęła na parking, by zaczerpnąć porannego powietrza. Nie pachniało ani spirytusem, ani środkami dezynfekcyjnymi, ani stęchłą kawą. Zanosilo się na ładny dzień.

Mgła rzedła, odsłaniając splechotki bladego błękitu. Toby od razu poczuła się lepiej. Miała przed sobą cztery dni wolnego, będzie mogła porządnie się wyspać. A w przyszłym miesiącu czekał ją dwutygodniowy urlop. Może zostawi matkę z Vickie i gdzieś wyjedzie? Może zrobi sobie prawdziwe wakacje? Hotel na plaży. Zimne napoje i gorący piasek. Hmm, a może by tak... przelotny romansik? Już dawno nie spała z mężczyzną. Miała nadzieję, że pójdzie do łóżka z Dvorakiem. Ostatnio dużo o nim myślała, i to w taki sposób, że ni stąd, ni zowąd czerwieniła się jak piwonia. Od ich pierwszego i jak dotąd jedynego lunchu we dwoje dwa razy rozmawiali przez telefon, ale rozkład tygodnia uniemożliwiał im spotkanie.

Podczas ostatniej rozmowy był powściągliwy. Roztargniony. Czyżbym tak szybko go od siebie odstraszyła?

Wymazała Dvoraka z pamięci. I znowu wróciła do mężczyzn z marzeń i do tropikalnych wysp.

Przeszła przez parking i wsiadła do samochodu. Po południu zadzwonię do Vickie, zdecydowała w drodze do domu. Jeśli nie zechce albo nie będzie mogła popilnować mamy, wynajmę kogoś na cały tydzień. Do diabła z kosztami. Od lat pilnie odkładała pieniądze na emeryturę. Trzeba wydawać je teraz, dopóki można się jeszcze zabawić.

Skreśliła w swoją ulicę i serce podskoczyło jej do gardła.

Przed ich domem stała karetka pogotowia.

Nim Toby wjechała na podjazd, karetka zamigła światłami i popędziła w dół ulicy. Toby zaparkowała, wysiadła i wbiegła do domu.

W salonie stał umundurowany policjant, pisząc coś w notatniku.

– Co się stało? – spytała.

Policjant podniósł głowę.

– Pani nazwisko?

– To mój dom. Co pan tu robi? Gdzie moja matka?

– Przed chwilą zabrali ją do Springer Hospital.

– Był jakiś wypadek?

Odpowiedział jej głos Jane:

– Nie było żadnego wypadku.

Toby odwróciła się. Jane stała w drzwiach kuchni.

– Nie mogłam jej dobudzić i wezwałam karetkę.

– Nie mogłaś jej dobudzić?! Nie reagowała?

– Nie była w stanie się poruszyć. Ani mówić. – Jane i policjant wymienili spojrzenia, których Toby nie potrafiła zinterpretować. I dopiero wtedy zaświtała jej w głowie oczywista myśl: co tu robi policja?

Niepotrzebnie traciła czas. Odwróciła się, żeby wyjść i pojechać za karetką do szpitala.

– Pani Harper! – zawołał policjant. – Zechce pani poczekać. Będą chcieli z panią porozmawiać.

Toby zignorowała go i wyszła z domu.

Zanim dojechała do szpitala, zdążyła wyobrazić sobie najgorsze. Atak serca. Wylew. Ellen w stanie śpiączki pod respiratorem.

W recepcji wyszła jej naprzeciw pielęgniarka z dziennej zmiany.

– Pani doktor...

– Gdzie moja matka? Przywieźli ją karetką.

– Jest w dwójce, właśnie ją stabilizują. Proszę poczekać, niech pani tam nie...

Toby ominęła ją i wpadła do sali numer dwa. Twarz Ellen zasłaniał tłum krzątający się wokół stołu. Paul Hawkins właśnie skończył intubację. Jedna z pielęgniarek wstawiała do stojaka świeżą kroplówkę, inna potrząsała probówkami z krwią.

– Co się stało? – spytała Toby.

Paul zerknął na nią przez ramię.

– Możesz poczekać na zewnątrz?

– Co się stało?!

– Przestała oddychać. Miała bradykardię, ale tętno wróciło...

– To zawał?

– EKG tego nie potwierdza. Czekamy na enzymy sercowe...

– O Boże. O mój Boże... – Toby przepchnęła się do stołu i chwyciła Ellen za rękę. – Mamo, to ja.

Matka nie otworzyła oczu, ale poruszyła dłonią, jakby chciała ją wyszarpnąć.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, oni się tobą zajmą... Nagle Ellen poruszyła drugą ręką, zaczęła nią bezwładnie uderzać w materac. Pielęgniarka szybko ją przytrzymała i unieruchomiła pasem. Na widok chudego, kruchej ramienia, które zmaga się z płóciennymi więzami, Toby nie wytrzymała.

– Dlaczego tak mocno? – warknęła. – Ma już siniec...

– Wyrwie sobie kroplówkę.

– Odcinacie dopływ krwi!

– Wyjdź, Toby – powiedział Paul. – Panujemy nad sytuacją.

– Mama was nie zna...

– Nie pozwalasz nam pracować. Musisz wyjść.

Toby odeszła od stołu i stwierdziła, że wszyscy na nią patrzą. Zdała

sobie sprawę, że Paul ma rację. Przeszkadzała, wchodziła im w drogę, utrudniała podejmowanie decyzji. Kiedy to ona kierowała zespołem, nigdy nie pozwalała wchodzić do sali rodzinie pacjenta. Tak samo jak Paul.

– Zaczekam za drzwiami – powiedziała cicho i wyszła.

W korytarzu stał jakiś mężczyzna. Tuż po czterdziestce, ponury, ostrzyżony na mnicha.

– Doktor Harper?

– Tak.

Coś w sposobie, w jaki do niej podszedł i otaksował ją spojrzeniem, nasuwało myśl, że jest człowiekiem z policji. Potwierdził to, okazując służbową odznakę.

– Detektyw Alpren. Czy mogę zadać kilka pytań na temat matki pani?

– To ja chcę zadać panu kilka pytań. Co w moim domu robi policja?

Kto was wezwał?

– Pani Nolan.

– Po co miałyby wzywać policję do nagłego przypadku chorobowego?

Wskazał pustą salę.

– Wejźmy tam.

Oszołomiona Toby ruszyła za nim. Zamknął drzwi.

– Od jak dawna pani matka choruje?

– Na alzheimera?

– Nie. Na to, co dolega jej w tej chwili.

Toby pokręciła głową.

– Nie wiem, co jej dolega, nie mam pojęcia, co się stało.

– Czy matka pani chorowała na jakąś przewlekłą chorobę? Nie licząc alzheimera.

– Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

– Z tego co wiem, pani matka choruje przynajmniej od tygodnia.

Letarg, mdłości...

– Robiła wrażenie zmęczonej. Założyłam, że to wirus, lekkie dolegliwości żołądkowo-jelitowe...

– Wirus, pani doktor? Pani Nolan jest innego zdania.

Patrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Co wam powiedziała Jane? Mówił pan, że to ona was wezwała.

– Tak.

– Chcę z nią porozmawiać. Gdzie ona jest?

Puścił to pytanie mimo uszu.

– Pani Nolan wspomniała też o pewnych obrażeniach. Powiedziała, że pani matka skarżyła się na ból rąk po oparzeniach.

– Przecież te oparzenia zagoiły się kilka tygodni temu. Opowiadałam Jane, jak do tego doszło.

– A te sińce na udzie? Skąd je ma?

– Jakie sińce? Nic nie wiem o żadnych sińcach.

– Pani Nolan twierdzi, że pytała o to panią dwa dni temu. I że nie potrafiła pani wyjaśnić ich pochodzenia.

– Co?!

– Czy może pani wyjaśnić, skąd wzięły się te sińce?

– Do ciężkiej cholery, chcę wiedzieć, dlaczego pani Nolan wygaduje te wszystkie bzdury! Gdzie ona jest?

Alpren przyglądał się jej chwilę. Potem pokręcił głową.

– Zważywszy na okoliczności, pani Nolan nie życzy sobie z panią rozmawiać.

Po tomografii umieszczono Ellen na OIOM-ie, gdzie Toby mogła ją odwiedzić. Natychmiast odrzuciła prześcieradło i poszukała wzrokiem sińców – była to pierwsza rzecz, jaką zrobiła po wejściu do sali. Znalazła cztery. Cztery nieregularne plamy na zewnętrznej stronie lewego uda. Patrzyła, nie dowierzając własnym oczom i przeklinając siebie za ślepotę. Jak to się stało? I kiedy? Ellen? Zrobiła to sobie sama? A może zrobił to jej ktoś inny, wielokrotnie szczypiąc tę delikatną skórę? Okryła jej nogi, potem w tajonej furii zacisnęła ręce na oparciu łóżka i stała tak, próbując zdławić w sobie wściekłość, która pozbawiała ją zdolności logicznego myślenia. Ale jednej myśli odpędzić nie mogła. Jeśli zrobiła to Jane, zabije ją własnymi rękami.

Ktoś zapukał w szybę i do przeszklonego boksu weszła Vickie. Bez słowa usiadła po drugiej stronie łóżka.

– Mama jest w sypialni – powiedziała Toby. – Zauważyli sińce na jej udzie. Jane powiedziała policji, że ja to zrobiłam. Myślą teraz, że...

– Tak, wiem.

Toby popatrzyła na nią, zdumiona beznamiętnością jej głosu.

– Vickie...

– W zeszłym tygodniu mówiłam ci, że mama jest chora. Mówiłam ci, że wymiotuje. Ale ciebie to nie obchodziło.

– Myślałam, że to wirus...

– Nie zawiozłaś jej do lekarza, prawda? – Vickie spojrzała na nią jak na stwora, którego nigdy dotąd nie widziała. – Nic ci nie mówiłam, ale wczoraj dzwoniła do mnie Jane. Prosiła, żeby ci o tym nie wspominać.

Była bardzo zaniepokojona.

– Co ci powiedziała? Co ona ci powiedziała?!

– Powiedziała, że... – Vickie lekko westchnęła. – Martwiło ją to, co dzieje się z mamą. Kiedy rozpoczynała u ciebie pracę, zauważyła sińce na jej ramieniu, jakby ktoś chwycił ją i mocno potrząsnął. Te sińce zniknęły, ale w tym tygodniu na udzie pojawiły się nowe. Widziałas je?

– To Jane ją codziennie kąpała...

– A więc nie widziałas ich, tak? Nawet o nich nie wiedziałas?

– Jane nigdy mnie o to nie pytała!

– A oparzenia? Skąd te oparzenia na jej rękach?

– Oparzyła się kilka tygodni temu! Podniosła gorącą brytfannę z kuchenki.

– A więc jednak się oparzyła.

– To był wypadek! Był przy tym Bryan.

– Twierdzisz, że Bryan za to odpowiada?

– Nie, nic podobnego...

– W takim razie kto?

Mierzyły się wzrokiem nad łóżkiem Ellen.

– Vickie – odezwała się Toby. – Jestem twoją siostrą. Znasz mnie. Jak możesz wierzyć komuś obcemu?

– Nie wiem. – Vickie przeczesła palcami włosy. – Już sama nie wiem, w co wierzyć. Po prostu chcę, żebyś opowiedziała mi, co się naprawdę stało. Zdaję sobie sprawę, że mama bywa bardzo trudna, gorsza niż małe dziecko. Że niełatwo jest...

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Nigdy nie chciałaś mi pomóc.

– Mam rodzinę.

– To mama jest twoją rodziną. Ale wy tego nie możecie zrozumieć, prawda? Ani twój mąż, ani dzieci.

Vickie zadziornie uniosła głowę.

– Znowu próbujesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia, co? Znowu urządzasz zawody z cyklu, która z nas bardziej cierpi, która bardziej zasługuje na koronę męczennicy. Święta Toby.

– Przestań.

– No więc kiedy wyszłaś z siebie? Kiedy w końcu nie wytrzymałaś i zaczęłaś ją bić?

Toby aż drgnęła, zbyt wstrząśnięta, zbyt rozgniewana, by zaufać swoim własnym reakcjom.

Vickie zadrżały usta, zwilgotniały jej oczy.

– O Boże. Nie chciałam tego powiedzieć...

Toby wstała, odwróciła się i wyszła. Zatrzymała się dopiero przy swoim samochodzie na szpitalnym parkingu.

Miała w torebce notes z adresami: odszukała nazwisko Jane Nolan i pojechała do niej do domu.

Jane mieszkała w Brooklynie, siedem kilometrów na wschód od Springer Hospital, przy nijakiej, bezdrzewnej ulicy, w bliźniaku krytym zieloną dachówką. Na ganku stały skrzynki z wyschniętą na kość ziemią i więdnącymi roślinami. Story były szczelnie zaciągnięte.

Toby nacisnęła guzik dzwonka. Cisza. Zapukała, potem zaczęła tłuc pięściami w drzwi. Otwieraj, ty dziwko! Powiedz, dlaczego mi to robisz!

– Jane! – krzyknęła.

Otworzyły się sąsiednie drzwi i ostrożnie wychynęła spoza nich głowa kobiety.

– Szukam Jane Nolan – powiedziała Toby.

– No to niech pani przestanie tak walić, bo jej nie ma.

– Kiedy wróci?

– Kim pani jest?

– Chcę się tylko dowiedzieć, kiedy ona wróci.

– A skąd mam wiedzieć? Nie widziałam jej od tygodni. – Kobieta zatrzaskała drzwi.

Toby miała ochotę cisnąć kamieniem w okno Jane. Jeszcze raz grzmotnęła pięścią w drzwi, potem wróciła do samochodu...

... I dopiero wtedy wszystko się na nią zważyło. Ellen w śpiączce. Obca i mściwa Vickie. Zaczęła kołysać się w przód i w tył, żeby się nie rozplakać, żeby się całkiem nie załamać. Otrzeźwił ją głośny klakson samochodu – oparła się zbyt mocno o kierownicę. Przechodzący ulicą listonosz przystanął i zaczął się na nią gapić.

Odjechała. Dokąd teraz? Dokąd?!

Do Bryana. Bryan ją wesprze. Był przy tym, widział, jak Ellen oparzyła sobie ręce, na pewno się tego nie wyprze. Tak, to jedyna osoba, która wie, z jakim poświęceniem Toby opiekowała się matką, jedyna osoba, która może to zaświadczyć.

Ale Bryana nie było w domu. Drzwi otworzył jego przyjaciel, Noel. Powiedział, że Bryan pracuje, że wróci dopiero o wpół do piątej. Może wejdzie pani na kawę? Albo na drinka? Źle pani wygląda, powinna pani usiąść.

Co oznaczało, że musiała wyglądać koszmarnie.

Odmówiła. Ponieważ nie miała dokąd jechać, zawróciła do domu.

Radiowozu już nie było. Przed domem plotkowały trzy sąsiadki. Kiedy

Toby podjechała bliżej, zaczęły się na nią gapić. Nim zaparkowała, rozeszły się, każda w swoją stronę. Tchórzliwe babska. Dlaczego po prostu nie zapytały, czy pobiła swoją matkę?

Wpadła do domu jak burza i trzasnęła drzwiami.

Cisza. Nie ma Ellen. Nikt nie chodzi po ogrodzie, nikt nie ogląda porannych kreskówek.

Usiadła na sofie i ujęła głowę w dłonie.

Rozdział piętnasty

– Moje to dziewczynka – powiedziała Annie, gładząc się przez koc po brzuchu. – Chcę, żeby to była dziewczynka, bo z chłopcem nie wiedziałabym, co robić. Nie wiedziałabym, jak go wychować na porządnego faceta. Porządny facet to dzisiaj rzadkość.

Leżały obok siebie w jej łóżku. Było ciemno. Pokój rozjaśniała tylko latarnia za oknem. Ilekroć na ulicy błyskały reflektory przejeżdżającego samochodu, Molly widziała jej twarz, widziała głowę na poduszce i oczy spokojnie wpatrzone w sufit. Ciepło jej było z Annie. Tego dnia zmieniły pościel, a przedtem siedziały w pralni, chichocząc i przeglądając stare czasopisma, podczas gdy prześcieradła i reszta bielizny wirowały w suszarce. Teraz, ilekroć się odwróciła, czuła czysty zapach pralnianego mydła. I zapach Annie.

– Skąd wiesz, że to dziewczynka?

– Lekarze takie rzeczy wiedzą.

– Byłaś u lekarza?

– Do tego konowałam już nie wróciłam. Nie podobało mi się tam.

– No to skąd wiesz, że to dziewczynka?

Annie znowu pogładziła się po brzuchu.

– Po prostu wiem. Poznałam taką jedną pielęgniarkę. Powiedziała, że jak matka ma przecucie, naprawdę silne przecucie, to nigdy się nie myli. Tak, to na pewno dziewczynka.

– Ja tam nie mam żadnych przecuć.

– Może jeszcze za wcześnie.

– Ale ja nie czuję do tego dziecka absolutnie nic, rozumiesz? Dla mnie to jeszcze nie osoba, to jedynie kawał tłuszczu, który wypycha mi brzuch. Myślisz, że powinnam coś do niego czuć? Przyszłe matki muszą odczuwać coś do dziecka, nie? – Spojrzała na Annie, na zarys jej twarzy na tle okna.

– Coś do niego czujesz – odrzekła cicho Annie. – Inaczej przecież byś się wyskrobała, no nie?

– Bo ja wiem...

Annie odszukała pod kocem jej dłoń. Splotły palce i leżały tak, oddychając zgodnym rytmem.

– Nie wiem, co robię ani dlaczego – wyznała Molly. – Wszystko mi się pomieszało. A kiedy Romy mnie pobił, tak się na niego wkurzyłam, że pomyślałam sobie: takiego wała, dość rozkazywania. No i nie pojechałam

do tego lekarza. – Znowu na nią spojrziała. – Jak oni to robią?

– Co?

– No wiesz, jak pozbywają się dziecka.

Annie zadrżała.

– Tylko raz się skrobałam. W zeszłym roku, Romy mnie do nich wysłał. Do tych facetów ubranych na niebiesko. Nie chcieli ze mną gadać, kazali mi położyć się na stole i zamknąć gębę. Potem dali mi coś do wdychania i pamiętam tylko, jak się obudziłam. Chuda. Pusta...

– To była dziewczynka?

Annie westchnęła.

– Nie wiem. Wsadzili mnie do samochodu i odesłali do Romy'ego. – Zabrała rękę. W geście tym było coś więcej niż tylko zerwanie więzi fizycznej: Annie zaszyła się w swoim prywatnym świecie. W kąciuku tylko jej i jej dziecka.

– Molly – powiedziała po jakimś czasie. – Wiesz, że nie będziesz mogła długo tu zostać. – Cicho wypowiedziane słowa miały siłę miażdżącego ciosu.

Molly odwróciła się na bok.

– Zrobiłam coś złego? Powiedz, co takiego zrobiłam?

– Nic. Ale ja tak dłużej nie mogę.

– Dlaczego? Będę częściej sprzątała, zrobię, co zechcesz...

– Molly, uprzedzałam cię, że możesz tu zostać tylko kilka dni. Jesteś już ponad dwa tygodnie. Kochanie, lubię cię i w ogóle, ale odwiedził mnie dzisiaj pan Lorenzo. Marudził, że ktoś ze mną mieszka, mówił, że to niezgodne z umową najmu. Dlatego musisz odejść. Pokój jest mały, ledwo się w nim mieścimy. A kiedy urodzę...

– Przecież to dopiero za miesiąc.

– Molly. – Głos jej stwardniał. Zhardział. – Musisz znaleźć sobie jakieś miejsce. Nie mogę przygarnąć cię na stałe.

Molly odwróciła się do niej plecami. Myślałam, że będziemy rodziną. Ty i twoje dziecko. Ja i moje dziecko. I żadnych mężczyzn. Żadnych dupków.

– Molly? Dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze.

– Rozumiesz mnie, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

– Nie musisz odchodzić od razu. Pomieszkaj tu jeszcze kilka dni, rozejrzyj się, na pewno coś sobie znajdziesz. A może jeszcze raz pogadasz

ze swoją mamą?

– Może.

– Musi cię przygarnąć, to twoja matka.

Molly nie odpowiedziała. Annie położyła jej rękę na biodrze. Ciepło kobiecego ciała, obrzmiały brzuch napierający na jej plecy wypełniły Molly tak wielką tęsknotą i smutkiem, że pod wpływem impulsu objęła przyjaciółkę i przytuliła niczym dojrzały owoc. I nagle zapragnęła znaleźć się w jej łonie, zapragnęła być dzieckiem, które znajdzie kiedyś dom w ramionach Annie.

– Pozwól mi zostać – szepnęła. – Proszę, pozwól mi zostać.

Annie zdecydowanie odepchnęła jej rękę.

– Nie możesz. Przykro mi, Molly, ale nie możesz. – Odsunęła się na swoją połowę łóżka. – A teraz dobranoc.

Molly znieruchomiała. Co ja takiego powiedziałam? Co ja takiego zrobiłam? Wiedziała, że Annie nie śpi; w dzielącym je mroku było za dużo napięcia. Wyczuwała, że przyjaciółka leży tak samo skulona.

Mimo to obydwie milczały.

Obudził ją jęk. Początkowo myślała, że jeszcze śpi, że to tylko sen. Dziecko, które pływając w basenie, wydawało dziwne odgłosy. Które skrzeczało jak żaba. Otworzyła oczy. Leżała w łóżku Annie, była jeszcze noc. Spod drzwi łazienki wydobywała się smuga światła.

– Annie? – Annie nie odpowiedziała.

Molly przekręciła się na bok i zamknęła oczy, żeby nie przeszkadzało jej światło.

Raptem usłyszała głuchy łoskot, który ją natychmiast otrzeźwił.

Usiadła i spojrzała w stronę łazienki.

– Annie? – Nie słysząc odpowiedzi, podeszła do drzwi i zapukała. – Annie? Co ci jest? – Przekręciła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły, coś je tarasowało. Zajrzała przez szparę i początkowo nie mogła zrozumieć, co widzi.

Po podłodze płynął strumyk krwi.

– Annie! – Molly pchnęła ze wszystkich sił i w końcu zdołała otworzyć drzwi na tyle, by przecisnąć się do środka.

Annie leżała bezwładnie w kącie, blokując drzwi ramieniem. Nocną koszulę miała zadartą do pasa. Sedes był zbryzgany krwią, w muszli stała jedwabiście szkarłatna woda. Raptem spomiędzy ud Annie trysnął ciepły strumień, który omal nie zalał stóp Molly.

Cofnęła się przerażona i wpadła na umywalkę.

O Boże! O Boże! O Boże!

Chociaż Annie się nie ruszała, poruszał się jej nagi brzuch. Falował, napinał się, zbijał w twardą kulę.

Na linoleum znowu chlusnęła struga krwi. Omyła jej gołe stopy. Molly wyrwała się z transu. Zmusiła się do przekroczenia szkarłatnej kałuży i pochyliła nad zwiniętą na podłodze Annie. Musiała ją wywlec z za drzwi, i to natychmiast. Chwyciła ją za ramię i pociągnęła, nie mogła się jednak dobrze zaprzeć, bo ciągle ślizgała się we krwi. Annie jęknęła cicho i przeciągle, co zabrzmiało jak syk powietrza uchodzącego z balonu. Molly pociągnęła jeszcze mocniej i w końcu zdołała wydostać ją z za drzwi. Oparła stopy o futrynę i ze wszystkich sił pchnęła bezwładne ciało przyjaciółki.

Annie wyslizgnęła się z łazienki.

Molly chwyciła ją za ręce i wciągnęła do pokoju. Potem zapaliła światło.

Annie oddychała, była jednak strasznie blada i oczy uciekały jej do góry.

Molly wypadła na korytarz, zbiegła schodami na dół i załomotała do drzwi sąsiadów.

– Na pomoc! – krzyknęła. – Pomóżcie mi! – Nikt jej nie otworzył.

Popędziła na ulicę, do budki telefonicznej. Wykręciła 911.

– Nagłe wypadki, słucham.

– Przyślijcie karetkę! Ona krwawi...

– Pani nazwisko i adres.

– Molly Picker, nie wiem, jaki to adres. Chyba Charter Street...

– Jakie jest najbliższe skrzyżowanie?

– Nie widzę! Ona umiera...

– W takim razie poproszę o numer najbliższego domu. Molly rozejrzała się, rozpaczliwie omiatając wzrokiem fronton budynku, przed którym stała.

– Dziesięć siedemdziesiąt sześć! Tak, dziesięć siedemdziesiąt sześć!

– Gdzie jest poszkodowana? W jakim jest stanie?

– W mieszkaniu na górze. Strasznie krwawi, podłoga jest zalana krwią...

– Karetka już jedzie. Gdyby zechciała pani poczekać przy telefonie...

Chuj z tym – pomyślała i, nie odkładając słuchawki, popędziła z powrotem.

Annie leżała na podłodze w sypialni. Oczy miała otwarte, ale szkliste i

niewidzące.

– Nie trać przytomności! Proszę, nie możesz stracić przytomności. – Chwyliła ją za rękę, lecz Annie nie odpowiedziała na uścisk. I miała zupełnie zimną dłoń. Molly spojrzała w dół i zobaczyła, że piersi przyjaciółki unoszą się w płytkim oddechu. Tak, dobrze, oddychaj! Proszę cię, oddychaj!

Raptem jej uwagę przykuł inny ruch. Brzuch Annie gwałtownie spęczniał, jakby próbował się z niego wydostać jakiś stwór. Spomiędzy jej ud znowu buchnęła krew. A wraz z nią...

Wraz z krwią coś się z Annie wysunęło. Coś różowego.

Dziecko.

Molly uklękła między kolanami przyjaciółki i rozchyliła jej nogi. Z ciała Annie sterczała... rączka dziecka, tak się przynajmniej mogło zdawać. Ściekała z niej świeża krew, zmieszana z wodą. Molly zmrużyła oczy. Rączka nie miała palców, to wcale nie była rączka, tylko błyszcząca, różowawa płetwa, która powoli wiła się na wszystkie strony.

Brzuch Annie ogarnął kolejny skurcz, znowu chlusnęła krew i płetwa wysliznęła się wraz z resztą... ciała?

Molly odskoczyła z przeraźliwym krzykiem.

To nie było dziecko.

Ale to coś żyło, poruszało się, wywijalo w agonii płetwami. Nie miało żadnych innych kończyn, tylko te dwa różowe wyrostki, sterczące z guli krwawego mięsa przytwierdzonej do pępownicy. Molly dostrzegła kępki włosów, zmierzwionych i mokrych, wystający ząb, pojedyncze niebieskie oko, nieruchome i pozbawione rzęs. Płetwy gwałtownie zatrzepotały, krwawy kłęb drgnął i zaczął pełznąć, poruszał się niczym ameba pływająca w kałuży krwi.

Molly załkała, odsunęła się na czworakach najdalej jak tylko mogła i, wciśnięta w kąt, z niedowierzaniem przyglądała się, jak potworny organizm walczy o życie. Płetwy zadrżały chaotycznie, konwulsyjnie. Stwór przestał pełznąć i teraz już tylko drgał. Po jakimś czasie płetwy znieruchomiały. Ustały też drgawki mięsistej guli. Tylko pojedyncze oko nie chciało się zamknąć i cały czas patrzyło na Molly.

W strudze krwi z ciała Annie wypłynęło łożysko.

Molly wtuliła głowę między kolana, zwinęła się w ciasny kłębek.

Gdzieś z daleka dobiegło ją zawodzenie syreny. Po chwili usłyszała łomot do drzwi.

– Pogotowie! Halo! Czy ktoś tu wzywał pogotowie?

– Pomóżcie jej – szepnęła Molly. – Pomóżcie jej! – załkała głośniej.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadło dwóch sanitariuszy. Popatrzyli na ciało Annie, poszli wzrokiem po lśniącem śladzie krwi, który rozpoczynał się między jej udami.

– Ożeż, kurwa... – wychrypiął jeden z nich. – Co to, do diabła, jest?

Drugi ukląkł przy Annie.

– Nie oddycha. Respirator.

Nałożyli jej maskę i szuuuszuuu – do płuc Annie popłynęło powietrze.

– Tętno niewyczuwalne. Nie ma tętna.

– Dobra, zaczynamy. Raz, dwa trzy – i cztery. Raz, dwa, trzy – i cztery...

Molly obserwowała ich i wydawało się jej, że śni. Że ogląda film, odcinek serialu telewizyjnego. Że to nie Annie tam leży, tylko aktorka udająca martwą. Że igła, którą wbijają jej w ramię, nie jest prawdziwą igłą. Że krew na podłodze to zwykły keczup. Że to coś, ta rzecz leżąca kilkadziesiąt centymetrów dalej...

– Ciągłe nie ma tętna.

– Płaskie EKG.

– Źrenice?

– Nieruchome.

– Cholera. Nie przerywaj.

Zaskrzeczał radioodbiornik.

– Szpital.

– Tu dziewiętnastka – rzucił jeden z sanitariuszy. – Mamy tu białą kobietę w wieku dwudziestu kilku lat z silnym krwotokiem pochwowym. Niewykluczona próba aborcji. Krew świeża.

Zatrzymanie oddechu, tętno niewyczuwalne, źrenice nieruchome. Podajemy jej dożylnie płyn Ringera z mleczanami. Płaskie EKG, robimy masaż, ale bez rezultatu. Przestać?

– Jeszcze nie.

– Przecież ma płaskie...

– Utrzymać przy życiu i przewieźć.

Sanitariusz wyłączył odbiornik i spojrzał na kolegę.

– Utrzymać przy życiu? Co tu utrzymywać przy życiu?

– Załóż rurkę i zabierajmy ją.

– A co z tym... z tą... z tym czymś?

– Ja tam, kurwa, tego nie dotknę.

Molly wciąż oglądała serial z keczupem. Widziała, jak aktorce Annie zakładają rurkę intubacyjną. Widziała, jak aktorzy-sanitariusze kładą Annie na noszach, nie przestając ugniatać jej klatki piersiowej.

Jeden z nich spojrział na Molly.

– Zabieramy ją do szpitala miejskiego – rzucił. – Nazwisko pacjentki?

– Co?

– Jej nazwisko!

– Annie. Nie znam jej nazwiska.

– Niech pani posłucha. Proszę stąd nie wychodzić. Słyszysz pani? Niech pani tu zostanie.

– Dlaczego?

– Policja będzie chciała z panią pogadać. Proszę zostać na miejscu.

– A Annie? Co z Annie?

– Proszę pytać w szpitalu. Na pewno tam będzie.

Molly wsłuchiwała się w ich kroki na schodach. Po chwili dobiegł ją hałas od progu frontowych drzwi, urwany ryk syreny i warkot odjeżdżającej karetki.

Policja będzie chciała z panią pogadać.

Wreszcie to do niej dotarło. Nie chciała gadać z policją. Spytają o nazwisko i odkryją, że przed rokiem aresztowano ją za nagabywanie gliniarza. Romy wpłacił kaucję i przyłożył jej za to, że była taką idiotką.

Policja powie, że to moja wina. Nie wiem jak, ale na pewno mnie w to wrobią.

Drżąc, wstała. To coś wciąż tam leżało, ciągle błyszczało, tylko niebieskie oko zdążyło już wyschnąć i zmatowieć. Molly obeszła ostrożnie pletwiaste monstrum i unikając kałuż krwi, dotarła do toaletki. W górnej szufladce leżały pieniądze – pieniądze Annie – lecz Annie już ich nie potrzebowała. Przynajmniej tyle Molly zrozumiała z rozmowy sanitariuszy. Annie nie żyła.

Wyjęła zwitek dwudziestodolarówek. Potem szybko nałożyła ubranie przyjaciółki, ciężowe spodnie z elastyczną wstawką i obszerny podkoszulek z napisem „Och, dziecino!” na piersi. Do tego czarne adidasy i luźny płaszcz przeciwdeszczowy Annie. Wrzuciła pieniądze do torebki i uciekła z mieszkania.

Była po drugiej stronie ulicy, gdy przed domem zatrzymał się policyjny radiowóz z migoczącą „dyskoteką” na dachu. Do budynku weszli dwaj gliniarze. Kilka sekund później zobaczyła ich sylwetki w oknie pokoju Annie.

Patrzyli na pletwiastego stwora. Zastanawiali się, co to jest.

Jeden z policjantów podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

Molly skręciła za róg i puściła się biegiem. Pędziła, dopóki nie zabrakło jej tchu, dopóki nie zaczęła się potykać. Wpadła do jakiejś bramy i

przycupnęła na schodach. Serce waliło jej jak szalone, czuła jego trzepotanie w gardle.

Wstawał świt.

Przesiedziała na schodach do rana, a wtedy przyszedł jakiś facet i kazał się jej wynosić. Ruszyła przed siebie.

Kilka ulic dalej weszła do budki, by zadzwonić do szpitala.

– Chcę spytać o przyjaciółkę – powiedziała. – Przywiozła ją do was karetka.

– Nazwisko pacjentki?

– Annie. Zabrali ją z mieszkania, mówili, że nic oddycha...

– Jest pani krewną?

– Nie, ja tylko... To znaczy...

Molly zamarła. Tuż koło budki przejechał policyjny radiowóz. Jakby zwolnił, ale nie, nie przystanął.

– Halo, proszę pani? Czy może mi pani podać swoje nazwisko?

Molly odwiesiła słuchawkę. Radiowóz zniknął za rogiem. Wyszła z budki i pomaszerowała dokąd oczy poniosą.

Detektyw Roy Sheehan usadowił swój obszerny zadek na taborecie przy laboratoryjnym stole Dvoraka i spytał:

– No dobra. Co to jest ten prion?

Dvorak podniósł głowę znad mikroskopowego okularu.

– Co?

– Przed chwilą rozmawiałem z Lisą.

No jasne – pomyślał Dvorak. Mimo dyskretnego, acz jednoznacznego zastrzeżenia Sheehan od kilku dni bywał w kostnicy dość regularnie – przychodził bynajmniej nie po to, by oglądać zwłoki, lecz żeby obmacywać wzrokiem ciało jak najbardziej żywe.

– Bystra z niej dziewczuszka – dodał detektyw. – Powiedziała mi, że tego Creutzfeldta-Jakoba, czy jak mu tam, wywołuje prion.

– To prawda.

– Czyli można to złapać z powietrza, tak? Jak katar?

Dvorak spojrział na palec, w który zaciął się skalpelem; ranka zdążyła się już zagoić.

– Nie, niezupełnie.

– Toby Harper twierdzi, że grozi nam epidemia.

Dvorak pokręcił głową.

– Rozmawiałem z kierownictwem wydziału zwalczania chorób

zakaźnych i departamentu zdrowia publicznego. Mówią, że nie ma powodów do niepokoju. Że kuracja hormonalna Wallenberga jest zupełnie bezpieczna. Ci z departamentu nie doszukali się w Brant Hill żadnych uchybień.

– No to dlaczego ta Harper tak się ciska?

Dvorak milczał chwilę.

– Doktor Harper przeżywa ostatnio ciężki okres – wyjaśnił niechętnie.

– Rodzina jednego z jej pacjentów, tego, który zaginął, ma zamiar podać ją do sądu. Bardzo wstrząsnęła nią śmierć doktora Brace’a. Kiedy wszystko zaczyna toczyć się nie tak, kiedy wszystko zaczyna się walić, szukamy kogoś lub czegoś, na co można zrzucić winę za nasze niepowodzenia, to naturalne. – Sięgnął po następny preparat. – Myślę, że Toby jest bardzo zestresowana, i to od dawna.

– Słyszał pan o jej matce?

Dvorak się zawahał.

– Tak – odrzekł spokojnie. – Toby dzwoniła do mnie wczoraj.

– Ach tak... Nadal ze sobą rozmawiacie?

– Niby dlaczego mielibyśmy nie rozmawiać? Ona potrzebuje teraz przyjaciela, Roy.

– Mogą jej postawić zarzuty natury kryminalnej. Alpren twierdzi, że wygląda to na przypadek znęcania się nad staruszką. Opiekunka obwiniają, ona obwinia opiekunkę.

Dvorak pochylił się nad mikroskopem.

– Jej matka miała krwotok domózgowy. Powodem nie musiało być pobicie. Ani jedna, ani druga nie wygląda na taką, co to lubią maltretować staruszki.

– Matka ma posiniaczone nogi.

– U starszych ludzi to nic nadzwyczajnego. Słabo widzą. Wpadają na stoły, krzesła, stoliki.

Sheehan mruknął coś pod nosem.

– Broni jej pan ze wszystkich sił.

– Nie. Uważam tylko, że zasługuje na przywilej wątpliwości.

– Ale co do tej epidemii, to doktor Harper się myli, tak?

Dvorak westchnął.

– Tak. Choroba Creutzfeldta-Jakoba to nie grypa, nie można jej złapać. Rozprzestrzenia się tylko w określony sposób.

– Przez jedzenie mięsa szalonych krów?

– Krowy w Ameryce nie chorują na CJD.

– Za to Amerykanie chorują. I umierają, co widać na załączonym

obrazku.

– Na CJD zapada jeden człowiek na milion. Powodów zakażenia z reguły nie udaje się ustalić.

Obaj podnieśli wzrok, gdy do laboratorium weszła Lisa, obiekt westchnień Sheehana. Posłała im uśmiech i nachyliła się, by otworzyć małą lodówkę z preparatami. Detektyw wybałuszył oczy, zahipnotyzowany widokiem jej wypiętych pośladków. Następny haust powietrza zdołał wciągnąć dopiero wtedy, gdy Lisa wyszła.

– Są naturalne? – wymamrotał.

– Naturalne? – nie zrozumiał Dvorak.

– Włosy. Ona jest naturalną blondynką?

– Nie mam pojęcia. – Dvorak skupił wzrok na preparacie pod mikroskopem.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

– Spytać ją?

– Nie. Przyjrzeć się włosom, których nie widać.

Dvorak rozmasował sobie grzbiet nosa.

– Masz do mnie coś jeszcze, Roy?

– Co? A tak, tak. Słyszałem o wirusach, słyszałem o bakteriach, ale co to, u diabła, jest prion?

Zrezygnowany Dvorak zgasił lampkę mikroskopu.

– Nie można tego nazwać organizmem żywym. W przeciwieństwie do wirusa nie ma ani DNA, ani RNA. Innymi słowy, nie zawiera żadnego materiału genetycznego, a przynajmniej materiału genetycznego w postaci znanej dziś nauce. Jest to anormalna proteina komórkowa, która potrafi zdeformować proteiny komórkowe organizmu nosiciela.

– Ale nie można tego złapać jak grypy?

– Nie. Prion trafia do organizmu wskutek bezpośredniego kontaktu ze skażoną tkanką, z mózgiem czy z implantami kręgosłupowymi. Albo z ekstraktami komórek nerwowych, na przykład z hormonem wzrostu. Można się tym zarazić przez skażone elektrody mózgowe...

– Ci Angole zarazili się, jedząc wołowinę.

– Zgoda, przez jedzenie skażonego mięsa też. W ten sposób zarażają się kanibale.

Sheehan podniósł brew.

– To zaczyna być ciekawe. Kanibale?

Dvorak znowu westchnął.

– Na Nowej Gwinei są wioski, gdzie spożywanie ludzkiego mięsa jest elementem świętego obrzędu. Na CJD chorowały tam tylko kobiety i

dzieci.

– Dlaczego?

– Mężczyznom zawsze przypadają najlepsze kawałki zwłok, to znaczy mięśnie. Kobiety i dzieci musiały się zadowalać tym, czego oni nie chcieli tknąć: mózgiem. – Myślał, że Sheehan wykrzywi z odrazą twarz, tymczasem pochylił się tylko z jeszcze większą uwagą. Był tak bardzo łasy na każdy skrawek informacji, że na swój sposób też przypominał kanibala.

– A więc można to złapać, jedząc ludzki mózg... – zreasumował.

– Zarażony mózg.

– Czy to się da stwierdzić na oko?

– Nie, tylko pod mikroskopem. Poza tym to głupia rozmowa.

– Panie doktorze, to duże miasto. Dzieją się tu przedziwne rzeczy. Dostajemy meldunki o wampirach, o wilkołakach...

– O ludziach, którzy uważają się za wilkołaki.

– Kto wie. Te wszystkie zwariowane kultury...

– Nie przypuszczam, żeby w Brant Hill istnieli zwolennicy kanibalizmu.

Zapisał pager.

– Przepraszam, muszę zatelefonować – powiedział detektyw i wyszedł.

Nareszcie mogę skończyć robotę, pomyślał Dvorak. Chwilę później jednak pokazał się znowu Sheehan.

– Jadę na North End. Chyba powinienes tam być.

– Co, zabójstwo?

– Nie są tego pewni. – Zawahał się lekko. – Nie są nawet pewni, czy to w ogóle człowiek.

Rozdział szesnasty

Zapach krwi, intensywny i metaliczny, czuć było już w korytarzu. Dvorak skinął głową obecnemu tam policjantowi, przeszedł pod żółtą taśmą i przystanął w progu mieszkania. Sheehan i jego partner byli już w środku, tak samo jak ekipa laboratoryjno-daktyloskopijna. Moore przykucnął nad czymś w kącie pokoju. Dvorak nie podszedł do niego. Stał w drzwiach i lustrował wzrokiem podłogę.

Była pokryta biało-żółtym linoleum w kratkę. Przy łóżku leżał zniszczony chodnik. Przed wejściem do łazienki zauważył nie całkiem zakrzepłą krew – bardzo dużo krwi. Na linoleum widniały niewyraźne smugi, jakby coś po nim wleczono, znajdowała się tam również płatanina krwawych śladów stóp, w tym stóp bosych i drobnych, które wiodły do toaletki, a dalej zanikały.

Popatrzył na ściany, ale nie dostrzegł krwawych rozbryzgów, charakterystycznych dla krwotoku tętniczego. Właściwie to rozbryzgów w pokoju wcale nie było – jedynie wielka kałuża krzepnącej krwi. Ten, kto się tutaj wykrwawił, leżał spokojnie na podłodze, z pewnością nie rzucał się w panice we wszystkie strony.

– Doktorze? – mruknął Moore. – Niech pan tylko spojrzy.

– A te ślady? Już je zabezpieczyliście?

– To ślady tych z pogotowia. Nasi technicy wszystko obfotografowali i utrwalili na wideo. Niech pan te ślady po prostu obejdzie. Tylko uwaga na te przy toaletce.

Dvorak obszedł ślady bosych stóp i stanął nad Moore'em.

– Co pan na to? – Detektyw odsunął się, robiąc mu miejsce.

– O Chryste...

– My też tak zareagowaliśmy. Ale co to jest?

Dvorak nie wiedział, co odpowiedzieć. Powoli kucnął, żeby się lepiej przyjrzeć.

Początkowo odniósł wrażenie, że ma przed sobą maskę halloweenową, koszmarną maskę cyklopa z gumy w kolorze ludzkiego ciała. Potem zobaczył na niej strużki zakrzepłej krwi, później fragment łożyska z pepowiną. To coś nie było z gumy. To coś było...

Nałożył rękawiczki i ostrożnie dotknął ohydneho monstrum. Nie ulegało wątpliwości, że dotyka skóry, wprawdzie zimnej, ale jednak skóry. Pojedyncze oko było niebieskie. Miało ukształtowaną fałdę powieki, ale

powieka nie miała rzęs. Poniżej dostrzegł dwa niewielkie otwory, przypominające nozdrza, i rozszczepione podniebienie. Usta? Nie potrafił się w tym połapać, nie był w stanie rozróżnić poszczególnych części normalnej anatomii. Leżała przed nim bryła mięsa porośnięta kępkami włosów, sterczącymi w zwariowanych kierunkach. I, Boże miłosierny, czyżby tam, tuż przy tej płetwie, sterczał ludzki ząb?

Przypomniał mu się guz, który usunął z łona pewnej kobiety. Tak zwany potworniak. Zapłodnione jajo, które z niewiadomych przyczyn wynaturzyło się i przekształciło w nowotwór wielotkankowy. Z wyciętego guza sterczały zęby i był on porośnięty włosami.

To, co miał przed sobą, przypominało tamten nowotwór, było jednak znacznie lepiej zorganizowane. Miało płetwowate ramiona i elementy ludzkiej twarzy.

Nagle skupił wzrok na śladach na podłodze, na nieregularnej smudze mającej początek w wielkiej kałuży krwi, i na rozprostowanej pępowinie. Uświadomiwszy sobie, na co patrzy, wzdrygnął się z przerażenia i szybko cofnął rękę.

– Cholera jasna – szepnął. – To się poruszało.

– Nie widziałem – odrzekł Moore.

– Nie teraz. Przedtem. Zostawiło ślad – wskazał strzępiastą smugę na podłodze.

– Chce pan powiedzieć, że to... żyło?

– To chyba coś więcej niż zbiorowisko przypadkowo dobranych komórek. Ma coś w rodzaju płetw. Poruszało się, a więc musi mieć strukturę kostną i mięśnie.

– No i ma oko – mruknął Sheehan. – To jakiś kurewski cyklop. I gapi się na mnie.

Dvorak spojrział na Moore'a.

– Co tu się stało? Kto was wezwał?

– Ci z pogotowia, byli tu o piątej nad ranem. Na podłodze znaleźli krwawiącą kobietę. Krew była też w łazience i w muszli klozetowej.

– Skąd krwawiła?

– Chyba z pochwy. Nie wiedzieli, czy sklasyfikować to jako poród bez opieki czy jako próbę usunięcia ciąży. – Moore spojrział na płetwiastego cyklopa. – Czy to w ogóle dziecko? Czy tylko część dziecka?

– Myślę, że to przypadek licznych wad rozwojowych. Ale nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

– Mam nadzieję, że już nigdy w życiu czegoś takiego nie zobaczę. Wyobrażacie sobie, jak czułby się ojciec tego maleństwa, widząc, jak żona

je rodzi? Kurwa mać, toż natychmiast dostałby zawału!

– Co się stało z tą kobietą?

– Zmarła w karetce, co znaczy, że mamy tu sprawę dla anatomopatologa. Nazywała się Annie Parini, a przynajmniej pod takim nazwiskiem znali ją sąsiedzi.

– Kto wezwał karetkę?

– Jakaś kobieta. Dała nogę, zanim przyjechał pierwszy radiowóz. Ci z karetki mówią, że była bardzo młoda. Nastolatka. Dzwoniąc na pogotowie, przedstawiła się jako Molly Picker.

Dvorak zajrzał do łazienki. Krew na sedesie, krew na płytkach w kabinie prysznicowej. I ogromna kałuża krwi na podłodze.

– Muszę z tą dziewczyną porozmawiać.

– Myśli pan, że przyczyniła się do jej śmierci?

– Chciałbym się tylko dowiedzieć, co widziała. Co o tej kobiecie wie. – Odwrócił się, spojrzął na bryłę mięsa na podłodze i zmarszczył brwi. – Jeśli Annie Parini brała jakieś narkotyki i to coś jest tego skutkiem, mamy do czynienia z nowym teratogenem.

– Urodziła tego cyklopa po prochach?

– Nie wiem. Nigdy jeszcze nie widziałem tak silnych zniekształceń. Wyślę to na badania genetyczne. I bardzo chciałbym porozmawiać z tą Molly Picker. Jeśli naprawdę tak się nazywa.

– Mam jej odciski palców, jest ich tu pełno. – Wskazał krwawe odciski na futrynie drzwi do łazienki i na ścianie w pobliżu jednookiego monstrum. – Sprawdzimy, jak się nazywa.

– Znajdźcie tę dziewczynę. Nie wystraszcie jej. Chcę z nią tylko porozmawiać.

– A co z tą Parini? – spytał Sheehan. – Zrobisz jej sekcję?

Dvorak spojrzął na krew na podłodze. I skinął głową.

– Spotkamy się w zakładzie.

Ciało na stole autopsyjnym było już tylko pustą skorupą, opróżnioną z organów wewnętrznych. Podczas autopsji Sheehan i Moore prawie się nie odzywali, a po ziemistym kolorze ich twarzy poznał, że woleliby być wszędzie, tylko nie tutaj. Ze względu na wiek i płeć ofiary sekcja była bardziej rozstrajająca niż zwykle. Kobieta tak młoda nie powinna leżeć na autopsyjnym stole.

Dvorak nie nawiązywał rozmowy, koncentrując się na uwagach, które dyktował do mikrofonu. Serce i płuca w normie. Żołądek pusty. Wątroba i

trzustka normalnej wielkości, wyglądające też normalnie. Ogólnie mówiąc, ciało młode i zdrowe.

Dvorak skupił uwagę na powiększonej macicy, którą wyciął w całości i umieścił na jaskrawo oświetlonej krajalnicy. Następnie rozciął mięśniówkę i śluzówkę, by odsłonić jamę.

– Oto i nasza odpowiedź.

Policjanci niechętnie podeszli bliżej.

– Aborcja? – spytał Moore.

– Nic takiego tu nie widzę. Brak perforacji. Brak śladów manipulowania ostrym narzędziem. W dawnych czasach, jeszcze przed Roe Wadem, tym chirurgiem weterynaryjnym, fachmani od nielegalnych aborcji wprowadzali do szyjki coś w rodzaju cewnika, żeby ją poszerzyć, cewnik zaś przytrzymywali tamponem albo grubą warstwą gazy. Ale niczego takiego tu nie ma.

– Mogła to z siebie wydalić? Spuścić z wodą w kiblu?

– To możliwe. Ale nie przypuszczam, żeby tak było. – Wskazał sondą krwawe skupisko tkanki. – To fragment łożyska, który nie oddzielił się całkowicie od ściany macicy. Nazywa się to łożyskiem przyrośniętym. Stąd ten silny krwotok.

– Czy to jakaś niezwykła... przypadłość?

– Niezupełnie. Ten przypadek był jednak dość niebezpieczny, ponieważ łożysko przywarło w dolnej części macicy, a to może wywołać przedwczesne skurcze porodowe. I silne krwawienie.

– A więc umarła śmiercią naturalną.

– Tak uważam. – Dvorak wyprostował się. – Pewnie poczuła ból i poszła do łazienki z myślą, że musi się wypróżnić. Zaczęła silnie krwawić do muszli, zasłabła i osunęła się na podłogę. Bóg jeden wie, jak długo tam leżała, zanim ktoś ją znalazł.

– Jeśli to nie zabójstwo... – Sheehan z ulgą odstąpił od krajalnicy – tym łatwiej dla nas.

– Mimo to bardzo chciałbym porozmawiać z dziewczyną, która wezwała pogotowie. Nigdy w życiu nie widziałem tak zniekształconego płodu. Jeśli ta kobieta brała narkotyki... Przeraza mnie myśl, że po ulicach może krążyć nowy teratogen.

– Trafiliśmy na jej ślad – powiedział Sheehan. – Molly Picker, prostytutka. W zeszłym roku aresztowano ją za nagabywanie. Wyszła za kaucją, zapłacił alfons. Pogadamy z facetem. Pewnie wie, gdzie ją można znaleźć.

– Nie przestraszcie jej, dobrze? Chcę tylko dowiedzieć się czegoś o tej

kobiecie.

– Jeśli jej trochę nie postraszymy – odparł Sheehan – nie zechce z nami gadać.

Romy – miał za sobą gówniany dzień, który przechodził powoli w gówniany wieczór – krążył nerwowo u zbiegu Montgomery i Canton, próbując się rozgrzać. Trzeba było wziąć kurtkę, pomyślał, ale wychodząc z mieszkania, nie przypuszczał, że między domami będzie hulał lodowaty wiatr. Nie przypuszczał też, że będzie musiał tak długo czekać.

A chuj z tym. Chcą z nim pogadać, to niech przyjadą do niego.

Ruszył przed siebie przygarbiony i żeby ogrzać ręce, włożył je do kieszeni dzinsów. Nie zdążył dojść do następnego skrzyżowania, gdy zdał sobie sprawę, że tuż przy krawężniku sunie jakiś samochód.

– Panie Bell? – rzucił kierowca przez szparę w oknie o przyciemnionych szybach.

Romy łypnął na niego spode łba.

– Spóźniłeś się, człowieku.

– Jest duży ruch.

– Tak, jasne. No to teraz się odpierdol. – I Romy znowu ruszył przed siebie.

– Panie Bell, musimy porozmawiać o naszym małym problemie.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Proszę wsiąść do samochodu, to leży w pańskim interesie. O ile chce pan dalej dla nas pracować... – kierowca zawiesił głos – o ile chce pan dostać pieniądze.

Romy przystanął i popatrzył na ulicę. Wiatr chłostał mu twarz, jedwabna koszula nie osłaniała przed zimnem.

– W samochodzie jest ciepło, panie Bell. Potem odwiozę pana do domu.

– A, co mi tam... – mruknął Romy. Wsiadł i usadowił się na tylnym siedzeniu, jak zawsze podziwiając wnętrze limuzyny. Na kierowcę nie zwracał uwagi. Był to ten sam facet co zwykle, blondyn o białych włosach, który nigdy na niego nie patrzył.

– Musi pan znaleźć tę dziewczynę.

– Nic nie muszę, dopóki nie dostanę szmalu – gniewnie burknął zirytowany Romy.

– Powinien był pan dostarczyć ją dwa tygodnie temu.

– Ta kurwa nie chce ze mną pracować. Znajdę wam inną.

– Annie Parini też już nie ma. Dziś rano znaleziono ją martwą.
Wiedział pan o tym?

Romy spojrział na blondyna.

– Kto ją skasował?

– Nikt. Umarła śmiercią naturalną. Ale jej ciałem zainteresowały się władze.

– No i co z tego?

– To, że przechwycili jeden okaz. Nie możemy dopuścić do tego, by znaleźli drugi. Musi ją pan odnaleźć.

– Nie wiem, gdzie przepadła. Szukałem.

– Nikt nie zna jej tak dobrze jak pan. Ma pan kontakty w mieście, prawda? Niech pan ją znajdzie, zanim dziewczyna zacznie rodzić.

– Chyba jest jeszcze czas, nie?

– Nie zakładaliśmy, że któraś z nich donosi. Nie mamy pojęcia, czy ciąża utrzyma się dziewięć miesięcy.

– Znaczy, że ta dziwka może urodzić w każdej chwili?

– Tego nie wiemy.

Romy parsknął śmiechem i spojrział na budynki przesuwane się za oknem.

– Jesteście przezabawni. Wyprzedzili was, panowie. Byli u mnie, pytali o nią.

– Kto?

– Policja. Wpadli z wizytą dziś po południu, chcieli wiedzieć, gdzie wsiąkła.

Kierowca zamilkł. Romy zerknął w lusterko i dostrzegł wyraz paniki na jego twarzy. Napędziłaś im strachu, Molly Dolly...

– To się panu opłaci – rzucił blondyn.

– Chcecie ją w całości? Czy może być w kawałkach?

– Chcemy ją żywą. Ona musi żyć.

– To gorzej.

– Dziesięć. Przy dostawie.

– Dwadzieścia pięć albo kij wam w oko. Połowa teraz, połowa przy dostawie.

– Dobrze. Dwadzieścia pięć.

Romy miał ochotę ryknąć śmiechem. Ci faceci srali w gacie ze strachu, a wszystko przez małą Molly Dolly. Molly Dolly nie była warta dwudziestu pięciu patoli. Jego skromnym zdaniem nie była warta nawet dwudziestu pięciu centów.

– Dostarczy ją pan?

– Może.

– Jeśli pan zawiedzie, moi sponsorzy będą bardzo niezadowoleni. Lepiej więc niech pan ją znajdzie. – Wręczył mu kopertę. – Reszta potem.

Romy zajrzał do środka i zobaczył plik pięćdziesięciodolarówek. To już coś.

Limuzyna przystanąła na rogu Upton i Tremont, na terytorium Romy'ego. Nie chciało mu się rozstawać z pięknymi skórzanymi siedzeniami, nie chciało się wychodzić na ten porywisty wiatr. Pomachał kopertą.

– Potem to znaczy kiedy?

– Przy dostawie. Znajdzie ją pan?

Kiwaj faceta. Niech myśli, że to kurewsko trudne. Może da więcej.

– Zobaczą, co się da zrobić. – Wysiadł i patrzył chwilę za odjeżdżającym autem. Boi się. Facet jest przerażony.

Koperta była gruba, miła w dotyku. Romy wsunął ją do kieszeni spodni.

Lepiej się schowaj, Molly Dolly. Lepiej dobrze się schowaj – pomyślał. – Jeszcze nie wiem, gdzie cię szukać, ale już po ciebie idę.

Bryan zaprosił ją do domu i poczęstował kieliszkiem wina. Toby była u niego po raz pierwszy. Czuła się nieswojo, ale bynajmniej nie z powodu niekonwencjonalnego układu, który łączył dwóch szczęśliwych i pasujących do siebie mężczyzn. Czuła się nieswojo, ponieważ siedząc na kozetce w saloniku, zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd nie poświęciła mu czasu jako przyjacielowi. Przychodził do jej domu, żeby opiekować się matką, by ją karmić i kąpać. W zamian za to raz na dwa tygodnie Toby wypisywała mu czek. „Płatne na zlecenie”. O przyjaźni w umowie o pracę nie było ani słowa.

Dlaczego? – myślała, podczas gdy Bryan rozkładał na stoliku serwetkę, żeby postawić na niej kieliszek białego wina. Dlaczego prosta czynność wypisywania czeku uniemożliwiła zawarcie prawdziwej przyjaźni?

Sączyła napój w głębokim poczuciu winy, że nigdy nie postarała się nic zrobić w tym kierunku, zażenowana, że odwiedziła go dopiero wtedy, gdy grunt zaczął palić się jej pod nogami.

Usiadł naprzeciwko. Minęła chwila. Pili wino, mieli wilgotne serwetki. Lampa rzucała łukowate cienie na wysoki, strzelisty sufit. Na ścianie wisiało czarnobiałe zdjęcie Bryana i Noela na plaży w głębokiej zatoce. Objęci za ramiona, uśmiechali się do obiektywu uśmiechem ludzi, którzy

wiedzą, jak używać życia. Toby nigdy tego nie umiała.

– Chyba już wiesz, że rozmawiała ze mną policja – powiedział.

– Podałam im twoje nazwisko. Pomyślałam sobie, że potwierdzisz moje zeznania. Uważają mnie za córkę z piekła rodem. – Odstawiła kieliszek. – Bryan, przecież wiesz, że nigdy jej nie skrzywdziłam.

– To właśnie im powiedziałem.

– Uwierzyli?

– Nie wiem.

– O co pytali?

Napił się wina – wyczuła, że chce w ten sposób zyskać na czasie.

– O lekarstwa – odrzekł w końcu. – Chcieli wiedzieć, czy Ellen brała coś na receptę. I o te oparzenia.

– Wyjaśniłeś im, jak to się stało?

– I to kilka razy. Odniosłem wrażenie, że moje odpowiedzi nie bardzo przypadły im do gustu. Co się dzieje, Toby?

Odchyliła się na kozetce i przesunęła rękami po włosach.

– To Jane Nolan. Nie wiem, dlaczego mi to robi...

– Co robi?

– Nie umiem tego inaczej wyjaśnić. Jane zjawia się u mnie niczym dar z niebios. Jest inteligentna, jest miła. Istna doskonałość. Przychodzi i ratuje mnie z opresji. Wkrótce wszystko zaczyna się walić. Dosłownie wszystko. A ona zrzuca winę na mnie. Wygląda to tak, jakby chciała zrujnować mi życie.

– Toby, to brzmi dość dziwacznie...

– Ludzie są dziwaczni. Potrafią robić przedziwne rzeczy, by zwrócić na siebie uwagę. Powtarzam policji, że powinni zainteresować się nie mną, lecz właśnie nią że to ją powinni aresztować. A oni nic nie robią.

– Nie przypuszczam, żeby atakowanie tej Nolan leżało w twoim interesie.

– To ona atakuje mnie! Oskarża mnie o maltretowanie matki. Po co dzwoniła na policję? Oparzenia? Dlaczego nie zapytała o to mnie? Dlaczego wciągnęła w to Vickie? Nastawiła przeciwko mnie moją własną siostrę.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Nie wiem dlaczego! To wariatka!

Bryan odwrócił wzrok; uświadomiła sobie, że to ona zachowuje się jak wariatka, jak osoba potrzebująca pomocy psychiatrycznej.

– Przemyślałam to na tysiące sposobów, próbując zrozumieć, jak to się stało. Jak mogłam do tego wszystkiego dopuścić. Powinnam była

przyjrzeć się jej dokładnie.

– Nie bierz całej winy na siebie. To Vickie pomogła ci ją wybrać.

– Tak, ale Vickie jest powierzchowna. Za te sprawy ja odpowiadałam. Kiedy odszedłeś, wpadłam w panikę. Dałeś mi tak mało czasu na... – Nagle zaświtała jej pewna myśl. To dlatego Jane wkroczyła w moje życie, ponieważ Bryan zrezygnował.

– Uprzedziłbym cię wcześniej, ale chcieli, żebym natychmiast zaczął.

– Dlaczego wybrali akurat ciebie?

– Co?

– Przecież nie szukałeś pracy, tak mówiłeś. I nagle cię zatrudniają. Jakim cudem?

– Zadzwonili do mnie.

– Kto?

– Ci z domu opieki w Twin Pines. Szukali specjalisty od terapii artystyczno-rekreacyjnej. Wiedzieli, że jestem pielęgniarzem z prawem praktyki. Wiedzieli, że jestem artystą. Że sprzedaję obrazy w trzech galeriach.

– Ale skąd? Skąd o tym wiedzieli?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie ktoś podał im moje nazwisko.

I natychmiast cię podkupili. A ja musiałam błyskawicznie kogoś znaleźć...

Żegnała się z nim jeszcze bardziej zagubiona niż przedtem.

Pojechała do szpitala zobaczyć, co z matką.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, godziny odwiedzin już dawno minęły, ale nikt jej nie zatrzymywał.

Światła były przygaszone, Ellen leżała w półmroku. Toby usiadła przy łóżku, wsłuchując się w pojękiwanie respiratora. Jaskrawozielona linia na ekranie monitora wykreślała rytm pracy serca matki. W nogach łóżka wisiały na sztywnej podkładce kartki z notatkami pielęgniarek. Toby zaświeciła lampkę.

15.45 Skóra ciepła i sucha; brak reakcji na ból.

17.15 Córka Vickie.

19.30 Pacjentka stabilna. Nadal nie reaguje na bodźce.

Odwróciła kartkę i spojrzała na ostatni wpis.

20.30 Krew na obecność 7-dehydroksywarfaryny.

Natychmiast opuściła salę i poszła do stanowiska pielęgniarek.

– Kto zlecił to badanie? – spytała, podając notatki pielęgniarce dyżurnej. – Na hydroksywarfarynę.

– Chodzi o panią Harper, tak?

– Tak, o moją matkę.

Pielęgniarka zdjęła z półki kartę choroby Ellen i zajrzała do zestawienia zleceń.

– Doktor Steinglass.

Toby podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer. Steinglass odebrał po drugim sygnale.

– Bob? – warknęła, ledwie zdążył powiedzieć „halo”. – Ja w sprawie matki. Dlaczego zleciłeś badanie na warfarynę? Uważasz, że ktoś podał jej coumadin? Albo truciznę na szczury?

– To przez te... sińce. No i krwotok domózgowy. Mówiłem ci, że miała kiepski czas protrombinowy...

– Twierdziłeś, że to zapalenie wątroby.

– Czas protrombinowy był za długi, to nie żółtaczka.

– Ale dlaczego akurat warfaryna? Przecież ona nie dostawała warfaryny.

Steinglass długo milczał.

– Kazali mi – odrzekł w końcu.

– Kto ci kazał?

– Policja. Kazali mi zadzwonić do anatomopatologa. Zasugerował test na obecność warfaryny.

– Z kim rozmawiałeś? Z którym lekarzem?

– Z doktorem Dvorakiem.

Rozespany Dvorak pomacał nieprzytomnie w ciemności i po czwartym sygnale trafił na słuchawkę.

– Tak?

– Dlaczego, Dan? Dlaczego mi to robisz?

– Toby?

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, ale teraz widzę, że trzymasz ich stronę. Nie rozumiem, jak mogłam tak bardzo się co do ciebie pomylić.

– Posłuchaj, Toby...

– Nie, to ty mnie posłuchaj! – Załamał jej się głos, ale z determinacją stłumiła szloch. – Nie skrzywdziłam matki. Nie otrułam jej. Jeśli

ktokolwiek ją skrzywdził, to na pewno Jane Nolan.

– Nikt nie twierdzi, że zrobiłaś coś złego. Nikt, a najmniej ja.

– W takim razie dlaczego nie powiedziałaś mi nic o tym badaniu? Dlaczego robisz to za moimi plecami? Jeśli podejrzewasz, że ją otruto, powinieneś być rozmawiać ze mną! Powinieneś mi powiedzieć! A nie zlecać badanie, kiedy się tylko odwróciłam.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić, chciałem ci wszystko wyjaśnić, ale nie było cię w domu.

– Byłam w szpitalu. Gdzie indziej mogłabym być?

– Dobra, powinienem przekreślić do szpitala. Przepraszam.

– Przeprosiny niczego nie załatwiają, wbijasz mi nóż w plecy.

– Nie, Toby, to nie tak. Zadzwoił do mnie Alpren. Powiedział, że twoja matka ma złe wyniki badań układu krzepnięcia. Pytał, co mogło być tego powodem, prosił, żebym rozmawiał z jej lekarzem. Badanie na obecność warfaryny jest tylko następnym logicznym krokiem.

– Następnym logicznym krokiem! – Roześmiała się gorzko. – Tak, to do ciebie pasuje.

– Toby, jest mnóstwo innych przyczyn, które mogą dawać złe wyniki badań w przypadku twojej matki. Warfaryna to zaledwie jedna z wielu możliwości. Policja prosiła mnie o radę, więc jej udzieliłem. Na tym polega moja praca.

Toby milczała, ale słyszał jej urywany oddech. Brzmiało to tak, jakby z trudem powstrzymywała łzy.

– Toby?

– Twoja praca polega również na tym, że będziesz zeznawał przeciwko mnie w sądzie, tak?

– Do tego nie dojdzie.

– A gdyby doszło? Gdyby do tego doszło?

– O Chryste, Toby... – westchnął z irytacją. – Nie odpowiem na to pytanie.

– Nie musisz. Już na nie odpowiedziałeś. – I odłożyła słuchawkę.

Detektyw Alpren miał oczy jak mała: żywe, wścibskie i bystre. Nie potrafił ustać w jednym miejscu dłużej niż minutę, wciąż krążył po sali, a kiedy przestawał krążyć, kiwał się to w lewo, to w prawo, przestępując z nogi na nogę. Zwłoki na stole zupełnie go nie interesowały – przyszedł zobaczyć się z Dvorakiem i od dziesięciu minut niecierpliwie czekał, aż sekcja dobiegnie końca.

Wreszcie Dvorak wyłączył magnetofon.

– Już? – rzucił Alpren. – Możemy pogadać?

– Niech pan pyta – odparł Dvorak, nie odrywając wzroku od ciała na stole. Były to zwłoki młodego mężczyzny z korpusem rozciętym przez całą długość. W środku wszyscy jesteśmy tacy sami – pomyślał, spoglądając na pustą jamę brzuszną. Mamy identyczne organy zapakowane do worka ze skóry w różnych kolorach. Wziął igłę i nici i zaczął zszywać brzegi rany grubym, szerokim ścięciem. Estetyka? Mógł to sobie darować, miał tylko posprzątać po sobie i przygotować ciało do przewiezienia do zakładu pogrzebowego. Zwykle robiła to Lisa.

Nie zważając na makabryczne zajęcie, jakiemu oddawał się Dvorak, Alpren podszedł do stołu.

– Przyszły wyniki tej... Jak to się nazywa?

– Szybka chromatografia cieczowa.

– Właśnie. Dzwonili do mnie z laboratorium szpitalnego. Wyniki są pozytywne.

Dvorak zamarł, lecz natychmiast zmusił palce do szycia, do zamknięcia pustej klatki piersiowej. Czy Alpren to zauważył?

– Ta chromatografia, co to jest?

Dvorak nie odrywał wzroku od zwłok.

– To badanie na obecność 7-hydroksywarfaryny.

– A ta 7-hydroksy... ?

– To metabolit warfaryny.

– A ten metabolit?

Dvorak zacisnął węzeł i sięgnął po następny kawałek nici.

– Substancja, która upośledza krzepnięcie krwi. Może wywołać rozległe siniaki. Albo krwotok.

– W mózgu też? Jak u pani Harper?

Dvorak znów znieruchomiał.

– Tak. Obecność warfaryny wyjaśniłaby również pochodzenie siniaków na jej nogach.

– I dlatego zlecił pan to badanie?

– Doktor Steinglass poinformował mnie o złych wynikach krzepnięcia krwi. Jedną z możliwych diagnoz jest zatrucie warfaryną.

Alpren cały czas pilnie notował.

– Jak można tę warfarynę zdobyć?

– Jest składnikiem niektórych trucizn na szczury.

– Wykrwawiają się po niej na śmierć?

– Jakiś czas to trwa, ale tak, w końcu dostają krwotoku wewnętrznego i

zdychają.

– Przyjemny obrazek. Ta warfaryna... Jak jeszcze można ją zdobyć?

Dvorak przerwał pracę. Nie chciał z nim rozmawiać, nie chciał rozważać wynikających z tej rozmowy konsekwencji.

– Można ją dostać na receptę jako lekarstwo o nazwie coumadin. Stosuje się je przy obniżaniu krzepliwości krwi.

– Wydają je tylko na receptę?

– Tak.

– Receptę musi wypisać lekarz, potem idzie się z nią do apteki?

– Tak.

Alpren notował jeszcze szybciej.

– No to będę miał trochę roboty.

– To znaczy?

– Apteki. Kto kupował coumadin i kto go komu przepisywał.

– Coumadin przepisuje wielu lekarzy.

– Mnie interesuje tylko jeden lekarz: doktor Harper.

Dvorak odłożył igłę.

– Dlaczego tylko ona? Dlaczego nie opiekunka jej matki?

– Jane Nolan ma nienaganną opinię. Rozmawialiśmy z jej trzema ostatnimi pracodawcami. I niech pan nie zapomina, że to ona powiadomiła nas o sprawie.

– Może po to, żeby ratować własny tyłek?

– Niech pan spojrzy na to z punktu widzenia doktor Harper. Jest ładną kobietą, ale nie ma męża. Nie ma rodziny. Prawdopodobnie z nikim się nie umawia. Ugrzęzła ze zdziecinniałą matką, która nie chce umrzeć. Zawala coś w pracy, przeżywa coraz większy stres...

– I dlatego próbuje ją zamordować? – Dvorak pokręcił głową.

– Zasada numer jeden: zaczynaj od najbliższej rodziny.

Dvorak zacisnął ostatni węzeł i uciął nić.

Alpren zerknął na zszyty tors i jęknął z odrazą.

– Chryste. Frankenstein.

– Nic nie będzie widać, nałożą mu garnitur. W trumnie nawet żebrak ma prawo do dystyngowanego wyglądu. – Dvorak zdjął fartuch, ściągnął rękawiczki i odkręcił kurek nad zlewem. – A zatrucie przypadkowe? – rzucił. – Matka ma alzheimera. Nie wiadomo, co mogła wziąć do ust. Jeśli w domu była trucizna...

– Którą usłużna córka zostawiła na widoku, żeby mamusia mogła ją znaleźć? Słusznie.

Dvorak mył ręce.

– To ciekawe, że doktor Harper nie chce rozmawiać ze mną bez adwokata – powiedział Alpren.

– Nie ma w tym nic podejrzanego, to oznaka inteligencji.

– Tak, ale... To trochę dziwne.

Dvorak wytarł ręce. Nie patrzył na Alprena, nie śmiał. Nie powinienem komentować przebiegu śledztwa, myślał. Nie zachowuję obiektywizmu. Nie mam serca do badania dowodów rzeczowych w sprawie karnej przeciwko Toby. A to właśnie powinien robić, na tym polegała jego praca. Na badaniu dowodów. Na wyciąganiu logicznych wniosków.

Tymczasem wymowa dowodów rzeczowych bardzo mu się nie podobała.

Staruszkę najwyraźniej otruto. Przypadkowo czy z rozmysłem, trudno stwierdzić, przynajmniej na razie. Nie wierzył, by mogła to zrobić Toby. Nie wierzył czy po prostu nie chciał uwierzyć? Pociągała go i dlatego stracił cały obiektywizm?

Chciał do niej zadzwonić i cały wieczór walczył z pokusą. Dwa razy podnosił słuchawkę, ale ją odkładał, tłumacząc sobie, że nie ma prawa omawiać dowodów rzeczowych z podejrzaną. Rano ona próbowała się do niego dodzwonić. Uprzedził sekretarkę, zabronił jej łączyć Toby. Czuł się przez to obrzydliwie, lecz nie miał wyboru. Toby nie miała przyjaciół, była bezradna i bezbronna, ale nie mógł jej pocieszyć.

Po wyjściu Alprena uciekł do laboratorium. Na kontuarze czekały pudełka z preparatami do analizy. Była to praca spokojna i samotna; Dvorak się z tego cieszył. Przez godzinę pochylał się nad mikroskopem, na godzinę odciął się od świata, pogrążony w zupełnej ciszy, którą przerywał tylko brzęk odkładanych szkiełek. Przypominał pustelnika w celi. Zwykle lubił pracę w samotności, ale tego dnia czuł się podle i trudno mu było się skupić.

Spojrzał na swój palec, na małą bliznę po skaleczeniu skalpelem. Przypomniała mu, że on też jest śmiertelny, po raz kolejny mu uświadomiła, że nawet trywialne zdarzenie może prowadzić do katastrofy. Wystarczy, że za wcześnie wejdzie na jezdnię. Że złapie wcześniejszy samolot. Że wypali ostatniego papierosa przed pójściem spać. Widmo śmierci nie znika, zawsze wyczekuje okazji. Patrzył na bliznę, wyobrażając sobie, jak obumierają jego neurony wiedzione ku samozagładzie przez stado wrogich prionów.

Nie mógł temu zaradzić. Mógł tylko czekać i wypatrywać symptomów. Rok, najwyżej dwa lata. Dopiero wtedy się od tego uwolni. Dopiero wtedy odżyje.

Zamknął pudełko z preparatami i wbił wzrok w białą ścianę naprzeciwko. Odżyje? Czy kiedykolwiek tak naprawdę żył?

Kto wie, czy nie jest już na to za późno.

Miał czterdzieści pięć lat, jego ekszona była szczęśliwą mężatką, a jedyne dziecko skoczyło już ku niezależności. Ostatni urlop, pół roku temu, Dvorak spędził samotnie. Poleciał do Irlandii i przejechał całą wyspę, podążając od pubu do pubu, ciesząc się ze sporadycznych kontaktów z ludźmi, bez względu na to, jak były krótkie i powierzchowne. Myślał, że nie potrzebuje towarzystwa, aż do chwili gdy któregoś wieczora w jakiejś wiosce na zachodzie wyspy stwierdził, iż wszystkie puby są zamknięte. Stał na opustoszałej drodze, w miejscu, gdzie nikt nie znał jego imienia, i nagle ogarnęła go tak wielka rozpacz, że wsiadł do samochodu i, nie zatrzymując się, dojechał aż do Dublina.

Patrząc na białą ścianę, wiedział, że za chwilę poczuje się tak samo jak wtedy.

Rozległ się sygnał telefonu wewnętrznego. Dvorak drgnął, wstał i podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Ma pan dwa telefony. Na jedyne czeka pani Harper. Mam ją spławić?

– Tak, nie ma mnie. Do odwołania... – musiał zebrać całą siłę woli, żeby to powiedzieć.

– Na dwójce jest detektyw Sheehan.

Dvorak wcisnął guzik.

– Roy?

– Mamy coś na temat tego martwego... dziecka czy cokolwiek to jest – powiedział Sheehan. – Pamiętasz tę dziewczynę, która wezwała karetkę?

– Molly Picker?

– Tak. Znaleźliśmy ją.

Rozdział siedemnasty

– Przykro mi, ale doktor Dvorak nie może podejść do telefonu.

Toby odłożyła słuchawkę i sfrustrowana spojrzała na zegarek. Próbowwała złapać Dvoraka przez cały dzień. Ani razu nie chciano jej połączyć. Wiedziała, że policja próbuje wrobić ją w sprawę otrucia matki, gdyby więc porozmawiała z nim jak z przyjacielem, może wyjawilby jej, jakie mają na to dowody.

Ale Dvorak jej unikał.

Weszła do sali i stojąc przed boksem, obserwowała, jak pierś matki unosi się i opada. Śpiączka się pogłębiła i Ellen nie mogła już samodzielnie oddychać. Ostatnie badanie tomograficzne głowy wykazało, że krwotok domózgowy się powiększył, że doszedł do tego krwotok do mostu. Pielęgniarka regulowała kroplówkę. Wyczuwając, że ktoś ją obserwuje, spojrzała przez ramię, zobaczyła Toby i natychmiast się odwróciła. To, że jej nie pozdrowiła, że nawet nie kiwnęła jej głową, mówiło samo za siebie. Przestali jej ufać. Już nikt jej nie ufał.

Wyszła ze szpitala i wsiadła do samochodu, ale nie uruchomiła silnika. Nie wiedziała, dokąd jechać. Do domu? Wykluczone. W domu było za pusto, za cicho. Dochodziła czwarta – za wcześnie na kolację, nawet gdyby miała apetyt. Jej organizm nie zdążył przestawić się na rytm dzienny i nie wiedziała, kiedy zaatakuje ją głód albo zmęczenie. Wiedziała tylko, że jest otepiała, że wszystko jest nie tak. Że jej życie, niegdyś tak uporządkowane, zostało kompletnie i nieodwracalnie spięrzzone.

Otworzyła torebkę i wyjęła streszczenie przebiegu kariery zawodowej Jane Nolan. Cały czas nosiła te papiery przy sobie, ponieważ chciała zadzwonić do jej czterech poprzednich pracodawców i zdobyć trochę więcej informacji, uzyskać jakiegokolwiek potwierdzenie, że ich „doskonała” pielęgniarka nie jest wcale taka doskonała. Rozmawiała już z kierownikami trzech domów opieki. Jane Nolan? Wszyscy trzej piali z zachwytem.

Omamiałaś ich. Ale ja swoje wiem.

Została jeszcze kierowniczką domu opieki w Wayside.

Wayside leżało zaledwie kilkanaście kilometrów od Newton.

Toby przekręciła kluczyk.

– Przyjelibyśmy ją z powrotem z otwartymi ramionami – powiedziała Doris Macon, przełożona pielęgniarek. – Pacjenci kochali ją najbardziej ze wszystkich sióstr.

Była pora kolacji i do jadalni wtoczył się z łoskotem wózek pełen talerzy. Przy czterech długich stołach siedzieli pacjenci w różnych stadiach świadomości. Rozmawiali niewiele. Słyszeć było tylko głosy pielęgniarek podających tace z jedzeniem.

– Twoja kolacja, kochanie.

– Zawiązać ci serwetkę?

– Pozwól, pokroję ci mięso.

Doris powiodła wzrokiem po siwych głowach starców i staruszek.

– Każdy z nich ma swoją ulubioną siostrę – powiedziała. – Głos osoby znanej, jej przyjazna twarz to dla nich wszystko. Gdy któraś z sióstr odchodzi, niektórzy pacjenci ją opłakują, jakby zmarła. Nie wszyscy mają swoich bliskich, to my jesteśmy ich rodziną.

– A Jane? Radziła sobie z nimi?

– Bezbłędnie. Jeśli zamierza ją pani zatrudnić, ma pani szczęście, że trafiła się pani tak cudowna kandydatka. Było nam bardzo smutno, kiedy odeszła do Orcutt Health.

– Do Orcutt Health? W swoim życiorysie zawodowym Jane o tym nie wspomina.

– Wiem, że po odejściu z naszego domu pracowała tam co najmniej rok.

Toby wyjęła z torebki kartkę.

– Orcutt Health... Nie ma. Po Wayside wymienia dom opieki w Grove.

– Ach, przecież Grove należy do sieci domów opieki Orcutt Health, to część tej samej korporacji. Jeśli się u nich pracuje, można dostać przydział do każdego ze zrzeszonych ośrodków.

– Ile ich mają?

– Kilkanaście? Nie wiem na pewno. Ale Orcutt Health należy do naszych najpoważniejszych rywali.

Orcutt, myślała Toby. Gdzie ja tę nazwę słyszałam?

– Nie wiedziałam, że Jane wróciła do Massachusetts i że poszukuje pracy – powiedziała Doris. – Przykro mi, że do nas nie zadzwoniła.

Toby natychmiast otrzeźwiała.

– Jane wyjeżdżała do innego stanu?

– Kilka miesięcy temu przysłała nam kartkę z Arizony. Pisała, że wyszła za męża, że żyje sobie wygodnie i dostatnio. Potem już się nie odezwała. Pewnie wróciła na stare śmieci. – Doris z ciekawością

przyjrzała się Toby. – Skoro zamierza ją pani zatrudnić, czemu pani z nią nie porozmawia? Jane wszystko pani wyjaśni.

– Po prostu sprawdzam, tak na wszelki wypadek – skłamała Toby. – Chcę ją zaangażować, ale coś mi się w niej nie podoba. Nie wiem co. Ma się opiekować moją matką, która nie potrafi o siebie zadbać, muszę być ostrożna.

– Za Jane mogę spokojnie ręczyć. Naszymi pacjentami opiekowała się wspaniale. – Doris podeszła do stołu i położyła rękę na ramieniu starszej kobiety. – Miriam, kochanie. Pamiętasz Jane, prawda?

Staruszka uśmiechnęła się spoza łyżki z tłuczonymi ziemniakami, którą trzymała w dygoczącej dłoni przy bezzębnych ustach.

– Jane wraca?

– Nie, kochanie. Chciałam tylko, żebyś powiedziała tej pani, czy ją lubiłaś.

– Kocham Jane. Już dawno u mnie nie była.

– Jane wyjechała, skarbie.

– I dziecko! Ciekawe, czy jest już duże. Proszę jej powiedzieć, żeby wróciła.

Doris wyprostowała się i spojrzała na Toby.

– Moim zdaniem to niezła rekomendacja.

Sfrustrowana Toby wbiła wzrok w deskę rozdzielczą samochodu. Dlaczego nikt nie dostrzega prawdy? Uwielbiali ją pacjenci. Uwielbiali pracodawcy. Była ukochaną opiekunką, była świętą.

A ja jestem diablicą.

Wyciągnęła rękę i już miała przekręcić kluczyk, gdy nagle... Orcutt Health. Już wiedziała, skąd zna tę nazwę.

Wymienił ją Robbie Brace. Tego wieczoru, kiedy razem szukali kart choroby w klinice. Powiedział, że w Brant Hill mieści się centralne archiwum domów opieki zrzeszonych w Orcutt.

Wysiadła i wróciła do budynku.

Doris Macon siedziała za kontuarem z listą zleceń w ręku. Zdziwiona, podniosła wzrok.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziała Toby. – Ta staruszka w jadalni... mówiła coś o dziecku. Czy Jane ma dziecko?

– Tak, córeczkę. Dlaczego pani pyta?

– Nigdy mi o niej nie... – Toby urwała, myśląc o stu rzeczach naraz. Czyżby dziecko umarło? Czy w ogóle je miała? A może po prostu nie chciała o tym mówić?

Doris przyglądała się jej z dziwnym wyrazem twarzy.

– Przepraszam, ale czy to coś zmienia? Czy teraz nie zechce jej pani zatrudnić?

Dlaczego ani razu nie wspomniała o dziecku? Nagle Toby wyprostowała się.

– Jak ona wygląda?

– Jane? Przecież musiała pani z nią rozmawiać. Widziała ją pani...

– Jak ona wygląda?

Zaskoczona szorstkim tonem, Doris umilkła i patrzyła na nią przez chwilę bez słowa.

– Jane jest... Wygląda zupełnie normalnie. Nie ma w niej nic szczególnego.

– Jest wysoka? Jakiego koloru ma włosy?

Doris wstała.

– Mamy tu grupowe zdjęcie naszego personelu. Fotografujemy się co roku. Proszę, pokażę je pani. – Zaprowadziła Toby do holu, gdzie wisiał rząd oprawionych w ramki fotografii, opatrzonych datami. Najwcześniejsza pochodziła z roku 1981; najpewniej wtedy rozpoczął działalność dom opieki w Wayside.

Doris przystanąła przed kolorowym zdjęciem sprzed dwóch lat i powiodła wzrokiem po twarzach sfotografowanych osób.

– Tu. – Wskazała kobietę w białym fartuchu. – To jest Jane.

Toby zmrużyła oczy. Kobieta stała na prawym skraju grupy z uśmiechem na okrągłej twarzy. Jej bardzo otyłą sylwetkę osłaniał wielki, bezkształtny fartuch.

Toby pokręciła głową.

– To nie ona.

– Ależ tak, zapewniam panią, że to ona. Proszę spytać naszych pacjentów. To jest Jane Nolan.

– Zgarnęliśmy ją na North Endzie – powiedział policjant z patrolu. – Świadkowie widzieli, jak tłukł ją jakiś facet i próbował wciągnąć do samochodu. Wrzeszczała jak obdzierana ze skóry, więc ludzie rzucili się na pomoc. Przyjechaliśmy pierwsi. Dziewczyna siedziała na chodniku, miała podbite oko i rozciętą wargę. Mówi, że nazywa się Molly Picker.

– Kto ją pobił? – spytał Dvorak.

– Chyba jej alfons, nie chciała powiedzieć. A facet zwiął.

– Gdzie ona teraz jest?

– Siedzi w radiowozie. Nie chce tu przyjść, nie chce z nikim

rozmawiać. Chce tylko wrócić na ulicę.

– Żeby ten alfons znowu ją pobił?

– Rozumem to ona nie grzeszy.

Dvorak westchnął. Wyszli na Albany Street. Nie miał wielkiej nadziei. Ponura nastolatka, w dodatku pewnie bez żadnego wykształcenia, będzie raczej kiepskim źródłem informacji. Nie aresztowano jej, więc mogła w każdej chwili odejść, ale prawdopodobnie o tym nie wiedziała. Oczywiście nie zamierzał jej w tej sprawie oświecać, najpierw chciał ją przesłuchać. Jeśli w ogóle będzie czego słuchać.

Policjant wskazał radiowóz. Z przedniego siedzenia machał do nich jego partner, na tylnym zaś siedziała dziewczyna o ciemnych włosach, zlepionych w strąki. Miała rozciętą wargę i kulila się w bardzo obszernym płaszczu przeciwdeszczowym. Na kolanach ścisnęła tanią skórzaną torebkę.

Policjant otworzył drzwi.

– Może teraz zechce pani wysiąść? To jest doktor Dvorak. Chciałby z panią porozmawiać.

– Nie potrzebuję lekarza.

– Doktor Dvorak jest z urzędu anatomopatologa stanowego.

– Urzędnik też mi niepotrzebny.

Dvorak nachylił się z uśmiechem.

– Cześć, Molly. Wejźmy do środka, pogadamy. Trochę tu zimno, nie uważasz?

– Gdyby zamknął pan drzwi, byłoby cieplej.

– Mogę tu czekać cały boży dzień. No więc jak, rozmawiamy teraz czy o północy? Wszystko zależy od ciebie. – Stał, patrząc na nią i zastanawiając się, ile czasu upłynie, zanim będzie miała dość. Nikt nie lubi, gdy się na niego gapia, a oni, dwóch policjantów i Dvorak, wpatrywali się w nią bez słowa.

Zdenerwowana Molly wzięła głęboki oddech i głośno prychnęła.

– Macie tam kibel? – spytała.

– Oczywiście.

– Bardzo mi się chce.

Dvorak odstał od drzwi.

– Chodź, zaprowadzę cię.

Wysiadła z trudem, ponieważ zbyt obszerny płaszcz włókł się za nią niby wielki tren. Kiedy się wyprostowała, Dvorak zerknął na jej brzuch. Dziewczyna była w ciąży. Na oko w szóstym miesiącu.

Natychmiast zauważyła, gdzie patrzy.

– Tak, któryś mnie przyłatwił – warknęła. – No i co z tego?

– Musisz usiąść. Dama w ciąży nie powinna dużo chodzić. Posłała mu spojrzenie mówiące: „To taki żart, co?” i weszła do budynku.

– Grzeczna dziewczynka – mruknął jeden z policjantów. – Będzie pan nas jeszcze potrzebował?

– Nie, możecie jechać. Kiedy skończymy, wsadzę ją do taksówki.

Dziewczyna czekała tuż za drzwiami.

– Gdzie ten kibelek?

– Na górze, obok mojego biura.

– No to szybciej, muszę siusiu.

Milczała, gdy jechali windą na górę, ale po wyrazie skupienia na jej twarzy poznał, że myśli wyłącznie o swoim pęcherzu.

Zaczekał na nią w korytarzu. Nie spieszyło się jej, wyszła dopiero po dziesięciu minutach, pachnąca mydłem. Szkarłatna, obrzęknięta warga niepokojąco kontrastowała z jej białą jak papier twarzą.

Zaprowadził ją do biura i zamknął drzwi.

– Siadaj, Molly.

– Długo to potrwa?

– To zależy, czy zechcesz mi pomóc. Czy coś wiesz. – Ponownie wskazał jej krzesło.

Usiadła markotnie, otulając się płaszczem jak kolczugą i zadziornie odymając rozciętą wargę. Dvorak oparł się o biurko.

– Dwa dni temu wezwałaś karetkę. Telefonistka nagrała twój głos.

– Nie wiedziałam, że wezwanie karetki to przestępstwo.

– Kiedy sanitariusze przyjechali na miejsce, znaleźli w mieszkaniu kobietę, która wykrwawiła się na śmierć. Ty też tam byłaś. Co się wtedy stało, Molly?

Molly milczała. Spuściła głowę, włosy przesłoniły jej twarz.

– Nie twierdzę, że zrobiłaś coś złego. Po prostu muszę wiedzieć.

Dziewczyna nie chciała na niego spojrzeć. Objęła się wpół i zaczęła kiwać się na krześle.

– To nie moja wina – wyszeptała.

– Wiem.

– Chcę iść. Nie mogę sobie pójść?

– Nie, Molly. Najpierw musimy porozmawiać. Możesz na mnie popatrzeć?

Nie popatrzyła. Wbiła wzrok w podłogę, jakby uległość oznaczała przegraną.

– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

– A po co? Nie znam pana.

– Nie musisz się mnie bać. Nie jestem policjantem. Jestem lekarzem.

Jego słowa odniosły efekt przeciwny do zamierzonego. Molly skuliła się na krześle jeszcze bardziej i zadrżała. Nie potrafił tej dziewczyny rozszyfrować. Była niczym przybysz z obcej planety. Jak wszystkie nastolatki. Nie wiedział, jak do niej dotrzeć.

Zaterkotał telefon.

– Jest tu Toby Harper – oznajmiła sekretarka.

– Nie ma mnie.

– Nie dam rady jej spławić, chce wejść na górę.

– Posłuchaj, naprawdę nie mogę z nią teraz rozmawiać.

– Ma czekać?

Dvorak westchnął.

– Dobrze. Niech czeka. Ale to może trochę potrwać.

Jeszcze bardziej poirytowany spojrzał na Molly. Jedna domagała się natychmiastowej rozmowy, druga nie chciała z nim gadać.

– Molly. Musisz opowiedzieć mi o swojej przyjaciółce, o Annie. O tej kobiecie, która zmarła. Czy brała jakieś narkotyki? Albo lekarstwa?

Dziewczyna znów zadrżała i zwinęła się w kłębek.

– To bardzo ważne, Molly. Twoja przyjaciółka urodziła bardzo zdeformowany płód. Muszę wiedzieć dlaczego, jest to niezmiernie ważne dla innych kobiet w ciąży. Molly?

Dziewczyna zaczęła się trząść. Początkowo nie wiedział, co się z nią dzieje. Myślał, że drży z zimna, lecz nagle pochyliła się do przodu i runęła na podłogę. Podrygiwały jej ręce i nogi, ciałem wstrząsały konwulsje.

Dvorak ukląkł przy niej i gorączkowo próbował rozpiąć zamotany pod szyją płaszcz, lecz wymachiwała rękami z nadludzką siłą. W końcu zdołał rozpiąć jej kołnierzyk. Drgawki nie ustępowały, twarz Molly poczerwieniała, oczy uciekały do tyłu. Co robić?! Jestem patologiem, a nie...

Zerwał się na równe nogi i wcisnął guzik telefonu wewnętrznego.

– Przyślij tu doktor Harper! Natychmiast!

– Przecież...

– Szybko! Mam tu nagły wypadek!

Spojrzał na Molly. Drgawki ustały, ale twarz nadal miała mocno zaczerwienioną, na czole zaś wyskoczył jej wielki guz; musiała się uderzyć przy upadku na podłogę.

Może się udusić, trzeba ją odwrócić na bok.

Panika z wolna ustępowała i zaczął przypominać sobie to, czego

nauczył się przed laty na medycynie. Ukłękł, szybko odwrócił Molly na lewy bok i lekko pochylił jej głowę. Gdyby zwymiotowała, przynajmniej się nie zadławi. Zbadał puls. Był przyspieszony, ale silny. No i oddychała, to najważniejsze.

Dobra. Tchawica czysta. Jest oddech. Jest tętno. O czym zapomniałem?

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Toby Harper. Spojrzała na Molly i ukłękła.

– Co się stało?

– Dostała drgawek...

– Co o niej wiesz? Ma padaczkę?

– Nie mam pojęcia. Oddycha, tętno w normie.

Toby spojrzała na jej czoło.

– Kiedy się uderzyła?

– Przed chwilą. Dostała drgawek i upadła.

Toby rozpięła jej płaszcz i rzuciła okiem na brzuch.

– Jest w ciąży – skonstatowała ze zdumieniem.

– Tak. Ale nie wiem, w którym miesiącu.

– W ogóle coś o niej wiesz?

– Jest notowana. Za prostytutkę. Dzisiaj pobił ją alfons. To wszystko.

– Masz tu swoją torbę?

– Tak, w szufladzie.

– Przynieś.

Molly jęknęła, poruszyła głową.

Podczas gdy Toby szperała w torbie, Dvorak zaczął ściągać z dziewczyny płaszcz. Otworzyła oczy, spojrzała na niego i natychmiast spróbowała się wyszarpnąć.

– Spokojnie – powiedział. – Spokojnie, Molly...

– Puść ją. Jest w szoku, boi się ciebie.

Dvorak puścił jej żałośnie chudą rękę i cofnął się.

– Wszystko w porządku, skarbie – szepnęła Toby. – Spójrz na mnie. Jestem tuż przy tobie.

Dziewczyna przeniosła wzrok na jej twarz.

– Mama...

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziała Toby cicho i spokojnie. – Zaświecę ci tylko w oczy taką małą latarką, dobrze? – Molly patrzyła na nią w zdumieniu. Toby pstryknęła włącznikiem. – Źrenice równe, okrągłe, reagują prawidłowo.

Wyjęła z torby ciśnieniomierz. Gdy opaska się zacisnęła, dziewczyna zaskomlała cichutko, lecz ani na chwilę nie oderwała wzroku od twarzy

Toby, jakby znajdowała w niej jakieś ukojenie.

Patrząc na opadającą wskazówkę manometru, Toby zmarszczyła czoło. Otworzyła wentyl i zdjęła opaskę.

– Trzeba z nią do szpitala.

– Naprzeciwko jest miejski.

– Zabierzmy ją do izby przyjęć. Ma dwieście dziesięć na sto trzydzieści i jest w ciąży. Pewnie dlatego dostała drgawek.

– To rzucawka?

Toby kiwnęła głową i zamknęła czarną torbę.

– Dasz radę ją przenieść?

Dvorak schylił się i wziął Molly na rękę. Mimo ciąży była krucha i lekka jak piórko. A może po prostu buzowała w nim adrenalina i nie odczuwał ciężaru? Ruszyli. Toby otwierała przed nimi drzwi. Szybko dotarli do wyjścia na Albany Street.

Gdy przechodzili przez ulicę, hulający między budynkami wiatr cisnął im w twarze piaskiem. Molly próbowała się uwolnić, cały czas się szarpała, jej płaszcz pętał Dvorakowi nogi, a włosy smagały mu twarz. W końcu potknął się o krawężnik i z trudem odzyskując równowagę, wszedł na podjazd prowadzący do izby przyjęć. Rozsunęły się podwójne drzwi.

Pielęgniarz w okienku, zajmujący się klasyfikowaniem nowych przypadków, podniósł głowę i widząc Dvoraka z dziewczyną na rękach, spytał:

– Co się stało?

Toby wysunęła się naprzód i, otwierając torebkę Molly w poszukiwaniu dokumentów, powiedziała:

– Ciężarna dziewczyna w szoku po rzucawce. Dwieście dziesięć na sto trzydzieści.

Pielęgniarz momentalnie zrozumiał, o co chodzi, i wezwał sanitariuszy z wózkiem.

Przyszła do siebie od ukłucia igły. Szarpnęła się, chcąc odepchnąć przytrzymujące ją ręce, ale było ich za wiele, a wszystkie krępowały ją i torturowały. Nie pamiętała, jak znalazła się w tym strasznym miejscu, nie wiedziała, czym zasłużyła sobie na karę. Przepraszam. Przepraszam za wszystko, co zrobiłam, tylko przestańcie mnie dręczyć.

– Cholera jasna, nie trafiłem! Rzuć mi jeszcze jedną osiemnastkę.

– Wkłuj się w lewe. Ma tam ładną żyłę.

– Musicie dziewczynę przytrzymać, rzuca się jak...

– To konwulsje?

– Nie, broni się, cholera...

Czyjeś ręce przytrzymały jej głowę.

– Niech się pani nie rusza! Musimy się wkluć!

Ogarnięta paniką, Molly spojrzała w górę, na twarz człowieka, który to powiedział. Była to twarz mężczyzny ubranego na niebiesko. Twarz mężczyzny o złych oczach. Wokół jego szyi wił się wąż słuchawek.

– Ona nie kontaktuje – warknął. – Wklujesz się wreszcie, czy nie?

Jej ramię chwyciła kolejna para rąk, kolejna para rąk przygniotła je do materaca. Molly próbowała się wyszarpnąć, ale ręce zacisnęły się jeszcze mocniej, boleśnie marszcząc i przyszczypując jej skórę. Znowu ukłucie. Molly przeraźliwie krzyknęła.

– Dobra, jest! Możecie podłączać. Szybciej, szybciej.

– Pięć miligramów hydralazyny dożylnie. Siarczan magnezu. Pobierzcie jej krew.

– Panie doktorze, mamy pacjenta z bólem w klatce piersiowej...

– Kurwa mać. Dajcie mi wreszcie święty spokój. Jeszcze jedno ukłucie, jeszcze jeden spazm bólu. Molly potężnie wierzgnęła, coś spadło z trzaskiem na podłogę.

– Cholera jasna, ciągle się rzuca!

– Nie można dać jej czegoś na uspokojenie?

– Nie, musimy na bieżąco śledzić jej stan psychiczny. Mów do niej.

– Próbowałem.

– Sprowadź tę kobietę. Tę, która ją przyprowadziła. Może ona ją uspokoi.

Molly znowu się szarpnęła. Bolała ją głowa, każdy dźwięk eksplodował pod czaszką niczym szrapnel. Czyjeś głosy, szybka wymiana zdań, metaliczny trzask drzwiczek od szafki.

Zostawcie mnie. Zostawcie. Zostawcie.

Nagle usłyszała nowy głos i jednocześnie poczuła, że ktoś głaszcze ją po włosach.

– Molly, to ja. Doktor Harper. Już dobrze. Już wszystko dobrze.

Molly skupiła wzrok na jej twarzy, na twarzy, którą znała, choć nie pamiętała skąd. Wiedziała tylko, że jest to twarz, która nie kojarzy się z bólem. Że z tych spokojnych oczu płynie poczucie bezpieczeństwa.

– Nie możesz się ruszać, Molly. Wiem, że to boli, że te igły bardzo kłują, ale ci ludzie chcą ci pomóc.

– Przepraszam...

– Za co?

– Za wszystkie złe rzeczy, które zrobiłam. Nic nie pamiętam.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Nie zrobiłaś nic złego. A teraz cię ukłują, dobrze? Zaboli, ale tylko troszkę.

Molly zamknęła oczy i zdławiła szloch, gdy pielęgniarka wbiła igłę.

– Grzeczna dziewczynka. Już po wszystkim. Koniec z igłami.

– Obiecujecie pani?

Kobieta się zawahała.

– Tego obiecać nie mogę. Ale przyrzekam ci jedno: od tej pory nikt nie ukłuje cię bez ostrzeżenia, zgoda? Zaraz im to powiem.

Molly chwyciła ją za rękę.

– Niech mnie pani nie zostawia...

– Nic ci nie będzie. Oni wszyscy dobrze się tobą zaopiekują.

– Ale ja ich nie znam. – Popatrzyła jej w oczy i kobieta w końcu kiwnęła głową.

– Zostanę, ile będę mogła.

Ktoś coś powiedział. Kobieta odwróciła się, słuchała chwilę, po czym znowu spojrzała na nią.

– Musimy dowiedzieć się czegoś o stanie twojego zdrowia. Masz lekarza?

– Nie.

– Bierzesz jakieś lekarstwa?

– Nie. To znaczy tak. Są w torebce.

Molly usłyszała, jak kobieta otwiera torebkę, usłyszała grzechot pigułek w buteleczce.

– To te?

– Tak. Biorę je na żołądek.

– Na fiolce nie ma etykiety. Skąd je masz?

– Od Romy’ego. Od przyjaciela. To on mi je dał.

– Dobrze. Teraz alergię. Jesteś na coś uczulona?

– Na truskawki. – Molly westchnęła. – A tak bardzo je lubię... – Usłyszała metaliczny hurkot i zerknęła w bok: do sali wtoczyła się jakaś machina. – Co oni chcą zrobić? Znowu będą mnie kłuć?

– To nie boli. Zrobią ci USG, badanie ultrasonograficzne. Muszą sprawdzić, jak się czuje twoje dziecko. Obejrzą je za pomocą fal dźwiękowych.

– Nie chcę. Nie mogą zostawić mnie w spokoju?

– Przykro mi, Molly, ale trzeba to zrobić. Trzeba sprawdzić, czy dziecku nic się nie stało. Czy się prawidłowo rozwija. Miałaś dzisiaj atak

rzucawki, pamiętasz? W gabinecie doktora Dvoraka. Wiesz, co to jest rzucawka?

– Takie... drgawki?

– Tak. To atak drgawkowy. Byłaś nieprzytomna, cała się trzęsała. To bardzo niebezpieczne. Masz wysokie ciśnienie i musisz zostać w szpitalu, dopóki nie sprawdzą, czy da się uratować dziecko.

– Coś mu grozi?

– Przyczyną rzucawki jest ciąża, wysokie ciśnienie krwi.

– Nie chcę, żeby znowu mnie badali. Niech pani im powie, żeby sobie poszli.

– Posłuchaj, Molly – odrzekła głosem spokojnym, lecz stanowczym. – To może być groźne.

Molly milczała. Popatrzyła lekarce w oczy i zobaczyła w nich brutalną prawdę.

Doktor Harper dała znak technikowi.

– Niech pan zaczyna. Zaczekam w korytarzu.

– Nie – zaprotestowała Molly. – Niech pani mnie nie zostawia. – Wyciągnęła do niej rękę w geście niemego błagania.

Po chwili wahania Toby ujęła ją i usiadła na stołku. Technik osłonił serwetą uda i łono Molly, następnie podwinął szpitalną koszulę, odkrywając jej wydatny brzuch.

– Poczujecie pani zimno – ostrzegł, wyciskając z tuby żel. – Dzięki tej galaretkie fale dźwiękowe utworzą wyraźniejszy obraz.

– Ale to nie będzie bolało? Obiecuje pan, że nie będzie?

– Ani trochę, obiecuję. – Pokazał jej kwadratowy przedmiot, który mieścił mu się w dłoni. – Przesunę tym po pani brzuchu, dobrze? A na ekranie monitora ukaze się obraz.

– Mojego dziecka? Można je zobaczyć?

– Oczywiście. – Rozsmarował żel i przytknął jej do brzucha głowicę aparatu.

– Łaskocze – powiedziała Molly.

– Ale nie boli, prawda? Musi pani przyznać, że to nie boli.

– Nie, nie boli.

– W takim razie niech się pani odpręży i spokojnie ogląda film. – Powoli przesunął po jej brzuchu, nie odrywając oczu od ekranu monitora. Molly też patrzyła na ekran, ale widziała tylko ruchome cienie. Gdzie jest to dziecko? Myślała, że zobaczy wyraźny obrazek, coś w rodzaju fotografii, tymczasem widziała jedynie kłębowisko szarych plam.

– Gdzie ono jest? – spytała.

Technik nie odpowiedział. Twarz mu skamieniała, wzrok miał wbity w ekran.

– Widzi je pan?

Technik odchrząknął.

– Pozwoli pani, że najpierw skończę.

– Widać, czy to chłopczyk czy dziewczynka?

– Nie. Nie widać. – Przesunął głowicę do góry, potem w dół, skupiając wzrok na migotliwych obrazach.

Nic, tylko szare plamy, pomyślała Molly. Pośrodku ekranu widniał jakiś bąbel otoczony mniejszymi bąblami. Spojrzała na lekarkę.

– Widzi pani coś?

Doktor Harper milczała. Spoglądała to na ekran, to na technika. Nie patrzyli na nią, ani ona, ani on. Ani ona, ani on nie powiedzieli ani słowa.

– Dlaczego nic nie mówicie? – szepnęła Molly. – Co się stało?

– Nie ruszaj się, kochanie.

– Coś jest nie tak, prawda?

Lekarka ścisnęła jej rękę.

– Nie ruszaj się.

Technik wyprostował się w końcu i starł żel z jej brzucha.

– Pokażę ten film lekarzowi, dobrze? Tymczasem niech pani odpocznie.

– Przecież ta pani jest lekarką – zaprotestowała Molly, spoglądając na Toby.

– Nie umiem odczytywać tego rodzaju zdjęć. Musi to zrobić specjalista.

– Co pan tam zobaczył? Coś niedobrego? Molly widziała, jak wymieniają spojrzenia.

– Nie wiem – odrzekł technik.

Rozdział osiemnasty

– Teraz. Niech pan zatrzyma – powiedział doktor Sibley. Zdjął okulary i jak zahipnotyzowany wpatrzył się w ekran. Przez chwilę w pokoju panowała zupełna cisza. I nagle Sibley wymamrotał:

– Co to, u diabła, jest...

– Co pan widzi? – zapytała Toby.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co to jest. – Sibley spojrzał na technika. – Chodzi panu o ten cień?

– Tak, o tę masę pośrodku. Nie mam pojęcia, co to jest.

– Tkanka płodowa? – rzuciła Toby.

– Trudno powiedzieć. Dobra, obejrzyjmy resztę.

Na ekranie zaczęły się przesuwać nowe cienie. Sibley pochylił się jeszcze bardziej.

– Tkanka różnej gęstości, na przemian zwarta i torbielowata.

– To chyba głowa... – wtrąciła Toby.

– Tak, kształtem przypomina czaszkę. Widzi pani to zwapnienie?

– Ząb?

– Na to wygląda. – Na ekranie zamigotał kolejny obraz.

Sibley zmarszczył czoło. – Ale gdzie jest klatka piersiowa? – rzekł półgłosem. – Nie widzę klatki piersiowej.

– Nie ma klatki piersiowej, ale ma zęby?

– Jeden ząb. – Sibley zastygł bez ruchu, śledząc grę cieni na ekranie. – Kończyny – powiedział cicho. – Jedna tu, druga tu. Zawiązki kończyn. Ale brak klatki piersiowej... – Powoli się wyprostował i nałożył okulary. – To nie płód. To guz.

– Na pewno? – spytała Toby.

– To bryła tkanki. Prymitywne zgrupowania ogłupiałych komórek, które utworzyły jeden ząb, może trochę włosów. Nie ma serca, nie ma płuc...

– Ale jest łożysko.

– Tak. Organizm „myśli”, że jest w ciąży, więc żywi guz i konsekwentnie zwiększa jego masę. Przypuszczam, że to rodzaj potworniaka. Potworniaki są w stanie wytwarzać przeróżne struktury – od zębów poczynając, na gruczołach hormonalnych kończąc.

– Więc to nie jest deformacja wrodzona.

– Nie. To tylko zbitka zdeorganizowanych komórek. Kawał mięsa.

Powinno się to usunąć najszybciej jak... – Nagle urwał i wbił wzrok w monitor. – Niech pan cofnie! Szybko! – warknął na technika.

– Co się stało?

– Niech pan cofnie film!

Ekran przygasł, by po chwili znów się rozjarzyć.

– Niemożliwe... – szepnął Sibley.

– Co?

– To się poruszyło. – Spojrzał na technika. – Uciskał pan jej brzuch?

– Nie.

– Niech pan spojrzy. Tu, na ten cień. Widzi pan, jak zmienia położenie?

– Brzucha na pewno nie uciskałem...

– W takim razie pacjentka musiała się poruszyć. Guzy nie zmieniają położenia.

– To nie jest guz – powiedział Dvorak.

Odwrócili się. Stał za Toby. Wszedł do pokoju bezszelestnie, tak że nawet go nie zauważyli. Nie odrywając wzroku od ekranu, powoli zbliżył się do monitora.

– To się porusza. To ma ręce. Oko. I ząb. Może nawet myśli...

– Absurd – prychnął Sibley. – Skąd pan może wiedzieć?

– Ponieważ przed chwilą coś takiego widziałem. – Spojrzał na nich oszołomiony. – Muszę zatelefonować.

W pokoju Molly błyskało czerwone światełko pompy infuzyjnej, milcząco potwierdzając, że do żył pacjentki sączy się lekarstwo. Zamknęły się drzwi. Toby usiadła na krześle przy łóżku i wsłuchała się w oddech dziewczyny. Światełko mrugało w hipnotyzującym rytmie. Toby rozluźniła ręce i nogi i po raz pierwszy tego dnia dała się ponieść myślom. Przed chwilą dzwoniła do Springer Hospital, żeby sprawdzić, co z matką. Nie było żadnych zmian. W tym samym momencie w innym łóżku i w innym szpitalu spała Ellen. W jej pokoju też pulsowało czerwone światełko. Tak samo jak tu. Jak w ciemnym pokoju Molly.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, kiedy wróci Dvorak. Chciała mu powiedzieć o Jane Nolan, ale wyraźnie nie miał ochoty z nią rozmawiać. Poza tym ciągle im coś przeszkadzało. Atak Molly. Jego pager. W końcu wyszedł, by spotkać się z kimś w holu.

Usiadła wygodniej i postanowiła się zdrzemnąć, gdy niespodziewanie z mroku dobiegł ją głos Molly.

– Zimno mi.

- Myślałam, że śpisz.
- Nie. Leżę. Myślę.
- Poszukam koca. Mogę zapalić światło?
- Tak.

Toby dotknęła włącznika i dziewczyna wzdrygnęła się, porażona nagłym blaskiem. Ciemny guz na jej czole kontrastował z bladością reszty twarzy. Pozlepiane włosy rozrzucone na poduszce wyglądały jak brudne zacieki.

Toby wyjęła z szafy koc, przykryła nim dziewczynę, zgasiła światło i usiadła na krześle.

- Dziękuję – szepnęła Molly.
- Dzieliły ciemność w milczeniu, cisza uspokajała je i działała kojąco.
- Moje dziecko nie jest normalne, prawda?

Toby zawahała się, ale doszła do wniosku, że musi powiedzieć jej prawdę, że tak będzie najlepiej.

- Tak, Molly. Nie jest normalne.
- Jak wygląda?

– Trudno powiedzieć. Ultrasonograf to nie aparat fotograficzny, niełatwo opisać te obrazy.

Molly rozważała jej słowa w milczeniu. Toby wzięła się w garść. Oczekiwała następnych pytań i nie wiedziała, czy i jak dalece powinna uplastyczniać szczegóły. Twoje dziecko nie jest człowiekiem. Nie ma serca, nie ma płuc, nie ma klatki piersiowej. Jest przerażającą gulą splątanych mięśni i ma jeden ząb. Ku jej uldze Molly nie drażyła tematu. Może bała się prawdy. Może lękała się myśleć o potworze rozrastającym się w jej łonie.

– Molly, rozmawiałam z doktorem Dvorakiem. Doktor Dvorak mówi, że znałaś tę kobietę, która urodziła nienormalne dziecko.

- To Annie.
- Tak miała na imię?

– Tak. – Molly westchnęła. Toby nie widziała jej twarzy, lecz w westchnieniu tym usłyszała głębokie znużenie, wyczerpanie nie tylko fizyczne.

Skupiła wzrok na niewyraźnym cieniu u wezglowia. Stopniowo przywykła do ciemności, po chwili dostrzegła błysk oczu Molly.

– Doktor Dvorak martwi się, że ty i Annie mogłyście ulec zatruciu tą samą toksyną, która zniekształciła płód. Czy to możliwe?

- Co to jest toksyna?
- Trucizna. Może to być narkotyk. Brałyście coś? Jakieś proszki? A

może robiłyście sobie zastrzyki?

- Brałam tylko te pigułki z buteleczki. Te od Romy'ego.
- Czy Romy dawał ci coś jeszcze? No wiesz, coś nielegalnego?
- Nie. Ja nie ćpam. I nigdy nie widziałam, żeby Annie ćpała.
- Dobrze ją znałaś?
- Nie. Przygarnęła mnie tylko na parę tygodni.
- Mieszkałaś u niej tylko parę tygodni?
- Nie miałam gdzie spać. – Zawiedziona Toby westchnęła.
- W takim razie nic mi nie powiesz...
- To znaczy?

– Płód uległ deformacji w bardzo wczesnej fazie ciąży. Podczas pierwszych trzech miesięcy.

- Wtedy jej jeszcze nie znałam.
- Kiedy stwierdziłaś, że jesteś w ciąży?
- Latem. Zaczęłam wymiotować.
- Poszłaś do lekarza?

Molly nie odpowiedziała od razu. Biały koc poruszył się lekko, jakby zadrżała.

- Nie.
- Ale wiedziałaś, że jesteś w ciąży?

– Domyśliłam się. Po jakimś czasie to było oczywiste. Romy powiedział, że się tym zajmie.

- Jak to?

– Że załatwi mi skrobankę. Ale później pomyślałam sobie, że fajnie by było to dziecko przytulić. Bawić się z nim. Nauczyć je mówić „mama”... – Zaszleściło prześcieradło i Molly pogładziła się po brzuchu, pieszcząc swoje dziecko.

Tyle tylko, że to nie było dziecko.

- Molly? Kto jest jego ojcem?

Dziewczyna znowu westchnęła, z jeszcze większym znużeniem niż poprzednio.

- Nie wiem.

- Może twój przyjaciel Romy?

- On nie jest moim przyjacielem. To mój alfons.

Toby nie odpowiedziała.

– Przecież pani wie, kim jestem. Co robię. Co dotąd robiłam... – Odwróciła się do niej plecami. Toby miała wrażenie, że jej głos, cichy i stłumiony, dochodzi ze znacznej odległości. – Można do tego przywyknąć. Z czasem przestaje się o tym myśleć. Nie można o tym myśleć. Tak, z

czasem umysł się z tego wyłącza. Ucieka. A wtedy to, co dzieje się między nogami, nie dotyczy ciebie, tylko kogoś innego... – Roześmiała się pogardliwie. – To bardzo ciekawe życie.

– Ale niezdrowe.

– Fakt.

– Ile masz lat?

– Szesnaście. Skończyłam szesnaście.

– Pochodzisz z południa, prawda?

– Tak.

– Jak trafiłaś do Bostonu? To kawał drogi.

Znowu długie westchnienie.

– Romy mnie tu ściągnął. Był w Beaufort, u przyjaciół. Miał w sobie coś takiego, że... Te czarne oczy... Nigdy w życiu nie widziałam, żeby biały chłopak miał takie czarne oczy. I był taki miły... – Odchrząknęła. Prześcieradło zaszeleściło i Molly wytarła ręką oczy. Zadrżała rurka kroplówki, srebrzysta w mroku nad łóżkiem.

– A kiedy przyjechałaś do Bostonu, przestał być dla ciebie miły.

– Tak, przestał.

– Dlaczego nie wróciłaś do domu? Przecież zawsze możesz wrócić do Beufort.

Molly milczała i tylko po drzeniu koca Toby poznała, że dziewczyna szlocha. Szlochała bezgłośnie, jakby zamknęła cały smutek w dźwiękoszczelnym słoju, żeby płaczu nie słyszał nikt oprócz niej.

– Mogę ci pomóc. Jeśli potrzebujesz pieniędzy na bilet...

– Nie mogę – odrzekła ledwo słyszalnym szeptem i zwinęła się w ciasny kłębek.

Toby usłyszała cichutkie skamlenie: zamknięty w słoju smutek znalazł w końcu ujście.

– Nie mogę, nie mogę...

– Molly...

– Oni mnie nie chcą, nie chcą, żebym wróciła.

Toby dotknęła jej i prawie namacalnie poczuła ból sączący się przez koc. Ktoś zapukał, otworzyły się drzwi. Dvorak.

– Toby, możemy porozmawiać?

– W tej chwili?

– Chyba powinnaś tego posłuchać. – Spojrzał z wahaniem na dziewczynę. – Chodzi o wyniki USG.

– Zaraz wracam, Molly – szepnęła Toby.

Wyszła na korytarz, Dvorak zamknął drzwi.

– Powiedziała coś?

– Nic, co by nas oświeciło.

– Potem spróbuję z nią porozmawiać.

– Nic z niej nie wyciągniesz. Ona nie ufa mężczyznom, z oczywistych powodów. Poza tym deformacja płodu może być wynikiem zbyt wielu czynników. Molly ci ich nie wskaże.

– To coś więcej niż deformacja płodu.

– Skąd wiesz?

Wskazał małą salę konferencyjną na końcu korytarza.

– Chciałbym, żebyś kogoś poznała. Ona wyjaśni to lepiej niż ja.

Powiedział „ona”, ale po wejściu do sali Toby stwierdziła, że osobnik siedzący przed monitorem, tyłem do drzwi, wygląda bardziej jak mężczyzna niż kobieta. Miał stalowoszare, krótko ostrzyżone włosy, jego szerokie bary z trudem mieściły się w obszernej, bawełnianej, brązowej koszulce, nad kanciastą głową unosił się kłęb papierosowego dymu. Na ekranie klatka po klatce przesuwiał się film z badania ultrasonograficznego Molly Picker.

– Myślałem, że rzuciłaś palenie – rzekł Dvorak. Osobnik odwrócił głowę i dopiero wtedy Toby przekonała się, że to rzeczywiście kobieta. Miała sześćdziesiąt parę lat, niebieskie oczy o jasnym, zaskakująco bezpośrednim spojrzeniu i twarz bez cienia makijażu. Kopcący papieros tkwił w cygarnicze z kości słoniowej, którą gestykulowała z niewymuszonym wdziękiem i elegancją.

– To mój jedyny nałóg, Dan – odparła. – I nie zamierzam z niego rezygnować.

– Aha. Rozumiem, że szkocka się nie liczy.

– Szkocka to nie nałóg. Szkocka to balsam. – Kobieta uważnie spojrzała na Toby i uniosła brew.

– To jest doktor Toby Harper – powiedział Dvorak. – A to doktor Alexandra Marx. Doktor Marx jest genetykiem, pracuje na Uniwersytecie Bostońskim. Była moim profesorem na medycynie...

– Całe wieki temu – dokończyła za niego doktor Marx i uścisnęła Toby rękę. W przypadku innej kobiety ów gest wypadłby nienaturalnie, lecz do Alexandry Marx pasował znakomicie. – Oglądałam USG tej dziewczyny. Co pani o niej wie?

– Przed chwilą z nią rozmawiałam. Ma szesnaście lat. Jest prostytutką. Nie wie, kto jest ojcem dziecka. I zaprzecza, by kiedykolwiek miała do czynienia z substancjami toksycznymi. Jedynym lekarstwem, jakie przyjmowała, są te pigułki w buteleczce.

– Rozmawiałem ze szpitalnym farmaceutą – wtrącił Dvorak. – Zidentyfikował je po kodzie odcisniętym na tabletkach. To prochloroperazyna. Przepisuje się ją przy mdłościach. Nie ma dowodów na to, że może być przyczyną deformacji płodu. Tabletki odpadają.

– Jakim cudem alfons zdobył lekarstwo na receptę? – spytała Toby.

– Na ulicy można dzisiaj kupić wszystko, czego dusza zapagnie. Może brała coś jeszcze, tylko nie chce ci powiedzieć?

– Nie, ja jej wierzę.

– Który to miesiąc?

– Dokładnie nie pamięta. Piąty, może szósty.

– A więc widzimy tu płód w drugim trymestrze. – Doktor Marx odwróciła się do monitora. – To jest łożysko. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. To jest płyn owodniowy. A tu? To chyba pępowina. – Pochyliła się, uważnie analizując migotliwy obraz. – Myślę, że masz rację, Dan. To nie jest guz.

– Zniekształcony płód? – spytała Toby.

– Nie.

– W takim razie co?

– Coś pośredniego pomiędzy guzem a płodem? Przecież to niemożliwe. Doktor Marx zaciągnęła się papierosem i wypuściła kłęb dymu.

– Żyjemy w nowym wspaniałym świecie moja droga.

– Mamy tylko to USG, kłębowisko szarych plam. Doktor Sibley, radiolog, twierdzi, że to guz.

– Doktor Sibley nigdy czegoś takiego nie widział.

– A pani widziała?

– Proszę spytać Daniela.

Toby przeniosła wzrok na Dvoraka.

– O co tu chodzi?

– Raczej o kogo – odpowiedział. – Chodzi o kobietę, która zmarła przy porodzie. Nazywała się Annie Parini. Doktor Marx przebadła genetycznie jej płód.

– Przeprowadziliśmy tylko analizę wstępną – wyjaśniła pani profesor. – Pobraliśmy próbki tkanek i sporządziliśmy preparaty mikroskopowe. Kompletne badania DNA potrwają wiele miesięcy. Ale na podstawie samej histologii tego... tworzyłam kilka teorii. Proszę spocząć, pani doktor. Porozmawiamy o muszkach owocowych.

Do czego ona zmierza? – pomyślała Toby, sadowiając się na krześle. Dvorak też usiadł. Doktor Marx zajęła miejsce u szczytu stołu i obrzuciła ich spojrzeniem surowej egzaminatorki dwojga poprawkowiczów.

– Słyszała pani o badaniach prowadzonych na uniwersytecie w Bazylei? O doświadczeniach na *Drosophila melanogaster*, czyli na pospolitej muszce owocowej?

– Które badania ma pani na myśli? – spytała Toby.

– Badania nad dodatkowymi oczami. Naukowcy zidentyfikowali gen wiodący, który uruchamia kaskadę dwóch i pół tysiąca genów niezbędnych do powstania muszkiego oka. Nazwali ten gen „ślepcem”, bo jeśli go zabraknie, mucha rodzi się bez oczu. Szwajcarzy zdołali uaktywnić „ślepcę” w różnych częściach embrionu. Osiągnęli fascynujące rezultaty. Oczy występowały w najdziwniejszych miejscach. Na skrzydłach, na kolanach, na czułkach. Na jednej muszce pojawiło się czternaście oczu! A wszystko dzięki umiejętnej stymulacji zaledwie jednego genu. – Zgasiła papierosa i natychmiast umieściła w cygarnicze kolejnego.

– Nie widzę związku – powiedziała Toby.

– Zaraz do tego dojdziemy. – Doktor Marx pstryknęła zapalniczką, zaciągnęła się dymem i westchnęła, wyraźnie ukontentowana. – Tymczasem przeskoczmy granice międzygatunkowe i zajmijmy się myszkami.

– Nadal nie widzę związku.

– Próbuję zacząć od podstaw, moja droga. Nie jesteście biologami, pewnie nie zdajecie sobie sprawy, jak wielkie postępy poczyniła nauka, odkąd skończyliście medycynę.

– To prawda – przyznała Toby. – Z trudem nadążamy za nowościami w naszej dziedzinie.

– Zaraz to nadrobicie. Przynajmniej częściowo. – Doktor Marx strzepnęła popiół z papierosa. – Zaczęłam mówić o myszach. Chodziło mi głównie o przysadkę mózgową, bez której mysz noworodek prawie natychmiast ginie. Nie bez powodu nazywają ją gruczołem nadrzędnym. Hormony, które wytwarza, regulują niemal wszystkie czynności organizmu, od jego wzrostu i reprodukcji aż po temperaturę ciała. Przysadka wytwarza też hormony, których funkcji jeszcze nie rozumiemy, ba, nawet ich jeszcze nie odkryliśmy. Mysz urodzona bez przysadki mózgowej zdycha w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili przyjścia na świat – oto jak ważny jest ten gruczoł.

I tu wkracza nauka. W Państwowym Instytucie Zdrowia w Bethesda prowadzi się badania nad rozwojem przysadki mózgowej w embrionach. Naukowcy wiedzą już, że różnorodne komórki, które ją tworzą, powstają z pojedynczego zawiązku: z komórek prekursorowych. Ale co skłania

komórki prekursorowe do wytworzenia gruczołu przysadki?

Znowu popatrzyła na nich jak na studentów, którzy zdają egzamin poprawkowy.

– Jakiś gen? – rzuciła Toby.

– Naturalnie. Wszystko sprowadza się do DNA. Do budulca życia.

– Który gen? – spytał Dvorak.

– U myszy jest to Lhx3. Homeostatyczny gen LIM.

Dvorak parsknął śmiechem.

– No to już wszystko wiem.

– Nie oczekuję, że zrozumiecie szczegóły, Dan. Chcę tylko, żebyście pojęli ogólną zasadę, która mówi, że geny kontrolujące każą komórkom prekursorowym rozwijać się w określony sposób. Jeden gen kontrolujący kieruje budową oka, inny – kończyny, jeszcze inny rozwojem przysadki mózgowej.

– No dobrze – odparł Dvorak. – Tyle jesteśmy w stanie zrozumieć. Chyba.

Doktor Marx uśmiechnęła się.

– W takim razie następne zadanie nie sprawi wam trudności. Chcę, żebyście skojarzyli badania Szwajcarów i badania nad przysadką mózgową myszy. Gen kontrolujący, który zmusza komórki prekursorowe do budowy przysadki, i muszkę owocową z czternastoma oczami. – Spojrzała na Toby, potem na Dvoraka. – Rozumiecie już, do czego zmierzam?

– Nie – przyznała Toby.

– Nie – zawtórował jej nieomal jednocześnie Dvorak.

Doktor Marx westchnęła.

– No dobrze, w takim razie opowiem wam po prostu, co wykryłam w trakcie naszych badań. Zrobiłam sekcję okazu dostarczonego mi przez Daniela. Daniel myślał, że to zdeformowany płód. Ja też nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam, choć miałam do czynienia z tysiącami przypadków deformacji wrodzonych. Genotyp człowieka składa się ze stu tysięcy genów. To, co przyniósł mi Daniel, ma tylko fragment normalnego genotypu, w dodatku fragment bardzo niespójny. Cały genotyp musiała dotknąć jakaś katastrofa. Rezultat? Przypomina to obłąkany eksperyment, jakby ktoś rozebrał płód na części i złożył go z powrotem bez ładu i składu. Ręce, zęby, mózg – wszystko zbite w jedną gulę mięsa.

Toby zemdliło. Zerknęła na Dvoraka i spostrzegła, że pobladł. Obraz odmalowany przez doktor Marx przyprawił o mdłości ich oboje.

– Taki płód by nie przeżył, prawda? – spytała Toby.

– Oczywiście, że nie. Jego komórki żyły tylko dzięki temu, że odżywiała je krew łożyskowa. Organizm matki był dla niego żywicielem. Ten twór to pasożyt. No, ale z drugiej strony: wszystkie płody są pasożytami.

– Nigdy dotąd tak o tym nie myślałam – mruknęła Toby.

– Ależ tak, moja droga, to pasożyty. Matka jest nosicielem. Płucami natlenia ich krew. Jej pożywienie dostarcza im glukozy i protein. Nasz pasożyt mógł żyć tylko w jej łonie, podłączony do jej układu krążenia. Gdy go wydalila, komórki natychmiast zaczęły obumierać. – Doktor Marx uniosła głowę, goniąc spojrzeniem kółko dymu żeglujące pod sufit. – Nie, nie jest to organizm zdolny do samodzielnego życia, to wykluczone.

– Skoro to nie płód, jak by to pani nazwała?

– Nie jestem pewna. Spreparowaliśmy przekroje różnorodnej tkanki. Zabarwiliśmy je i zbadaliśmy, ja i mój patolog. Oboje zgadzamy się co do jednego: we wszystkich preparatach pojawiają się liczne skupiska tego samego rodzaju tkanki. Tak, naturalnie, inne tkanki też tam są, mięśniowa, chrzęstna, jest nawet oko, ale te występują chaotycznie. Zorganizowane i wyraźnie zróżnicowane są tylko powtarzające się skupiska tkanki gruczołowej, której jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Skupiska identyczne, przypuszczalnie w połowie fazy rozwojowej. – Myślała chwilę. – Krótko mówiąc, to, co dostarczył mi Daniel, wygląda na wytwórnię tkanek.

Dvorak pokręcił głową.

– Przepraszam, ale to brzmi dość absurdalnie.

– Ależ czemu? W warunkach laboratoryjnych już tego próbowano. Możemy sprawić, że muszce wyrosną oczy na skrzydłach! Możemy uaktywniać i dezaktywować gen sterujący funkcjonowaniem przysadki mózgowej! Jeśli da się to zrobić w laboratorium, tym łatwiej uczyni to natura. Komórki ludzkiego embrionu w organizmie tej dziewczyny zaczęły powielać ten sam gen, skutkiem czego płód nie potrafił się odpowiednio zróżnicować. Nie ma nóg, nie ma klatki piersiowej. Zamiast tego występują te specyficzne skupiska komórkowe.

– Jaki czynnik mógłby to spowodować? – spytała Toby.

– W naturze? Coś katastrofalnego. Teratogen, którego jeszcze nie znamy.

– Ale Molly twierdzi, że nie brała żadnych lekarstw ani narkotyków. Kilkakrotnie ją o to pytałam... – Toby urwała i spojrzała w stronę drzwi.

Ktoś krzyczał.

– To Molly! – Zerwała się na równe nogi, wybiegła z sali i popędziła korytarzem. Dvorak deptał jej po piętach. Kiedy wpadli do pokoju Molly,

przy łóżku stała już pielęgniarka, która próbowała dziewczynę uspokoić.

– Co się stało? – wydyszała Toby.

– Mówi, że ktoś tu był – odrzekła pielęgniarka.

– Stał przy łóżku! – szlochała Molly. – Wie, że tu jestem, śledził mnie...

– Kto?

– Romy.

– Światło było zgaszone, mogło się pani coś przyśnić – zauważyła spokojnie pielęgniarka.

– Mówił do mnie!

– Nikogo nie widziałam, a moje biurko jest zaraz za rogiem...

W korytarzu trzasnęły drzwi, zadudniło echo. Do pokoju zajrzała doktor Marx.

– Przed chwilą widziałam jakiegoś mężczyznę. Wybiegł na klatkę schodową.

– Niech pani zawiadomi straż – polecił Dvorak pielęgniarence. – Niech sprawdzą dolne piętra!

I wybiegł z sali.

Toby puściła się za nim.

– Dan, dokąd?!

Dvorak pchnął drzwi na klatkę schodową.

– Niech zajmą się tym ochroniarze! – Wyszła za nim i przystanąła na schodach.

Gdzieś w dole słyszała jego kroki.

Ruszyła. Z początku szła ostrożnie, potem, coraz bardziej zdeterminowana, przyspieszyła. Rozzłościł ją ten bezsensowny i nierozważny pościg, była też wściekła na Romy'ego – jeśli to naprawdę był on – za to, że śmiał nachodzić Molly w szpitalu. Jak ją znalazł? Śledził ich, gdy wychodzili od Dvoraka?

Przyspieszyła jeszcze bardziej. Gdy znalazła się na podeście pierwszego piętra, usłyszała trzask, najpierw jeden, potem drugi: ktoś otworzył i zamknął drzwi.

– Dan! – wrzasnęła. Odpowiedziała jej cisza. Wreszcie zbiegła na parter. Pchnęła drzwi i wypadła na ulicę, tuż obok podjazdu do izby przyjęć. Asfalt lśnił w deszczu. Wiatr dmuchnął jej w twarz, niosąc zapach mokrego chodnika. Zmrużyła oczy.

Z drobnej mżawki wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Dvorak. Przystanął pod latarnią, spojrział w lewo, potem w prawo.

Podbiegła do niego.

– Dokąd uciekł?

– Mignął mi na schodach. Zgubiłem go, gdy znalazł się na ulicy.

– Jesteś pewny, że nie został w szpitalu?

– Wybiegł na ulicę, musi tu gdzieś być. – Dvorak ruszył w stronę szpitalnej siłowni.

Nagle usłyszeli przeraźliwy pisk opon.

Z ciemności wyjechała furgonetka. Pędziła prosto na nich.

Toby zamarła.

Dvorak błyskawicznie zawrócił i odepchnął ją mocno na bok, tak że Toby potoczyła się po asfalcie.

Furgonetka śmignęła z rykiem przy samym krawężniku. Jej tylne światła rozmyły się w mroku na Albany Street.

Nim zdążyła wstać, Dvorak już był przy niej. Chwycił ją za rękę i pomógł dojść do chodnika. Dopiero teraz zaczęła odczuwać ból, najpierw pulsujące klucie w kolanach, potem pieczenie skóry otartej do krwi. Przystanęli pod latarnią, oboje zbyt wstrząśnięci, żeby cokolwiek mówić.

– Przepraszam, że tak mocno cię pchnąłem – wysapał po chwili Dvorak. – Jesteś cała?

– Tak. Potłukłam się trochę, i tyle. – Spojrzała w mrok. – Zapamiętałeś numery rejestracyjne?

– Nie. Kierowcy też nie widziałem. Wszystko działało się tak szybko... Patrzyłem na ciebie, chciałem cię odepchnąć.

Na podjazd wjechała karetka na sygnale. Gdzieś daleko zawodziła syrena innej.

– W izbie będzie tłok – skonstatował. – Chodźmy do mnie. Mam w biurze apteczkę. Trzeba ci przemyć i opatrzyć kolana.

Wziął ją pod rękę i u jego boku pokuśtykała przez ulicę. Ból nasilał się z każdym krokiem, tak że zanim doszli do biura, ogarnął ją lęk przed niemiłym pieczeniem środka dezynfekcyjnego.

Dvorak odsunął na bok papiery i posadził ją na biurku, obok fotografii swojego syna z rybą. Z podręcznej apteczki buchnął zapach spirytusu i jodiny. Dvorak przykucnął, nasączył wacik wodą utlenioną i zaczął delikatnie przemywać otarcie.

Toby syknęła z bólu.

Podniósł głowę.

– Przepraszam. Musi boleć, nie da się inaczej.

– Jestem okropnym mięczakiem – mruknęła, zaciskając ręce na krawędzi blatu. – Po prostu zrób to i już.

Jedną rękę oparł na jej udzie, drugą ostrożnie i w skupieniu zmywał z kolan zabrudzenia i piasek. Toby patrzyła na jego głowę, na ciemne włosy,

które były tak blisko, że mogła zmierzić je dłonią. Na skórze czuła jego ciepły oddech. Wreszcie mam go tylko dla siebie, pomyślała. Nic go nie goni, nic go nie rozprasza. To jedyna okazja, żeby z nim spokojnie porozmawiać. Żeby go przekonać.

– Myślisz, że to ja otrułam matkę, prawda? Dlatego nie chcesz ze mną rozmawiać. Dlatego nie odbierasz moich telefonów.

Nie odpowiedział. Sięgnął po następny wacik.

– Ktoś mnie wrabia, Dan. Ktoś posłużył się moją matką, by się na mnie odegrać. A ty im pomagasz, nie chcąc mnie nawet wysłuchać.

– Już cię wysłuchałem, Toby.

Skończył obmywanie otarć, wyjął z apteczki plaster i gazę i zaczął zakładać opatrunek.

– W takim razie dlaczego mi nie wierzysz?

– Uważam, że powinnaś porozmawiać z adwokatem. Opowiedz mu wszystko, wszystko, co wiesz. Niech pogada z Alprenem.

– Nie ufam Alprenowi.

Spojrzał na nią.

– Myślisz, że mnie można zaufać?

– Nie wiem! – Oklapła niczym przekłuty balon, opuściła ramiona, uświadamiając sobie, że to beznadziejne, że jej sprawa zupełnie Dvoraka nie obchodzi. – Rozmawiałam z Alprenem dziś po południu. Powiedziałam mu to samo co tobie. Że ci z Brant Hill próbują się na mnie zemścić. Że chcą mnie zniszczyć.

– Niby dlaczego?

– Bo ich wystraszyłam, nie wiem czym. Musiałam zrobić albo powiedzieć coś, czym poczuli się zagrożeni.

– Powinnaś przestać zwać na nich winę za swoje niepowodzenia.

– Ale teraz mam dowód.

Pokręcił głową.

– Toby, naprawdę chcę ci wierzyć, ale nie widzę żadnego związku między Brant Hill i stanem twojej matki.

– No to wysłuchaj mnie. Proszę.

Zatrzasnął apteczkę.

– Dobrze, już dobrze. Słucham.

– Kobieta, którą zaangażowałam do opieki nad matką, nie jest osobą, za którą się podaje. Dzisiaj rozmawiałam z kimś, kto dwa lata temu pracował z Jane Nolan. Z prawdziwą Jane Nolan.

– A ta, którą wynajęłaś, jest...

– Podstawiona. Jane Nolan i ona to dwie różne osoby.

Dvorak milczał. Zamknął się w sobie i z uporem wbijał wzrok w apteczkę.

– Widziałam jej zdjęcie, Dan. Prawdziwa Jane Nolan ma pięćdziesiąt kilogramów nadwagi i nie jest kobietą, którą zatrudniłam.

– Mogła schudnąć. Czy to takie nieprawdopodobne?

– Poczekaj, na tym nie koniec. Przed dwoma laty prawdziwa Jane Nolan pracowała w domu opieki należącym do zrzeszenia Orcutt Health. Dowiedziałam się właśnie, że Orcutt Health to jedynie przykrywka, że całe zrzeszenie należy do Brant Hill. Jeśli była pracownicą Brant Hill, musieli mieć jej akta, musieli wiedzieć, że wyjechała z Massachusetts, toteż spokojnie podsunęli mi inną kobietę. Kobietę z referencjami prawdziwej Jane Nolan. Gdybym nie zobaczyła tego zdjęcia, nigdy nie dowiedziałabym się prawdy.

Dvorak wciąż milczał, ale teraz patrzył na nią, nie na apteczkę. Nareszcie mnie słucha. Nareszcie patrzy na to z mojego punktu widzenia.

– Mówiłaś o tym Alprenowi?

– Tak. Powiedziałam mu, że musi tylko porozmawiać z prawdziwą Jane Nolan. Sęk w tym, że nikt nie wie, gdzie ona mieszka i jak się nazywa po mężu. Próbowałam to sprawdzić, ale nie dowiedziałam się nawet, czy w dalszym ciągu przebywa w kraju. Ci z Brant Hill specjalnie wybrali kogoś, kogo trudno będzie odszukać, a nawet ustalić, czy ten ktoś jeszcze żyje.

– Byłaś w ubezpieczalni?

– Podsunęłam to Alprenowi. Ale jeśli Jane nie pracuje, odszukanie jej obecnego adresu może trwać tygodniami. Nie wiem, czy Alprenowi będzie się chciało. I tak mi nie wierzy...

Dvorak stał, patrząc na nią w taki sposób, jakby dopiero teraz ją zobaczył, jakby dopiero teraz tak naprawdę ją dostrzegł. Kiwnął głową.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale dobrze, rozmawiam z nim.

– Dziękuję ci, Dan. – Całe napięcie uszło z niej wraz z głośnym westchnieniem. – Dziękuję.

Podał jej rękę. Wsparta na jego ramieniu, zsunęła się z biurka i lekko zachwiała. Podtrzymał ją, a ona uniosła głowę.

Spotkali się oczyma. To wystarczyło. Dotknął dłonią jej twarzy, przesunął palcami po policzku, a w jego oczach dostrzegła to samo pragnienie, które odczuwała.

Pierwszy pocałunek był krótki i przelotny, ot, ledwie muśnięcie warg. Dvorak objął ją, przytulił, a gdy ich usta znów się zetknęły, zamruczała z rozkoszy, zatoczyła się i zawadziła biodrem o biurko. Całował ją,

pomrukując tak samo jak ona, wreszcie odchyliła się do tyłu, na blat, i pociągnęła go za sobą. Papiery rozsypały się na wszystkie strony. Objął dłońmi jej twarz, przywarł ustami do jej ust, rozchylił językiem wargi. Chciała go objąć i straciła coś z biurka...

Rozprysnęło się szkło.

Oboje drgnęli i popatrzyli sobie w oczy, dysząc szybko i ciężko. I oboje się zaczerwienili. Dvorak wstał i pomógł jej podnieść się z biurka.

Na podłodze leżało zdjęcie jego syna.

– O Boże... – jęknęła Toby. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Wystarczy zmienić ramkę. – Przykucnął, zebrał rozbite szkło, wrzucił je do kosza na śmieci i wstał. Wciąż był zaczerwieniony.

– Toby, ja... Nie zamierzałem...

– Ja też nie.

– Ale wcale tego nie żałuję.

– Nie?

Milczał chwilę, jakby się nad tym zastanawiał.

– Nie – potwierdził stanowczo. – Wcale.

Z uśmiechem dotknęła ustami jego ust.

– Wiesz co? – szepnęła. – Ja też nie.

Wracając do szpitala, trzymali się za ręce. Toby szła jak we śnie. Zapomniała o siniakach i otarciach, a całą uwagę skupiła na mężczyźnie, który ścisnął jej dłoń. W windzie znowu się pocałowali, całowali się też w momencie, gdy rozsunięły się drzwi.

Przed windą przebiegła pielęgniarka, pchając wózek reanimacyjny.

Co znowu? – pomyślała Toby.

Pielęgniarka skręciła za róg i zniknęła w sąsiednim korytarzu.

„Pokój trzysta jednaście – zaskrzeczało w głośnikach. – Reanimacja w toku”.

Dvorak i Toby wymienili niespokojne spojrzenia.

– Czy to nie pokój Molly? – spytała Toby.

– Nie pamiętam...

Dvorak puścił się biegiem za pielęgniarką z wózkiem. Toby, z opatrunkami na kolanach, nie mogła za nim nadążyć. Przystanął w drzwiach jednego z pokojów.

– To nie ona – powiedział, gdy do niego dotarła. – Molly leży w sąsiednim.

Toby zajrzała do środka.

Doktor Marx robiła masaż serca. Lekarz dyżurny rzucał polecenia.

Pielegniarka gorączkowo szperała w szufladach wózka. Pacjent ginął w tłumku ratujących go ludzi. Spod prześcieradła sterczała tylko noga chorego. Żyłasta, anonimowa, bezpłciowa.

– Nie jesteście tu potrzebni – mruknął Dvorak.

Skinęła głową, podeszła do drzwi pokoju Molly, cicho zapukała i przekręciła klamkę.

W środku paliło się światło. Łóżko było puste.

Błyskawicznie spojrzała w stronę łazienki. W łazience też nie było nikogo. Przeniosła wzrok z powrotem na łóżko i nagle zdała sobie sprawę, że stojak na kroplówkę wciąż tam jest, że zwisa z niego rurka zakończona wenflonem. Na podłodze zebrała się niewielka kałuża glukozy i wody.

– Gdzie ona jest? – spytał Dvorak.

Otworzyła szafę. Ubranie Molly zniknęło.

Toby wybiegła na korytarz i zajrzała do trzysta jedenastki, gdzie trwała reanimacja.

– Molly Picker uciekła ze szpitala!

Pielegniarka oddziałowa zerknęła na nią przytłoczona nawalem pracy.

– Nie mogę stąd wyjść! Niech pani zawiadomi straż!

Dvorak wyciągnął Toby za próg.

– Sprawdźmy w holu. Pobiegli do windy.

Na dole natknęli się na strażnika pilnującego wejścia.

– Szukamy pacjentki – powiedział Dvorak. – Szesnaście lat, długie, ciemne włosy. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Widział ją pan?

– Wyszła parę minut temu.

– W którą stronę poszła?

– Nie wiem. Nie patrzyłem, dokąd idzie.

Toby wybiegła na dwór. Deszcz chlasnął ją w twarz. Mokry chodnik ciągnął się jak lśniąca wstęga.

– Minęło ledwie kilka minut, daleko nie zaszła – rzucił Dvorak.

– Weźmy mój wóz. Mam telefon.

Objechali kilka ulic, lecz nigdzie jej nie dostrzegli. Lustrowali chodniki w milczeniu, przerywanym jedynie popiskiwaniami wycieraczek.

Kiedy robili drugie kółko tą samą trasą, Dvorak powiedział:

– Trzeba zawiadomić policję.

– Wystraszy się. Zobaczy policjanta i ucieknie.

– Ona już uciekła.

– Dziwi cię to? Boi się tego alfonsa, Romy'ego. W szpitalu była jak na widelcu.

– Policja dałaby jej ochronę.

– Ona im nie ufa, Dan.

Objechawszy szpital jeszcze raz, postanowili rozszerzyć krąg poszukiwań: skręcili w Harrison Street i ruszyli na północny wschód. Jeśli dziewczyna chciała ukryć się w tłumie, na pewno poszła w tym kierunku: do Chinatown.

Dwadzieścia minut później Toby zjechała do krawężnika.

– Nic z tego. Ona nie chce, żeby ktoś ją znalazł.

– Pora zadzwonić na policję – orzekł Dvorak.

– Żeby ją aresztowali?

– Chyba zgodzisz się ze mną, że sama sobie zagraża, prawda?

Po namyśle Toby kiwnęła głową.

– Z takim ciśnieniem krwi może dostać kolejnego ataku. Albo wylewu.

– To wystarczy – Dvorak sięgnął po telefon. Podczas gdy rozmawiał, Toby patrzyła w okno, myśląc, jakim koszmarem musi być dla Molly deszcz, lodowata woda sącząca się do butów i spływająca za kołnierz. A ona? Ona siedziała wygodnie w samochodzie. Skórzane siedzenia. Szmer grzejnika wdmuchującego ciepłe powietrze.

Szesnaście lat. Przeżyłabym na ulicy w jej wieku?

W dodatku dziewczyna miała zagrażające śmiercią ciśnienie krwi, była niczym bomba z opóźnionym zapłonem. No i nosiła w łonie...

Deszcz przybrał na sile.

Rozdział dziewiętnasty

Cztery ulice dalej, w zaułku za hinduską restauracją, Molly Picker kulila się w kartonowym pudle. Raz po raz dolatywały ją kuchenne zapachy, dziwne, korzenne zapachy, których nie rozpoznawała, a które sprawiały, że ślinka napływała jej do ust. Potem wiatr zmieniał kierunek i czuła smród odpadków rozkładających się w pobliskim pojemniku.

To ją mdliło, to skręcało z głodu. Skuliła się jeszcze bardziej. Pudło nasiąkało deszczem, zaczynało rozmakać, osiadając na jej ramionach jak opończa z mokrej papki.

Otworzyły się tylne drzwi restauracji i chodnik zalała struga światła. Molly zmrużyła oczy. Na ulicę wyszedł mężczyzna w turbanie. Dźwigał dwie torby z odpadkami. Otworzył pojemnik, wrzucił torby i odczekał, aż metalowa przykrywa zatrzaśnie się z hukiem.

Molly kichnęła.

Z nagłej ciszy wywnioskowała, że mężczyzna ją usłyszał. W otworze pudła ukazała się powoli jego sylwetka i przerażająco wielka głowa. On patrzył na nią, ona na niego.

– Jestem głodna – szepnęła Molly.

Spojrzał w stronę kuchni.

– Zaczekaj – powiedział i zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił i podał jej ciepłe zawiniątko. Molly rozwinęła serwetki. W środku był chleb, pachnący i mięciutki jak puchowa poduszeczka.

– Teraz idź – powiedział bez złości w głosie. Nie, nie rozkazywał jej, zabrzmiało to raczej jak łagodna sugestia.

– Nie mam dokąd.

– Chcesz, żebym po kogoś zadzwonił?

– Nie mam nikogo.

Spojrzał w niebo. Ulewa przeszła w drobną mżawkę i jego brązowa twarz lśniła od wilgoci.

– Nie mogę cię tam zabrać. Trzy ulice dalej jest kościół. Jak jest zimno, można się tam przespać.

– Kościół? Jaki?

Wzruszył ramionami, jakby chrześcijańskie kościoły niczym się od siebie nie różniły.

– Idź tamtą ulicą. Zobaczysz.

Molly wstała, drżąc i zeszywniała od siedzenia w pudle.

– Dziękuję – wyszeptwała.

Nie odpowiedział. Nim zdążyła wyjść z zaułka, usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Znowu zaczęło lać.

Szła w kierunku, który jej wskazał, pochłaniając po drodze chleb. Nigdy w życiu nie kosztowała tak pysznego chleba; zdawało się jej, że zajada chmurkę. Kiedyś, myślała, kiedyś mu się odwdzięczę za to, że był dla mnie taki miły. Nigdy nie zapominała ludzi, którzy byli dla niej mili, w głowie miała całą listę. Sprzedawczyni ze sklepu z alkoholem, która dała jej hot doga z poprzedniego dnia. Mężczyzna w turbanie. I doktor Harper. Nie mieli najmniejszego powodu, żeby odnosić się z sympatią do Molly Picker, ale tak właśnie postąpili. Jej osobiści święci. Jej aniołowie.

Pomyślała sobie, że dobrze by było mieć kiedyś dużo pieniędzy. Włożyć do koperty plik banknotów i dać go mężczyźnie w turbanie. Pewnie będzie już stary... Do koperty dołączy karteczkę: „Dziękuję za chleb”. Oczywiście nie będzie jej pamiętał. Ale ona go nie zapomni.

Nie, ja nigdy nie zapominam.

Przystanąła, spoglądając przez deszcz na gmach po drugiej stronie ulicy. Pod wielkim białym krzyżem widniał napis: „Schronisko misyjne. Witajcie”. Nad drzwiami świeciło się światło, ciepłe i zapraszające.

Widok jaśniejącej w deszczu lampki, która wzywała do wyjścia z mroku, na chwilę ją zahipnotyzował, a kiedy zeszła z krawężnika i ruszyła w tamtą stronę, ogarnęło ją dziwne uczucie szczęścia.

– Molly?

Zamarła. Spanikowana rzuciła okiem w kierunku, skąd usłyszała głos. Był to głos kobiety, dochodził z furgonetki parkującej przy kościele.

– Molly Picker? Chcę ci pomóc.

Molly postąpiła krok do tyłu, szykując się do ucieczki.

– Chodź. Zabiorę cię tam, gdzie jest ciepło. Gdzie jest bezpiecznie. Nie wsiądziesz?

Molly pokręciła głową i zaczęła się powoli cofać. Nie spuszczała wzroku z kobiety w furgonetce, była tak skupiona, że nie usłyszała kroków za plecami.

Ręka na ustach zdławiła krzyk i odchyliła do tyłu głowę z taką siłą, że omal nie skrzyła jej karku. Molly poczuła znajomy zapach, mdłosłodki zapach płynu po goleniu. Romy.

– Zgadnij kto to, Molly Dolly – mruknął. – Uganiam się, kurwa, za tobą całe popołudnie.

Choć szarpała się i wiała, powlókł ją przez ulicę. Drzwi furgonetki rozsunęły się, czyjeś ręce wciągnęły ją do środka, cisnęły na podłogę i sprawnie skrepowały samoprzylepną taśmą.

Furgonetka ruszyła z piskiem opon. Gdy przejeżdżali pod latarnią, przed oczyma Molly mignęła kobieta siedząca tuż przy niej – niska kobieta o żywych oczach i czarnych, krótko przyciętych włosach. Położyła rękę na wydatnym brzuchu Molly i z wyraźnym ukontentowaniem cicho westchnęła, a na jej ustach zagościł trupi uśmiech.

– Wracamy – rzekł Dvorak. – Nie znajdziemy jej.

Krażyli po mieście od godziny, co najmniej dwa razy przeszukali każdą ulicę w sąsiedztwie szpitala. Teraz siedzieli w samochodzie, zbyt znużeni, żeby rozmawiać. Szyby zaparowały od ich oddechów. Deszcz przestał w końcu padać i na jezdni lśniły kałuże. Mam nadzieję, że Molly jest bezpieczna, myślała Toby. Mam nadzieję, że dotarła gdzieś, gdzie jest ciepło i sucho.

– Zna ulicę – powiedział Dvorak – poradzi sobie. Na pewno już znalazła jakieś schronienie.

Ścisnął rękę Toby. Patrzyli na siebie w ciemności, zmęczeni, lecz nieskorzy do rozstania.

Dvorak nachylił się, musnął wargami jej usta, ale w tym samym momencie zapiszczał pager.

– Może to coś o Molly – powiedziała.

Podniósł słuchawkę. Po chwili odłożył ją ze smutnym westchnieniem.

– To nie o Molly. Ale nasz wieczór dobiegł końca.

– Wzywają cię?

– Niestety. Możesz mnie podzucić? To niedaleko stąd.

– A twój samochód?

– Zabiorę się furgonetką z kostnicy.

Uruchomiła silnik. Pojechali na północ, w kierunku Chinatown, mokrym asfaltem, w którym odbijały się migotliwe refleksy różnokolorowych świateł.

– To tam, przed nami.

Dostrzegła trzy radiowozy bostońskiej policji. Z włączonymi kogutami na dachu, parkowały jak popadnie przed chińską restauracją. W Knapp Street wjeżdżała tyłem biała furgonetka z napisem: Urząd Głównego Anatomopatologa Wspólnoty Massachusetts.

Toby przystanąła za jednym z radiowozów i Dvorak wysiadł.

– Zadzwońisz do mnie, jeśli dowiesz się czegoś o Molly? – spytała.

– Zadzwonię.

Uśmiechnął się, pomachał jej na do widzenia i ruszył w stronę miejsca ogrodzonego żółtą taśmą. Stojący w pobliżu policjant rozpoznał go i bez słowa przepuścił.

Toby położyła rękę na dźwigni zmiany biegów, lecz zamiast wrzucić jedynekę i odjechać, siedziała chwilę, obserwując tłum ludzi na ulicy. Gapiów nie brakowało nawet o północy. Panowała wśród nich dziwnie frywolna atmosfera: dwaj mężczyźni przybijali piątkę, kobiety się śmiały... Tylko policjanci mieli posępne miny.

Dvorak stał tuż za taśmą i rozmawiał z jakimś cywilem. Pewnie z detektywem. Mężczyzna wskazał ręką pobliski zaułek i nie przestając mówić, kartkował notatnik. Dvorak kiwał głową i rozglądał się po jezdni. Detektyw musiał powiedzieć coś, co go zaskoczyło, ponieważ zdziwiony podniósł wzrok i zauważył, że Toby jeszcze nie odjechała. Bez słowa wyjaśnienia przerwał rozmowę i schyliwszy się, przeszedł pod taśmą.

Opuściła szybę.

– Chciałam tylko popatrzeć – wyjaśniła. – Wygląda na to, że jestem niezdrowo wścibska, tak jak oni. Dziwny tłum. Dziwni ludzie.

– Tak, zawsze są dziwni.

– Co tam się stało? Nachylił się do okna.

– Znaleźli zwłoki mężczyzny – powiedział cicho. – Według dokumentów nazywał się Romulus Bell.

Patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Znany był jako Romy – dodał Dvorak. – To alfons Molly Picker.

Zwłoki leżały na chodniku, prawie niewidoczne za niebieskim taurusem. Lewa ręka była podkurczona i przygnieciona ciałem, prawa wyprostowana, jakby wskazywała restaurację na końcu uliczki. Klasyczna egzekucja – skonstatował Dvorak, patrząc na ranę wlotową w lewej skroni ofiary.

– Nie ma żadnych świadków – powiedział detektyw Scarpino.

Wkrótce przechodził na emeryturę i słynął z tego, że nosił źle dopasowane peruki. Tego wieczoru musiał się bardzo spieszyć, ponieważ nałożył tupecik tyłem na przód.

– Zwłoki odkryto koło wpół do jedenastej. Znalazła je para wychodząca z restauracji. To ich wóz. – Wskazał niebieskiego taurusa. – O dziesiątej jeden z lokatorów z góry wyszedł wyrzucić śmieci i niczego nie zauważył,

więc musieli go skasować po dziesiątej. W portfelu znaleźliśmy dokumenty. Jeden z naszych zna to nazwisko. Wczoraj z nim rozmawiał, wypytywał go o dziewczynę, której pan szuka.

– O dziewiątej Bella widziano w szpitalu miejskim.

– Kto go widział?

– Ta dziewczyna, Molly Picker. Był u niej w pokoju. – Dvorak nałożył lateksowe rękawiczki i pochylił się, żeby obejrzyć zwłoki. Bell był szczupłym trzydziestoparoletnim mężczyzną o prostych, czarnych włosach, wypomadowanych na sztywno i zaczesanych a la Elvis. Skórę miał jeszcze ciepłą, wyprostowana ręka była opalona i muskularna.

– Przepraszam, że to mówię, ale to chyba nie wypada.

– Co nie wypada?

– Że pan z nią tak jeździ.

Dvorak wyprostował się i zmrużył oczy.

– Słucham?

– Toczy się przeciwko niej śledztwo. Z tego, co mówią, jej matka nie przeżyje.

– Co jeszcze mówią?

Scarpino zerknął na tłum gapiów.

– Że Alpren poluje na nowe dowody. Jego ludzie sprawdzają apteki, zwęszyli coś konkretnego. Jeśli matka umrze, lekarkę oskarżą o zabójstwo, co postawi pana w jeszcze niezręczniejszej sytuacji. Ona i pan razem na miejscu przestępstwa...

Rozwścieczony Dvorak ściągnął rękawiczki. Spędzili z Toby wiele godzin i wątpił, czy byłaby w stanie skrzywdzić kogokolwiek, a co dopiero własną matkę.

– Cholera jasna – rzucił Scarpino. – Reporterzy. Znają pana, a niedługo poznają twarz tej Harper. Przypomną sobie, że widzieli was razem, no i puf! Wylądujecie na pierwszych stronach gazet.

Ma rację, pomyślał Dvorak. I to jeszcze bardziej go rozzłościło.

– To po prostu nie uchodzi – dodał Scarpino, podkreślając każde słowo.

– Nie oskarżono jej o żadne przestępstwo.

– Jeszcze nie. Ale niech pan pogada z Alprenem.

– Moglibyśmy przejść do rzeczy?

– Tak, jasne. – Scarpino obrzucił trupa zdeglustowanym spojrzeniem. – Ot, pomyślałem sobie tylko, że dam panu małą radę. Po cholere panu takie kłopoty? Kobieta, która bije własną matkę...

– Scarpino, zrób mi przysługę, co?

– He?

– Zamknij mordę i pilnuj swego nosa.

Tej nocy spała w łóżku Ellen. Wróciwszy z krzykliwego Chinatown, wchodziła do domu jak do pustego grobowca. Czowała się zamknięta. Pogrzebana.

W sypialni włączyła radio, złapała nocny program z muzyką klasyczną i podkreśliła głośność, ponieważ chciała wziąć prysznic. Rozpaczliwie potrzebowała muzyki, ludzkich głosów – czegokolwiek.

Zanim wyszła z łazienki, wycierając ręcznikiem mokre włosy, radiostacja przestała nadawać – głośnik syczał tylko i potrzaskiwał. Wyłączyła radio. W nagłej ciszy nieobecność matki doskwierała jak fizyczny ból.

Poszła do jej pokoju.

Nie zapaliła światła, po prostu stała w ciemności, wdychając zapach Ellen, słodkawy jak kwiaty, które tak ukochała. Jak róże i lawenda.

Otworzyła szafę i dotknęła pierwszej z brzegu sukienki na wieszaku. Rozpoznała ją dotykiem: był to letni lniany kostium, bardzo stary, pamiętała, że matka miała go na sobie w dniu, kiedy Vickie kończyła college. No i proszę, wisiał między sukienkami, które Ellen gromadziła z upływem lat. Kiedy ostatni raz zabrałam cię na zakupy? Nie pamiętam. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz kupiłam ci sukienkę...

Zamknęła szafę i usiadła na łóżku. Przed kilkoma dniami zmieniła pościel w nadziei, że matka jednak wróci. Teraz tego żałowała, bo zmieniając pościel, prawie całkiem zabiła jej zapach i łóżko pachniało teraz pralnianym mydłem. Położyła się, rozmyślając o tych wszystkich nocach, które Ellen w nim spędziła. Zastanawiając się, czy w powietrzu nie przetrwał cień jej obecności.

Zamknęła oczy, głęboko odetchnęła. I usnęła.

O ósmej rano zbudził ją telefon od Vickie. Zanim zwlokła się z łóżka, zanim dotarła do swego pokoju i podniosła słuchawkę, zdążyła naliczyć osiem sygnałów. Nieprzytomna z rozespania, nie potrafiła zrozumieć, o co siostrze chodzi.

– Trzeba podjąć decyzję, ale sama tego nie zrobię. To za dużo jak na mnie.

– Jaką decyzję?

– Chodzi o respirator mamy. – Vickie odchrząknęła. – Chcą go wyłączyć.

Toby momentalnie oprzytomniała.

– Nie. Nie...

– Znowu zrobili jej EEG i mówią, że...

– Już tam jadę. Niech niczego nie dotykają. Słyszysz, Vickie? Nie pozwól im niczego dotknąć!

Czterdzieści minut później była już na OIOM-ie. W boksie Ellen stała Vickie i doktor Steinglass. Toby ruszyła prosto do łóżka, nachyliła się i szepnęła:

– Już jestem, mamó. Już jestem przy tobie.

– Rano zrobiliśmy EEG – powiedział Steinglass. – Brak aktywności mózgu. Ten nowy krwotok miał katastrofalne skutki. Twoja matka nie jest w stanie sama oddychać, nie jest w stanie...

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać przy jej łóżku – przerwała mu Toby.

– Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale zapewniam cię, Toby, że ona nas nie rozumie.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Nie tutaj. – Wyszła z boks.

Usiedli przy stole w małej sali konferencyjnej, Toby posępna i milcząca, Vickie bliska łez. Doktor Steinglass, którego Toby uważała za kompetentnego, lecz powściągliwego, czuł się nieswojo w roli specjalisty od rodzinnych kryzysów.

– Przykro mi, że poruszam ten temat – zagaił – ale musimy o tym porozmawiać. Minęły cztery dni. Od czterech dni nie ma żadnej poprawy. Badania EEG wykazują całkowity brak aktywności mózgu. Krwotok był bardzo rozległy, mózg przestał pracować. Respirator tylko to... przedłuża. – Urwał. – Moim zdaniem to najlepsze, co możemy zrobić.

Vickie popatrzyła na siostrę i znów przeniosła wzrok na Steinglassa.

– Skoro uważa pan, że nie ma żadnej nadziei...

– Doktor Steinglass tego nie wie – powiedziała Toby. – Nikt tego nie wie.

– Ale ona cierpi – szepnęła Vickie. – Ta rurka w jej gardle, te wszystkie igły...

– Nie chcę, żeby ją odłączyli. Jeszcze nie.

– Myślę tylko o tym, czego pragnęłaby mama.

– To nie ty decydujesz. To nie ty się nią opiekowałeś.

Vickie z urazą w oczach skuliła się na krześle.

Toby ukryła twarz w dłoniach.

– O Boże, przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć.

– Myślę, że chciałaś. – Vickie wstała. – Dobrze. Skoro uważasz, że tylko ty jedna ją kochasz, zdecyduj sama. – I wyszła z sali.

Chwilę później wyszedł też Steinglass. Toby siedziała z pochyloną głową, dygocząc ze złości i odrazy do samej siebie. Była wściekła. Na siebie. Na kobietę, która podszyła się pod Jane Nolan. Gdybym tylko mogła cię dopaść – myślała. – Gdybym tylko mogła zostać z tobą sam na sam, chociaż przez chwilę...

Ale tego popołudnia wypaliła się w niej cała złość, zużył się cały zapas adrenaliny. Nie miała siły, żeby zadzwonić do Dvoraka, nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Odchyliła się na krześle przy łóżku Ellen i zaniknęła oczy, mimo to nie zdołała odsunąć od siebie obrazu leżącej przed nią matki. Z każdym sapnięciem miechów respiratora wyobrażała sobie, jak unosi się jej klatka piersiowa. Jak płuca wypełniają się powietrzem. Krew wzbogacona tlenem płynie z pęcherzyków płucnych do serca, a potem do mózgu, gdzie krąży bezużyteczna już i niepotrzebna.

Ktoś wszedł do boks. Otworzyła oczy. Przy łóżku stał doktor Steinglass.

– Toby – szepnął. – Wiem, że ci ciężko, ale musimy podjąć decyzję.

– Nie jestem gotowa.

– Mamy trudną sytuację. Wszystkie łóżka są zajęte. Jeśli trafi się jakiś zawałowiec, będziemy potrzebowali miejsca. – Umilkł. – Nie odłączymy jej, dopóki nie zdecydujesz. Ale wczuj się w nasze położenie.

Toby się nie odezwała. Patrzyła na Ellen, myśląc: Jaka ona jest krucha. Z każdym dniem kurczy się i maleje.

– Toby?

Drgnęła.

– Daj mi trochę więcej czasu. Muszę mieć pewność.

– Przyślę tu neurologa, porozmawiaj z nim.

– Nie mam ochoty wysłuchiwać kolejnej diagnozy.

– Może jednak powinnaś. Może...

– Proszę, daj mi wreszcie święty spokój!

Zaskoczony złością w jej głosie, Steinglass cofnął się o krok.

Za drzwiami boks przyglądały się im pielęgniarki.

– Przepraszam – szepnęła. – Daj mi trochę czasu. Muszę mieć trochę czasu. Tylko jeden dzień. – Wzięła torebkę i wyszła, zdając sobie sprawę, że pielęgniarki nie spuszczaają jej z oka.

Dokąd teraz? – pomyślała, wchodząc do windy. Jak tu walczyć, gdy atakują mnie ze wszystkich stron?

Przeciwnikowi wyrosło zbyt wiele macek. Alpren. Jane Nolan. Jej stara nemezis: Doug Carey.

I Wallenberg. Najpierw postawiła go w niezręcznej sytuacji, domagając się autopsji. Potem nastreczyła mu kłopotów, wpytując o tych dwóch pacjentów z CJD. Przysporzyła sobie kolejnego wroga, to oczywiste, o ile jednak wiedziała, nie doznał przez nią poważniejszej krzywdy.

Dlaczego w takim razie ci z Brant Hill tak bardzo chcą mnie zdyskredytować? Co próbują ukryć?

Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze – wsiadło dwóch pracowników z administracji, którzy właśnie szli do domu. Toby spojrzała na zegarek. Minęła piąta, zaczął się weekend. Popatrzyła w głąb holu, gdzie mieściły się jednostki administracyjne Springer Hospital, i nagle zaświtała jej w głowie pewna myśl.

Szybko przecisnęła się przez drzwi windy i poszła do szpitalnej biblioteki medycznej. Była jeszcze otwarta, choć zdążyła już opustoszeć. Toby włączyła komputer.

Na ekranie ukazało się menu programów naukowo-informacyjnych.

W rubryce „Nazwisko autora” wystukała „Wallenberg, Carl”.

Komputer wyświetlił listę pięciu artykułów, poczynając od najnowszego. Ukazał się on przed trzema laty w „Celi Transplant” i był opatrzony tytułem: *Tworzenie się naczyń krwionośnych po przeszczepie komórek nerwowych u szczurów*. Współautorami opracowania byli lekarz Gideon Yarborough i doktor medycyny Monica Trammell.

Już miała przejść do następnego artykułu, gdy zatrzymawszy wzrok na nazwisku Gideona Yarborougha, przypomniała sobie wysokiego łysielca z pogrzebu Robbiego, elegancko ubranego mężczyznę, który próbował interweniować, gdy pokłóciła się z Wallenbergiem. Wallenberg zwracał się do niego po imieniu: Gideon.

Podeszła do katalogu i zdjęła z półki *Spis lekarzy specjalistów*. Jego nazwisko figurowało w dziale chirurgów.

Yarborough, Gideon. Neurochirurg.

Biologia w Dartmouth. Medycyna na Uniwersytecie Yale.

Rezydentura: Hartford Hospital, chirurgia. Peter Bent Brigham, neurochirurgia. Egzamin specjalizacyjny w 1988 r.

Studia podyplomowe: Geriatryczny Instytut Naukowy Rosslyn w Greenwich, Connecticut.

Aktualne miejsce pracy: zrzeszenie chirurgów „Howarth i Spółka „ w Wellesley, Massachusetts.

Geriatryczny Instytut Naukowy Rosslyn: Rosslyn Institute. Ten sam, w

którym kiedyś pracował Wallenberg. Według słów Robbiego Brace'a odszedł stamtąd z kolegą po awanturze o kobietę. Romantyczny trójkąt.

Czyżby tym kolegą był... Yarborough?

Zaniosła spis do komputera i tym razem wystukała na klawiaturze nazwisko Yarborougha.

Na ekranie ukazały się tytuły kilkunastu artykułów, między innymi tego z „Celi Transplant”. Podświetliła tytuł pierwszego, wcisnęła „Enter” i przeczytała zamieszczony fragment. Opisywał eksperymenty z wykorzystaniem tkanki mózgowej szczurzych płodów, rozdrobionej na pojedyncze komórki trypsyną i wstrzykniętej do mózgu dorosłych osobników. Wprowadzone komórki rozwijały się w nowym środowisku doskonale, tworząc efektywne kolonie otoczone nowo powstałymi naczyniami krwionośnymi.

Toby przeszedł zimny dreszcz.

Kliknęła myszką. Artykuł opublikowany w „Journal of Experimental Neurobiology” – nazwiska współautorów nic jej nie mówiły – nosił tytuł *Morfologiczno-czynnościowa integracja przeszczepów tkanki mózgowej płodu u szczurów*. Fragmentu nie zamieszczono.

Przewinęła ekran, wyświetlając tytuły pozostałych artykułów:

Mechanizmy przyswajania wszczepionych komórek płodu przez mózg biorcy u szczurów.

Opcjonalna faza ciąży do pobierania komórek mózgowych u szczurzych płodów.

Kriogeniczne przechowywanie przeszczepów z tkanki mózgowej szczurzych płodów.

Ten ostatni artykuł zilustrowano krótkim fragmentem:

Po dziewięćdziesięciu dniach przetrzymywania w płynnym azocie komórki śródmózgowia szczurzych płodów wykazywały znaczny spadek współczynnika przeżywalności w porównaniu z komórkami świeżymi. Do osiągnięcia przeżywalności optymalnej konieczny jest natychmiastowy przeszczep komórek świeżo pobranych.

Utkwiła wzrok w drugiej części ostatniego zdania: „natychmiastowy przeszczep komórek świeżo pobranych...”

Poczuła, jak jeżą się jej drobne włoski na karku.

Przeszła do artykułu najnowszego. Yarborough napisał go przed trzema

laty i zatytułował: *Wszczepianie mózdzku płodu do mózgu małych starszych: przedłużanie naturalnego okresu życia*. Współautorami byli Carl Wallenberg i Monica Trammell.

To ostatni artykuł, jaki opublikowali; potem Wallenberg i jego koledzy po fachu opuścili Rosslyn. Czyżby zmusił ich do tego kontrowersyjny temat badań?

Podeszła do telefonu. Gdy wybierała domowy numer Dvoraka, łomotało jej serce. Nikt nie podnosił słuchawki. Toby rzuciła okiem na ścienny zegar. Za kwadrans szósta. Włączyła się automatyczna sekretarka: „Mówi Dan. Proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu”.

– Podnieś słuchawkę, Dan. Proszę cię, podnieś słuchawkę... – urwała z nadzieją, że zaraz usłyszy jego głos, lecz Dvorak się nie odezwał. – Dan, jestem w bibliotece medycznej Springer Hospital, wewnętrzny dwieście pięćdziesiąt siedem. Mają tu w komputerze coś, co powinieneś zobaczyć. Proszę, bardzo cię proszę, żebyś natychmiast oddzwonił...

Otworzyły się drzwi.

Do biblioteki zajrzał nocny strażnik. Był równie zaskoczony jej widokiem, jak ona jego.

– Już zamykamy, proszę pani.

– Ale ja... rozmawiam.

– Może pani dokończyć. Zaczekam.

Sfrustrowana odłożyła słuchawkę i wyszła z biblioteki. Dopiero w pobliżu klatki schodowej przypomniała sobie, że nie wyłączyła komputera.

Wsiadła do samochodu i zadzwoniła do urzędu anatomopatologa stanowego. Wystukała numer, ale i tam odpowiedziała jej automatyczna sekretarka. Przerwała połączenie, nie zostawiając żadnej wiadomości.

Gwałtownie przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała z parkingu. Odruchowo skierowała się do domu, nie przestając myśleć o tym, co przeczytała w bibliotece. Przeszczepy mózgowie. Mózgowe komórki płodów. Przedłużenie naturalnego okresu życia.

A więc nad tym Wallenberg pracował w Rosslyn. Jego współnikiem był Gideon Yarborough, neurochirurg praktykujący w Wellesley...

Skreśliła, zajęchała na stację benzynową wbiegła do środka i poprosiła kasjera o książkę telefoniczną Wellesley.

W dziale „Lekarze” znalazła to, czego szukała:

Zrzeszenie chirurgów „Howarth i Spółka”.

Specjaliści.

1388 Eisley Street Howarth.

Pamiętała to nazwisko z karty choroby Harry'ego Slotkina. Widzieli je z Robbiem na liście zleceń.

„5 mg valium przedoperacyjnie. Transport do zrzeczenia chirurgów «Howarth i Spółka»”.

Wsiadła do samochodu i pojechała do Wellesley.

Jeszcze zanim dotarła na miejsce, wszystko zaczęło się układać w logiczną całość i nabierać koszmarnego sensu.

Zaparkowała po drugiej stronie ulicy i spojrzała w mrok. Piętrowy, nierzucający się w oczy budynek naprzeciwko otaczały gęste krzewy, podobnie jak niewielki, opustoszały parking przed wejściem. Okna na górze były ciemne. W recepcji paliło się światło, ale nie było tam widać żadnego ruchu.

Wysiadła z samochodu, przeszła przez ulicę i zatrzymała się przy drzwiach. Były zamknięte. Na szybie widniały nazwiska lekarzy:

Dr med. Merle Lamm – ginekolog położnik

Dr med. Lawrence Remington – chirurg

Dr med. Gideon Yarborough – neurochirurg

To ciekawe – pomyślała. Harry'ego Slotkina przewieziono tu z Brant Hill ze zniekształconą przegrodą nosową. Żaden z lekarzy nie był specjalistą od uszu, nosa ani gardła.

W głębi budynku jękliwie buczało jakieś urządzenie. Piec? Generator? Nie mogła tego odgłosu rozpoznać.

Podeszła do okna, lecz przesłaniały je gęste krzewy. Buczenie raptem ustało i wokół zaległa głucha cisza. Toby skręciła za róg. Za budynkiem znajdował się mały, wyłożony kostką parking. Stały tam trzy samochody.

Wśród nich granatowy saab. Saab Jane Nolan.

Tylne drzwi budynku też były zamknięte.

Toby wróciła do samochodu, chwyciła telefon i ponownie wybrała służbowy numer Dvoraka. Nie spodziewała się, że odpowie, więc aż drgnęła na dźwięk szorstkiego „Halo?”.

– Dan, wiem, co robi Wallenberg – bełkotała gorączkowo. – Wiem, w jaki sposób zarażają się jego pacjenci...

– Toby, posłuchaj: musisz natychmiast zadzwonić do adwokata.

– Nie wstrzykują im żadnych hormonów. Wszczepiają im komórki mózdkowe płodów! Ale coś poszło nie tak i zarazili ich CJD. Teraz próbują to zatuszować, ukryć, zanim sprawa się wyda...

– Posłuchaj mnie, Toby! Masz poważne kłopoty.

– Co?

– Przed chwilą rozmawiałem z Alprenem. – Zamilkł i cicho dodał: – Chcą cię aresztować. Wystawili nakaz.

Toby milczała. Patrzyła na budynek po drugiej stronie ulicy i milczała. Znowu mnie wyprzedzili. O krok. Zawsze są o krok przede mną.

– Powiem ci, co musisz zrobić – mówił Dvorak. – Zadzwoń do adwokata. Poproś go, żeby poszedł z tobą na posterunek przy Berkley Street. Przenieśli tam twoją sprawę.

– Dlaczego?

– Ponieważ... Ze względu na stan twojej matki.

Ponieważ chcą mnie oskarżyć o zabójstwo. Tak, wkrótce oskarżą mnie o zabójstwo.

– Nie dopuść do tego, żeby Alpren aresztował cię w domu. Ci z prasy rzucają się na ciebie jak stado sępów. Zgłoś się dobrowolnie i najszybciej, jak tylko możesz.

– Dlaczego wystawili nakaz? Dlaczego akurat teraz?

– Znalezli nowe dowody.

– Jakie dowody?

– Toby, po prostu zgłoś się na posterunek. Możemy się przedtem spotkać, pojedziemy razem.

– Nigdzie nie pojedę, dopóki nie dowiem się, co to za dowody.

Dvorak wahał się chwilę.

– Farmaceuta z apteki w pobliżu twego domu twierdzi, że wypisywał zlecenie dla twojej matki. Na sześćdziesiąt tabletek coumadinu. Mówi, że przedyktowałaś receptę telefonicznie.

– To kłamstwo.

– Powtarzam ci tylko to, co powiedział.

– Skąd wie, że to ja dzwoniłam? Ktoś mógł podać się za mnie, na przykład Jane. Na pewno by się nie zorientował.

– Toby, wszystko spokojnie wyjaśnimy, obiecuję. Ale teraz najlepiej będzie, jeśli zgłosisz się na posterunek. Dobrowolnie i niezwłocznie.

– No i co? Zamkną mnie tam na noc?

– Jeśli nie przyjedziesz, mogą cię zamknąć na wiele miesięcy.

– Nie zrobiłam matce żadnej krzywdy.

– W takim razie przyjedź i osobiście powiedz to Alprenowi. Im dłużej będziesz zwlekała, tym większe ściągniesz na siebie podejrzenia. Będę przy tobie. Proszę cię, Toby, przyjedź.

Była zbyt zdruzgotana, żeby móc cokolwiek powiedzieć. Zbyt

zmęczona, żeby myśleć o tym, co powinna teraz zrobić. Zadzwoić do adwokata. Zawiadomić Vickie. Zlecić spłatę rachunków, załatwić opiekę nad domem, prosić kogoś o odebranie samochodu. No i pieniądze. Będzie musiała przelać pieniądze z konta emerytalnego. Adwokaci kosztują...

– Toby, rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak – szepnęła.

– Już wychodzę z biura. Gdzie chcesz się ze mną spotkać?

– Na posterunku. Powiedz Alprenowi, że się zgłoszę. Powiedz mu, żeby nie wysyłał nikogo do mnie do domu.

– Czego tylko sobie życzysz. Będę na ciebie czekał.

Przerwała połączenie. Palce zdrętwiały jej od ściskania słuchawki. No i tak, myślała. Dopiero teraz rozpęta się prawdziwa burza. Siedziała, wyobrażając sobie koszmar, jaki wkrótce się zacznie. Odciski palców. Zdjęcia do kartoteki. Reporterzy. Gdyby tylko mogła gdzieś się ukryć, żeby zebrać siły. Choć na trochę, choć na krótką chwilę. Nie było na to czasu. Już na nią czekali.

Ścisnęła palcami kluczyk w stacyjce, gdy zauważyła nagły błysk reflektorów. Spojrzała w bok i dostrzegła wyjeżdżający z za budynku granatowy samochód Jane Nolan.

Nim zdołała zawrócić, saab już zniknął za rogiem ulicy. Nie chcąc go zgubić, rozgrzawkowana szybko skręciła za nim i dostrzegła w mroku jego tylne światła. Natychmiast zwolniła, zwiększyła odległość, uważając, by wóz nie zniknął jej z oczu. Na skrzyżowaniu saab skręcił w lewo.

Kilka sekund później skręciła tam również Toby.

Saab jechał na zachód, zagłębiając się w labirynt krętych ulic bardziej eleganckiej części Wellesley. Ale to nie Jane go prowadziła. Ilekroć z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, w blasku reflektorów Toby widziała zarys głowy jakiegoś mężczyzny. Była całkowicie skupiona na tylnych światłach wozu, okolicę obserwowała jedynie kątem oka, wychwytyując migające za szybą żelazne bramy, wysokie żywopłoty i światła w oknach dużych domów. Saab przyśpieszył, zaczął znikać w mroku nocy. Z przecznicy wyjechała ciężarówka i wepchnęła się przed nią.

Rozsierdzona Toby grzmotnęła pięścią w klakson.

Ciężarówka zwolniła i zjechała w prawo. Toby śmignęła obok.

Jezdnia przed nią była pusta.

Spojrzała w lewo, w prawo, wbiła wzrok w ciemność i raptem dostrzegła oddalające się światła saaba: skręcił w prywatną drogę i przejeżdżał między gęsto rosnącymi drzewami.

Wdepnęła pedał hamulca i błyskawicznie skręciła za saabem. Z głucho

tłukącym się sercem zatrzymała wóz, by wyciszyć nerwy i tętno. Czerwone światelka zniknęły za drzewami, ale już się tym nie przejmowała: wszystko wskazywało, że z posiadłości wyjeżdża się tą samą drogą.

Przy wjeździe stała skrzynka pocztowa z uniesioną chorągiewką. Toby wysiadła i zajrzała do środka. Leżały tam dwie koperty, opłata za wywóz śmieci. Rzuciła okiem na adres nadawcy: Trammell.

Usiadła za kierownicą i wzięła głęboki oddech. Zgasiła reflektory i na światłach pozycyjnych ruszyła powoli przed siebie. Droga wiła się między drzewami, prowadziła w dół łagodnym zboczem. Toby nie zdejmowała stopy z hamulca, tak że samochód pełznął na ostrych, ledwo widocznych zakrętach. Trakt meandrował bez końca między drzewami i kępami krzewów. Nie widziała, gdzie i czym się kończy, od czasu do czasu dostrzegała tylko mignięcie światła między gałęziami. Wprost do wilczego gniazda – pomyślała – wprost do jaskini lwa. Mimo to nie zawróciła. Popychały ją naprzód ból i wściekłość, które wzbierały w niej od kilku tygodni. Śmierć Robbiego. Śmierć Ellen, bo nie ulegało wątpliwości, że matka wkrótce umrze. „Niech pani nie będzie głupia” – szydził Wallenberg.

Nie jestem głupia. To moje życie. To, co z niego zostało.

Droga przechodziła w szeroki podjazd. Toby skręciła na zasłane igliwim pobocze i wyłączyła silnik.

W ciemnościach majaczył zarys wielkiego domu. W oknach na górze paliło się światło. W jednym z nich dostrzegła sylwetkę kobiety, która chodziła nerwowo tam i z powrotem. Rozpoznała jej profil.

Jane. Czyżby tu mieszkała?

Powiodła wzrokiem po linii masywnego dachu, przesłaniającego połowę gwiazd na niebie. Doliczyła się czterech kominów, dostrzegła odbłask światła w szybach okien na drugim piętrze. Jane... Była tu gościem? Czy tylko pracownicą?

W oknie na górze stanął jasnowłosy mężczyzna, kierowca, za którym tu przyjechała. Zamienił z Jane kilka słów, spojrzął na zegarek i wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że Jane się zdenerwowała, może nawet wpadła w złość. Przeszła przez pokój i ujęła słuchawkę telefonu.

Toby otworzyła torbę lekarską, wzięła z niej latarkę i wysiadła z samochodu.

Saab stał przed werandą. Chciała sprawdzić, do kogo należy, dla kogo Jane pracuje. Podeszła bliżej i zaświeciła latarką w okno samochodu. W środku było pusto, nie dostrzegła nawet skrawka papieru. Poruszyła

klamką drzwi od strony pasażera – były otwarte. W skrytce na mapy leżał dowód rejestracyjny, wystawiony na nazwisko Richarda Trammella. Pociągnęła dźwignię otwierającą bagażnik, obeszła samochód, pochyliła się i znów zaświeciła latarkę.

Z tyłu dobiegł ją trzask łamanej gałązki, cichy szelest, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. I groźny, zduszony warkot.

Odwróciła się na pięcie i ujrzała błysk białych kłów. Doberman skoczył.

Cięnięta siłą uderzenia upadła na ziemię, odruchowo zasłaniając rękami gardło. Kły psa zacisnęły się na jej przedramieniu i momentalnie przebiły ciało aż do kości. Przerażliwie krzyknęła, uderzyła go pięścią, ale doberman nie rozwarł szczęk. Zaczął szarpać łbem to w lewo, to w prawo, rozrywając jej skórę i mięśnie. Oślepa z bólu, wolną ręką chwyciła psa za gardło, chcąc go poddusić, lecz wszystko wskazywało, że kły bestii utkwily w ramieniu na dobre. Dopiero gdy dźgnęła dobermana w ślepią, głośno zaskowyczał i odskoczył.

Toby przetoczyła się, wstała i ociekając krwią, puściła się pędem do drzwi samochodu.

Pies zaatakował ponownie.

Spadł jej na plecy niczym kafar i rzucił ją na kolana. Na szczęście tym razem chwycił tylko bluzkę i w jednej chwili rozpruł ją kłami. Kopnęła go, usłyszała, jak wpadł na samochód. Ale za wcześnie na radość: doberman błyskawicznie wstał i już prężył się do trzeciego skoku.

Wtedy usłyszała okrzyk:

– Leżeć!

Z trudem wstała, lecz do drzwi nie dotarła. Chwyciły ją czyjeś ręce, czyjeś ręce pchnęły ją na maskę samochodu.

Doberman wściekle ujadał, chcąc dobić swą zdobycz.

Toby szarpnęła się, próbowała się uwolnić. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, był świetlisty krąg latarki zataczający w mroku szeroki łuk. Cios trafił ją w skroń i rzucił na bok. Poczowała, że spada, że koziółkuje w ciemność.

Zimno. Było jej bardzo zimno.

Wracała do świadomości, wypływając z lodowatych głębin. Początkowo nie czuła ani rąk, ani nóg. Nie wiedziała, gdzie są, czy jeszcze w ogóle je ma.

Głucho huknęły drzwi i zewsząd dobiegło ją dziwne, metalicznie

brzmiące echo. Zadźwięczało jej w głowie niczym dzwon. Jęknęła i przetoczyła się na bok. Podłoga też była lodowata. Toby zwinęła się w kłębek i leżała tak, drżąc i próbując poruszyć kończynami. Bolała ją ręka, ból powoli zabijał odrętwienie. Otworzyła oczy i drgnęła, porażona jaskrawym światłem.

Bluzkę miała we krwi. Ten szokujący widok natychmiast ją otrzeźwił. Skupiła wzrok na poszarpanym, przesiąkniętym krwią rękawie.

Doberman.

Przed oczyma znowu mignęły jej białe kły, znów powrócił ból, ból tak intensywny, że omal nie straciła przytomności. Wyteżyła siły, by zachować trzeźwość umysłu. Kołysząc się na plecach, potrafiła nogę stołu. Coś się stamtąd osunęło i zakołysało nad jej głową. Podniosła wzrok i zobaczyła nagą rękę, palce, które prawie dotykały jej twarzy.

Dławiąc okrzyk przerażenia, przetoczyła się w drugą stronę i uklękła. Zawrót głowy trwał ledwie kilka sekund – minął, gdy ujrzała to, co znajdowało się na stole.

Leżał tam trup przykryty plastikową płachtą. Widać było tylko rękę, blado-siną w świetle jarzeniówek.

Toby wstała i, ciągle oszołomiona, musiała przytrzymać się krawędzi blatu. Znowu skupiła spojrzenie na zwłokach, lecz kątem oka dostrzegła, że w pomieszczeniu stoi jeszcze drugi stół, że i na nim coś leży przykryte folią. Zahuczało i z otworu wentylacyjnego buchnął strumień zimnego powietrza. Toby rozejrzała się, zobaczyła ślepe ściany, ciężkie stalowe drzwi i powoli zrozumiała, dokąd trafiła. Powinna była domyślić się tego po wszechobecnym tutaj odorze.

Była w chłodni do przechowywania zwłok.

Wbiła wzrok w zwisające ze stołu ramię, podeszła bliżej i odchyliła plastik.

Leżał tam starszy mężczyzna o ciemnych włosach ze srebrzystobiałymi odrostami. Niedokładnie ufarbowany. Powieki miał rozchylone, oczy niebieskie i szkliste. Toby ściągnęła przykrycie. Nagie ciało nie nosiło żadnych widocznych obrażeń. Jedyne na ramieniu zauważyła siniaki po kroplówkach. Między kostkami jego nóg tkwiła duża, żółta koperta z nazwiskiem James R. Bigelow. Toby otworzyła ją i w środku znalazła kartę choroby z dokumentacją medyczną ostatniego tygodnia życia tego człowieka.

Pierwszy wpis pochodził z 1 listopada.

Pacjent niezborny podczas śniadania: wlał mleko do talerza zamiast do

filizanki. Spytany, czy potrzebuje pomocy, był wyraźnie skonsternowany. Przewieziony do kliniki na dalszą obserwację.

W trakcie badania stwierdzono lekkie drżenie ciała. Dodatkowo objawy mózdkowe. Brak innych symptomów wskazujących na umiejscowienie choroby.

Zapoczątkowano procedurę transferu permanentnego.

Notatka była niepodpisana.

Próbowała zrozumieć, co czyta, ale tak bardzo bolała ją głowa, że każdy wyraz stanowił wyzwanie. Co oznaczała ostatnia wzmianka? Procedura transferu permanentnego? Przerzuciła kilka kartek. 3 listopada:

Pacjent nie może samodzielnie chodzić. Wyniki EEG nieswoiste. Silniejsze drżenie ciała, objawy mózdkowe wyraźniejsze. Badanie tomograficzne wykazuje powiększoną przysadkę, ale bez ostrych zmian.

4 listopada:

Pacjent coraz bardziej splątany. Napady drgawek mioklonicznych po bodźcu. Pogłębiająca się dysfunkcja mózdku. Wyniki badań laboratoryjnych w normie.

I wpis ostatni, z 7 listopada:

Pacjent unieruchomiony. Nietrzymanie moczu i kału. Środki uspokajające i płyny dożylnie przez całą dobę. Faza agonalna. Zlecić autopsję.

Położyła kartę na nagich udach zmarłego. Chwilę patrzyła na zwłoki z dziwną, kliniczną powściągliwością: srebrzyste włosy na piersi, zmarszczki na podbrzuszu, skurczony penis w swoim włochatym gnieździe. James R. Bigelow... Wiedział, czym ryzykuje? Czy przypuszczał, że nieśmiertelność może tak dużo kosztować?

Starzy żerujący na młodych.

Zachwiała się, ból głowy był tak silny, że widziała wszystko jak przez mgłę. Dopiero po chwili odzyskała zdolność normalnego widzenia, a wówczas skupiła wzrok na drugim ciele.

Zrobiła kilka kroków w tamtą stronę i przystanąła. Ściągnęła folię. I chociaż przedtem wzięła się w garść, takich potworności się nie

spodziewała.

Zwłoki były rozłupane. Klatkę piersiową i jamę brzuszną rozcięto na pół i szeroko rozwarto, odsłaniając kłębowisko organów wewnętrznych. Prowadzący autopsję musiał je najpierw wyjąć, po czym włożył na powrót, nie troszcząc się o prawidłą anatomii.

Toby cofnęła się, z trudem dławiąc mdłości. Bijący ze zwłok odór świadczył, że leżą tu dłużej niż tamte.

Zmusiła się do zrobienia kroku w stronę stołu i spojrzała na plastikową opaskę identyfikacyjną na nadgarstku. Czarnym mazakiem wypisano na niej nazwisko zmarłego: Philip Dorr. Przy zwłokach nie było karty choroby ani żadnych innych dokumentów, które wskazywałyby na przyczynę zgonu.

Z lękiem przeniosła wzrok wyżej, na twarz zmarłego. On też był staruszkciem, miał siwawe brwi i dziwnie zapadniętą twarz, która przypominała gumową maskę. Dopiero wtedy zauważyła, że nacięto mu skórę za uchem. Zwisający jej płat odsłaniał perłową krągłość czaszki. Toby pociągnęła za włosy, ostrożnie unosząc skalp.

Czerep odpadł i zagrzechotał na podłodze.

Toby krzyknęła i odskoczyła w tył.

Czaszka otworzyła się jak pusta waza. W środku nie było nic: mózg usunięto.

Rozdział dwudziesty

– Przyjedzie – powiedział Dvorak, obserwując Alprena, który postukiwał ołówkiem w blat biurka. – Cierpliwości.

Detektyw Alpren spojrział na zegarek.

– Czekamy od dwóch godzin. Zawalił pan sprawę, doktorze, nie powinien był pan jej mówić.

– A pan nie powinien wyciągać pochopnych wniosków. Nakaz wystawiono przedwcześnie. Jeszcze nie zakończyliście śledztwa.

– Tak, tak, pewnie powinienem tracić czas na uganianie się za prawdziwą Jane Nolan, co? Wolę już aresztować prawdziwą doktor Harper. O ile ją teraz znajdziemy.

– Sama przyjdzie, niech pan da jej szansę. Może czeka na adwokata. Może pojechała do domu, by pozałatwiać sprawy.

– Do domu nie pojechała. Pół godziny temu wysłałem tam radiowóz. Moim zdaniem nasza doktor Harper wcisnęła gaz do dechy i dała nogę z miasta. Jest ze dwieście kilometrów stąd i lada chwila pozbędzie się samochodu.

Dvorak patrzył na ścienny zegar. Nie mógł sobie wyobrazić Toby jako zbiega; wyglądała na kobietę, która zamiast uciekać, odważnie stawia czoło przeciwnikowi. Teraz musiał zrewidować podszepty instynktu, musiał przemyśleć wszystko to, co o niej wiedział, to, co myślał, że o niej wie.

Było oczywiste, że Alpren czerpie z tego zjadliwą satysfakcję. Anatomopatolog stanowy spieprzył sprawę, tym razem gliniarz okazał się lepszym psychologiem. Dvorak siedział w milczeniu, czując, że narasta w nim złość – złość na Alprena za jego pyszałkowatość, złość na Toby za to, że zawiodła jego zaufanie.

Zadzwoił telefon. Alpren odebrał, słuchał chwilę i z błyskiem samozadowolenia w oczach odłożył słuchawkę.

– Znaleźli jej mercedesa.

– Gdzie?

– Na Logan Airport. Zostawiła go przed halą odlotów. Pewnie spieszyła się na samolot. – Wstał. – Nie ma sensu dłużej czekać. Ona się nie zgłosi.

Dvorak jechał do domu z wyłączonym radiem i cisza jeszcze wzmagala jego złość. Uciekla, myslał. Istniało tylko jedno wytłumaczenie tego postępkę: wyrzuty sumienia, świadomość nieuchronności kary. Mimo to pewne szczegóły nie dawały mu spokoju. Próbowal spokojnie analizować kroki, jakie przedsięwzięła uciekająca Toby. Pojechała na lotnisko, zostawiła samochód przed halą odlotów i spieszenie wsiadła do samolotu lecącego w nieznanym kierunku.

I właśnie to nie miało sensu. Samochód porzucony przed halą odlotów rzuca się w oczy. Gdyby chciała uciec, nie zwracając niczyjej uwagi, odstawiłaby wóz na którymś z zatłoczonych parkingów, gdzie mógłby stać niezauważony przez wiele dni.

A więc do samolotu nie wsiadła. Alpren mógł sobie myśleć, że jest głupia, ale Dvorak wiedział swoje. Policja traciła czas, sprawdzając listy pasażerów odlatujących z Logan.

Toby musiała uciec inaczej.

Wszedł do domu i ruszył prosto do telefonu. Był zły, rozjątrzony i zdradą Toby, i swoją głupotą. Podniósł słuchawkę, by zadzwonić do Alprena, lecz zaraz ją odłożył, widząc, że pomrukuje lampka automatycznej sekretarki. Wcisnął guzik odtwarzania.

Dowiedział się, że wiadomość nagrano kwadrans po szóstej. Potem rozległ się głos Toby:

„Dan, jestem w bibliotece medycznej Springer Hospital, wewnętrzny dwieście pięćdziesiąt siedem. Mają tu w komputerze coś, co powinieneś zobaczyć. Proszę, bardzo cię proszę, żebyś natychmiast oddzwonił...”

Ostatni raz rozmawiali ze sobą o wpół do ósmej, a więc nagrała tę wiadomość wcześniej. Pamiętał, że próbowała mu coś powiedzieć, że przerwał jej, nim zdążyła wyjaśnić, co odkryła.

Biblioteka medyczna Springer Hospital... „Mają tu w komputerze coś, co powinieneś zobaczyć. Proszę, bardzo cię proszę, żebyś natychmiast oddzwonił...”

Ból uderzył w podbrzusze niczym zaciśnięta pięść, przygniótł je tak mocno, że nawet nie zdążyła jęknąć. Zamknęła oczy, zacisnęła zęby i dłonie, napinając krępujące ją więzy. Zaskamlała z ulgi dopiero wówczas, gdy skurcz minął. Myślała, że w czasie porodu będzie krzyczeć. Wyobrażała sobie, że będzie głośno wrzeszczeć, zakładała, że ból nieodmiennie się z tym łączy. Ale kiedy nadszedł, gdy poczuła pierwsze zwiastuny kolejnego ataku, a potem gwałtowny skurcz macicy, zniosła go

bez najcichszego nawet jęku, pragnąc tylko zwinąć się w kłębek i zniknąć w ciemności.

Ale oni jej na to nie pozwolili.

Było ich dwoje, kobieta i mężczyzna. Mieli na sobie niebieskie fartuchy chirurgiczne – widziała tylko ich oczy, łypiące ze szpary między maską a czepkiem. Nie odzywali się do niej, była dla nich obiektem badań, tylko nierozumnym zwierzęciem, leżącym na stole z rozsuniętymi udami, z nogami przywiązanymi do strzemion.

Kiedy skurcz ustąpił i rozwiała się mgła bólu, oczy Molly ponownie zaczęły rejestrować szczegóły otoczenia. Światła, jakby trzy oślepiające słońca, nad głową. Lśniący metal stojaka na kroplówkę. Plastikowa rurka z igłą, którą wkłuli jej w żyłę.

– Proszę – szepnęła. – Boli. To bardzo boli...

Nie zwracali na nią uwagi. Kobieta obserwowała butelkę w obejmie na stojaku, mężczyzna zaglądał między jej uda. Gdyby w jego spojrzeniu dostrzegła chociaż cień samczego pożądania, przejęłaby inicjatywę, miałyby nad nim władzę, choćby tylko częściową władzę. Ale w oczach mężczyzny chuci nie było.

Nadciągał kolejny skurcz. Targnęła pasami krępującymi ręce, próbując przekręcić się na bok, i nagle ból ustąpił miejsca furii. Rozwścieczona zaczęła szarpać się i rzucać tak mocno, że stół zatrzęsł się i metalicznie zaklekotał.

– Igła wypadnie – powiedziała kobieta. – Nie można jej uspić?

– Wykluczone. Skurcze ustaną.

– Puśćcie mnie! – krzyknęła Molly.

– Nie zniosę tego wrzasku – mruknęła kobieta.

– To podkreć pitocynę i wydestańmy wreszcie to cholerstwo. – Nachylił się i wsunął palce między uda Molly.

– Puśćcie... mnie! – jęknęła i nagle umilkła. Ból zaatakował ją z mocą spiętrzonej wody, która przerwała tamę. W tym samym momencie mężczyzna wsunął palce jeszcze głębiej, co tylko spotęgowało cierpienie. Zamknęła oczy, po jej policzkach płynęły łzy.

– Pełne rozwarcie – rzucił mężczyzna. – Już zaraz...

Udręczona Molly poderwała głowę i boleśnie stęknęła.

– Dobrze. Dalej, dziewczyno, przyj mocniej.

– Pierdol się – wychrypiała Molly.

– Przyj, bo będziemy musieli wydestać je inaczej.

– Pierdol się, pierdol się, pierdol...

Cios w twarz był tak silny i brutalny, że odrzuciło jej głowę. Przez

kilka sekund oszołomiona Molly nie mogła wykrztusić ani słowa, palił ją policzek, wzrok przesłoniła mgła. Skurcz powoli ustąpił. Czuła, że z pochwy spływa gorąca ciecz, słyszała, jak kapie na papierowy ręcznik. Gdy zaczęła widzieć wyraźniej, skupiła wzrok na mężczyźnie. I uświadomiła sobie, że w jego oczach kryje się oczekiwanie. Zniecierpliwienie.

Chcą mi odebrać dziecko.

– Podkręć pitocynę – polecił. – Skończmy z tym wreszcie.

Kobieta podkręciła kroplówkę i po chwili Molly poczuła, że nadchodzi kolejny skurcz, że narasta nieprawdopodobnie szybko, jest szokująco gwałtowny. Dźwignęła głowę, napięła kark i zaczęła przec. Spomiędzy rozsuniętych ud buchnęła krew, trysnęła na zasłonę nad jej brzuchem.

– Przyj – warknęła kobieta. – Jeszcze. Przyj! Crescendo bólu było nie do zniesienia. Molly zaczerpnęła powietrza i napięła wszystkie mięśnie. Pociemniało jej w oczach. Usłyszała swój krzyk, lecz był to zupełnie obcy odgłos, który przypominał skowyt zdychającego zwierzęcia.

– Dobrze. Dalej, dalej... – mamrotał mężczyzna.

Po raz ostatni wyteżyła siły i poczuła, że agonalne parcie między udami ustępuje miejsca bólowi rozdzieranego ciała. I nagle wszystko się litościwie skończyło.

Otepiała, lepka od potu, nie była w stanie ani się poruszyć, ani nawet jęknąć. Niewykluczone, że przysnęła, nie była tego pewna. Wiedziała tylko, że musiało upłynąć kilka minut, że w pomieszczeniu panuje ruch. Słyszała szum lejącej się wody, trzask drzwiczek szafki. Wymagało to dużego wysiłku, ale w końcu zdołała otworzyć oczy.

Z początku widziała tylko oślepiający blask trzech słońc nad głową. Skupiła wzrok na rozmazanej sylwetce mężczyzny, stojącego za jej rozrzuconymi nogami, na tym, co trzymał w rękach.

To coś było porośnięte włosami, kępkami czarnych, zmierzwionych, pozlepianych krwią włosów. Było różowawe, bezkształtne i bezwładne, przypominało ochłap mięsa od rzeźnika. Nagle się poruszyło. Najpierw tylko zadrżało, potem zadygotało, zbiło się w gulę, a włosy zjeżyły mu się niczym sierść wystraszonego kota.

– Prymitywne odruchy mięśniowe – rzekł mężczyzna. – Wciąż ma szczątkowe struktury mieszkowe i zębowe. Kończyn też nie wyeliminowaliśmy.

– Sól gotowa.

– Co z pacjentem?

– Już leży. Czekamy tylko na tkanę.

– Najpierw muszę to zważyć. – Mężczyzna położył ochłap na szalce wagi stojącej nieopodal głowy Molly.

Dziewczyna popatrzyła w tamtą stronę. Spozierało na nią bezduszne, cyklopie oko bez powieki.

Jej krzyk rozbrzmiał tysiącem przeraźliwych pogłosów. Krzyczała raz po raz, a im głośniej krzyczała, tym szybciej wzbierało w niej przerażenie.

– Trzeba ją uciszyć! – rzuciła kobieta. – Pacjent usłyszy!

Mężczyzna sięgnął po gumową maskę, zakrył nią usta i nos Molly. Poczula jadowite tchnienie gazu i gwałtownie odchyliła głowę. Mężczyzna chwycił ją za dolną szczękę, chciał Molly przytrzymać, zmusić ją do zaczerpnięcia haustu sączących się spod maski oparów. Niczym ogarnięte paniką zwierzę, dziewczyna ugryzła go w mały palec.

– Kurwa mać! Pierdolona suka!

– Boże, twój palec...

– Strzykawka. Bierz strzykawkę.

– Którą?

– Z potasem. Zrób to teraz.

Molly powoli otworzyła oczy. Kobieta stała nad nią ze strzykawką w ręku. Igła przebiła gumową membranę w rurce kroplówki.

Dziewczyna poczuła, że jej ramieniem powoli spływa ognista struga. Krzyknęła z bólu, próbowała się wyszarpnąć, lecz więzy nie puściły.

– Do końca – warknął mężczyzna. – Niech się dziwka udławi.

Kobieta kiwnęła głową i wcisnęła do oporu tłok strzykawki.

Było ich niezwykle dużo. W zwojach tkanki mózgowej tkwiły co najmniej trzydzieści trzy oddzielne przysadki – więcej niż w którymkolwiek z wcześniejszych implantów embrionalnych. Oglądane pod mikroskopem, komórki sprawiały wrażenie zdrowych, niezmienionych, a wyniki badania krwi dziewczyny pozostawały w normie. Nie mogli dopuścić do kolejnego przypadku przeniesienia infekcji. Popełnili ten błąd wobec pierwszej grupy biorców, kiedy to wykorzystali nietknięte płody z łona wynajętych kobiet z biednej meksykańskiej wioski. Z wioski, w której bydło zdychało już wtedy.

Ale ta tkanka pochodziła z embrionu genetycznie zmodyfikowanego w jego własnym laboratorium. Wiedział, że jest czysta.

Doktor Gideon Yarborough wyciął trzy przysadki i wrzucił je do fiolki z trypsą, ogrzaną do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza. Resztę płodu – jeśli można by nazwać to płodem – opłukał i umieścił w roztworze

buforowym Hanka. Ochłap podskakiwał w cieczy jak korek – wypłynął na powierzchnię i łytnął na niego niebieskim okiem. Nie miał funkcjonującego mózgu, nie miał duszy, mimo to Yarborougha przeszły ciarki. Zamknął słój i odstawił na bok. Pozostałe gruczoły miał zebrać później. A był to zbiór bardzo cenny, zbiór wystarczający do zaimplantowania dziesięciu pacjentów.

Minęło dwadzieścia minut.

Przeplukał zawartość fiolki roztworem soli. Trypsyna zdążyła już rozbić tkankę i zamiast całych przysadek w mętnej zawieszynie unosiły się teraz pojedyncze komórki: budulec nowego gruczołu dominującego. Ostrożnie przepompował ciecz do strzykawki i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekała na niego asystentka.

Na stole leżał pacjent po niewielkiej dawce valium. Dość zdrowy siedemdziesięcioośmioletni mężczyzna, który czuł się staro. Który pragnąc odzyskać młodość, był skłonny dużo za nią zapłacić i znieść przykry zabieg.

Leżał teraz z głową w stereotaktycznej ramie Todda-Wellsa, z unieruchomioną i ustawioną pod odpowiednim kątem czaszką. Na piętnastocalowym ekranie monitora widniał powiększony obraz rentgenologiczny siodełka tureckiego, kostnej kieszonki otulającej przysadkę mózgową.

W prawym nozdrzu pacjenta Yarborough rozpylił środek znieczulający, po czym przemył je roztworem kokainy. Następnie wprowadził doń długą igłę i wstrzyknął środek znieczulający w błonę śluzową.

Pacjent niespokojnie zamruczał.

– To tylko znieczulenie, panie Luft, wszystko w porządku. – Yarborough oddał strzykawkę asystentce.

I sięgnął po świder.

Był to zwykły świder śrubowy, z końcówką cienką jak igła. Yarborough wsunął ją do nozdrza i, śledząc obraz na ekranie, wwiercił się w kość klinową. Gdy ostrze przeszło na wylot, przebijając oponę twardą, otaczającą przysadkę mózgową, pacjent krzyknął i napiął mięśnie.

– Najgorsze za nami, panie Luft. Ból zaraz minie.

I rzeczywiście, w miarę jak przykre doznanie mijało, pacjent powoli się odprężył. Przebicie opony twardej zawsze wywoływało krótkotrwały atak silnego bólu w czole i Yarborough zupełnie się tym nie przejmował.

Asystentka podała mu strzykawkę z zawiesziną.

Yarborough wprowadził czubek igły do świeżo wywierconego otworu w kości klinowej i ostrożnie wstrzyknął preparat do siodełka tureckiego.

Wyobraził sobie, jak komórki kłębią się w swoim nowym domu, jak się rozmnażają, jak zakładają nowe kolonie, jak wytwarzają hormony młodego mózgu. Hormony, których przysadka pana Lufta wytwarzać już nie mogła. Yarborough wyciągnął igłę. Pacjent nie krwawił. Czysty, fachowo wykonany zabieg.

– Poszło znakomicie. Teraz zdejmujemy ramę, ale będzie pan musiał poleżeć tu z pół godziny. Chcę sprawdzić, jak stabilizuje się pańskie ciśnienie.

– Już po wszystkim?

– Po wszystkim. Przeszedł pan przez to jak burza. – Spojrzał na asystentkę i skinął głową. – Zostanę, Moniko. Kiedy pacjent będzie gotowy do powrotu do Brant Hill, wezwę furgonetkę.

– A co z... – Monica wskazała oczami drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

Yarborough zdjął rękawiczki.

– Tym też się zajmę. Ty załatw tę drugą sprawę.

Termometr na ścianie wskazywał niecałe dwa stopnie Celsjusza.

Owinięta plastikową folią Toby podciągnęła kolana i skuliła się w kącie. Folię zdjęła ze zwłok i całe ubranie przesiąkło odorem formaliny. Początkowo się przed tym wzdragala i na samą myśl o zabraniu przykrycia z nieboszczyka robiło się jej niedobrze. Wkrótce jednak zaczęła dygotać z zimna i już wiedziała, że nie ma wyboru. Był to jedyny sposób na podtrzymanie ciepłoty ciała.

Ale przeżyć w tych warunkach nie mogła. Minęło wiele godzin, straciła czucie w rękach i nogach. Przynajmniej ramię przestało ją boleć. Miała coraz większe kłopoty z kojarzeniem, procesy myślowe uległy spowolnieniu do tego stopnia, że potrafiła skoncentrować się wyłącznie na jednym: na tym, żeby nie zasnąć.

Wkrótce jednak i do tego zabrakło jej woli.

Głowa stopniowo opadała jej coraz niżej i niżej, powoli słabły kończyny. Dwa razy budziła się gwałtownie i stwierdzała, że leży na boku, że w chłodni wciąż palą się światła. Potem znów zasypiała.

I przyśnił jej się sen. Sen złożony nie z obrazów, lecz z samych tylko dźwięków. Rozmawiało dwoje ludzi, jakiś mężczyzna i Jane Nolan. Głosy mieli zniekształcone, brzmiące metalicznie. Poczwała, że płynie rzeką czarnej cieczy, jej twarz owionął zbawczy powiew ciepłego powietrza.

A potem runęła w ciemność.

Obudziła się, leżąc na boku i policzkiem dotykając dywanu. Mrok rozciąła wąska smuga światła, skrzypaneły zamykane drzwi. Próbowwała się poruszyć, ale nie mogła. Ręce związane jej na plecach, stopy miała odrętwiałe i bezwolne. Trzasnęły inne drzwi, posłyszała warkot uruchamianego silnika.

– Nie zamykasz bramy? – spytał mężczyzna.

Odpowiedział mu głos Jane Nolan:

– Pies jest uwiązany, nie ucieknie. Jedźmy już.

Ruszyli wyboistą drogą.

Tą samą drogą przyjechałam do ich domu – pomyślała Toby. – Dokąd mnie zabierają?

Samochód gwałtownie podskoczył, wstrząs rzucił ją na lewy bark, tak że omal nie krzyknęła z bólu. Leżała na poszarpanym ramieniu, a kojące odrętwienie, które odczuwała w chłodni, zaczynało ustępować. Przekręciła się z trudem na plecy i stwierdziła, że opiera się o coś zimnego i gumowego. Do furgonetki sączyło się światło ulicznych latarni i samochodowych reflektorów. Odwróciła głowę, chcąc zobaczyć, na co wpadła – z mroku wychynęła twarz trupa.

Zszokowana wciągnęła powietrze tak głośno i gwałtownie, że usłyszeli to jej prześladowcy.

– Obudziła się – powiedział mężczyzna.

– Jedź dalej – odparła kobieta. – Zaraz ją zaknebluję. Rozpięła pas, niezdarnie przeszła na tył furgonetki, uklękła i w półmroku zaczęła zmagać się z oporną rolką chirurgicznego plastra.

– Myślałam, że już o pani nie usłyszymy.

Toby napięła ręce, ale nie zdołała poluznić więzów.

– Moja matka... Zrobiłaś krzywdę mojej matce...

– To pani wina – odrzekła Jane, odrywając kawałek plastra. – Jest pani zbyt wścibska. Za bardzo obchodził panią los kilku starsuszków. Nie zauważyć nawet, co dzieje się we własnym domu! – Zakleiła jej usta i dodała z udawaną odrazą: – I to ma być dobra córka.

Ty suko, pomyślała Toby, ty parszywa suko.

Jane zacmokała językiem i oddarła następny kawałek plastra.

– Nie, nie chciałam zrobić jej krzywdy. Miałam tylko panią obserwować. Wybadać, jak daleko się pani posunie. No, ale potem był telefon Robbiego Brace'a i wszystko wymknęło się spod kontroli... – Zakleiła usta Toby drugim kawałkiem plastra. – Zginać w wypadku już pani nie mogła. Było za późno, by panią uciszyć. Ludzie tak chętnie wierzą zmarłym... – Oderwała jeszcze jeden kawał plastra i okleiła jej

twarz od ucha do ucha. – Ale czy równie łatwo uwierzą kobiecie, która katowała własną matkę? Nie przypuszczam.

Patrzyła na nią chwilę, oceniając swe dzieło. W półmroku z rzadka rozjaśnianym błyskami reflektorów jej oczy zdawały się świecić. Ellen... Ileż razy musiała budzić się w nocy, by stwierdzić, że te oczy na nią patrzą? Powinnam była się domyślić. Powinnam była wyczuć czające się w domu zło.

Furgonetka gwałtownie skręciła i Jane musiała przytrzymać się ściany.

Nie, to nie jest Jane, pomyślała Toby w nagłym olśnieniu. To Monica Trammell. Współpracowała z Wallenbergiem w Rosslyn Institute.

Samochód zakołysał się i począł zjeżdżać krętą drogą. Gładki asfalt ustąpił miejsca wybojom. Toby poczuła, że obijają się o nią zwłoki starca, że rytmicznie ją poszturchują. Furgonetka stanęła, rozsunięły się drzwi.

Na tle bezksiężycowego nieba ukazała się sylwetka mężczyzny.

– Gideon jeszcze nie przyjechał. – Był to głos Carla Wallenberga.

Kobieta wysiadła.

– Musi tu być. Wszyscy musimy tu być.

– Został, żeby przypilnować pacjenta.

– Nie możemy zrobić tego sami. Tym razem musimy za to odpowiadać wspólnie. I wszyscy jednakowo. Jak dotąd zrzucaliście to na nas, na Richarda i na mnie.

– Nie chcę tego robić.

– Musisz. Dół wykopany?

– Tak – odpowiedział ktoś z ciemności.

– W takim razie kończmy robotę. – Kobieta spojrzała na kierowcę, który przed chwilą wysiadł. – Wyciągnij ich, Richard.

Kierowca chwycił Toby za związane nogi i wywłókł ją z furgonetki. Gdy Wallenberg przytrzymał ją za rękę, Toby gwałtownie się poruszyła.

Omal jej nie upuścił.

– Chryste! Ona jeszcze żyje!

– Nie gadaj, tylko nieś ją do dołu.

– Boże, czy musimy robić to w ten sposób?

– Nie zabrałam strzykawek. Przynajmniej nie będzie krwi. Nie chcę zostawić żadnych śladów.

Wallenberg kilka razy głęboko odetchnął i znów pochwycił Toby za rękę. Wyciągnęli ją z furgonetki i ponieśli w noc.

Z początku nie miała pojęcia, dokąd idą. Wiedziała tylko, że teren jest nierówny i że z trudem odnajdują drogę w ciemnościach. Przed oczyma mignęła jej głowa Richarda Trammella, jego białe włosy, poza tym

widziała niebo i sylwetkę dźwigu na tle łąnu gwiazd. Spojrzała w bok: płot, za płotem światła i stojący w oddali budynek. Poznała dom opieki w Brant Hill. Nieśli ją do wykopu pod fundamenty nowego gmachu.

Wallenberg potknął się i wypuścił jej rękę. Upadła na głowę. Uderzenie było tak silne, że zadzwoniły jej zęby. Poczowała ostry ból przygryzionego języka, poczuła smak krwi gromadzącej się w ustach.

– Jezus... – mruknął Wallenberg.

– Szybciej, Carl – ponagliła Monica Trammell głosem bezdusznym i ostrym.

– Pierdolę to. Ty to zrób!

– Nie, teraz twoja kolej. Tym razem to ty ubrudzisz sobie rękę. Ty i Gideon. Dalej, bierz ją.

Wallenberg głęboko odetchnął. Dźwignęli szamoczącą się Toby z ziemi i ponieśli dalej. Na skraj wykopu. Toby spojrzała na Wallenberga, ale nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, widziała tylko ciemny owal i powiewające na wietrze włosy. Rozhuścili ją, potem runęła w dół.

Chociaż napięła wszystkie mięśnie, siła upadku odebrała jej dech. Przez chwilę widziała tylko ciemność. Stopniowo odzyskiwała wzrok. Ujrzała nad sobą gwiazdy, wypełniające głęboką misę, i zdała sobie sprawę, że leży na dnie wykopu. Osypujący się piasek zakłuł ją w oczy. Odwróciła głowę i dotknęła policzkiem żwiru.

Wallenberg i Trammell odeszli. Teraz, pomyślała. Moja jedyna i ostatnia szansa. Próbowwała się uwolnić, szarpała się i wyginała, nie zważając na spadającą z góry ziemię. Nic z tego. Ręce i nogi miała zbyt mocno związane, od tej bezsensownej szarpaniny tylko zdrętwiały jej ramiona. Ale końcówka plastra na policzku zaczęła się odklejać. Toby potarła twarzą o żwir, kalecząc się do krwi. Plaster powoli ustępował.

Szybciej. Szybciej.

Kaszłała, dławiała się w chmurze pyłu. Jeszcze kawałek, jeszcze jeden centymetr plastra... Uwolniła usta. Zaczepnęła tchu i przeraźliwie krzyknęła.

Na skraju wykopu zamajaczyła sylwetka kobiety.

– Nikt pani nie usłyszy! – zawołała Monica – wykop jest głęboki. A jutro w ogóle zniknie. Zasypią go i wygładzą, później zaleją betonem.

Wallenberg i Trammell przynieśli zwłoki. Wrzucili je do dołu, upadły tuż obok Toby. Głowa starca uderzyła ją w ramię. Toby szarpnęła się pod ścianę, w twarz sypnął jej piasek.

A więc tak to się kończy. Trzy szkielety w wykopie. Pod betonową pokrywą.

Wallenberg i Trammell poszli po drugie zwłoki.

Toby znów zaczęła wzywać pomocy, lecz jej głos zamierał w głębokiej jamie.

Na skraju wykopu przykucnęła Monica Trammell.

– Jest zimna noc – powiedziała. – Ludzie pozamykali okna, nic nie usłyszą.

Toby nie przestawała krzyczeć.

Monica cisnęła jej w twarz garść ziemi. Toby zakrztusiła się, odwróciła głowę i spojrzała na leżącego obok nieboszczyka. Ona ma rację, pomyślała. Nikt mnie nie słucha i nikt nie usłyszy.

Trammell i Wallenberg wrócili, sapiąc z wysiłku. Wrzucili do wykopu ostatnie zwłoki.

Runęły prosto na Toby, plastikowa płachta zasłoniła jej twarz. Przygnieciona ciężarem, prawie nie mogła się ruszać, ale wciąż słyszała nad sobą ich głosy, słyszała chrzęst rozgarnianego piachu.

Pierwsza łopata. Piach spadł jej na nogi. Próbowwała go strząsnąć, lecz tamci sypali dalej, spadła na nią następna porcja, i jeszcze jedna.

– Zaczekajcie na Gideona – rozkazała Monica. – On też musi wziąć w tym udział.

– Przyjedzie i dokończy – odrzekł jej mąż. – Do roboty!

Stęknął i na zwłoki spadła kolejna łopata ziemi. Na włosy Toby sypał się strumyczek piasku. Spróbowała poruszyć się pod leżącym na niej trupem. Folia zsunęła się w dół, odsłaniając jej oczy, tak że Toby mogła spojrzeć na troje ludzi widocznych nad wykopem. Chyba wyczuli, że na nich patrzy, bo na chwilę umilkli.

– Dobra – rzuciła Monica. – Zakopcie to teraz.

– Nie! – krzyknęła Toby, lecz plastik tłumił jej głos. Plastik i ciężar przygniatających ją zwłok.

Znowu sypnęli ziemią. Toby zamrugwała, zapiekły ją oczy. Łopata piachu spadła jej na włosy, ziemia zasypywała jej ciało, przykrywała ręce i nogi. Spróbowała się poruszyć, lecz tkwiła pod zwłokami niczym w potrzasku. Słyszała, jak krew huczy jej w uszach, słyszała świst powietrza w płucach. Po raz ostatni mignęły jej przed oczyma gwiazdy i skryła twarz pod folią.

Kilka sekund później ziemia przykryła jej głowę i Toby nie widziała już nic.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nadeszła jego kolej.

Trzęsącymi się rękami zagarnął pierwszą łopatę ziemi. Przystanął na skraju wykopu i spojrzał w dół, w ciemność, myśląc o żywej kobiecie, która tam leżała. Wciąż biło jej serce, w jej ciele wciąż krążyła krew. W ogarniętym agonialną paniką mózgu eksplodowały miliony neuronów. Umierała. Tam, pod warstwą ziemi.

Wrzucił piach do wykopu i zagarnął następną porcję. Usłyszał, jak Monica pomrukuje z aprobatą, i przeklął ją w duchu, że zmusiła go do tak odrażającego czynu. Pozbywali się ostatnich dowodów, ostatniej pary zwłok, rezultatu eksperymentalnej kuracji, która skończyła się koszmarnym fiaskiem.

Powinniśmy byli starannie dobierać dawców. Powinniśmy przebadać płody nie tylko na obecność bakterii i wirusów. Ani przez chwilę nie pomyśleliśmy o prionach.

Ale Yarborough nalegał, Yarborough chciał jak najszybciej implantować. Mówił, że tkanka musi być świeża. Zawiesinę należało wprowadzić do przysadki w ciągu siedmiu dni od pobrania materiału, starsza nie przetrwałaby w mózgu biorcy.

Komórki nie zaczęłyby się łączyć w kolonie. No i mieli całą listę oczekujących, trzydziestu sześciu chętnych pacjentów i pacjentek, którzy po wniesieniu odpowiedniej opłaty krzykliwie domagali się szansy na drogą młodość. Niczym nie ryzykujecie – tak ich zapewniali. Bogiem a prawdą, zabieg był zupełnie nieszkodliwy i skuteczny: miejscowe znieczulenie, rentgenologicznie sterowane wstrzyknięcie do mózgu zawiesiny komórek przysadki pobranych w fazie płodowej i po tygodniach następowało powolne odmładzanie gruczołu. Robili to z Gideonem kilkanaście razy, bez śladu komplikacji, dopóki kierownictwo Rosslyn Institute nie otoczyło projektu tajemnicą z przyczyn moralnych. Gdyby nie konieczność pobierania materiału z ludzkich płodów po aborcji, zabieg uznano by za przełom w medycynie. Za źródło młodości bijące z mózgów istot nienarodzonych i niechcianych.

Tak, przełom. Ale jeden z tych, które ze względów politycznych nigdy nie nastąpią.

Przestał machać łopatą. Ciężko dyszał, zlany zimnym potem. Wykop był prawie zasypany. Płuca kobiety musiały już dławić się pyłem, komórki

jej mózgu obumierały z braku tlenu. Serce rozpaczliwie pompowało ostatnie litry krwi. Nie lubił Toby Harper, zgadzał się, że trzeba ją uciszyć. Ale życzył jej śmierci łagodnej i szybkiej, nie takiej, której obraz będzie go nękał całymi latami.

Nigdy nie zamierzał nikogo zabijać.

Kilka płodów poświęcono, to prawda, ale tylko na początku. Teraz wykorzystywali tkankę sklonowaną – trudno ją nazwać tkanką ludzką – wszczepianą i hodowaną w kobiecym łonie. Że w kobiecym łonie? Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Ani on, ani jego pacjenci, którzy po prostu pragnęli zabiegu, którzy chętnie zań płacili. W Brant Hill nic o tym nie wiedzano, kontynuował więc zabiegi i zgarniał pieniądze.

Ale potem umarł Mackie, po Maćkiem następni. Teraz nie chodziło już tylko o fortunę, którą mógł stracić. Teraz chodziło o jego pozycję, o reputację. O jego przyszłość.

Czy warta jest morderstwa?

Nawet teraz, zasypując szybko wypełniający się dół, był boleśnie świadomy faktu, że leżąca pod ziemią kobieta umiera. Z drugiej strony, wszyscy umieramy. Niektórzy łżej, inni w sposób jeszcze bardziej przerażający.

Odłożył łopatę. Zrobiło mu się niedobrze.

– Więcej ziemi – rozkazała Monica. – Inaczej będzie widać. Budowlańcy nie mogą nic zauważyć.

– Masz, sama pomachaj. – Rzucił jej łopatę. – Zrobiłem aż za dużo.

Wzięła łopatę i przyjrzała się mu uważnie.

– Tak – powiedziała po chwili. – Chyba tak. Teraz siedzisz w tym równie głęboko jak Richard i ja. – Zastygła bez ruchu z nogą wspartą na łopacie.

– Jest Yarborough – rzucił jej mąż.

Wallenberg odwrócił się i zobaczył reflektory nadjeżdżającego samochodu. Czarny lincoln Gideona zakołysał się na wyboistej drodze i stanął przy płocie okalającym teren budowy. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i zatrzasnęły.

Rozbłysło jaskrawe światło, zalało cały wykop pod fundamenty nowego budynku. Wallenberg zatoczył się do tyłu, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem. Usłyszał chrzęst żwiru pod oponami jeszcze dwóch samochodów, znowu trzask zamykanych drzwi i szybki tupot nóg.

Zmrużył oczy, gdy przed reflektorami wyrosły sylwetki ludzi. To nie Yarborough, pomyślał. Kim jesteście?

Szło ku niemu dwóch mężczyzn.

Świeże powietrze wnikające do płuc było tak zimne, że paliło w gardle. Kaszłąc i charcząc, dychawicznie wciągnęła jeden haust, potem drugi. Coś przylgnęło jej do twarzy i chciała od tego uciec, toteż wściekle atakowała ręce, które przytrzymały jej głowę. Słyszała głosy, tak dużo głosów, że nie mogła się zorientować, ile ich jest, zwłaszcza że wszystkie odzywały się jednocześnie.

– Daj jej wreszcie ten tlen!

– Szarpie się...

– Hej tam! Pomóżcie, przytrzymajcie ją! Nie mogę się wkłuć!

Toby wiała się, drapiąc na oślep. Wysoko widziała światło i ze wszystkich sił walczyła, żeby przebić się przez ciemność i dotrzeć do niego, zanim zniknie. Tylko że coś sparaliżowało jej ręce, tylko że coś przygniotło je do ziemi. Powietrze, które wdychała, pachniało gumą.

– Toby, przestań, uspokój się! – Poczowała, że ktoś chwyta ją za rękę, jakby chciał wywlec ją z mroku.

I raptem czarna zasłona tuż przed oczami pękła na pół, raptem głowę Toby skapał strumień światła. Zobaczyła twarze pochylonych nad nią ludzi. Zobaczyła inne światła, jeszcze więcej światła, niebieskich i czerwonych, tańczących w kolorowym kręgu. Są piękne – pomyślała. Kolory... Są takie piękne. Coś zatrzeszczało w ciemności. Policyjna radiostacja.

– Panie doktorze, chyba powinien pan to obejrzeć – powiedział jeden z policjantów.

Dvorak się nie odezwał. Tylne światła karetki wiozącej Toby do szpitala podskakiwały na wyboistej drodze. Nie powinna być dzisiaj sama, pomyślał. Powinienem być z nią. Chcę z nią być. Chcę z nią zostać.

Odwrócił się do policjanta i zdał sobie sprawę, że nogi ma miękkie w kolanach, że nadal cały się trzęsie. Noc nabrała szalonego, psychodelicznego wymiaru. Te wszystkie radiowozy, te wszystkie światła. Gapie za płotem, tłumek jak zawsze zbierający się na miejscu przestępstwa – ci ludzie byli starsi, mieszkali w Brant Hill i, słysząc zawodzenie syren, zaciekawieni wyszli w noc tylko w narzuconych na ramiona szlafrokach. Stali milczącym rzędem, zaglądając przez siatkę do wykopu, skąd wydobyto dwa ciała, które leżały teraz odkryte na ziemi. Nie był to tłumek jowialny czy frywolny; w ich przypadku śmierć czyhała

za blisko, żeby się z niej naśmiewać.

– Czeka na pana detektyw Sheehan – dodał policjant. – Tylko on tego dotykał.

– Czego dotykał?

– Zwłok.

– Jeszcze jedne zwłoki?

– Niestety.

Zaczęli niezdarnie gramolić się z wykopu.

– Były w bagażniku samochodu – wysapał policjant.

– Którego?

– Lincolna doktora Yarborougha. Tego, za którym tu przyjechaliśmy. Śledziliśmy faceta od momentu, gdy wyszedł z siedziby tego zrzeszenia. Wygląda na to, że wioził na pogrzeb jeszcze jednego nieboszczyka. Otworzyliśmy bagażnik, no i... Czego jak czego, ale takiego obrazka się nie spodziewaliśmy.

Wyszli z wykopu, minęli grupę staruszków za płotem i podeszli do samochodu Yarborougha. Stał przy nim Sheehan.

– Ostatnio chodzą trójkami – mruknął.

Dvorak pokręcił głową.

– Nie wiem, czy to zniosę. Mam dość.

– Dobrze się czujesz?

Dvorak pomyślał o czekającej go nocy. O godzinach, które miną, nim znajdzie się przy łóżku Toby. Nic nie mógł poradzić. Musiał to zrobić, ot i tyle.

Wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki.

– Zaczynamy – powiedział i zajrzał do bagażnika. Sheehan oświetlił latarką wewnątrz.

Przez chwilę Dvorak nie potrafił wykrztusić słowa. Stał, patrząc na twarz dziewczyny, na siniak szpecący jej delikatną skórę, na szare oczy, otwarte i martwe. Kiedyś żyła w nich dusza, kiedyś widział, jak w nich lśni. Gdzie teraz jesteś? – pomyślał. Mam nadzieję, że tam, gdzie będziesz szczęśliwa. Gdzie jest ciepło, bezpiecznie i dobrze.

Wyciągnął rękę i delikatnie zamknął oczy Molly Picker.

Z niespokojnego snu wyrwał go śmiech pielęgniarek na korytarzu. Otworzył oczy, ujrzał światło dnia wpadające przez okno. Siedział na krześle przy szpitalnym łóżku Toby. Toby wciąż spała. Oddychała powoli i rytmicznie, policzki miała zaróżowione. W nocy oczyszczono jej twarz z

ziemi, mimo to we włosach nadal skrzyły się ziarenka piasku.

Wstał, przeciągnął się i pokręcił głową, chcąc rozluźnić zeszywniałe mięśnie szyi. Nareszcie słoneczny dzień, pomyślał. Po niebie płynęła tylko jedna leciutka chmurka.

– Miałam koszmarne sen.

Odwrócił głowę i spotkali się wzrokiem. Wyciągnęła do niego rękę. Ciepło ujął jej dłoń i przysiadł na łóżku.

– Tylko że to nie był sen, prawda? – spytała.

– Nie. To było aż za prawdziwe.

Milczała chwilę, marszcząc czoło, jakby próbowała zebrać fragmenty wspomnień i złożyć je w zrozumiałą całość.

– Znaleźliśmy ich archiwum – powiedział Dvorak.

Spojrzała na niego pytająco.

– Przechowywali wszystkie dane na temat przeszczepów. Siedemdziesiąt dziewięć teczek. Trzymali je w podziemiach budynku zrzeszenia. Nazwiska pacjentów, notatki operacyjne, wyniki kontrolnych badań tomograficznych głowy.

– Gromadzili dane?

– Tak. Żeby móc udokumentować swoje roszczenia do sukcesu. Wygląda na to, że te implanty rzeczywiście przynosiły ludziom pożytek.

– Ale niektórych zabijały – wtrąciła cicho.

– Tak. Na początku zeszłego roku, kiedy Wallenberg wykorzystywał płody pochodzące z aborcji. Pięciu mężczyznom wszczepiono komórki z tego samego źródła. Wszyscy zostali zainfekowani właśnie w tym czasie. Pierwszy z nich zmarł rok później.

– Doktor Mackie?

Dvorak kiwnął głową.

– Znaleźliście siedemdziesiąt dziewięć teczek. Co z pozostałymi pacjentami?

– Żyją, są zdrowi. Mają się doskonale. Stawia to nas przed moralnym dylematem. Co będzie, jeśli kuracja Wallenberga jest naprawdę skuteczna?

Po jej minie poznał, że też się tym niepokoi. Jak daleko można się posunąć, by przedłużyć człowiekowi życie? Ile człowieczeństwa trzeba będzie złożyć w ofierze?

– Wiem, gdzie jest Harry Slotkin. – Spojrzała na niego z wstrząsającą jasnością w oczach. – W Brant Hill, w nowym skrzydle domu opieki. Przed kilku tygodniami wylali tam nowe fundamenty.

– Tak. Wallenberg nam powiedział.

– Wallenberg?

– Wszyscy skaczą sobie do gardeł. Wallenberg i Gideon kontra Trammellowie. Kto pierwszy zwali winę na przeciwnika, ten lepszy. Na razie Trammellowie przegrywają.

– A Robbie? – Musiała zebrać całą odwagę, by o to zapytać. – Które z nich... ?

– Richard Trammell. Pistolet jest zarejestrowany na jego nazwisko. Ekspertyza balistyczna powinna to potwierdzić.

Kiwnęła głową, rozważając tę wiadomość w milczeniu. Zobaczył w jej oczach łzy i zdecydował, że o Molly Picker powie jej później. Nie czas wkładać na jej barki jeszcze jedną tragedię.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju weszła Vickie. Była jeszcze bledsza niż poprzedniego wieczoru, kiedy odwiedziła siostrę. Bledsza i dziwnie zalekniona. Przystanęła kilka kroków od łóżka, jakby bała się podejść bliżej.

Dvorak wstał.

– Zostawię was same – powiedział.

– Nie, proszę... – zaprotestowała Vickie. – Nie musi pan iść.

– Nigdzie nie idę. – Nachylił się i pocałował Toby. – Zaczekam na korytarzu.

W progu przystanął i spojrzał przez ramię.

Zdawało się, że Vickie wyzwoliła się nagle z niewidzialnych więzów. Trzema szybkimi krokami podeszła do łóżka i wzięła siostrę w ramiona.

Dvorak przetarł ręką oczy. I cichutko zamknął za sobą drzwi.

Dwa dni później

Respirator pracował z częstotliwością dwudziestu oddechów na minutę; po każdym wydechu zapadały się żebra i ściana klatki piersiowej, a w boksie rozlegało się ciche westchnienie. Rytm ten koił ją i uspokajał. Przyczesła matce włosy, obmyła jej ręce, nogi i całe ciało, przesuując myjką po znajomych miejscach. Plamka pigmentu w kształcie gwiazdy na lewym ramieniu. Blizna po biopsji na piersi. Palec wykrzywiony artretyzmem w pastuszy kij. Ale blizna na kolanie? Skąd blizna na kolanie? Toby pograżyła się w zadumie. Blizna była stara, dobrze zagojona, prawie niewidoczna – jej pochodzenie ginęło w zapomnianych krainach dzieciństwa matki. I patrząc na jej kolano w jaskrawym świetle, pomyślała: miała tę bliznę od lat, a ja zauważyłam ją dopiero teraz.

– Toby?

W drzwiach stał Dvorak. Możliwe, że stał tam od jakiegoś czasu, bo nie słyszała, kiedy przyszedł. Taki już po prostu był. Leżała w szpitalu półtora dnia i wiele razy budziła się z myślą, że jest sama. Odwracała głowę i...

Czuwał przy niej, milczący i przez nikogo niezauważany. Tak jak teraz.

– Jest już twoja siostra. Idzie tu doktor Steinglass. Toby spojrzała na matkę, na jej włosy rozsypane na poduszce.

Nie wyglądały jak włosy starej kobiety. Przywodziły na myśl gęstą czuprynę młodej dziewczyny i były jasne niczym wstążki srebra rozwiane na wietrze. Toby nachyliła się i musnęła wargami jej czoło.

– Dobranoc, mamó – szepnęła.

Wyszła z przeszklonego boksu i stanęła obok Vickie. Dvorak stał za nimi, obecny, choć nierzucający się w oczy. Patrzyli, jak do boksu wchodzi doktor Steinglass, jak zmierza wprost do respiratora. Spojrzał na Toby z niemym pytaniem w oczach.

Skinęła głową.

Steinglass wyłączył respirator.

Klatka piersiowa Ellen opadła i znieruchomiała. Zaległa cisza. Minęło dziesięć sekund.

Vickie wzięła siostrę za rękę i mocno ją uściśnęła.

Ellen nie drgnęła.

Serce biło coraz wolniej. Pauza. Niepewne uderzenie. Aż w końcu zamarło.

Śmierć jest naszym przystankiem docelowym już w chwili narodzin,

pomyślała Toby. Nie wiemy tylko, kiedy i o której tam dojedziemy.

Ellen dotarła do kresu podróży kwadrans po drugiej tego późnojesiennego popołudnia.

Po Daniela Dvoraka śmierć mogła przyjść już za dwa lata, ale mogła również nadejść za lat czterdzieści. Najpewniej zapowie swoje przybycie drżeniem ręki, mogła jednak przybyć i bez ostrzeżenia, nocą, podczas gdy w sąsiednim pokoju będą spały jego wnuki. Dan nauczy się stawiać temu czoło, podobnie jak ludzie stawiają czoło innym niepewnościom życia.

A my? A pozostali?

Toby położyła dłoń na szybie i w czubkach palców poczuła swój puls, rytmiczny i silny. Raz już umarłam, pomyślała.

Czekała ją zupełnie nowa podróż.